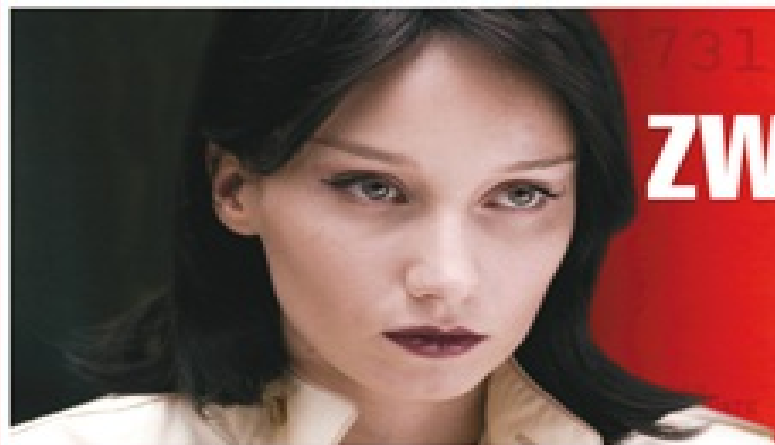


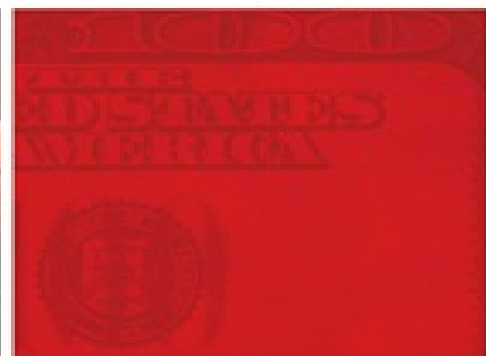
**PAWEŁ
SZLACHETKO**



**ZWERBOWANA
MIŁOŚĆ**



**NAMIĘTNOŚĆ
PIENIĄDZE
ZDRADA**



Paweł Szlachetko

Zwerbowana miłość

Redakcja: *Katarzyna Szajowska*
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*
Redakcja techniczna wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Maria Nowakowska*

Wykorzystano plakat filmowy
z filmu *Zwerbowana miłość* © Best Film 2010

© by Paweł Szlachetko, 2008
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2011

ISBN 978-83-7758-030-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2011
Wydanie I

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

Kochanemu ojcu Leonowi

Prolog

Jeszcze godzinę temu Henryk zamierzał jechać do domu. Wziąć gorący prysznic. Potem przebrać się w wieczorowy garnitur i przed północą zabrać Krystynę na bal sylwestrowy. Nie była zadowolona z takiego rozwiązania. Postawił wówczas sprawę jasno – jeśli chciała z nim zamieszkać, powinna być przygotowana na większe niespodzianki. Zwłaszcza taką jak dzisiejszego wieczoru.

Przed godziną miał tyle planów. Że też właśnie ostatniego dnia starego roku musiał zostać w biurze. Należało pilnie przygotować dokumenty przed jutrzejszym spotkaniem z ministrem. Nienawidził papierkowej roboty, ale jak trzeba, to trzeba.

Wyprostował się, przecierając zmęczone oczy. Potem chwilę gapił się bezmyślnie na wiszący na ścianie zegar. Minęła dwudziesta. Najpóźniej za godzinę schowa wszystkie dokumenty do sejfu.

Wrócił do pracy. Gdy kończył wyliczanie ostatnich zestawień, zorientował się, że ktoś stoi na wprost biurka. Zaskoczony podniósł głowę. Zobaczył pistolet, którego lufa była wycelowana prosto w jego czoło.

W jaki sposób tamten dostał się do gmachu ministerstwa? Strażnik na dole... A zamki szyfrowe na piętrze?

– Wiesz, po co przyszedłem?

Pokręcił przecząco głową. Zacisnął przy tym mocno usta, by nie zwymiotować ze strachu.

– Potrzebuję haseł cyfrowych do sześciu skrytek w sześciu francuskich bankach.

Starł się dostrzec rysy intruza, lecz mocna żarówka stojącej na blacie lampki oświetlała jedynie zgromadzone na biurku dokumenty oraz dłoń trzymającą pistolet.

Nie zamierzał udawać, że nie wie, czego chce przybyły.

– Ktoś może być niezadowolony, że podam te numery. – Próbował nadać głosowi spokojny ton. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz tamten wepchnął

mu lufę pistoletu do ust i zmusił, by położył głowę na stercie dokumentów.

– Niezadowolony? – Napastnik był wyraźnie rozbawiony. – Oni też tak mówili. – Podsunął mu pod nos zdjęcia. Poznał dwie twarze. Wszyscy patrzyli na fotografującego pełnymi przerażenia martwymi oczami.

Poczuł ukłucie w kark. Sekundę później paraliżujący war zaczął rozlewać się wzdłuż kręgosłupa. Zniknęły zdjęcia, a pojawiła się szklana ampułka. Z trudem odczytał rozmazującą się przed oczami nazwę specyfiku. Wiedział, że za godzinę... Trucizna działała szybko... Pół roku wcześniej czytał wyniki testów, które przeprowadzono na psach.

– Potrzebuję haseł cyfrowych – powtórzył nieznajomy.

Obok pełnej ampułki pojawiła się strzykawka. Jeśli chce żyć, musi sobie zaaplikować antidotum nie później niż za pół godziny.

Dlaczego uwierzył, że tamten daruje mu życie? Prawdę mówiąc, pytanie to w ogóle nie przyszło mu do głowy. Nie chciał umierać. Dziś o północy zamierzał oświadczyć się Krystynie. Wreszcie spotkał kobietę swojego życia.

Nie był gotów umierać.

Przecież nie skończył nawet czterdziestu lat.

Miał prawo żyć!

Co go obchodzi kilka milionów dolarów? Niech je szlag!

„A jeśli to jeden z nas?” – ta myśl go obezwładniła.

– Chcę tylko sprawdzić. – Zdjęcia zniknęły sprzed jego twarzy. – Mieć pewność, że cyfry, które podali tamci, będą identyczne z twoimi... Masz coraz mniej czasu. Pisz!

Gdyby nawet próbował krzyknąć, i tak nie dobyłby z siebie głosu. Poczuł, jak tamten wciska mu między palce długopis. Kartek wokół było dość.

Dlaczego uchwycił się nadziei, że zostanie oszczędzony? Nie był gotów na taki finał. Przecież nie skończył nawet... Dziś o północy... Co go obchodzi kilka milionów... Wreszcie spotkał kobietę...

Kiedy skończył pisać rząd cyfr, długopis wypadł mu ze sztywniejących palców.

– Pomóż mi – wycharczał.

Ślina spłynęła z otwartych ust na podłożoną pod policzek dłoń i cienką strużką skapywała wzdłuż serdecznego palca na blat biurka. Próbował unieść głowę, lecz udało mu się jedynie nieznacznie przekręcić ją na bok.

Żar ogarnął jego ciało. Kiedy bezwładnie zsuwał się z krzesła, pomyślał, że przecież powinno mu zostać jeszcze kilkanaście minut. Upadł na podłogę

wstrząsany drgawkami. Dostrzegł noski butów stojącego nieopodal mężczyzny. Usłyszał szelest przekładanych na biurku kartek. Kilka z nich zsunęło się z blatu i sfrunęło obok jego twarzy.

Niedawny ból rozdzierający klatkę piersiową zniknął, pozostawiając po sobie wszechogarniający chłód.

Wiedział, że to już koniec.

Czyścieł przykucnął przy konającym. Wyjął aparat fotograficzny. Nacisnął migawkę, wykonując automatem serię zdjęć. Na ułamek sekundy pokój rozświetliły błyski flesza. Leżący na podłodze boleśnie westchnął i znieruchomiał.

Czyścieł zabrał z biurka ampułkę i strzykawkę. Schował je do etui, w jakim nosi się okulary. Spojrzał na zegar. Minęła dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Teraz szybko do domu. Gorący prysznic. Czyścieł skrzywił się na myśl, że znowu przyjdzie mu się mocować z muszką. Przez tyle lat nie nauczył się podstawowego wiązania.

Wyszedł z pokoju, zostawiając za sobą uchylone drzwi. Za pół godziny przechodzący korytarzem strażnik zobaczy palące się w pokoju światło. Wejdzie do środka i...

Cóż, nawet przed sylwestrem ludzie umierają na atak serca.

Rozdział pierwszy

Elementy warcholskie wreszcie rozgromiono. Po dwóch dniach demonstracji został przywrócony porządek. Po raz kolejny zwyciężyło prawo i siły porządku, stojące wiernie na straży socjalistycznej demokracji...

Anna wyłączyła radio. Co ją to wszystko obchodzi? Zbliżyła twarz do lustra i powoli zaczęła nakładać cienie na powieki. Potem tusz na rzęsy.

Jutro musi wymienić u cinkciarzy dwadzieścia dolarów. Dają lepsze ceny niż PKO. Powinno starczyć na życie do końca miesiąca i czynsz. A może poczekać jeszcze tydzień? Podobno za kilka dni zielone mają skoczyć do 110 złotych za jednego Waszyngtona.

Zakłęła w myślach, gdy szminka pojechała za daleko poza linię warg. Że też nie ma sobie dziś czym dupy zawracać, tylko czarnorynkowym kursem dolarów!

Kiedy wreszcie skończyła, odsunęła się od lustra, oceniając swoje odbicie. Była średniego wzrostu. W ładnej twarzy płonęły migdałowe oczy okolone ciemnymi rzęsami. Kruczoczarne długie włosy rozsypywały się na ramionach.

– Jesteś niezła laska, maleńka. – Przymknęła jedną powiekę, robiąc do siebie oko.

Przeniosła wzrok na nagie piersi. Przesunęła dłońmi po gładkim brzuchu i udach. Cholera, że też zawsze da sobie coś wmówić. Powinna była pięć minut dłużej zostać w solarium. Skóra nabrałaby bardziej złocistego blasku. A przecież za tych kilka minut skasowali ją jak za zboże. Dziewięć dolców. Tyle miesięcznie zarabia sąsiadka mieszkająca za ścianą.

Sięgając po biustonosz, wcisnęła klawisz magnetofonu. Z głośników popłynął głos piosenkarza.

– Tacy sami, a ściana między nami... – zanuciła wraz ze śpiewającym.

Sięgnęła po sukienkę. Zgniotła palcami materiał, po raz kolejny upewniając się, że postąpiła dobrze. I pomyśleć, że taki kawałek tafty kosztował ją...

Pieprzyć wszystko! Starczy na dziś przeliczania!

Nim się ubrała, stanęła tyłem do lustra. Spojrzała przez ramię. Pupę też miała śliczną. Biel skąpych koronkowych majteczek ładnie kontrastowała ze słonecznym kolorem pośladków.

– Gdybym była facetem – rzuciła do swego odbicia – to nie wyjmowałabym dłoni z twoich majtek.

Naciągnęła na nogi rajstopy, potem sukienkę, która ściśle przylgnęła do ciała. Czy kiedyś doczeka dnia, że wejdzie do sklepu z odzieżą, przerzuci bluzki, sukienki i spódnice, które teraz tylko ogląda w żurnalach? Potem, zamiast sięgnąć po forszę, powie sobie, że jeszcze może poczekać kilka dni z kupnem kolejnej szmatki? W końcu jutro też jest dzień, rzuci na odchodne sprzedawczyni.

Chyba nigdy nie dożyje takiego cudu gospodarczego.

Tacy sami, a ściana między nami...

Tacy sami...

Tacy sami, a ściana między nami...

Sięgnęła po buteleczkę perfum Coco Chanel. Kosztowały ją...

Gwizdać na to! W tym momencie pomyślała, że mogła kupić coś córce pod choinkę.

Zmrużyła oczy, wachając otwarty flakonik. Dziesięć dolarów. Niech tam, warto było!

Przypomniała sobie wczorajsze przedpołudnie i swoje odbicie w lustrze. Ekspedientka uśmiechała się do niej, sztywno udając, że obsługuje milionerkę. Anna udawała, że nią jest. Jeśli ma się kilka dolców i bogatą wyobraźnię, jeszcze jakoś da się żyć. Lustro otaczała bogata barokowa rama. W identycznym przeglądała się niedawno...

Niedawno?

Miała wówczas dwadzieścia lat. Kochała i była pewna, że wirujące wokół kolory miłości zanoszą ją do nieba.

– Już nigdy więcej – wydeła pogardliwie wargi i zaczęła poprawiać włosy, krytycznie spoglądając na swoje odbicie. – Raz wystarczy. Aż nadto!

Za oknem rozległ się wybuch petardy i wściekłe ujadanie psa. Który to sylwester bez Romana? Szósty? Siódmy?

– Życzę ci, mała – zbliżyła twarz do lustra – żeby dzisiejszy adorator był przystojny. Mądry? Wystarczy, żeby jego portfel nie miał dna. – Poprawiła

róż na policzkach.

Pomyślała, że musi znaleźć w garderobie czarną torebkę przetykaną srebrną nicią. Ruszyła do sypialni. Po kilku krokach przystanęła.

– Aha – odwróciła się do lustra – i nie może być Polakiem. Wystarczy, że będzie bankierem ze Szwajcarii.

Kurant zaczął wydzwaniać pierwsze z dwudziestu dwóch uderzeń. Melodyjne tony grzęzły i gubiły się między setkami metalowych stelaży i ustawionymi na nich tysiącami akt ciągnących się długimi rzędami na poziomie minus dwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Dominowała tu szarość. Ściany pomalowano szarą farbą olejną na wysokość człowieka. Szare metalowe półki. Z tego wszystkiego wyróżniał się jedynie spłowiały brąz tekturowych teczek, stojących karnie w długich rzędach i zawiązanych tasiemkami. W rogu sali C wciśnięto stolik oświetlony mocną żarówką. Obok stał wózek ze stertą akt.

Siejka wziął do ręki kolejną tekturową teczkę. Rozwiązał tasiemki i otworzył okładki. Wszechobecny kurz zawirował szarą chmurą. Przerzucił wpis do rejestru tajnych współpracowników. Kolejna karta zawierała dane personalne agenta. Spojrzał na zdjęcie. Kogo tym razem przedstawiało? Dyrektora. Księdza? Patriotę? Działacza związkowego? Dziennikarza? Nauczycielkę? Małą glizdę? Wielką szuję? Tłustego karalucha? Prawego Polaka katolika?

Spoglądający ze zdjęcia mężczyzna miał wygląd przeciętniaka.

Od ponad dwudziestu lat przez ręce Siejki przeszło tysiące takich akt. Podobne wyrazy twarzy. Uśmiechnięte. Zadovolone. Zdawałoby się przyjazne. Szczere, niemal dobrotliwie życzliwe.

Jeden sprawiedliwy donosił na innego. Przyjaciel kablował na przyjaciela. Syn na matkę. Brat na siostrę. Pan W. na księdza, który znowu nadawał na parafiankę R.

Siejka tkwił w ludzkim szambie. Małych i dużych zawiści oraz bezinteresownej nienawiści. Wyдуманey krzywdy i najzwyczajszej podłości. Perfidnego szeptu szeleszczącego jak wypłacane w zamian banknoty, czy też szeptanego bełkotu nagradzanego dodatkowym kieliszkiem restauracyjnej wódki.

Spojrzał w stronę wiszącego na ścianie plakatu. Namalowano na nim okno otwarte na ukwieconą majową łąkę. Okna jego mieszkania wychodziły na kościół, gdzie co niedziela odprawiano mszę w intencji wyzwolenia Ojczyzny od czerwonej zarazy. Za każdym razem przez głośniki słyszał o wielkości człowieka.

– Człowiek to brzmi dumnie. Ale nie u mnie. – Major podrapał się w tyłek – Kto to powiedział?

Rozprostował plecy, czując ból w krzyżu. Obrócił się i chwilę patrzył na stelaże zapchane aktami.

Ostatniej niedzieli w trakcie mszy przemawiał znany aktor. Coś bredził o wielkości upodlonego narodu, coraz to podpierając się Mickiewiczem, Słowackim i Matką Boską. Teczka osobowa tego gnojka miała sygnaturę RY/578A/78. Nosił kryptonim „Żeglarz”. Może dlatego, że zwerbowano go do współpracy ze służbami MSW, gdy w początkach kariery grał główną rolę w spektaklu Szaniawskiego.

Siejka również miał pseudonim. Ten jednak nadali mu podwładni archiwisci – Szczur. Tak szeptano o nim za plecami, gdy sądzono, że nie słyszy drwin. Korpulentny, blady, z posiwiałymi włosami, niski, rzeczywiście sprawiał wrażenie tłustego szczura, ubrany w szary fartuch.

Było mu obojętne, co o nim myślą, na poziomie minus dwa i tam... na powierzchni.

Zegar umilkł po ostatnim uderzeniu. Niedługo nowy, 1989 rok. Przypomniawszy sobie, że w domu nie schował wódki do lodówki. Furda. Ciepła szybciej uderzy w czaszkę. Wcisnął klawisz radia.

... Odważny sierżant Zjawa powoli wraca do zdrowia w szpitalu MSW i przyjmuje zasłużone gratulacje. Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej „Goław-Lotnisko” podjął uchwałę o przydzieleniu bohaterskiemu milicjantowi mieszkania poza kolejnością...

Nie słuchał spikera, który z zawodową obojętnością wypluwał zgłoski. Przełączył stację. Popłynęła radosna muzyka wraz ze śpiewem wdzięczącego się do jej taktu piosenkarza.

„Za parę godzin osiemdziesiąty dziewiąty – prychnął w myślach. – Ależ ten czas zapierdala!”

Cała sala śpiewa z nami,

*tańcząc walca – walczyka parami.
Na tym balu nad balami,
takim, co się pamięta latami.*

Nigdy nie był na żadnym balu. Nie miał na to czasu ani pieniędzy.

Zresztą i tak nigdy nie miał z kim pójść. Dziś też zostanie sam w domu. Po jedenastu godzinach pracy miał w dupie bal. Marzyła mu się kanapa przed telewizorem, seta wódki i galaretki z nóżek, którą wystął dziś rano w ministerialnym bufecie. Prawda, zapomniałby o szampanie zawiniętym w „Trybunę Ludu”, który wcisnął na dno teczki.

Major miał niewielkie wymagania – tak przynajmniej sądzili wszyscy dokoła. Szczur wiedział, co zrobić i jak się zachowywać, by nikt nie poznał jego prawdziwych pragnień. Ale już niedługo. Splunął na betonową posadzkę i roztarł ślinę podeszwą buta. Już niedługo. Odchylił mankiet marynarki i spojrzał na zegarek.

Na dziś koniec z pracą.

Kiedy wróci do domu, napuści do wanny gorącej wody. Po same brzegi. Musi zmyć z siebie dzisiejsze godziny. Zabawne. Codziennie po pracy brał kąpiel. Niegdyś najdłużej szorował dłonie, którymi przekładał akta. Mimo to zaczęły mu się robić na nich liszaje. Dermatolog nie potrafił znaleźć przyczyny. Jedyne, co mu poradził, to żeby kupił sobie płócienne rękawiczki. Pomogło.

Dzisiejszego popołudnia zapomniał je zdjąć, wchodząc do gabinetu Sulimowicza. Przypomniał sobie o nich, widząc zdziwione spojrzenie generała.

– Bawicie się we włamywacza?

To miał być dowcip, ale zrozumiał go zbyt późno.

– To z powodu uczulenia – westchnął. – Kurz.

Niski sześćdziesięciolatek o twarzy naznaczonej ospowatymi dziobami spojrzał nań wodnistymi oczami.

– Delikates z was, Siejka.

– Zapomniałem... To z nerwów – odparł Siejka.

– No cóż, w nieciekawych czasach przyszło nam żyć, towarzyszu majorze, to i nerwy mamy stargane. Wygaście połowę. – Wskazał na migoczące pod sufitem jarzeniówki. – W kraju trudności energetyczne. Trzeba oszczędzać.

– Oczywiście, ma się rozumieć.

Sulimowicz wstał zza wielkiego biurka i zaczął krążyć po gabinecie.

– Wyobraźcie sobie, że przyniesiono mi książkę wydaną w drugim obiegu. Chciałem zobaczyć, co tam wypisują. A tam co drugie słowo to „kurwa”. Bohaterowie pierdolą się na potęgę jak króliki o czerwonych oczkach. Literacki burdel na kółkach. Wszyscy to czytają, bo podobno są tam autentyczne opisy orgietek w podziemiach Domu Partii. Kto jak kto, ale ja bym o czymś takim wiedział. – Machnął zrezygnowany ręką. – Już nawet pisarze zaczynają robić za alfonsów. Zresztą, między nami mówiąc, gdyby taki pisarczyna zwrócił się do państwowego wydawnictwa, też by mu to wydrukowali. Ale on woli w podziemiu. Pieniądze te same. Ale za to można kitować dziennikarzom z Zachodu, że czerwony knebluje prawdziwego artystę.

Siejka co raz potakiwał głową, że rozumie, choć nie bardzo wiedział, czemu generał mu o tym mówi. Uśmiechał się przy tym głupkowato, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

– Mam jeszcze sporo pracy. – Major wyprężył się w postawie na baczność.
– Skończę w terminie. – Stuknął obcasami. – Może dostanę premię? – zażartował niepewnie.

– Siejka – Sulimowicz roześmiał się głośno tuż za jego plecami – nie pierdol tyle, bo się skrócisz o głowę... Pokaż, co przyniosłeś.

Siejka podał mu teczkę oznaczoną odpowiednim gryfem tajności oraz pseudonimem inwigilowanego biskupa.

Generał klepnął go protekcjonalnie po ramieniu.

– Nie siedź dziś za długo. Najlepiej pędź do jakiejś kurwy i podmuchaj sobie jeszcze w starym roku. Zasłużyłeś co najmniej na hiszpański wiatrak.

– Ku chwale ojczyzny.

Siejka wyszedł z gmachu ministerstwa. Wtulił głowę w podniesiony kołnierz palta. Wiał zimny wiatr. Stojący na bramie wartownik obrzucił go zdziwionym spojrzeniem i obojętnie zsalutował. Ulica była pusta. Gdyby nie oświetlone okna, można byłoby pomyśleć, że miasto opuścili wszyscy mieszkańcy.

– Jeszcze tylko kilka miesięcy – zamruczał, oglądając się na gmach MSW. Teraz jemu należy się od życia główna wygrana. Jeśli ktoś spróbuje mu ją odebrać, bez wahania zabije.

Anna zmieniła bieg i lekko docisnęła pedał gazu. Brudne błoto chlapnęło spod kół na pusty chodnik. Dwudziesta druga dwadzieścia. Plac Krasieńskich był pusty. Kiedy dojeżdżała do skrzyżowania z ulicą Kapitulną, zobaczyła zapalające się czerwone światło. Zamiast zwolnić, wdepnęła gaz.

„Jeśli przeskoczysz – przemknęło jej przez głowę – rok będzie fartowny. A jeśli nie...”

Udało się!

„Więc będzie zajebicie” – zerknęła w lusterko wsteczne i puściła do siebie oko.

Przeczytany kilka dni temu horoskop też mówił o szczęściu. Czego chcieć od życia więcej? Spojrzała na zegarek. Zdąży na sylwestrowy toast. Wcześniej nie miała czego szukać wśród rozkręcających się gości. Dziś przed południem zadzwonił jej Angol i niby w żartach zagroził, że poderwie inną laskę, jeśli nie przyjedzie przed dwudziestą drugą. Wzruszyła wówczas tylko ramionami i odłożyła słuchawkę.

Nikogo nie potrzebowała. To ona stawiała warunki. Ponownie zerknęła w lusterko i uśmiechnęła się, jakby utwierdzając w trafności sądu. W wieku trzydziestu lat miała mieszkanie własnościowe, konto w PKO, używany zachodni samochód i nieco dolarów schowanych w encyklopedii na najniższej półce domowej biblioteczki. Czego chcieć od życia więcej? Włączyła radio.

Komendant Główny Milicji Obywatelskiej osobiście złożył podziękowania starszemu sierżantowi Włodzimierzowi Zjawie za jego bohaterski czyn. W trakcie dzisiejszego dnia rannego milicjanta odwiedzili w szpitalu koledzy z jednostki, którzy...

– Pogięło ich, czy co? – Przełączyła stację. – W sylwestra takie smęty?

... i dlatego na ostatnim posiedzeniu Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej omówiono potrzebę poprawy zaopatrzenia rynku w podstawowe artykuły...

Kolejne pstryknięcie i rozległy się tony marszowej muzyki:

*Gdy piosenka szła do wojska,
To śpiewała cała Polska,
Bo piosenka szła do wojska, jak na pierwszy...*

– Sral.

Wyłączyła radio.

– Tacy sami, a ściana między nami... Tacy sami... – zaczęła nucić. Gdy zabrakło jej słów, zagwizdała melodię.

Wjechała na Krakowskie Przedmieście. Wychyliła się w stronę przedniej szyby, by lepiej widzieć rozwieszone nad jezdnią girlandy światełek. Za zakrętem dostrzegła przydrutowanych do słupów kilku Świętych Mikołajów wyciętych z kolorowej tektury. W wilgotnym powietrzu kartony namiękły, zwisając smętnie niczym przeziębione manekiny.

„A może zawrócić do domu?”

Trąci się lampką szampana ze swoim odbiciem w lustrze i pójdzie do łóżka. Ostatnio nie miała okazji dłużej pospać. Obiecała sobie w duchu, że zaraz po Nowym Roku wyjedzie gdzieś na kilka dni. Sama. I nikomu nie zostawi telefonu. Nikomu, nawet matce. Jak ona mogła tak na nią krzyknąć? Przecież zadzwoniła z życzeniami. Głupia stara jęza. Nie jest małą dziewczynką i zrobi to, na co ma ochotę. Więc niech się pieprzy ze swoimi kazaniami.

Do Bristolu miała już niedaleko. Zabawy sylwestrowe trwały od co najmniej dwóch godzin. Nawet milicyjne radiowozy gdzieś się skryły w mroku. W świetle ulicznych lamp zobaczyła nieruchomą sylwetkę Mickiewicza patrzącego gdzieś w dal. Mimo palących się w oknach świateł miała wrażenie, iż jedzie przez wymarłe miasto. Sama jedna. Bez celu.

– Nie jesteś sama, ale ty nie chcesz o tym pamiętać – dobiegł ją niedawny głos matki. – Bóg ci tego nie wybaczy.

– Przecież Bóg jest miłosierny. Dlaczego miałby mnie karać?

– Nie drwij.

Czego oni wszyscy od niej chcą?

Czego ona chce?

W złości uderzyła dłonią o drążek zmiany biegów. Dlaczego właśnie teraz musi o tym wszystkim myśleć? Niech to szlag!

Chwilę później ciszę ulicy rozdarł pisk hamulców i nieprzyjemny odgłos

ślizgających się po jezdni zablokowanych kół. Kątem oka zobaczyła sunącego na nią poloneza. Spróbowała przyspieszyć.

Koła zabuksowały na oblodzonej jezdni. Bezwiednie skuliła się w sobie, chwytając mocniej za kierownicę.

Wyjeżdżający z bocznej ulicy samochód uderzył ją w tylny błotnik. BMW, którym kierowała, zakręciło bączka. Po chwili auto znieruchomiało. Silnik zakrztusił się i umilkł. Otworzyła oczy i zaczęła oddychać miarowo.

„Nic się nie stało – powtarzała sobie w myślach. – Wszystko jest okej”. Moment później ogarnęła ją fala złości. „Co to za dupek? Na pewno pijany. Kurwa mać, że też właśnie mnie i właśnie teraz musiało to spotkać”.

Otworzyła boczne drzwi i spojrzała na szarą breję. Ostrożnie postawiła na ziemi nogę obutą w zamszowy pantofelek. Trzasnęła za sobą drzwiami, okręcając się futrem. Kiedy znalazła się przy bagażniku, obejrzała bok. Na szczęście tylko niewielkie wgniecenie.

Z odrzuconego do krawężnika samochodu ktoś wysiadł.

– Strasznie mi przykro – usłyszała. – Nie sądziłem, że o tej porze... Nic się pani nie stało?

Z cienia wyszedł młody mężczyzna. Miał na sobie jasny rozpięty kożuszek. Pod nim smoking. Kiedy zatrzymał się obok, zapachniało drogą wodą kolońską, jakiej nie sprzedawano w państwowych sklepach za złotówki. Położył jej dłoń na ramieniu, lecz zaraz cofnął, gdy obrzuciła go złym spojrzeniem.

– Wszyscy leżą już pijani? – rzuciła wściekła.

– Nie rozumiem.

– Wódka się skończyła i wysłali cię po kolejną butelkę?

– Ależ skąd. – Uśmiech miał czarujący, a ciemne oczy patrzyły z łobuzersko migającymi iskierkami. – Zamyśliłem się.

Spojrzała na zegarek. Za trzydzieści minut północ.

– Chciałaby pani, żebym napisał oświadczenie, że to moja wina?

– Mój mechanik znowu posądzi mnie, że jechałam sto na godzinę.

– Aż taki groźny?

– Raczej taki drogi – stwierdziła cierpko.

– Rozumiem. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął portfel. Elegancki, z doskonale wyprawionej skóry. Z pewnością zagraniczny. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Znała się na luksusowych

rzeczach. – Zostawię numer swojego telefonu. Proszę zadzwonić i podać koszt naprawy. – Podał jej wizytówkę. Rzuciła okiem, jednak przy świetle latarni nie mogła odczytać, co jest na niej napisane. Nieopodal zatrzymał się radiowóz.

– Jak potrzeba, to nigdy ich nie ma – prychnęła Anna.

– Nic się nikomu nie stało? – Funkcjonariusz leniwie wygramolił się z poloneza i zasalutował.

Stojący obok sprawca wypadku zaprzeczył. Na twarzy milicjanta Anna dostrzegła chytry uśmiech karbowego.

– Tak na początku mówią wszyscy, a potem przed sądem wychodzi na to, że... – powiedział.

Mężczyzna podsunął coś mundurowemu pod nos.

– Służba Bezpieczeństwa. Poradzę sobie – rzekł.

– Nie mogliście wcześniej? – Sierżant najwyraźniej był rozczarowany. Chwilę potem odwrócił się na pięcie i poczłapał do radiowozu.

– Mogę? – Anna wyciągnęła dłoń. Po chwili wahania dał jej dokument.

Znowu litery rozmazały jej się przed oczami. Przeczytała tylko wytłuszczony nagłówek: Polska Rzeczpospolita Ludowa. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Departament...

– Gdzie taką można kupić?

– Słyszałem, że na bazarze Różyckiego. – Wzruszył obojętnie ramionami.

– Opychają je za siedemset złotych... Milicyjne są tańsze.

Oddała mu legitymację.

– Będę czekał na telefon, kiedy mechanik wyceni szkody.

– Skąd pewność, że będzie pan o mnie pamiętał?

Postąpił krok i z bardzo bliska zajrzał jej w oczy.

– Byłbym głupcem, gdybym zapomniał tak piękną kobietę. – Uniósł dłoń Anny i złożył na niej pocałunek, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy.

– Co tak szybko? – Kapral zakręcił termos i odłożył go na tylne siedzenie.

– To esbek. – Sierżant splunął na jezdnię, zajął miejsce za kierownicą radiowozu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Chcesz kanapkę?
- Z czym?
- Z masłem i żółtym serem.
- Chętnie, mnie stara zrobiła z marmoladą. Jem to gównu od tygodnia i mdli mnie już na sam widok.
- Mówiłeś, że to esbek. A ona? Miała na sobie ładne futerko.
- Zwykła kurwa.
- Skąd wiesz?
- Porządni ludzie siedzą w domu. W czwartek wszyscy pójda do roboty, a ci będą jeszcze odsypiali kaca. Proste? – Sierżant spojrział na zegarek. – Przypomnij mi, żebyśmy jutro punkt ósma byli w bazie. Mają losować talony na trzy lodówki. Umówiłem się z chłopakami z komisji, że trafię tę z zamrażarką. Mam już kupca.
- Po co ci złotówki? Od forsy nie lepszy towar?
- Muszę utrzymać dwie żony.
- Zacząłeś robić za bigamistę?
- Eee tam, zaraz za bigamistę. Syn mi się ożenił.

Pan Tadeusz stał przed wejściem do hotelu Bristol w eleganckim uniformie. Tego wieczoru nie czuł się najlepiej. Problemy z sercem coraz częściej dawały o sobie znać. Godzinę wcześniej łyknął kilka proszków, które przepisał mu lekarz. Niedługo powinien poczuć się lepiej. Większość gości już dawno się zjechała, zatem nie miał zbyt wiele pracy. Był pewien, że zarobi sporo na napiwkach. Czy mógł przepuścić taką okazję?

Poprawił szeroki płaszcz z opadającym na ramiona wielkim płóciennym kołnierzem. Obramowany bordową taśmą przypominał stroje szwajcarów z początków XX wieku. Na głowie wysoki kapelusz à la cylinder. Chyba wyglądał w nim śmiesznie. Z pewnością dziwacznie na tle szarobłotnistej ulicy, oświetlonej słabym światłem kilku płonących latarni. Może gdyby świąteczne lampiony, którymi opleciono hotelowe wejście, pulsowały kolorowymi lampkami, jego postać miałaby lepszą oprawę. Lampki jednak się przepaliły i zwisały smętnie obciążone topniejącymi soplekami lodu.

W zamierzeniu dyrekcyjji ubiór portiera miał przywoływać w pamięci lata

światności Bristolu. W rzeczywistości jedynie podkreślał czekającą za drzwiami hotelową mizериę wytartych chodników, obluzowanych poręczy schodów i poszarzałej bieli ścian.

Kto by się jednak tym przejmował.

Pan Tadeusz co chwila podbiegał do nadjeżdżającego samochodu. Kłaniał się. Otwierał drzwi przed wysiadającymi gośćmi. Inkasował napiwek i w zależności od jego wysokości, przy otwieraniu drzwi wejściowych do hotelu składał kolejny ukłon, proporcjonalny do datku. Tej nocy jeszcze się nabiega. Z pewnością jednak mu się to opłaci.

Kiedyś jeden ze stałych bywalców, już dobrze podpity, patrząc na pana Tadeusza w stroju szwajcara, stwierdził, że pasuje do hotelu jak pięść do nosa. Od tamtej pory zaczęto nazywać odźwiernego Nochalem. Wszystkich to przezwisko bawiło. Również pana Tadeusza, tyle że zupełnie z odmiennego powodu.

Większość swego życia przepracował w SB. Przez te trzydzieści lat niczym szczególnym nigdy się nie wyróżnił. Nikt go nie chwalił, ale też i nikomu specjalnie się nie naraził, więc po przejściu na emeryturę udało mu się wyprosić posadę odźwiernego w Bristolu.

O stanowisko walczyło wielu chętnych z miasta. Ich koneksje i znajomości zdały się jednak psu na budę. SB potrzebowało swojego człowieka, który wiedział, na co zwracać uwagę i co pisać w tygodniowych raportach. A pan Tadeusz to wiedział. Przez całe życie wychodził z prostego założenia, że lepiej donosić na innych, niżby inni mieli donosić na niego.

Dzięki tej pracy z samych napiwków mógł co miesiąc dodatkowo dorobić dwie emerytury. Co prawda lwią część dochodów składała się z walutowej drobnicy. Ale to był najmniejszy problem. W końcu za dolary, funty czy marki w Polsce można było kupić prawie wszystko, a za złotówki prawie nic.

W pierwszym roku pracy pieniądze były dla niego najważniejsze. A potem... Stało się z nim coś, czego, mimo usilnych starań, do dzisiejszego dnia nie potrafił zrozumieć...

Siejka zatrzasnął za sobą nogą drzwi wejściowe. Ostrożnie postawił trzymaną w obu rękach teczkę, z której wystawała szyjka butelki od szampana. Rzucił palto na wieszak. Ściągnął buty. Wszedł do pokoju na

bosaka.

Kawalerka była niewielka; pokój miał około dwudziestu metrów kwadratowych. Może nieco mniej, gdyż jego kosztem powiększył łazienkę, do której wstawił wannę. Takiego luksusu nie mieli sąsiedzi mieszkający na piętrze. Na środku pokoju stał duży okrągły stół. Gdyby go rozłożyć, mogłoby przy nim zasiąść nawet dwanaście osób. Wtedy jednak niektórzy z biesiadników musieliby zająć miejsca na korytarzu i balkonie. Może dlatego stół nigdy nie został rozsunięty, a może i z tego powodu, że major nie lubił gości.

Jeśli pozdrawiał sąsiadów, to zdawkowymi monosylabami wymruczanymi pod nosem. Z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Po co? Znajomi byli mu niepotrzebni.

Przy stole stało jedno drewniane krzesło wyściełane kocem. W rogu wąski tapczan. Obok kredens z lat pięćdziesiątych z ułożonymi za szybką zakurzonymi książkami. Zawsze się zastanawiał, co też kiedyś tam powkładał. I to mu wystarczało.

Na więcej mebli nie było miejsca. Szafa w przedpokoju mieściła całą garderobę. Kilka koszul, dwa garnitury i głęboko za nimi schowany mundur milicyjny.

Nieopodal kredensu znalazł kapcie. Ściągnął z nóg skarpetki i rzucił je w kąt. Z kuchni przyniósł czysty talerz i dwie szklanki. Otworzył teczkę. Odwinął z papieru zimne nóżki. Obok postawił butelkę szampana. Spojrzał na zegarek, a potem na butelkę wódki. Za pięć minut północ. Nie było już czasu na mrożenie. Zresztą po zimnym alkoholu zawsze bolało go gardło. Pokroił nóżki na plasterki. Potem odkroił z bochenka chleba dwie kromki. Włączył telewizor i podkręcił głośność. Przeszedł do łazienki i zaczął napełniać wodę do wanny.

W nowym, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku – tokowała słodkim głosem spikerka – Telewizja Polska życzy wszystkim zasiadającym przed odbiornikami dużo szczęścia. Przede wszystkim zaś spokoju i domowego ciepła...

Obok wanny postawił stołek. Przeniósł na niego jedzenie. Odchylił szerzej drzwi, by mieć z wanny widok na ekran. Zrzucił z siebie ubranie. Odkręcił butelkę z wódką i nalał setkę. Potem zerwał z butelki szampana złotko. Odkręcił druty opasujące korek.

Życzymy wszystkim – płynęło z pokoju – uśmiechu na twarzach i pogody

ducha. Niech nowy, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty rok będzie lepszy od starego...

– Będzie. Możesz być tego pewna. – Strzelił korek. Pienista struga chlapnęła na podłogę. Napełnił szklanekę po brzegi. – No to za ten nowy i wszystko co najlepsze, które ze sobą przyniesie. – Wypił wódkę i zapił szampanem.

Wziął w palce kawałek zimnych nóżek i położył na kromce chleba. Powoli zanurzył się w gorącą wodę. Wyciągnął nogi. Zza okien dobiegły okrzyki sąsiadów, którzy wylegali na balkony. Rozległ się brzęk rozbijanych o chodnik butelek.

Zamknął oczy, wsłuchując się w plusk lecącej z kranu wody.

Przez dwadzieścia lat wszyscy traktowali go jak przygłupa. On zaś nikogo nie zamierzał wyprowadzać z tego błędu. Podobnie myślał o nim Sulimowicz. Dlatego generał wybrał właśnie jego – idiotę, który zgubił swą tożsamość w dziesiątkach tysięcy zakurzonych akt.

Siejka zaczął się głośno śmiać.

– Wszystkiego naj, naj w Nowym Roku! – Jakiś nieznajomy cmoknął Annę w policzek. Moment później obca kobieta niemal zawisła na jej szyi.

– Kochanie, niech ci się wreszcie przyjrzę. – Miała zamknięte oczy. – Ale... – czknęła współczująco – uważaj na tego fiuta, Zygmunusia. Widziałam, jak się ślinił z Krystyną! – Cmoknęła ją w policzek. – A mówiłaś, że go tak mocno ko... – Nie dokończyła, gdyż zatoczyła się w bok. Nim straciła równowagę, chwyciła za ramię przechodzącego obok mężczyznę. – Wszystkiego najlepszego – zapiszczała radośnie.

Anna próbowała odnaleźć w tłumie zgubionego towarzysza zabawy. Składający sobie życzenia rozdzielili ich w półmroku. Kiedy zaś zapłonęły wszystkie światła, nie było go obok. Miała klucz do pokoju, to wystarczyło. Rozległa się kolejna salwa strzelających korków szampana. Kolorowe światła reflektorów ruszyły w jeszcze szybszy taniec ścigających się plam.

– Nareszcie cię znalazłam.

Zobaczyła uśmiechniętą Elwirę, która moment później przytuliła się do niej niczym dziewczynka szukająca w jej ramionach schronienia.

– Wszystkiego najlepszego, mała. – Anna odwzajemniła pocałunek. – Szczęśliwego Nowego...

– Na pewno będzie. Nawet wiem jaki. Wszystko już sobie obmyślałam.

– Kolor oczu? I że będzie obcokrajowcem?

– Za dużo chciałabyś wiedzieć. Ale na pewno coś się zmieni. – Elwira ponownie przyciągnęła ją ku sobie i mocno przytuliła.

Sekundę potem zagubiła się w szalejącym wokół tłumie. Jak naprawdę miała na imię? Podobno Stanisława. Poznały się przed dwoma laty. Przypadkowo zderzyły się na Dworcu Centralnym. Nieznajoma spytała o ulicę, na której wynajęła mieszkanie. Anna zaproponowała, że podwiezie ją samochodem. Jak to się stało, że wylądowała u niej w domu? Kogoś nie było? Ktoś wyjechał?

Rozległy się pierwsze tony granej przez orkiestrę melodii tanecznej. Anna zobaczyła siedzącą przy stoliku Olgę. Podpierała głowę wspartymi na stole dłońmi, które coraz to rozjeżdżały się na boki.

– Chyba za dużo wypiałś – powiedziała Anna i przysiadła obok.

– Myślisz, że już żaden mi się dziś nie trafi?

– Chcesz, odprowadzę cię do szatni. Wezwę taksówkę – zaproponowała Anna.

– Liczyłam, że dziś będę miała fartowną noc. Trudno. – Olga spróbowała wzruszyć ramionami. Gdyby nie Anna, uderzyłaby twarzą o blat stołu. – Helenka poszła po mój kozuszek. Pojedziemy do niej. A może chcesz się przyłączyć? – Wskazała leżącą na krześle torebkę, z której wystawała szyjka butelki koniaku.

– Innym razem.

Odeszła kilka kroków i nieoczekiwanie wpadła na faceta, który godzinę wcześniej wjechał w jej samochód na Krakowskim Przedmieściu.

– Przecież my się znamy – zawołał radośnie, przytrzymując jej ramię.

– My? – W pierwszej chwili go nie poznała.

– Nie inaczej.

– Prawda. Chciał pan rozwalić moje autko...

– Już przepraszałem.

– A właściwie, to jak ty masz na imię?

– Andrzej.

Znowu ogarnął ją zapach dobrej wody kolońskiej. I te wpatrzone w nią migdałowe oczy...

– Życzę najszcześniejszego roku w pani życiu. Żadnych kraks lub choćby drobnych stłuczek. Pełen gaz i autostrada ku słońcu.

Nie broniła się, gdy przyciągnął ją ku sobie i pocałował delikatnie w usta.

Monsieur Damazy był mężczyzną, który już dawno przekroczył sześćdziesiątkę. Skronie miał przyprószone siwizną. Chodził wsparty na lasce i niekiedy narzekał na artretyzm. Mimo to wiele kobiet interesowało się nim, uważając za przystojnego mężczyznę, którego brązowe oczy mogły jeszcze niejednej zawrócić w głowie. Jak szeptały niektóre, w chwilach kiedy był zamyślony, z profilu miał coś z Dumasa, za którym niegdyś szalały paryskie modnisie.

Z tego też powodu był posądzany o ciągoty artystyczne, a może nawet publikowanie powieści pod pseudonimem. Kiedy go o to pytano, uśmiechał się tylko i zmieniał temat. Z czasem utarło się o nim mówić: „Ten nasz romantyk”. Często bowiem zdarzało się, że przeglądając najnowsze wydanie interesującej powieści, zapominał o otaczającej go rzeczywistości.

Jego pasją były książki, którymi przez lata zapełnił kilkupokojowe paryskie mieszkanie. Choć miał liczne grono bliskich znajomych, jego największymi przyjaciółmi byli uliczni bukiniści rozkładający chodnikowe antykwariaty nad brzegami Sekwany. Spędzał z nimi każdą wolną chwilę, ceniony za literacki smak i wiedzę.

Domowy zegar wydzwonił godzinę pierwszą w nocy. Monsieur Damazy wsparty o parapet patrzył na rozświetlone miasto. Z okna mieszkania zajmującego całe poddasze przy rue de Bassano¹² rozciągał się wspaniały widok na wieżę Eiffla.

Od dwudziestu lat każdy Nowy Rok spędzał samotnie wśród książek.

Niedawno pewna dama spytała go, czy w takich chwilach nie brakuje mu towarzystwa. Najwyraźniej próbowała go zainteresować swoją osobą. Sądziła, że ma ku temu wszelkie atuty. Niedawno owdowiała i odziedziczyła po mężu sporą fortunę.

Odpowiedział z przekornym uśmiechem, że na ostatnim noworocznym przyjęciu jego gośćmi byli Balzak, Zola i Chateaubriand. Kobieta, urażona

taką obojętnością, odrzekła z przekąsem, że pewnego dnia z chęcią poznałaby tych panów osobiście.

– Nigdy pani o nich nie słyszała? – ukrył zdziwienie monsieur Damazy.

– A powinnam?

Następnego dnia goniec dostarczył jej do domu *Ojca Goriot*, *Nanę* i *Męczenników*. Towarzystwo przez długi czas śmiało się z dowcipu, a obrażona dama skierowała uczucia w stronę kogoś innego.

Monsieur Damazy unikał kobiet. Może się ich nieco bał? Mówiły za szybko. Za dużo chciały wiedzieć. Uważały, że mężczyźni urodzili się tylko po to, by spełniać ich kaprysy. Wreszcie był przekonany, że czas spędzony z nimi należy uznać za całkowicie stracony. Mimo wszystko na każdym przyjęciu był pożądanym gościem.

Dla wszystkich stanowił wzór godny naśladowania. Wzór człowieka, który zmuszony do wyjazdu w 1968 roku, dzięki własnym zdolnościom i samozaparciu wspiął się na szczyt, zostając komentatorem do spraw wschodnich czołowego tygodnika „Paris Match”. Wzór antykomunisty walczącego o wolność ojczyzny okupowanej przez Sowieców i społecznika niosącego pomoc każdemu, kto po ucieczce z bloku wschodniego potrzebował wsparcia.

Emigranci z Polski, którzy po wojnie osiedlili się w Paryżu i zdobyli mocną pozycję finansową, pod koniec lat sześćdziesiątych stworzyli Kongres Polonijny. Monsieur Damazy był jednym z jego współtwórców. Choć formalnie nie pełnił żadnych oficjalnych funkcji, w wielu sprawach jego głos uznawano za decydujący.

Siedząc przy oknie, przetaił dłonią zaparowaną szybę i sięgnął po filiżankę kawy. Nad miastem gasły ostatnie sztuczne ognie, kiedy tykający w głębi pokoju zegar wybił godzinę drugą. Gabinet rozświetlany dotąd miliardami kolorowych rozbłysków pociemniał, jego kąty wypełniły się mrokiem.

Z zachrypniętych głośników radia, nastawionego na polską rozgłośnię, rozległy się fortepianowe dźwięki mazurka Chopina. Tradycyjnie w takich momentach powinno się pomyśleć o wierzbie płaczącej, domu rodzinnym, bliskich pozostawionych na cmentarzach i innych sentymentalnych ckliwościach. Prawdę mówiąc, dawno przestał myśleć o Polsce jako o domu rodzinnym. Miejscu, skąd wyjechał i do którego powinien wrócić. Powinien? Nie miał zamiaru wracać.

Już prawie zapomniał dni poprzedzające wyjazd z Warszawy. Szaro-szara

rzeczywistość. Tylko to zostało mu na obrzeżach pamięci. Resztę starał się wyrzucić z głowy, skazując na zapomnienie. Żeby nie pamiętać, stworzył na użytek własny oraz innych legendę, którą wmawiał sobie latami, by z czasem uznać ją za prawdę: społecznik, antykomunista...

Przeszłość tkwiła w nim głęboko ukryta, zagrzebana pod obowiązками dnia codziennego. Przez wiele lat oswoił się z myślą, że dawny strach ponownie wróci. Ostatnio jednak uwierzył, że przeszłość umarła i może ją ostatecznie złożyć do grobu.

W 1968 roku pracował jako asystent na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Niewiele znaczył i jeszcze mniej zarabiał. Marzył o doktoracie, profesurze, ale nie potrafił przepchnąć się łokciami do przodu, prosić, wykazywać się, zabiegać, przymilać, stawać w pierwszym szeregu walczących o pokój i socjalizm. Najwidoczniej pisane mu było zamykanie drzwi za innymi. Ot, taki Pan Nikt. Przemykający korytarzami cień, z którego studenci stroili sobie żarty. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. Za rodzinę i przyjaciół wystarczały mu książki cierpliwie czekające w bibliotece uniwersyteckiej. Z takiej sytuacji był nawet zadowolony. W czasie gdy przedstawiciele organizacji społecznych, partyjnych i środowiska uniwersyteckiego bezustannie wtrącali się do najdrobniejszych spraw życia osobistego społeczności akademickiej, jemu wydawało się, że książki potrafią ochronić jakąś część jego prywatności przed spojrzeniem obcych.

Mylił się.

O skromnej osobie magistra Damazego przypominano sobie na początku kwietnia 1968 roku, kiedy w „Trybunie Ludu” towarzysz Moczar wskazał na Żydów jako tych, którzy próbują zdemontować państwo robotniczo-chłopskie. Dobrze pamiętał tamten artykuł: *Czas wreszcie wskazać zdrajców, którzy sabotują trud ludu pracującego miast i wsi do reszty oddanego sprawie dźwignięcia z ruin robotniczo-chłopskiej Ojczyzny. Żydowskie korzenie tych sprzedawczyków jednoznacznie wskazują na celowo knutą zdradę i od lat montowany spisek syjonistyczny, którego ostrze zostało skierowane...*

Na ulice Warszawy próbowali wyjść studenci, zakulisowo szczuci przez Służbę Bezpieczeństwa. Przeciwi...? Początkowo nie było wiadomo komu. Ale cel był szczytny.

Jaki?

Tego też nie potrafiono zdefiniować. Wreszcie zaczęto coraz głośniej

mówić o demokracji, by na koniec zażądać zwolnienia więźniów politycznych. Wystąpienia na Uniwersytecie Warszawskim wkrótce przerodziły się w rozruchy uliczne. Wtedy robotnicy ustami pierwszych sekretarzy zażądali od kierownictwa partii stanowczości i rozprawienia się z kontrrewolucją w imię socjalistycznych wartości. „Studenci do nauki”. „Pisarze do piór”. „Elementy warcholskie do paki” były najczęściej powtarzanymi przez gazety zawołaniami.

Na Wydziale Polonistyki zwołano otwarte zebranie partyjne. Stawili się wszyscy. W końcu chodziło o wspólny dobrobyt i pomyślność Polski. Nieobecni mogli być tylko „zdrajcami ludu”.

Wzdrygnął się na tamto wspomnienie, jakby zimna ręka chwyciła go za gardło.

Atmosfera na sali była gęsta od niedomówień, podejrzeń, wahań i niepewności, co przyniosą najbliższe godziny. Jedni udawali jawne oburzenie „knowaniami sprzedawczyków”, próbując tym odsunąć od siebie podejrzania. Drudzy szli dalej, bezceremonialnie wskazując winnych, co im samym miało umożliwić pozostanie w cieniu. Nieliczni rozglądali się bezradnie po twarzach kolegów, nie bardzo wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi. Wreszcie kilku z najbardziej nieprzejednanych obrońców marksistowskich idei wiedziało, że wreszcie nadszedł moment, dzięki któremu będą coś znaczyć. Wystarczyła bezczelność i odłożenie na bok sentymentalnych bzdur o godności.

Z imienia i nazwiska zaczęto piętnować szkodników i wrogów klasy robotniczej. Damazy znalazł się w tym gronie. Jeden z mówców, docent Sztolc-Zegarek, zasugerował nawet, by nazwisko Lepszycki zamienił na to, które najprawdopodobniej nosił jego ojciec – Lipszyc. Po głosowaniu, w którym wszyscy wyrazili jednomyślną akceptację dla zgłoszonego wniosku, wyrzucono go z partii, niedwuznacznie sugerując, by zmienił ojczyznę.

Okazało się, że nie był to koniec, a dopiero początek paranoi. Kilka dni później został wezwany przez dziekana. W przesłuchaniu, w którym wzięli udział: pierwszy sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, przewodniczący Koła Naukowego Pracowników Wydziału oraz przewodnicząca Uniwersyteckiej Ligi Kobiet, zażądali wyjaśnienia przyczyn, które skłoniły go do wzięcia udziału w demonstracji studenckiej.

– Jakiej demonstracji? – zrobił wówczas zdziwioną minę.

Szef wydziału podsunął mu pod nos gazetę, gdzie wydrukowano nazwiska

demonstrantów zatrzymanych przez organa porządku. Już po pobieżnym przejrzeniu artykułu Damazy wskazał ewidentną pomyłkę. Lipszyc nie ma z nim nic wspólnego. On ma na nazwisko Lepszycki. Z notatki prasowej wynikało, że tamten jest od niego o piętnaście lat młodszy i studiuje na iberystyce.

– Najwidoczniej gazeta – przedstawicielka Ligi Kobiet wyrwała mu z rąk „Trybunę Ludu” – celowo zmieniła wasze dane, by nie demoralizować zdrowego trzonu młodzieży uniwersyteckiej przykładem wykładowcy dywersanta.

W tamtym momencie uszczypnął się boleśnie, zadając sobie w duchu pytanie, czy ten schizofreniczny świat nie jest przypadkiem sennym majakiem.

Nakazano mu wyjaśnienie owej wątpliwej pomyłki. Pewien swego zgłosił się do właściwego komisariatu milicji. Dyżurny skierował go do zastępcy do spraw politycznych. Wyznaczony funkcjonariusz zaprowadził go do pokoju na pierwszym piętrze oznaczonego tabliczką „Skargi ludności”.

Wszedł do środka. Nikogo nie było. Chciał się cofnąć, zapytać o..., ale stojący za plecami mundurowy zamknął mu przed nosem drzwi. Przysiadł na brzegu drewnianego stołka przy pustym biurku z krzesłem. Na ścianie, na wprost, wisiał obrazek z orłem, niżej fotografie pierwszego sekretarza PZPR Władysława Gomułki i premiera Józefa Cyrankiewicza. Obok przyklepiono plakat z napisem: „Milicja Obywatelska zbrojnym ramieniem ludu pracującego miast i wsi”.

Trzasnęły drzwi. Poderwał się z miejsca. Do środka wszedł czterdziestoletni mężczyzna w mundurze oficerskim.

– Kapitan Sulimowicz. – Podał mu rękę. Twarz miał szczerą, uścisk dłoni serdeczny. Damazy odetchnął w duchu z ulgą, że trafił na właściwą osobę.

– Damazy Lepszycki.

– Siadajcie, w czym możemy być wam pomocni?

Kiedy wyjaśnił, z jaką sprawą przyszedł, milicjant, nie przestając się uśmiechać, rozłożył przyniesioną ze sobą papierową teczkę. Chwilę czytał, pomrukując coś pod nosem.

– Pracujecie na uniwersytecie? – zapytał.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Czyli partia postawiła was w pierwszym szeregu walki ideologicznej, a

wy...?

– Chciałem właśnie sprostować – przełknął z trudem ślinę. – Z notatki jasno wynika, że niejaki Lipszyc jest studentem, a ja nazywam się...

– Jeszcze nie skończyłem.

– Przepraszam.

– Więc mimo że kierownictwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pod przewodnictwem towarzysza Wiesława, umożliwiło wam uczestniczenie w tworzeniu nowych ludowych wartości, wy kłasicie wyciągniętą do was dłoń?

– Jak to? – Zimny pot spłynął mu po plecach.

– Tak to. – Kapitan wskazał notatkę. – Wyraźnie tu napisano, że przed bramą Uniwersytetu Warszawskiego śpiewaliście na cały głos dywersyjną piosenkę *My, Pierwsza Brygada*.

– Towarzyszu milicjancie, to nie było tak.

– A jak było? – Twarz siedzącego za biurkiem w jednej sekundzie stała się groźna.

– Wracałem do domu. Było już późno. Opadło mnie kilku oprychów. Wzywałem na pomoc służby porządkowe, ale jakoś nie było ich w pobliżu. Więc zacząłem uciekać. Pomyślałem, że jak zacznę śpiewać... Wiem, to było ideologiczne niedopatrzenie, ale to ze strachu. No i zjawili się właściwi towarzysze, a tamci uciekli.

– Kręcicie, obywatelu Lipszyc.

– Lepszycki.

– Właśnie mówię. Kręcicie. Nie mogło tam być żadnych chuliganów, gdyż rejon Krakowskiego Przedmieścia od kilku dni patrolują grupy Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

Nie pamiętał, jak znalazł się na ulicy. Nie chciał pamiętać dalszej rozmowy. Dostał mdłości ze strachu. Wbiegł do jakiejś bramy i zwymiotował. Potem uciekł ścigany wrzaskiem kobiety wyzywającej go od pijaków.

Miesiąc później został zwolniony z uczelni, do wynajmowanego zaś przezeń mieszkania włamali się nieznani sprawcy. Niewiele ukradziono. Nie było co. Zdemolowano jedynie pokój, malując na ścianach gwiazdy Dawida. Przerażony tym właściciel wymówił mu lokal.

– Panie Damazy – tłumaczył, uciekając rozbieranymi oczami na boki

przed jego spojrzeniem. – Rozumiem, że znalazł się pan w trudnej sytuacji. Proszę jednak zrozumieć i moje położenie. Mam żonę i dwójkę dzieci. Nie mogę pozwolić, by koledzy i koleżanki wytykali je palcami w szkole. Poza tym mam wobec tego mieszkania już inne plany.

– Ależ to pomyłka.

– Niech pan idzie z tym na milicję. Oni wszystko wyjaśnią.

– Rozumiem – bąknął zrezygnowany – Muszę mieć jednak nieco czasu, by znaleźć sobie nowe lokum.

– Niech tam – zgodził się po chwili zastanowienia wynajmujący. – W końcu musimy jakoś sobie pomagać. Ale czynsz za najbliższy miesiąc musi być dwa razy wyższy. – Spojrzał na ściany. – Sam remont wyniesie mnie ze sto dwadzieścia złotych.

Zgodził się. Nie miał wyboru.

Monsieur Damazy patrzył niewidzącym wzrokiem na oświetloną sylwetkę wieży Eiffla.

To niemożliwe, żeby coś takiego mu się przytrafiło.

Pod koniec lipca 1968 roku nocą wsiadł do pociągu na Dworcu Głównym. W całym wagonie był tylko on jeden. Wyglądał przez okno na pusty peron. Gdzieś wysoko nad dachami domów wznosiła się iglica Pałacu imienia Józefa Stalina. Pociąg szarpnął i ruszyli. Skulony w kącie przedziału próbował zasnąć.

Daremnie.

Tysiące myśli przebiegało mu przez głowę: Co dalej z nim się stanie? Dlaczego los wskazał palcem właśnie jego? Czy znajdzie dla siebie miejsce w nowym życiu?

Potem była granica. Oficer WOP-u długo kontrolował podany mu paszport. Był wystawiony na nazwisko Lipszyc. Ważny tylko w jedną stronę – na Zachód. Musiał pokazać bagaż. Wśród rzeczy osobistych celnik znalazł tylko trzy tomy książki Tomasza Manna *Józef i jego bracia*.

– O czym to? – spytał, przerzucając pobieżnie kartki.

– O Izraelitach.

– Oczywiście – mundurowy wzruszył ramionami. – Jakżeby inaczej.

Było mu obojętne, co tamten myśli.

W Niemczech Zachodnich trafił do obozu przejściowego. Zajął się nim organizacja żydowska. Dzięki temu szybciej przeszedł niezbędne formalności azylanckie i już w połowie września otrzymał wizę wjazdową na teren Francji. Rok później dostał obywatelstwo i osiadł na stałe w Paryżu.

Miejscowa gmina żydowska załatwiła mu pracę w biurze rachunkowym. Znowu stał się Panem Nikt – zwykłym urzędnikiem jakiejś tam firmy z codziennymi obowiązkami zmuszającymi go do przekładania jakichś tam papierów z jednego biurka na drugie.

Ale on już nie chciał być nikim.

Na kursach wieczorowych zaczął się uczyć języka. Dzięki finansowemu wsparciu diaspory obronił doktorat z literatury słowiańskiej na Sorbonie.

W wolnym czasie aktywnie włączał się w działalność na rzecz Polonii francuskiej. Zaczął publikować w prasie polskojęzycznej. Wygłaszać odczyty. Po latach wyrósł na dziennikarza pracującego dla największych francuskich tygodników, jego antykomunizm zaś stał się wręcz przysłowiowy.

Dochodziła trzecia w nocy, gdy nieoczekiwanie zadzwonił telefon.

Przez pierwsze lata emigracji co noc śniło mu się, że milicja puka do drzwi jego warszawskiego mieszkania. Po wydarzeniach na Wybrzeżu w początkach lat siedemdziesiątych z niedowierzaniem czytał prasowe doniesienia o zmianie ekipy rządzącej. Przyszedł Gierek. Z czasem w prasie francuskiej zaczęto chwalić otwarcie się Polski na Zachód. Dziesięć lat później nadszedł kolejny partyjny przewrót. Z wypiekami na twarzy czytał o Jaruzelskim, Solidarności, rosyjskiej pierestrojce. Zaczął wierzyć, że najgorsze minęło i nigdy nie wróci.

Dźwięk telefonicznego dzwonka przywrócił go rzeczywistości. Podszedł do biurka, na którym stał aparat, i podniósł słuchawkę.

– Damazy, słucham.

– To ja, Josephine Wermer – zaszczębiotał wesoły głos. W tle dał się słyszeć śmiech rozbawionych gości i dźwięki muzyki tanecznej. – Chciałam ci złożyć serdeczne życzenia.

– Kto mówi?

– Josephine Wermer.

Chciał już powiedzieć, że to pomyłka i odłożyć słuchawkę, lecz sekundę

wcześniej dotarło do niego, z kim rozmawia. Jak przed laty zemdliło go ze strachu. Ciemne kręgi zawirowały mu przed oczami.

– Halo, jesteś tam? – spytała.

– Jestem – wydusił słabym głosem.

– Masz również pozdrowienia od Jakuba, Jerzego, Joanny, Jolinki, aha, i od Piotra. Chcę cię odwiedzić. Znalazłbyś dla mnie czas pojutrze, o siedemnastej?

– Oczywiście.

– W takim razie jesteście umówieni. Do siego roku, raz jeszcze.

– Do... – głos mu uwiązł w ściśniętej przerażeniem krtani.

Odłożył słuchawkę. Chciał sięgnąć po filiżankę z kawą, ale dłoń tak mu drżała, że nie mógł uchwycić uszka. Powtórzył w myślach usłyszane słowa. Piąte imię oznaczało Ogrody Tuileries, przy fontannie. Pojutrze, o siedemnastej.

Damazy chwycił dłońmi poręcze krzesła, obawiając się, że za chwilę zemdleje. Jak mógł być taki naiwny i wierzyć, że przeszłość nigdy nie zapuka do jego drzwi? Że o nim zapomniano, że dadzą mu spokój?

Znowu się bał, jak wówczas, gdy otrzymał wezwanie do stawienia się w komisariacie. Za biurkiem czekał znajomy kapitan. W pokoju był ktoś jeszcze. Mężczyzna z wyrazem twarzy wystawowego manekina, skulony, w przyciasnym garniturze. Milicjant był znowu przyjacielsko uśmiechnięty.

– Rozgoście się – wskazał stołek przed biurkiem. – Słyszeliśmy, że spotkały was drobne przykrości.

– Drobne? – powtórzył zdezorientowany. – Myśli pan, to znaczy towarzysz – poprawił się szybko – że wydalenie z pracy i włamanie do...

– Powinniście spojrzeć na to dialektycznie. Nie jest tak źle, jak sądzą. Jestem pewien, że wkrótce przyznacie mi rację. Napijcie się herbaty?

Nie wiedział, czy powiedzieć „tak”, czy też bezpieczniej będzie odmówić.

– Czyli się napijcie. – Sulimowicz sięgnął po telefon i kilka sekund później przyniesiono dwie szklanki. Tak jakby Damazy w ogóle nie istniał. – Ostatnim razem mówiłem – siorbnął głośno wrzątek – że partia wam zaufała, stawiając w pierwszym szeregu frontu walki ideologicznej. Pamiętacie?

Nie pamiętał, ale skinął posłusznie głową.

– Sprawdziliśmy was. Okazuje się, iż rzeczywiście macie na nazwisko Lepszycki, a wasza dotychczasowa działalność w Podstawowej Organizacji

Partyjnej była bez zarzutu. Pierwszy sekretarz nawet chwalił was za aktywność przy malowaniu pierwszomajowych transparentów.

Ośmielony tymi słowami Damazy sięgnął po filiżankę, poparzył sobie usta, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Ponieważ okazaliście się prawdziwym patriotą – kontynuował Sulimowicz – dlatego chcielibyśmy dać wam szansę pełniejszego wykazania się w walce z klasowym wrogiem.

Zaproponowano mu emigrację na Zachód. W Polsce obywatel Lipszyc nie miał już czego szukać. Nadchodziło nowe i nie było w nim miejsca dla skompromitowanych obywateli pochodzenia żydowskiego.

– Ale ja nie jestem Żydem. Przecież sami przed chwilą mówiliście... – Wystraszony swoją śmiałością z trudem utrzymał gorącą szklankę w dłoni.

– Rozumiem wasze obawy, że przyjdzie wam żyć wśród wrogów naszej ludowej ojczyzny. Zważcie jednak, że partia daje wam możliwość zasłużenia się. Szansę udowodnienia patriotyzmu i swego oddania socjalistycznym ideałom.

– Ale dlaczego właśnie ja?

– Pochodzicie ze wsi, czyż nie tak?

Przytaknął.

– Dzięki mądrej polityce naszych władz zdobyliście wiedzę i stopień naukowy. Tak?

Ponowne skinienie głowy.

– Nie uważacie, że czas spłacić zaciągnięty dług?

Wreszcie postawiono sprawę jasno. Naród walczący o realizację kolejnego planu pięcioletniego nie toleruje cwaniaków, obiboków i niebieskich ptaków, którzy mieszkają pod gołym niebem i unikają pracy.

– A wy przecież pracy nie macie i niedługo musicie wyprowadzić się z wynajmowanego mieszkania.

– Staram się coś...

– I co? Znaleźliście?

– No, ale sami mówiliście...

– Jesteście mądrym towarzyszem. Nie rozumiecie, że zwykli ludzie już was skreślili? Ale partia nadal wam ufa.

Kapitan podsunął mu zapisaną kartkę.

Choć tekst przeczytał tylko raz, zapamiętał każde słowo: *Ja, Damazy Lepszycki, syn Jarosława i Aliny z Wikosławskich, zamieszkujący w Warszawie, przy ulicy Zawistowskiego 3 m. 99, biorąc pod uwagę zaostrożając się walkę klasową w Polsce Ludowej i mając na uwadze to, że wrogie ośrodki imperialistyczne za granicą z coraz większą siłą i bardziej zakonspirowane starają się nam przeszkodzić w budowaniu socjalizmu, zobowiązuję się dobrowolnie współpracować z wywiadem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej i po wyjeździe na Zachód, jako żydowski emigrant, informować o wszelkiej wiadomej mi wrogiej i nielegalnej działalności skierowanej przeciw władzy ludowej w Polsce. W celu głębszego zakonspirowania swej współpracy przyjmuję pseudonim „Nauczyciel”, jednocześnie zobowiązując się, że powierzone mi zadania i polecenia będę wykonywał sumiennie i szczerze, jak również na planowane spotkania przychodzić będę punktualnie i regularnie. Jednocześnie zobowiązuję się do zachowania ścisłej tajemnicy faktu współpracy z wywiadem PRL. Nadmieniam, że jestem świadomy, jak również zostałem uprzedzony, że za zdradzenie powyższej tajemnicy będę pociągnięty do odpowiedzialności karnej przed Sądem Wojskowym.*

– *Darling, hurry up*[\[1\]](#)!

– *One moment, father*[\[2\]](#) – zawołała Anna z łazienki. Gdzieś z dołu dochodziła przytłumiona muzyka z sali dancingowej.

Spojrzała w lustro na swe piersi. Rzeczywiście, mogła w solarium spędzić kilka minut dłużej. Poprawiła włosy zaplecione w dwa sterczące na boki warkoczyki. Szkoda, miała taką ładną fryzurę. Założyła szkolny fartuszek i zawiązała kokardę, której wstążki spływały na gołą pupę. Sięgnęła po tornister. Nacisnęła klamkę i weszła do sypialni.

– *What happened at school today*[\[3\]](#)?

W pokoju panował półmrok. Paliły się tylko dwa kinkiety obok rozścielonego szerokiego tapczanu. Siedział na nim Angol w rozpiętym smokingu. Kilka guzików od koszuli było naderwanych, jakby próbując je odpiąć, za mocno szarpnął. Na środku pokoju leżały rozrzucone półbuty. Obok nich stała w połowie pełna butelka whisky.

Przez dłuższą chwilę milczała, stojąc ze spuszczoną głową i zawijając

nerwowo palcem brzeg fartuszka. Rozparty na łóżku mężczyzna zmarszczył brwi. Udała zmieszana, a po kolejnych naleganiach, by mówiła prawdę, wreszcie przyznała się, że dostała dwójkę z domowego wypracowania. W ręku przepytującego pojawiła się linijka, która zaczęła systematycznie uderzać o poduszkę.

– *Oh, father.* – Wytarła nieistniejącą łzę. – *Please. No! I promise you to be a better student*[\[4\]](#).

– *Don't cry, my little lark! You are a naughty young girl. You must be punished*[\[5\]](#).

Linijka jeszcze mocniej uderzyła w poduszkę, a na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zaciętego zadowolenia.

Rozdział drugi

Siejka otworzył gwałtownie oczy. Gdzie jest? Rozejrzał się niepewnie dokoła. Najpierw dostrzegł spękaną lamperię na ścianach, pomalowaną kolorem niebieskim, który teraz prawie zgranatowiał. Obok pralka „Frانيا” z piętrzącymi się na wierzchu brudnymi koszulami. Na ścianie lustro z półką i stojącą na niej wodą po goleniu „Brutal”. Na drzwiach brązowy szlafrok frotté z jednym naderwanym rękawem. Obok wanny stołek z pustą butelką po wódce.

Wróciła mu świadomość. Zatrzymał wzrok na biegnących pod sufitem rurach pomalowanych farbą olejną na sraczkowaty kolor. Od dwudziestu lat, gdy na nie patrzył, obiecywał sobie, że wreszcie coś z tym syfem musi zrobić.

Wreszcie dotarło do niego, że usnął w wannie. Na podłodze leżała pusta butelka po szampanie, obok kawałek rozpuszczającej się galaretki z zimnych nówek. Coś mu się śniło. Chyba był szczęśliwy. A może nie? Cholera, mógł się utopić! Ładny gnój! Przecież ma zostać milionerem i wreszcie odbić się od mulistego dna.

Co tak szumi?

Odwrócił głowę i przez otwarte drzwi łazienki dostrzegł migający w pokoju ekran telewizora. Program już dawno się skończył. Która mogła być godzina? Spojrzał na zegarek przewieszony na brzegu pralki. Minęła piąta rano.

Kurwa, dlaczego jest mu tak zimno? Przymknął na moment oczy, jakby próbował odnaleźć niedawny sen. Nic z tego. Wzrok ponownie powędrował w górę, do sraczkowatych rur. Sekundę później przechylił się nad brzegiem wanny i zwymiotował na podłogę. Kiedy wreszcie żołądek przestał mu skakać do gardła, obmył usta chłodną wodą.

Więc dlatego się trząś.

Dygocząc z zimna, wyszedł z wanny i pospiesznie okręcił się szlafrokiem. Potem papierem toaletowym wytarł z posadzki rzygowiny i utopił je w sraczu. Poszła na to cała rolka. Czym teraz będzie podcierał dupę...? W sklepach od dawna nie mógł kupić papieru. Wszystko się wali. Ludzie nawet

nie mają czym się podetrzeć. Kiedy wreszcie to wszystko pierdolnie?

Wsunął mokre stopy w kaptcie i poczłapał do pokoju. Ciężko opadł na fotel. Bolała go głowa. Okręcił się kocem. Sięgnął po stojącą na stoliku szklanę z resztką herbaty. Wypił powoli, cedząc między zębami fusy. Przyłożył chłodne szkło do czoła. Nie powinien był mieszać alkoholi.

Tylu rzeczy nie powinien był robić w życiu.

Odstawił szklanę.

Gdyby nie praca w resorcie... Wylądowałyby gdzieś na bocznym torze. A może już dawno wypadłby z szyn?

Skończył zawodówkę. Rodzice, odkąd się urodził, chcieli, by został... Właściwie to nigdy nie mógł za nimi trafić, czego chcą. Lekarz. Adwokat. Inżynier. Raz nawet, gdy przyniósł dobry stopień z religii, matka uznała, że ma zadatki na księdza... Zesrała się bieda i płacze. Potem przynosił już tylko trójki, które nauczyciele dawali mu z litości.

Kiedy otrzymał świadectwo przyuczenia do zawodu, ojcu i matce było już wszystko jedno, kim będzie, byle tylko wyniósł się z domu. A jeśli już chciał zostać, powinien iść do pracy i oddawać im pensję. Był dobrym synem. Nigdy się nie buntował, bo nie miał na to odwagi. Dlatego przytakiwał zgodnie głową, gdy matka pokazywała mu przez okno dziewczynę z sąsiedniej klatki.

– Porządna. Nigdy nie widziałam, żeby latała za chłopakami.

Pewnego dnia dokładniej przyjrzał się idącej przez podwórko. Zobaczył małą przygarbioną dziewczynę, z przyklejonym do ust niepewnym uśmiechem i wystraszonymi oczami. Szła, drobiąc patykowatymi nogami w kolebiących się wokół łydek za dużych botkach. Rzeczywiście pasowali do siebie jak dwie krople wody.

– Znałam jej świętej pamięci ojca – kontynuowała matka kuszącym głosem innego dnia. – Trochę pił, ale w sumie był porządnym człowiekiem. Jadzia mieszka z matką w ładnym dwupokojowym mieszkaniu. Takim samym jak nasze. Byłaby z was dobrana para.

Właściwie to nigdy nie ciągnęło go do dziewczyn. W zupełności wystarczyło, że onanizując się, mógł mieć w marzeniach każdą, nawet tę najładniejszą z osiedla. Słowa matki go przestraszyły. Chciał coś powiedzieć. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– Leosiu, pytałam o coś.

– Przepraszam, mam. Myślałem...

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Mówiłam, że to dobra dziewczyna.

Pójdziemy do nich z wizytą.

– Ale po co?

– Żebyście się poznali.

Matka przymrużyła powieki w charakterystyczny sposób. Zawsze tak robiła, gdy brała do ręki książkę *Trędowata*. Ile razy już ją przeczytała?

– Ja już to, synku, załatwię.

Do spotkania na szczęście nie doszło. Dostał wezwanie do wojska.

Siedzący za stołem komisji pułkownik dłuższą chwilę przyglądał się nagiemu poborowemu, który właśnie wyszedł z pokoju lekarskiego. Chłopak nie bardzo wiedział, w której dłoni schować jajka i czy w takiej sytuacji wypada się ukłonić. Wskazano mu stołek.

– Nazwisko!?

– Siejka.

– Jak? – Pułkownik zerknął podejrzliwie.

– Leon Siejka.

– Siejka, mówicie... To powiedzcie mi – rozsunął wskazującym palcem rozłożone na stole papiery – jak wasz ojciec ma na imię?

– Zygmunt.

– Zygmunt Siejka. – Cień uśmiechu przemknął po twarzy pytającego. – A gdzie rodzony?

– Tatuś?

– Aha.

– Mówił, że w Nurcu, gdzieś pod Lublinem.

– Ładna okolica. – Mundurowy kiwnął głową, jakby chciał tym położyć nacisk na prawdziwość swoich słów. Potem spojrział na znudzone twarze siedzących obok. – Bardzo ładna – podkreślił z naciskiem.

– Nigdy tam nie byłem. – Siejka nie odważył się wzruszyć ramionami.

– Szkoda, trzeba poznawać piękno ojczystego kraju. Macie, towarzysze, jakieś dodatkowe pytania?

Rozparci za stołem członkowie komisji sennie pokręcili przecząco głowami.

– Powiedzcie mi, poborowy, na czym się znacie?

– Na książkach.

– Niby jak? – Pułkownik zmarszczył brwi, jakby podejrzewał, że próbuje

się z niego nabijać.

– Jestem introliгатorem.

– I bardzo pozytywnie. – Złożył zamasyście papiery i schował do tekturowej teczki. – Z literaturą się stykacie, więc nie jesteście głupi. Znaczący ojciec wychował was na porządnego człowieka. Potrzeba nam ludzi wykształconych.

Już po kilku pierwszych dniach spędzonych w koszarach z podbitym okiem został wyautowany na margines kompanii. Jego grzeczność i szacunek okazywane przełożonym uznano za dupolstwo wskazujące na skłonność do kapowania.

Dlatego bez wahania podjął się pracy w archiwum, gdzie przesłużył następne dwa lata. Codziennie wożono go z jednostki rozklekotaną półciązarówką. Przynajmniej wysoki kolegow nie obciążały jego konta. Kiedyś sierżant kompanii niedwuznacznie zasugerował, że mógłby odegrać się na nich, informując, kiedy zamierzają urwać się na lewiznę. Udał głupiego. Gdy kolejnym razem postąpił podobnie, szef kompanii zaczął traktować go jak kogoś pozbawionego chęci odwetu – idiotę, któremu w wojsku ciepłe gniazdko uwił wysoko postawiony krewniak.

Po roku służby uznano go za nieszkodliwego palanta, którego można traktować niczym powietrze. Może dlatego gdy pewnego dnia przypadkowo wszedł do dyżurki, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ktoś tylko krzyknął, by zamknął drzwi. Chłopaki zabawiali się ze sprowadzoną do koszar prostytutką. Stojąc między regałami, podglądał, jak po kolei kładą się na dziewczynie, która coraz to spazmatycznie jęczała, udając orgazm. Nie przeszkadzało jej to dłużyć zapałką w zębach. Wszyscy mieli przyjemność. On również. Z tym tylko, że tamci złapali trypra, a on jeszcze przez długi czas onanizował się, wspominając całą sytuację.

Polubił wojsko. Przesiadując całymi dniami w archiwum, z nudów zaczął otwierać tekturowe okładki teczek, ciekaw, co kryją w środku. Pozornie nie było w nich nic interesującego. Zwykle akta osobowe kadry zawodowej pułku. Teczki były cienkie, innym znów razem grube. Znajdował w nich prośby o przeniesienie do innej jednostki, formularze rocznych opinii, skargi na pijącego męża, donosy na kolegów, raporty wyjaśniające okoliczności wszczęcia bójki, meldunki o podejrzanym nieprawidłowościach i zwykłym złodziejstwie.

Zaczął mu się podobać zagłębienie za kulisy życia innych, podpatrywanie, dowiadywanie się o rzeczach, które nie lubią światła dziennego: małych i

wielkich świństwach, wielkich kantach, drobnych przekrętach, zdradach małżeńskich i podłości maskowanej troską o socjalistyczne morale.

Gdy do zakończenia służby pozostały dwa miesiące, wezwano go na rozmowę do dowódcy. Oprócz majora czekał na niego jakiś cywil. Po krótkim przywitaniu nieznajomy zaoferował mu kontynuowanie dalszej służby w MSW.

– Macie dobrą opinię wśród przełożonych. Nienagannie odsłużyliście dwadzieścia dwa miesiące.

– Ku chwale ojczyzny – palnął codziennie odklepywany frazes.

– Jakie jest wasze pochodzenie?

– Chłopskie.

– W waszej charakterystyce napisano, że interesujecie się literaturą.

Na wszelki wypadek kiwnął potakująco głową.

– Widzę, że nie lubicie dużo mówić. Nie trzeba. Z dokumentów wynika, że ojciec od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego jest członkiem partii. Przez dwa lata zdobyliście doświadczenie w pracy w archiwum. Właśnie takich ludzi potrzebuje nasza partia i ojczyzna. Zgadza się?

Przez dłuższą chwilę patrzył na przymilnie uśmiechającego się cywila i wreszcie kiwnął głową, że tak. Tym razem, po raz pierwszy w życiu, zrobił to z przekonaniem.

Może nie był wybrańcem losu, ale to, co otrzymał, całkowicie go satysfakcjonowało.

Zrzucił z ramion koc, czując uderzenie gorąca. Z doświadczenia wiedział, że tego dnia kac nie da mu spokoju.

Dostrzegł leżący na podłodze portfel, z którego wystawało kilka tysiąc złotych. Powinno wystarczyć. Ma prawo zabawić się w nowym roku. Ścisnął mocniej uda, czując gwałtowny wzwód. Jutro odwiedzi swoją małą. Musi się rozładować. Potem jakoś dociągnie do pierwszego.

Niewiele dorobił się przez tyle lat pracy. Wkrótce wszystko się zmieni. Wystarczająco cierpliwie czekał w kolejce po nagrodę. Odchyłona kołdra ukazywała szare zmięte prześcieradło.

Zmarszczył czoło, próbując przeczekać atak bólu. Przypomniawszy sobie, że w kuchni powinien mieć ćwiartkę czystej. Mógłby odpędzić kaca. Nie ruszył się jednak z miejsca. Do jutra musi mieć czysty łeb. Szczęśliwy traf podsunął mu los z wielką wygraną. Nie miał zamiaru tracić szansy.

– Jeszcze tylko kilka miesięcy – westchnął głośno w stronę kuchni.

Anna nie spała. Leżała na brzuchu, patrząc na ścianę i wsłuchiwała się w miarowe chrapanie Angola.

Pierdolony dziad.

Przesunęła pod kołdrą dłoń i dotknęła pośladków. Nigdy, nawet od rodziców, nie dostała takiego lania. Powinna była zażądać stu funtów. Do dzisiejszego wieczoru John zawsze był łagodny. W końcu to miała być tylko zabawa. Poprzednio wystarczył mu pasek od szlafroka. Skąd wytrzasnął tę cholerną linijkę? Chyba nie podpieprzył jej własnej córce i nie zabrał w teczce na delegację?

Dosyć spotkań z pojebusami.

Starając się robić jak najmniej hałasu, wysliznęła się spod kołdry. Skrzywiła boleśnie usta, stając na nogi. Angol warknął przez sen i przekręcił się na bok. Piekła ją cała pupa. Mimo pracującej klimatyzacji w pokoju było duszno.

Podeszła do okna. Odchyliła nieznacznie firankę. Na zewnątrz unosiła się mlecznym tumanem mgła spowijająca plac przed Bristolem. Zobaczyła maszerujących na zmianę warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Przypatrywała się ich zgranym ruchom. Wokół martwa pustka i tych kilku mundurowych dostojnie kroczących w mleczną nierealność.

Właśnie coś takiego jest w tym kraju. Dostojna nierealność. To dlatego na studiach nie dała się namówić na ucieczkę na Zachód?

A może się przestraszyła?

Musiała wówczas, po raz pierwszy w życiu, podjąć ważną decyzję. Nigdy dotąd tego nie robiła. Zawsze obok byli rodzice. A raczej matka, ojca niewiele pamięta. Widywała go tylko w soboty i niedziele. Wieczorem zawsze przywoził go kierowca i pomagał pijanemu zwierzchnikowi wejść na trzecie piętro. W niedzielę papa odchorowywał kaca. Co działo się z nim w tygodniu? Czy wracał do domu na noc? Pamiętała tylko, że w każdy poniedziałek rano zakradał się do jej sypialni i całował w czoło. Kiedy dorosła, dodatkowo pod poduszkę wtykał kilkaset złotych.

Matka godziła się na takie życie. Lubiła, gdy patrzono na nią z zazdrością. Była panią dyrektorową, która co dwa lata zmieniała poloneza na dużego fiata lub fiata na poloneza. Pod koniec lat siedemdziesiątych zrezygnowała z polskich aut. Odtąd zmieniała czeską skodę na rumuńską dacie i odwrotnie.

W połowie lat osiemdziesiątych ojciec został aresztowany. Oskarżono go o

wielomilionowe defraudacje, niegospodarność i coś tam jeszcze. Nie doczekał procesu, zmarł w areszcie na atak serca. Matka przyjęła jego śmierć niemal obojętnie. I tak Anna od lat była jedynym łączącym ich pomostem. Mimo procesu rodzina nie musiała się o nic martwić. Przewidujący mąż ulokował spory kapitał w bezpiecznym miejscu. Jakim? Nigdy jej to nie interesowało. Właściwie śmierć ojca niewiele zmieniła w jej życiu. Czasem tylko brakło jej poniedziałkowych pocałunków i... pieniędzy pod poduszką.

Potem na studiach spotkała Romana. To miała być wielka miłość. Obowiązkowe czułe zaklęcia. Spacerzy przy księżycu. Planowanie imion przyszłych dzieci. Miało być ich dużo, bardzo dużo. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, że ten wymarzony pułk wojska właśnie ona będzie musiała urodzić.

Chłopak przypadł matce do gustu. Dobrze urodzony, z rzemieślniczej rodziny. Dobrze wychowany. Dobrze sytuowany. Dobrze ubrany... Nad czym się zastanawiać...? Zaszła w ciążę.

Kolorowy sen urwał się zaraz po ślubie. Nie bardzo rozumiała, co się wokół dzieje. Nagle wszystko poszarzało. Mąż próbował sprowadzić ją na ziemię. Ściągnąć za rękę z chmur. Pewnego dnia wykrzyczał jej w twarz, że wreszcie powinna dorosnąć, gdyż za cztery miesiące będzie matką. Nie wiedziała, o co mu chodzi. Przecież się kochają. Czy to nie wystarczy?

Zostawił ją z wielkim brzuchem, w ósmym miesiącu, w wynajętym mieszkaniu, z niezapłaconymi rachunkami za prąd i gaz. Uciekł do Szwecji.

Opuściła zasłonkę, gdy plecy ostatniego żołnierza znikły w białym tumanie mgły. Księżniczka w końcu zeszła na ziemię. Za późno?

Spojrzała na śpiącego.

„Tak – zdecydowała w myślach – pięćdziesiąt funtów to zbyt niska cena”.

Przeszła do łazienki. Zapaliła światło. Stanęła tyłem do lustra i spojrzała przez ramię.

– To chuj pierdolony – wyrwało jej się na widok sinych pręg. – Zapłacisz mi za to, tatuśku.

Odkręciła prysznic i weszła pod strumień chłodnej wody. Próbowwała spłukać z siebie dzisiejszą noc. Rozplotła warkoczyki, nie mocząc jednak włosów. Namydliła ciało, dokładnie szorując je gąbką. Potem starannie się opłukała. Zamknęła wodę i zaczęła wycierać się ręcznikiem.

Wyszła z kabiny prysznicowej. Przetarła dłonią zaparowane lustro. W saloniku połączonym z sypialnią rozsuwanymi drzwiami znalazła swoje ubranie. Ostrożnie naciągnęła majteczki.

Pieprzony zbok!

Obok pantofelków zobaczyła leżący portfel. Podniosła go z podłogi. Otworzyła. Ze środka wypadło zdjęcie uśmiechniętej dziesięcioletniej dziewczynki w fartuszkach i z tornistrem na plecach. Na odwrocie widniał nieporadny napis, nakreślony niewprawną jeszcze ręką: *For dear dad, from his little lark*[6].

– Bydlę! – prychnęła, wsuwając z powrotem zdjęcie na poprzednie miejsce.

Wyjęła z portfela pieniądze. Odliczyła sto funtów.

– Dla swojego kochanego skowronka chyba nie będziesz sknerą? – szepnęła do śpiącego.

Kiedy trzymała w dłoni pieniądze, przyszło jej do głowy, że to zbyt mała zapłata za dzisiejszą noc. Odłożyła portfel. Ostrożnie naciągnęła rajstopy, potem sukienkę. Przeszła do pokoju. Stała przy łóżku. Śpiący przekręcił się na bok i zacisnął mocno dłoń na poduszce, na której jeszcze niedawno spała. Przeniosła wzrok na szafkę, gdzie leżał zegarek.

Na hotelowym papierze listowym napisała kilka lakonicznych słów. „Musiałam wcześniej wyjść. Masz śliczną córeczkę”. Zadowolona podrzuciła w dłoń roleksa. To go powinno nauczyć rozumu.

Wyszła z pokoju, cicho zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wokół panowała cisza. Przez całą długość korytarza ciągnął się bordowy chodnik, który tłumiał odgłos jej kroków. Gruby dywan miękko uginał się pod pantofelkami. Doszła do klatki schodowej. Zatrzymała się przed windą. Wcisnęła guzik. Z głośnika popłynęła cicha muzyka. Poznała fortepianowy pasaż *Marzenia* Schumanna.

Kiedyś jej matka chciała, żeby została pianistką. „W każdej rodzinie – zawsze mówiła te słowa z udawanym przekonaniem – powinien być jakiś artysta”.

Ile to czasu spędziła pod baczny okiem nauczyciela, ćwicząc palcówki? Z kariery wirtuoza nic nie wyszło. Mimo wszystko matka mogła się nią pochwalić przed przyjaciółkami. Muzyka w wykonaniu małej Ani była żelaznym punktem każdego spotkania towarzyskiego. Po koncercie słyszała słowa pochwał i zachętę do dalszej nauki. Stare kobiety głaskały ją z uznaniem po głowie, a ona zastanawiała się w duchu, czy starością można się zarazić.

Cholera, co ją dziś naszło z tymi wspomnieniami? Myślała, że już zapomniała o mężu. Że ma to wszystko za sobą.

Niegdyś często zadawała sobie pytanie, co takiego właściwie zainteresowało ją w Romanie. Średniego wzrostu. Niezbyt barczysty, o

przeciętej twarzy. Może dlatego od razu zwracały uwagę jego oczy. Niemal ciemnobrązowe. Był w nich magnetyzm. Coś, co sprawiało, że nie można było od nich odwrócić spojrzenia. Podobne niespokojne ogniki zobaczyła wczoraj w oczach tamtego mężczyzny, który zderzył się z jej BMW.

Dźwięk zatrzymującej się windy przywrócił ją rzeczywistości. Kiedy automatyczne drzwi rozsunęły się na boki, zaskoczona zobaczyła Elwirę.

– Marzę o własnym łóżku. – Anna przelotnie spojrzała w lustro. – Jak udał się wieczór?

– Nigdy nie sądziłam, że Niemki potrafią być tak delikatne. A tobie? Jak poszło?

Skrzywiła się, delikatnie dotykając obolałych pośladków. Elwira uśmiechnęła się, widząc grymas na jej twarzy.

– Znowu nie odrobiłaś lekcji? Powinni dać ci za to habilitację.

– Na szczęście ten pojebus już dzisiaj wyjeżdża.

– Wymocz doktorat w rumianku.

Spod ramienia Anny wysunęła się torebka i upadła na podłogę. Podniosła zegarek i schowała do środka.

– Skubnęłaś gościa? – w głosie Elwiry zabrzmiała nuta przygany. – Przecież jesteśmy porządne kurwy.

Anna ponownie zaczęła delikatnie rozcierać bolącą pupę.

– Właśnie dlatego.

Kierowca wykręcił na ślimakowaty podjazd. Przed pałacem biskupim gdzieś leżał śnieg. W świetle porannego słońca renesansowy fronton prezentował się okazale. Sulimowicz poprawił garnitur. Już prawie się odzwyczaił od cywilnych ubrań. Lubił się w mundurze, zwłaszcza gdy ostatnio przybyła mu dodatkowa generalska gwiazdka. Ci, którzy jeszcze niedawno stawiali na nim krzyżyk, tłumnie zapełnili sekretariat gabinetu. Każdy chciał osobiście gratulować zaufania, jakim obdarzyły go najwyższe władze partii i państwa. Uśmiechał się. Dziękował. Przyjmował kwiaty. Odwzajemniał uściski dłoni.

Przypomniawszy sobie pewien kwietniowy dzień z 1968 roku. Z kapitana skoczył od razu na podpułkownika. Władysław Gomułka osobiście dziękował mu za...

O co wówczas chodziło? Próbował sobie przypomnieć. Po co? Jak zwykle

partia nasrała, a milicja musiała za nią sprzątać...

Racja! Chodziło o realizację operacji „David”. To był majstersztyk. Ci durnie z zachodnich służb wywiadowczych do dziś nie orientują się, jaki Polacy wywinęli im wówczas numer. To był jego pomysł. Początkowo nikt nie chciał go słuchać. Znalazł jednak sposób, by dotrzeć do właściwych uszu. Ostatecznie przekonał ich numer z wykładowcą na Uniwersytecie Warszawskim. Jak mu było? Lepszycki...? Lipszyc...?

Jego śladem wysłano innych...

Samochód się zatrzymał. Sulimowicz wysiadł i po chwili stanął przed rzeźbionymi dębowymi drzwiami. Nacisnął dzwonek. Szczęknął otwierany zamek i w drzwiach ukazał się młody kleryk.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – uśmiechnął się na powitanie duchowny.

– Niech będzie, niech będzie – odpowiedział ze źle udawaną szczerością.

Przeszli długim holem w stronę schodów. Na jednej ze ścian wisiał wielki obraz prymasa Wyszyńskiego.

„Interesująca kreska – przebiegło mu przez głowę – ciekawe, kto jest autorem?”

– Zastanawia się pan, kto namalował obraz? – Kleryk odwrócił się z uprzejmym uśmiechem.

– Ksiądz zna się na malarstwie?

– Raczej na obrazach, które znajdują się w pałacu. To Wymyk.

– Oczywiście.

Wymyk. Jak mógł tego nie zauważyć? To charakterystyczne zestawienie barw. Miał w kolekcji trzy jego płótna.

– Nigdy nie posądzałbym malarza o znajomość z kardynałem.

Kleryk ponownie się obrócił. Wydało mu się, że w jego spojrzeniu dostrzega jakby przyganę. A może był to tylko refleks odbijającego się w szybie słońca?

Weszli schodami na piętro. Idący przodem kleryk otworzył drzwi prywatnych apartamentów biskupa. Na widok gościa od stołu wstał korpulentny sześćdziesięciolatek, którego generał w duchu nazywał Świętym Mikołajem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Biskup uniósł dłoń, jakby zamierzał pobłogosławić przybyłego.

– Na wieki wieków, Wasza Dostojność.

Sulimowicz wszedł do środka. Prezent, który przyniósł ze sobą,

przypadnie gospodarzowi do gustu.

– Z pewnością po dzisiejszym balu pan generał nie ma ochoty na... – wskazał przygotowane śniadanie duchowny.

– Wręcz przeciwnie.

– W takim razie zapraszam do stołu. – Biskup klasnął w dłonie. Pojawiło się dwóch kleryków i błyskawicznie ustawiło dodatkowe nakrycie.

„Dużo tu młodych księżulków – przemknęło mu przez głowę. – I ty, Boże, na to patrzysz i nie grzmisz? Podobno jesteś nierychliwy, ale czy rzeczywiście sprawiedliwy?” – Spojrzał na swój neseser i pomyślał o znajdującej się w środku papierowej teczce.

Biskup po kilku ogólnikach dość szybko przeszedł do meritum. Był mu za to wdzięczny. Dzisiejszego dnia miał jeszcze sporo do zrobienia.

– Obaj wiemy, że zarówno ksiądz prymas, jak i pierwszy sekretarz waszej partii nawiązali nieformalny kontakt, który, miejmy nadzieję, doprowadzi do unormowania sytuacji w kraju. A mówiąc inaczej, dzięki nam możecie nawiązać kontakt z panem Wałęsą i jego doradcami. Co więcej, macie pewność, że wyciągnięta dłoń nie zostanie odrzucona.

– Zapewniam księdza biskupa – schylił z szacunkiem głowę – że zarówno towarzysz Jaruzelski, jak i minister Kiszczak potrafią to docenić.

Obaj doskonale zagrali role ludzi darzących się wzajemnie szacunkiem i gotowych spełnić swoje najdrobniejsze życzenie. Biskup działał dla dobra Kościoła, on zaś dla pomyślności Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Niemniej każdy z nich zdawał sobie sprawę z prawdziwych intencji drugiej strony. Obaj przede wszystkim mieli na uwadze własne interesy, które osłaniali bogoojczyźnianym parawanem. Ich szacunek wynikał ze świadomości, że jeden drugiemu mógł dać to, na czym mu zależało. Pozostawało tylko ubranie tej kwestii w ładnie skrojone patriotycznie zdania i głośne ich wypowiedzenie.

– Jak zdrowie pana generała? – Duchowny najwyraźniej miał na uwadze chwilową niełaskę, w którą Sulimowicz popadł przed paroma miesiącami.

– Jak sam ksiądz biskup może ocenić – wskazał na własną osobę. – Udało mi się przezwyciężyć chwilową słabość. – Sięgnął po gorącą bułeczkę. Nim odgryzł kawałek, odbił piłeczkę z zatroskanym wyrazem twarzy: – Słyszałem, że i Wasza Eminencja niedomagał. – Miesiąc temu otrzymał informację, że próbowano odsunąć biskupa na boczny tor, niedwuznacznie sugerując...

– To chwilowe. – Duchowny machnął obojętnie ręką. – W naszym wieku

to nic nadzwyczajnego. Po prostu trzeba cały czas na siebie uważać.

Tydzień temu jeden z sekretarzy gospodarza został przeniesiony do klasztoru o ścisłej regule nakazującej całkowite milczenie. Sulimowicz wiedział, że mury opactwa mogli opuszczać tylko nieboszczycy. Dzięki temu biskup poczuł się zdrowszy.

Siedzący na wprost Sulimowicza duchowny uniósł filiżankę z zabielaną kawą niczym w toaście. Potem rozejrzał się znacząco po jadalni, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– Proponuję dokończyć śniadanie i przejść się na spacer. Mamy piękną pogodę...

– Doskonały pomysł. Doskonały.

Dwadzieścia minut później szli obok siebie aleją obsadzoną po obu stronach sosnami. Śnieg skrzypiał pod stopami, zagłuszając wypowiedane przyciszonymi głosami zdania. W końcu byli profesjonalistami. Choć służyli w odmiennych instytucjach, pełnili w nich podobne role.

– W trakcie ostatniej konferencji Episkopatu Polski – kontynuował ksiądz z miną człowieka, któremu z trudem przychodzi mówienie o złych uczynkach bliźniego – zwłaszcza zaś obrad plenarnych sekretariatu, jego uczestnicy zwrócili uwagę na zaostrenie tonu dialogu państwo–Kościół.

Sulimowicz spojrział na niego i zrobił zaskoczoną minę. Na moment przystanął. Patrząc w oczy gospodarza, przyszło mu do głowy, że ten mały korpulentny człowiek jest doskonałym aktorem.

– Co ksiądz biskup raczy mieć na myśli? – w jego głosie zabrzmiała nuta niemal autentycznego zdziwienia.

– Już od dawna Kościół ubolewa nad powołaniem do życia Departamentu Czwartego, który zajmuje się sprawami życia duchowego społeczeństwa polskiego i samymi duchownymi... Widzę, że nie potrafi pan, generale, znaleźć wytłumaczenia dla takiego postępowania. – Biskup w końcu przerwał przedłużające się milczenie.

– Ależ skąd. Podziwiałem krajobraz. Pięknie tu. A wracając do pytania Waszej Eminencji, obaj wiemy, że Kościół przez ostatnich kilka lat nie bardzo mógł się zdecydować, na którą kartę postawić. Z jednej strony ustanawiał solidarnościowych kapelanów, z drugiej podtrzymywał dobre stosunki z władzami kraju. Nie angażując się po żadnej stronie, w efekcie zbudował sobie pozycję arbitra, do którego prędzej czy później zwrócą się obie strony konfliktu.

– No cóż, Kościół od wieków starał się łagodzić ziemskie niesnaski.

– Dodajmy, już całkiem obiektywnie, że za każdym razem doskonale wychodził na tym finansowo.

Gospodarz na moment przystanął, jakby obruszony tym stwierdzeniem.

– W chwili obecnej – kontynuował niezrażony tym Sulimowicz – zdecydowanie stanęliście po stronie Solidarności.

– Niektórzy z waszych towarzyszy również.

– Zostali wykluczeni z szeregów partii. Jeśli zaś chodzi o Departament Czwarty, to ma on przypominać Kościołowi, że nadal pozostajemy w grze.

– Nikt was z niej nie próbuje wykluczać.

– Potrzebujemy na to dowodu. Chcielibyśmy, żeby Kościół przekonał doradców Wałęsy do rozmów z rządem. Możemy to nazwać spotkaniem przy okrągłym stole... Tak, to nawet może ładnie zabrzmieć.

– Trudno będzie was przyrównywać do rycerzy Okrągłego Stołu. – Biskup za późno się zorientował, że palnął głupstwo. Jednak Sulimowiczowi zależało na doprowadzeniu rozmowy tam, gdzie sobie to zaplanował.

– Ma ksiądz rację – zaśmiał się gardłowo. – Nie zależy nam na tym porównaniu. Myślę, że Kościół również wolałby uniknąć porównania z czarodziejem Merlinem. Magia to raczej domena cyrkowych prestidigitatorów.

– Sądzę, że propozycja pana generała jest bardzo interesująca.

Sulimowicz kiwnął zadowolony głową. Następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni kożucha i wyjął magnetofon. Wyłączył go, patrząc pytająco na swojego rozmówcę. Biskup zrozumiał. Wyjął swój i również wyłączył.

– Cieszę się – generał osłonił twarz kołnierzem przed podmuchami zimnego wiatru – że możemy teraz porozmawiać prywatnie.

– Ja również – odparł duchowny.

– Na początek chciałbym dać dowód swej przyjaźni do księdza biskupa. – Sięgnął za pazuchę i wyjął teczkę oznaczoną napisem: „Tajne, speczniczenie”, którą przyniósł mu Siejka. – Proszę to przyjąć jako wyraz mojego szacunku dla waszej osoby.

Ksiądz otworzył ją i przerzucił pospiesznie zgromadzone w środku dokumenty. W trakcie ich przeglądania na jego twarzy nie drgnął bodaj jeden mięsień.

Sulimowicz westchnął głośno i powiedział:

– Dossier zebrali ludzie od niegodnych donosicieli. Czasem bywa tak, że zawiść miesza bliźnim w głowach i skłania ich do posądzania innych o najgorsze występki. Dlatego postanowiłem oddać to w wasze ręce.

- Postąpił pan, generale, bardzo szlachetnie. Cóż mogę odpowiedzieć? Chyba tylko to, że wybaczam wszystkim plugawym językom.
- Nie mówmy już więcej o tych sprawach.
- Robi się coraz zimniej.
- Ma ksiądz rację. Czas wracać.
- Nim jednak się pożegnamy – Eminencja przystanął, spoglądając w oczy Sulimowicza – czy mógłbym się odwdzięczyć za taki dowód przyjaźni?

Anna zmniejszyła prędkość. Samochód warknął na mniejszych obrotach. Włączyła migacz i skręciła z Krakowskiego Przedmieścia w ulicę Traugutta. Syknęła boleśnie, gdy koła wpadły w uliczną wyrwę. Pal diabli samochód, gorzej było z jej pupą.

Kilka minut później zaparkowała na Kredytowej. Dochodziła pierwsza po południu. Na placyku przed bankiem kręciło się kilku mężczyzn chowających głowy w wysoko podniesione kołnierze palt. Wydawali się zagubionymi przechodniami, którzy po przemierzeniu paru metrów wracali w to samo miejsce, z którego moment wcześniej wyruszyli. Potem dreptali w stronę przeciwną i znowu się cofali.

Kilkanaście metrów dalej, w głębi ulicy, stał milicyjny radiowóz. Siedzący na przednich siedzeniach opychali się kanapkami odwiniętymi z papieru śniadaniowego. Od czasu do czasu pociągali z kubka, coraz to napełnianego z wielkiego termosu w niebieskie grochy.

Anna dostrzegła Nietoperza. Stał z jakimś tykawatym mężczyzną, który lękliwie spoglądał w stronę stróżów porządku. W końcu obaj weszli do pobliskiej kwiaciarni. Kilka minut później nieznajomy wyszedł z bukietem. Na jego twarzy malował się wyraz radosnej ulgi i wyraźnego zadowolenia. Obejrzał się za siebie, a widząc, że milicjanci w tym czasie odjechali, cisnął kwiaty do ulicznego kosza na śmieci.

Uderzyła krótko w klakson. Nietoperz spojrział w jej stronę i machnął na powitanie ręką. Po chwili sadowił się obok.

- Podkręć ogrzewanie, bo cholernie zmarzłem.
- Zamiast siedzieć w domu, łazisz po mrozie z gołą czaszką.
- Jakbym słyszał mamę – obruszył się. – Komuna się wali i trzeba robić szybkie interesy.
- Nie powtarzaj tego nikomu – zrobiła poważną minę – ale słyszałam, że

pierwszy milion trzeba ukraść, żeby stać się szacownym biznesmenem.

– Jasne, ale trzeba mieć wystarczająco kasy, żeby milicja ci w tym pomogła.

– Milicja?

– Nie słyszałaś? Od dzisiaj, czyli pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, handel walutą w naszym ukochanym kraju jest zabroniony i będzie surowo karany. Utworzono specjalne wydziały, które nazwano dewizówkami.

– Skąd o tym wiesz?

– Chyba nie myślisz, że całe życie będę zdzierał buty przed bankiem, handlując walutą.

Nietoperz podkreślił radio. Z głośników popłynęła piosenka Rodowicz.

– Mała, rozejrzyj się uważniej dokoła – zatoczył łuk ręką. – Ten statek tonie. Nim ostatecznie pójdzie na dno, gliniarze mają jeszcze okazję zarobić na przyszły biznes, gdy ich wywalą ze służby. Dewizówka to jedno z ich kół ratunkowych.

– Więc przyszły na ciebie ciężkie czasy. – Nie odwracając się, wskazała na radiowóz, który stanął na poprzednie miejsce.

– Ależ skąd. – Nietoperz wzruszył ramionami. – Ci faceci zamiast uganiać się po mieście za złodziejami rowerów i alimenciarzami, pilnują mojego interesu.

– Że niby jak? – Odwróciła się, patrząc z niedowierzaniem w stronę milicyjnego auta.

– Ano tak. Trzeba monopolizować biznes, a ci goście w mundurach są najlepszym sposobem na przepędzenie konkurencji.

– I odstraszenie klientów.

– Wręcz przeciwnie. Umawiam się z facetami, którzy mają do zaoferowania duże sumy na wymianę. Wiedzą o wszystkim. Pod okiem władzy ludowej klienci mogą mieć pewność, że nikt nie zrobi ich w trąbę, weźmie na wajchę, lub wyrwie z ręki kasę i pogoni do najbliższej bramy. Pełna kultura. – Spojrzał na pobliską kwiaciarnię. – Dyskrecja. Ciepłutko. Zapach kwiatów.

– Zawsze miałeś dobry bajer.

– Tak myślisz? – Dla udowodnienia, że mówi prawdę, pomachał dłonią milicjantom. Ci kiwnęli głowami, odwzajemniając pozdrowienie.

– Okej, wierzę.

– Może więc – zaczął niepewnie – potraktujesz poważnie moją propozycję

sprzed dwóch miesięcy.

– Więc to nie był żart?

Jej przypuszczenie najwyraźniej go dotknęło.

– Oboje nie jesteśmy święci. – Cinkciarz przysunął twarz do twarzy Anny. W jego oczach wyczytała, że mówił serio. – Ale na swój sposób jesteśmy uczciwi. Ty jesteś ładna, ja mądry. Byłaby z nas idealna para.

– Nie sądzisz, że to trochę za mało na wspólną drogę?

– Na początek wystarczy.

– A jeśli nie?

– Powiedziałaś kiedyś, że lubisz forszę. Ja mam jej sporo i będę miał jeszcze więcej. Piękna kobieta i pieniądze to chyba zgrana para.

– Gdzie w tym miejsce dla ciebie?

– Kocham piękne kobiety i pieniądze.

– Dzięki za propozycję. Pomyślę... Gdybyś może miał ładniejsze oczy – skłamała.

– Gdzie się bawiłaś na sylwestra? – próbował zmienić temat rozmowy.

– Kameralnie.

– W zeszłym roku po sylwestrze pojechałaś na narty.

– Nie tym razem. Mam ochotę schować się przed wszystkimi i wyspać, do której będę chciała. Ale zanim to zrobię, mam do załatwienia interes.

– Jaki?

– Szwajcarski. – Wyjęła z kieszeni kożuszek roleksa.

Cinkciarz odsunął brzeg koszuli i pokazał zegarek na przegubie dłoni.

– Ruska pabieda i też dobrze chodzi.

– Ale do tyłu. – Zamknęła zegarek w dłoni, by schować go do kieszeni.

– Coś taka nerwowa?

– Myślałam, że cię nie interesuje.

– Sto dolców.

– Ile? – niemal zatkało ją z oburzenia.

– Sto baksów. Będziesz za to żyła cały miesiąc jak hrabina.

– Wolę jak królowa. A swój kit wciskaj komuś innemu.

– Coś taka nerwowa? Lubię pohandlować. Może masz dziś kiepski dzień i towar kupię za friko? Miałbym potem do siebie pretensję, że przepłaciłem.

– Czterysta i możesz nie wydawać reszty.

– Matko Boska. Chcesz mnie puścić z torbami? Masz sześćdziesięcioro dzieciaków na utrzymaniu!?

– Jedno mi wystarczy. Czterysta!

- Dam trzysta, ale robię to tylko dla ciebie.
- Nie truj, bo się popłaczę. Czteryście. I tak jeszcze dziś opchniesz go za dwa razy tyle, więc nie smuć.
- Liczygrosz sięgnął do kieszeni i zaczął pospiesznie przeliczać bony PKO.
- Wyrwała z jego dłoni zegarek.
- To nie ja, ale ty masz zły dzień. Mówiłam o dolcach. Te śmiecie wsadź sobie w dupę.
- Dostałaś okres, że jesteś taka narwana?
- Boli mnie dupa od siedzenia tu z tobą.
- Może pojedziemy do mnie? – Puścił do niej oko i podał cztery setki. – Znam niezły masaż. Może byś się wreszcie do mnie przekonała?
- Miło robić z tobą interesy. – Schowała pieniądze do kieszeni.
- Nie sprawdzisz, czy są prawdziwe?
- Po co? – wyduła lekceważąco wargi. – Przecież kurew się nie oszukuje. Może przyjdzie taki moment, że wszyscy zamkną przed tobą drzwi. Ja dla przyjaciół zawsze mam je otwarte.
- Szkoda, że nie jestem w twoim typie.
- ...
- Słyszałaś ostatni kawał? – Nietoperz próbował wrócić do poprzedniego luzu.
- ...?
- Bush, Gorbaczow i Wałęsa spotykają Pana Boga. Wszyscy są ciekawi, co przyniesie przyszłość. Pierwszy pyta prezydent USA: „Za ile lat będzie kryzys w moim kraju?”. „Za dwadzieścia” – odpowiada Pan Bóg. „To nie za mojej kadencji” – cieszy się Amerykaniec. „Za ile lat będzie kapitalizm w ZSRR?” – pyta pierwszy sekretarz. „Za trzydzieści” – mówi Bóg. „To nie za mojej kadencji” – stwierdza z ulgą Rusek. Pytanie zadaje Wałęsa: „Za ile lat zbudujemy w Polsce drugą Japonię?”. „A, to już nie za mojej kadencji” – odpowiada Pan Bóg.
- Anna skrzywiła usta. Który to już raz, w ciągu ostatnich lat, słyszała ten kawał? Za każdym razem ludzie śmiali się raz ciszej, raz głośniej, a otaczająca ich rzeczywistość była niezmiennie szaro-szara.
- Myślisz, że kiedyś znajdę taką kobietę jak ty? – wypalił nieoczekiwanie. Pocałowała go w usta.
- Szukaj.
- Jakoś mi to nie wychodzi.
- Powiedz...

– ...?

– Myślisz, że w tym kraju zmieni się na lepsze? – w oczach Anny pojawiła się niepewność.

Nietoperz powiedział z wewnętrznym przekonaniem:

– Musi. – Cmoknął ją w policzek, otwierając drzwi samochodu. – I to koniecznie za naszej kadencji... Inaczej będziemy mieli przesrane.

Siejka zamieszał łyżeczką w kubku z herbatą i zabrał się do dalszego przerzucania spisów akt. Spojrzał na swe niewyraźne odbicie w szybie, którą nakryto biurko. On już się zdecydował, ale jego drugie ja nadal piętrzyło wątpliwości. Musi z tym skończyć. Inaczej popełni błąd. Musi się skupić na celu i jego realizacji. Tylko wówczas może być pewien wygranej! Dotąd los go nie zauważał. Stale coś go spychało na koniec kolejki stojących po przydziałowy fart. Dosyć tego!

Ojciec stale powtarzał, że trzeba być zadowolonym z tego, co się ma. W końcu mogłoby być gorzej. Czy stary był zadowolony, gdy umierał na gruźlicę, leżąc na szpitalnym korytarzu? Cholera wie.

Odwiedził go na kilkanaście godzin przed śmiercią. Siedział jakiś czas przy łóżku, trzymając chłodną dłoń. Mówił do umierającego o nic nieznających sprawach. O tych z czwartego piętra. Że się rozwodzą. O byłym koledze szkolnym, który z powodzeniem handluje w wybudowanym przez siebie zieleniaku. Że na redzie w Gdańsku stoi statek z cytrusami, ale Solidarność nie kwapi się z jego rozładunkiem. O tym...

Kiedy nie miał już o czym mówić, uścisnął mocniej dłoń leżącego, jakby dając mu tym znak, że będzie się zbierał do wyjścia. Chciał wstać, lecz ojciec nie puścił jego dłoni. Zobaczył wysiłek na starej twarzy, a potem usłyszał zduszone pytanie:

– Dlaczego nigdy nie byłem z ciebie dumny?

– Dlaczego co...?

Leżący nie miał siły powtórzyć. A on udał, że nie zrozumiał pytania. Że nie dosłyszał. Że...

Tej samej nocy w butli stojącej przy łóżku ojca zabrakło tlenu. Nikt tego nie zauważył. Siejka skrzywił się do swego odbicia. Mimo wszystko stary miał fart. W końcu mógł umrzeć na ulicy.

Dosyć.

Zacisnął dłonie w pięści. Zrobi to. I niech nikt nie próbuje wchodzić mu w drogę. Przerzucił kolejną kartę rejestru. Potem następną. Kolejną. Wreszcie trafił na poszukiwany spis. Przetarł zmęczone oczy.

Wstał od stołu. Poszedł do toalety. Stanął przy pisuarze i rozsunął rozporek. Po porcelitowej ściance pociekła cienka strużka moczu. Musi iść zbadać prostatę. Obiecywał tak sobie od dwóch lat. Ponownie dał sobie słowo, że tym razem za kilka miesięcy zrobi kompleksowe badania. Za kilka miesięcy. Gdy będzie już po wszystkim.

W pokoju wypisał na kartce sygnatury poszukiwanych akt i ruszył między żelazne stelaże. Kiedy odnalazł właściwe teczki, wrócił z nimi do biurka. Przez następną godzinę uważnie studiował ich zawartość. Wreszcie zdecydował się na lekarza, który nosił pseudonim „Marcel”.

Wyjął z koperty wklejonej do teczki kilka fotografii. Ze zdjęć spoglądał około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Miał wysokie czoło, kształtne policzki, a ciemną czuprynę znaczyły pierwsze pasemka siwych włosów.

Przestudiował uważnie odręczne zapiski sporządzone przez oficera prowadzącego.

Doktor Ryszard Jelicz był chirurgiem plastycznym. Współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa podjął jeszcze na studiach w akademii medycznej. Ze zgromadzonych zapisków wynikało, że miał problemy w trakcie piątego roku. Kopia zaliczeniowej karty klinicznej, z kwietnia 1968 roku, z oddziału ogólnego Szpitala Bielańskiego, zawierała niemal same oceny niedostateczne. Na boku czyjaś dłoń dopisała: „Infantylny osobnik. Nie kwalifikuje się do czegokolwiek”. Z innych notatek można się było domyślać, że jej autorem był docent Herszlog. Chłopak mógł już postawić krzyżyk na studiach. Ale tego nie zrobił. Zgłosił się do Służby Bezpieczeństwa i doniósł, że prowadzący zajęcia w prywatnej rozmowie stwierdził, że woli wojnę egipsko-izraelską od przyjaźni polsko-radzieckiej. Opowiedział też, że docent zachęcał go do namawiania kolegów z roku, by przyłączyli się do strajków organizowanych przez studentów Uniwersytetu Warszawskiego.

Siejka mógł się domyślić losu oskarżonego o sprzyjanie syjonistom. Chłopak został nagrodzony za klasową czujność. W papierach Siejka znalazł kartę kliniczną z maja 1968 roku, z oddziału ogólnego... szpitala MSW. Widniały na niej czwórki i piątki.

Potem młody Jelicz uznał, że najszybszą drogą zrobienia kariery jest utracenie stojących mu na drodze konkurentów. Podtrzymywał więc kontakty

z SB. Przez wiele lat współpraca układała się dobrze ku zadowoleniu obu stron. Ostatnio został nawet ordynatorem Oddziału Chirurgii Ogólnoklinicznej Szpitala MSW. Coś się jednak zaczęło psuć. Notatki oficera prowadzącego sugerowały, że pan doktor aktywnie włączył się w działalność Solidarności. Podczas ostatniego spotkania agenturalnego kategorycznie zażądał wykreślenia go z rejestru SB, gdyż jednostronnie zrywa dalsze kontakty.

– Smutny palant. – Siejka skrzywił pogardliwie wargi.

Z rozłożonych na biurku papierów wybrał interesujące go dokumenty. Każdy skserował. Oryginały wsunął na powrót do teczki, kopie zaś schował do kieszeni marynarki.

Na zegarze minęła godzina siedemnasta. Powinien dziś jeszcze popracować. Sulimowicz stale żądał wyników. Nadrobi to jutro. Przez ostatnie trzy miesiące nie wychodził stąd wcześniej niż po dwudziestej trzeciej.

Sięgnął po telefon i wykręcił jeden z numerów zanotowanych w karcie kontaktów tajnego współpracownika. W słuchawce odezwał się miły kobiecy głos.

– Klinika chirurgii plastycznej, czym mogę służyć?

– Chciałbym zamówić wizytę u doktora Jelicza.

– Docenta – poprawiła kobieta. – Pańska godność?

– Siejka...

– Jak?

– Siejka... Sylwia. Irena. Edyta. Janina. Krystyna. Anna. To pilna sprawa.

– Rozumiem, ale pan docent ma wielu pacjentów. Najbliższy termin... – na moment zamilkła, a w słuchawce rozległ się szelest przekładanych kartek.

– Najwcześniejszy mogę zaproponować dwudziestego marca, za dwa miesiące.

– Mówiłem, że to pilna sprawa.

– Przykro mi.

– Dlatego cena nie gra żadnej roli.

– Wizyty z pominięciem kolejności są bardzo drogie.

– Nie ma to dla mnie znaczenia.

Po dłuższej chwili w słuchawce odezwał się jeszcze miłszy niż poprzednio głos:

– Ma pan dużo szczęścia. Może pan być przyjęty już jutro o godzinie szesnastej dziesięć.

- Doskonale. Byłem pewien, że się na was nie zawiodę.
- Miło nam to słyszeć.

Zebrał papiery i piętnaście minut później wyszedł z budynku na Rakowieckiej.

Kiedy idąc do samochodu, pomyślał, że za pół godziny będzie miał tę małą, penis skoczył mu do góry, wypychając nogawkę spodni. Gdyby nie palto... Na wszelki wypadek sprawdził, czy nie widać jego gwałtownej erekcji. Głębiej wsunął dłoń w kieszeń, zaciskając palce na fiucie i trzech tysiącach.

Wnętrze saloniku sprawiało wrażenie mieszczańskiego luksusu. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Stara rzeźbiona skrzynka tykającego na ścianie zegara była zwykłą plastikową atrapą. Podobnie rzecz miała się z wiszącym pod sufitem żyrandolem udającym styl art déco. Skaj imitował skórę na wielkiej rozłożystej kanapie i klubowych fotelach. W tym wnętrzu wszystko wydawało się pozorne i przewrotnie oszukańcze. Wszystko, prócz jędzowatej kobiety nieruchomo siedzącej w jednym z foteli. W żółtym świetle stojącej nieopodal lampy jej pomarszczona skóra twarzy sprawiała wrażenie maski zasuszonej mumii, w której żyły tylko oczy.

Stara po raz kolejny spojrzała na drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Chwilę potem po wąskiej kresce jej warg przebiegł grymas obrzydzenia. Dłonią o kościstych palcach obciążonych pergaminową skórą podkręciła potencjometr radiowego odbiornika.

Dążąc do siłowego zjednoczenia państw koreańskich – spiker cedził słowa ze znudzonym patosem – w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku agresorzy amerykańscy zaatakowali Koreę Południową. Wywołana tym wojna skutkowałą izolacją bohaterskiego narodu koreańskiego na arenie międzynarodowej. Mimo to wielki Kim Ir Sen dźwignął kraj z ruiny, korzystając z solidarnej pomocy państw socjalistycznej wspólnoty. To dzięki niej w krótkim czasie Koreańczycy odbudowali kraj ze zniszczeń, czyniąc go ważnym ogniwem...

Drzwi pokoju otworzyły się szeroko. Siejka wszedł do saloniku, bezceremonialnie dopinając rozporek. Na jego widok stara poderwała się z fotela i usłużnie podała setkę wódki. Major wziął do ręki szklanekę i wypił jednym haustem. Potem rzucił na stolik dwa tysiące i ruszył do wyjścia.

Kiedy trzasnęły zamykane drzwi, kobieta przeszła do łazienki. Tu stała już przygotowana miednica z ciepłą wodą, w której pływały gąbki. Dźwignęła wszystko i przeniosła ją do pokoju, gdzie w pościeli leżała odwrócona tyłem do wejścia naga dziewczyna.

– Rusz się. – Kościstym palcem trąciła w biodro leżącą. Dziewczyna drgnęła i po chwili, z trudem, przekręciła się na bok. – Postaraj się umyć... Aha, do końca tygodnia masz wolne. – Stara podniosła się z miejsca i rozsunęła w oknie zasłony.

Dzienne światło poraziło leżącą dziewczynę, która zamknęła gwałtownie powieki. Twarz miała opuchniętą. Na rozciętym policzku zaschła krew, a między dwiema drobnymi piersiami widniało kilka sinych pręg, które zadano leżącą w pościeli skórzaną pytą.

Po twarzy jędy ponownie przebiegł skurcz obrzydzenia.

Czyściel zaparkował samochód przed urzędem pocztowym. W oczach mijających go młodych chłopaków zobaczył zapalające się iskierki zazdrości. Lubił gustowne rzeczy, chętne kobiety i... szybkie samochody. A jego merc na prostej dochodził do dwustu dwudziestu w pięćdziesiąt osiem sekund.

Wszedł na chodnik i nacisnął automatycznego pilota. Za plecami rozległo się ciche mlaśnięcie zaskakujących zamków. Blondynka, którą dziś rano odwiózł do domu, była zachwycona wozem. Musiał jej obiecać, że jeszcze się spotkają i zabierze ją na przejażdżkę.

– Pojedziemy gdzieś za miasto i zrobimy to w samochodzie. – Pocałowała go w usta, wpychając mu dłoń między nogi. – A jak już będę blisko, to zaczniesz zamykać i otwierać drzwi. Nawet nie wiesz, jak ten dźwięk mnie podkręca.

Wszedł do urzędu i ruszył w stronę skrytek pocztowych.

– Przepraszam pana. – Jakaś staruszka podniosła laskę niczym szlaban, zagradzając mu drogę. W drugiej ręku trzymała wypełniany blankiet wpłaty. – Którego dziś mamy?

– Drugiego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. – Pochylił się w jej stronę, by lepiej usłyszała.

– Ale ten czas leci – zdziwiła się babina. – Jeszcze przedwczoraj był osiemdziesiąty ósmy. Dwa dni i roczek fiuu, przeleciał – wykrzywiła się smutno, odsłaniając bezzębne dziąsła. – Jak masz na imię, młody człowieku?

– Niedawno skończyłem czterdzieści lat.
– A ja osiemdziesiąt dwa, więc dla mnie jesteś smarkacz – zaśmiała się już weselej. – Więc jak?

– Chyba zapomniałem – szepnął jej głośno do ucha.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. – Starowinka machnęła zrezygnowana ręką.

Wzruszył ramionami i poszedł w swoją stronę. Wyjął z kieszeni marynarki klucz i otworzył drzwi skrytki. Do środka wrzucił kilka fotografii. Spojrzał na leżące na wierzchu. Przyszło mu na myśl, że spoglądający ze zdjęcia nieboszczyk ma spojrzenie podobne do tego, którym przed chwilą obdarzyła go starowina.

– Masz rację – kiwnął refleksyjnie głową. – Ten czas zasuwa jak mój merc. A może nawet i szybciej? Fiuuu i życie przeleciało.

Wrócił do samochodu. Włączył silnik i po chwili skierował auto w stronę ulicy Marszałkowskiej. Umówił się na spotkanie z rudym kociakiem w Niezapominajce. Jej firma chciała nawiązać z nim współpracę. Musiał zmienić smak po dzisiejszym natapirowanym blondasku. Obiecał sobie w myślach, że jeśli będzie ładna, to po tym jak dobiją interesu, zaprosi ją do siebie, a potem zerznie tak, że będzie pod nim jęczała, prosząc o jeszcze.

Kiedy zajął w kawiarni stolik, zamówił filiżankę kawy. Potem zaczął bezmyślnie rozglądać się po zadymionej sali.

„Jak masz na imię, młody człowieku?” – niedawne pytanie zabrzmiało mu w uszach. Cholera, właściwie to jak miał na imię? Zapomniał? A może raczej wymazał je z pamięci. Bogdan? Stanisław? Jurek...? Jakoś tak idiotycznie.

Dziewczyny zwracały się do niego: kochanie, misiaczku, pieseczku. W firmie nieodmiennie: panie prezesie. Mijani na ulicy ludzie: per pan. Specjalni klienci: Czyścielu. A przyjaciele...

Nie miał przyjaciół!

Oczywiście miał jakieś imię i nazwisko, tylko że w tym momencie nie mógł ich sobie przypomnieć.

Przez ostatnie dwadzieścia lat skutecznie zacierał po sobie wszystkie ślady. Dopiero gdy zgubił sam siebie w dziesiątkach granych ról, poczuł, że wreszcie jest bezpieczny. Że już nikogo nie musi się bać. Że nikt, nigdy, choćby nawet tego bardzo chciał, nie dowie się, kim jest naprawdę.

Lena zaparkowała samochód w bocznej uliczce. Mały fiat nie bardzo

pasował do pani prezes. Jeśli oczekujący jej w kawiarni spyta o samochód, powie, że przyjechała taksówką. Wyjęła z torebki kosmetyczkę. Przejrzała się w lusterku. Włosy okej. Szminka okej. Tusz na rzęsach okej. Spojrzała na paznokcie. Okej.

Sprawdziła swój wygląd niczym kasjerka, która pod koniec dnia kontroluje, czy wszystkie rachunki umieszczone zostały we właściwych przegródkach.

To była jej trzecia firma. Dwie poprzednie splajtowały, lecz ona wyszła z nich bez strat. Może dlatego wreszcie ktoś zauważył, że jest twardym graczem i nie pozwoli oskubać się byle chmytowi, który marzył o wielkim interesie.

Dziś był jej dzień. Wreszcie znajomy ruszył znajomego, a ten... Dostała kontakt na... Właściwie to jak on się nazywa? Przez chwilę bezskutecznie szukała w pamięci imienia i nazwiska. Jakoś sobie poradzi.

Zamknęła za sobą samochód i ruszyła w stronę Niezapominajki. Kiedy przekroczyła próg, od razu dostrzegła czekającego na nią w rogu sali mężczyznę. Ile mógł mieć lat? Trzydzieści? Może czterdzieści? Wyłapała jego spojrzenie – z pozoru zdziwione, niemal obojętne, a jednak czujne i dokładnie rejestrujące to, co się wokół dzieje.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła przed siebie dłoń. – To chyba pan na mnie czeka. Mam na imię Lena.

– Miło mi poznać... – powiedział, a potem bąknął coś niewyraźnie pod nosem.

Jak miał na imię? Bogdan? Stanisław? Jurek...? Jakoś tak...

Luz! W końcu imię nie jest ważne. Jeśli prawdą było to, co twierdzili znajomi, dzięki temu facetowi załatwi interes, który ustawi ją na najbliższych kilka lat – nawet po odliczeniu trzydziestu procent prowizji, jaką ten gość żądał za przysługę.

„Trzydzieści procent – przebiegło jej przez głowę. – To góra szmalu... Pieprzyć to! Zarobisz cztery razy więcej!!!”

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Zaskoczona trafiła na mur, którego nie mogła przeniknąć. Dotąd jej uroda, figura, elokwencja... Pozorna bezradność ślicznej trzydziestolatki zawsze przedzierała się przez taką zaporę. Wystarczyło, że spojrzała na faceta ciepło, a ten już w myślach rozpinał rozporek.

Ale nie tym razem...

„Potrzebuję pozwolenia – powtórzyła w myślach – na sprowadzenie z

Francji trzystu ton blachy miedzianej o grubości dwóch milimetrów. Reszta – dopowiedziała sobie – nawet to, co jest za twoimi oczami, głównie mnie obchodzi”.

Zaczęli rozmawiać o interesie. Kilka minut później złapała się, że siedzący na wprost niej mężczyzna w jakiś sposób ją fascynuje.

Stop. Najpierw obowiązek... Najważniejszy jest biznes! Potem...

Dawno nie była w łóżku z facetem, który, prócz dobrego kontraktu, mógł jej zaproponować coś więcej. Obiecała sobie, że jak dobiją interesu, a jego referencje okażą się sprawdzalne, zaprosi go do siebie, rzuci na kanapę i zerznie tak, że będzie pod nią jęczał, prosząc o jeszcze.

Rozdział trzeci

Bourgueil w połowie stycznia niczym nie przypominało gwarne miasteczka odwiedzanego latem przez turystów, którzy ciągnęli winnym szlakiem, przez Dolinę Loary, by zwiedzać średniowieczną katedrę i malownicze ruiny zamku myśliwskiego Ludwika XII.

Niewielki rynek otoczony wokół dwupiętrowymi kamienicami wydawał się drzemać, okryty puchową kołdrą śniegu. Stojąca pośrodku fontanna dźwigała białe czapy, przypominając stromą piramidę.

Nieliczni mieszkańcy, którzy musieli opuścić ciepłe wnętrza domów, przebiegali pospiesznie ulice z głęboko wtulonymi w kołnierze głowami. Niektórzy, jakby dla zaczerpnięcia ciepła przed dalszym etapem, wpadali do niewielkiej kafeterii. Witał ich ciepły podmuch od płonącego kominka zmieszany z aromatem kawy i tytoniowym dymem.

Chwilę po tym jak srebrny dzwonek zadźwięczał nad drzwiami, odzywał się ekspres, który syczał, puszczając obłoki pary, niczym zamierzająca ruszyć z kawiarnianego peronu lokomotywa. Kilka łyków gorącego smolisteo naparu, parę zdawkowych słów wymienionych z siedzącą za kontuarem właścicielką i niedawno przybyły biegł gdzieś dalej.

Jedynymi gośćmi, którym nigdzie się nie spieszyło byli: samotny mężczyzna spoglądający przez szybę na rynek oraz siedzący nieopodal sześćdziesięciolatek, którzy pochyleni nad planszą z warcabami odgradzili się od świata błękitną zasłoną fajczanego dymu.

Monsieur Damazy siedział przy wyjściu i spoglądał na ulicę, od czasu do czasu popijając kawę z filiżanki. W pewnej chwili jego dłoń zawisła w powietrzu. Filiżanka była pusta. Odstawił naczynie na spodeczek i spojrzał w stronę baru.

– Mogę prosić jeszcze jedną?

– Jak poprzednio?

Kiwnął tylko głową i ponownie odwrócił się w stronę okna. Niczemu szczególnie się nie przyglądał. Przez cały czas jego spojrzenie błędziło między fontanną, kamieniczkami a pobliskim wejściem do banku. Do godziny czternastej brakowało jeszcze kilku minut. Wówczas bank zostanie

ponownie otwarty po przerwie na lunch.

Damazemu nigdzie się nie spieszyło. Do Bourgueil przyjechał koło południa samochodem. Zwiedził katedrę z dziesiątego wieku. Otaczający ją klasztor był jednym z pierwszych, który w dolinie został pobudowany przez Pepina, następcę Karola Młota.

Jak przystało na leniwego turystę, dał się skusić na wycieczkę po piwnicach rozciągających się niemal pod całym miasteczkiem. Leżakowały w nich różne odmiany chinon. Za niewielką opłatą spróbował kilku roczników wina i przy wyjściu wręczono mu butelkę Couly-Dutheil z 1987 roku.

Kiedy dotarł do rynku, okazało się, że bank na godzinę zamknął swe podwoje. Usiadł zatem w pobliskiej kawiarni. Miał okazję zastanowić się nad ostatnimi dwoma tygodniami.

I pomyśleć, że jeszcze niedawno był pewien, że przeszłość została pogrzebana pod stosem zrywanych przez lata kartek z kalendarzy.

Sulimowicz wyjął fotografie z szarej koperty. Leżący na podłodze nieboszczyk wpatrywał się w obiektyw aparatu zdziwionym wzrokiem, jakby próbował zmusić tym robiącego zdjęcie do zaniechania wciśnięcia migawki. Jak się nazywał? Henryk jakoś tam...

Kiedyś minął go na korytarzu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Prócz ministra tylko on wiedział, że facet nadzoruje resort z ramienia MSW. Smutny bufon, któremu wydawało się, że skręci nienależącą do niego forszę.

Zaczął drzeć fotografie na podłużne paski. Chwilę potem włożył je do niszczarki, która pocięła wszystko na nieczytelne konfetti.

Na biurku zadzwonił telefon. Sekretarka zaanonsowała połączenie z dyrektorem generalnym Ministerstwa Przemysłu. Generał chwilę słuchał lizusowatego pieprzenia.

– Ale ja – dzwoniący nieszczerze westchnął nad swoją niedomyślnością – chyba niepotrzebnie zabieram towarzysowi czas. Z pewnością macie wiele pilnych spraw. Zamieniam się zatem w słuch.

– Za tydzień zgłosi się do was – sięgnął po kartkę z nazwiskiem – obywatelka Lena Sawicka. Wydacie jej zgodę na sprowadzenie z Francji trzystu ton blachy miedzianej. Szczegóły wyjaśni wam osobiście. Aha, chciałbym żebyście mieli świadomość, że jest to dla nas ważna sprawa, więc

niech wszystko zostanie załatwione bez zbędnej urzędniczo-papierkowej karuzeli.

– Ma się rozumieć. Właściwie to zgoda już jest załatwiona.

– Cieszę się – na moment w słuchawce zapadło milczenie. – Chcieliście jeszcze o coś spytać?

– Proszę wybaczyć, że przypominam taką drobnostkę, ale miesiąc temu...

– Prawda, paszport dla waszej synowej...

– Oraz mojego syna i jego dwóch córek.

– Zgłóście się pojutrze do biura paszportowego. Dokumenty będą na was, towarzyszu, czekały.

Odwiślał słuchawkę, nie czekając, aż tamten skończy litanie podziękowań.

Monsieur Damazy szedł aleją parku Tuileries w stronę Luwru. Dzień był słoneczny mimo zapowiadanego przez meteorologów chłodu. Do wiosny było jednak jeszcze daleko. Zatrzymał się przy pustej fontannie. Na jej dnie srebrzyła się popękana lodowa tafla, po której bezradnie spacerowała otumaniona chłodem kaczka.

Spojrzał na zegarek. Siedemnasta.

– Przepraszam...

Odwrócił się. Za nim stała młoda kobieta. Była średniego wzrostu. W ładnej twarzy płonęły migdałowe oczy okolone ciemnymi rzęsami. Kruczoczarne długie włosy wysypywały się spod nasuniętego na czoło kaptura kozuszcza.

– Przepraszam – powtórzyła, odsłaniając rząd ślicznych białych zębów – ale chyba zablądziłam. – Jej francuski był nienaganny, choć można było wyczuć, że jest cudzoziemką.

– Zgubiła się pani?

– Właśnie.

– W czym mógłbym pomóc?

Stała przed nim Josephine. Umówił się z nią w Ogrodach Tuileries w trakcie noworocznej rozmowy.

– Szukam rue de Bourdonnais. Jest tam kawiarnia Le Petit Trianon. Podobno podają w niej najlepszą w Paryżu kawę.

– Kawę i croissanty, ale koniecznie trzeba wybrać te z nadzieniem czekoladowo-migdałowym.

Miał wrażenie, jakby ostatnie słowa wypowiedział za niego ktoś inny, ktoś, kogo już dawno pogrzebał we wspomnieniach. Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej oczy, przepełnione dotąd naiwno-dziecinnym zagubieniem, przybrały wyraz chłodnego skupienia.

– Przejdźmy się kawałek – zaproponowała.

Ruszyli spacerem w stronę Luwru. Przez chwilę szli w milczeniu. W dziwnej ciszy, która wokół zapadła, słychać było jedynie chrzęst zgniatanego śniegu.

– A gdybym nie stawiał się na spotkanie? – Spojrzał na idącą obok Josephine.

– Zadzwońabym powtórnie. A gdybyś i wówczas się nie zjawiał, to...

– Co wtedy?

– Na granicy stoi transport wysłany przez paryski oddział organizacji polonijnej. Prócz lekarstw ukryto w nim powielacze dla działaczy Solidarności. Chyba nie jesteś ciekaw reakcji przyjaciół i znajomych, gdyby dowiedzieli się, że wpadka była twoim dziełem. Gdyby jeszcze wyszło na jaw, że przez lata byłeś czynnym agentem wpływu...

– Przecież to nieprawda.

– Prawda. Nieprawda. To rzecz względna. Myślisz, że się mylę?

– ...

– Po co o tym mówimy? Przecież stawiałeś się na spotkanie. – Podała mu książkę. Na okładce dostrzegł tytuł: *Dama kameliowa*. Potem uśmiechnęła się sztucznie. – Przyjemnej lektury. – Odwróciła się i odeszła w stronę wejścia do metra znajdującego się na dziedzińcu pałacowym.

Kiedy wrócił do domu, rozdarł okładki. Znalazł tablice kodowe. Teraz wystarczyło sięgnąć po egzemplarz Tomasza Manna, *Józef i jego bracia*, który wręczono mu przed laty, w dniu wyjazdu z Polski.

– Pańska kawa. – Właścicielka kafeterii postawiła na stoliku pełną filiżankę.

– Chciałbym od razu zapłacić.

– Trzydzieści cztery franki.

Dał jej czterdzieści i po chwili znowu był sam.

Josephine z pewnością nie miała pojęcia, jaka wiadomość została mu przekazana. Po złożeniu liter odczytał przekaz. Była to lista sześciu banków.

Jego zadaniem było zgłosić się do każdego i pobrać całość pieniędzy, które znajdowały się w tamtejszych skrytkach. Za każdym razem obowiązywało jedno hasło numeryczne składające się z osiemnastu cyfr. Do końca lutego całość miała znaleźć się w skrytkach West Banku.

Bourgueil było ostatnim miasteczkiem na jego trasie. Przez ostatnie dwa tygodnie odbywał podróże we wskazane miejsca na terenie Francji. Do tej pory w paryskiej skrytce znalazło się ponad dziewięć milionów franków.

Początkowo sądził, że przyjdzie mu odbierać rolki szpiegowskich mikrofilmów, tajne dokumenty, szyfrogramy. Kiedy po raz pierwszy szedł do banku, bezustannie dyskretnie się rozglądał przekonany, że jest śledzony.

Nim pchnął drzwi wejściowe, przesiedział godzinę w restauracji, połykając kilka proszków uspokajających.

W efekcie wszedł do oddziału Credit Suisse lekko otumaniony.

– Czym mogę służyć szanownemu panu? – młoda dziewczyna w okienku obdarzyła go urzędniczym uśmiechem.

– Chciałem zlikwidować skrytkę.

– Jakiego typu? Imienna, hasłowa czy też...

– Szyfrowa.

Dziewczyna podała końcówkę komputerowego terminalu, by wstukał odpowiedni kod dostępu. Wciskając cyfry, Damazy modlił się w duchu, by nie pokręcić wyuczonego na pamięć szeregu.

Niepotrzebnie się stresował. Wszystko odbyło się bez najmniejszych zgrzytów. Wezwany strażnik zaprowadził go długim korytarzem do działu skrytek. Pozostawił samego w pokoju, by po chwili przynieść metalową kasetę. Potem wyszedł, dyskretnie zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Damazy został sam, niepewnie rozejrzał się dokoła. Czy pomieszczenie było monitorowane? Identyczne hasło składające się z kombinacji osiemnastu cyfr otworzyło wieko.

Z pierwszego banku wywiózł siedemset trzynaście tysięcy sto trzynaście franków. Te dwie trzynastki zapaliły w jego głowie lampkę sygnalizacyjną. Kiedy i gdzie zapadły mu w pamięć? To było coś ważnego. Był tego pewien!

Kiedy przekraczał próg przedostatniego banku, był już wyluzowanym, pewnym siebie, nawet nieco rozkapryszonym klientem.

Spojrzał na zegarek. Czternasta piętnaście. Już czas. Wstał i podszedł do wieszaka na palta. Skinął głową na pożegnanie siedzącej za kontuarem kobiecie i wyszedł na dwór. W twarz uderzył Damazego mroźny podmuch, który na sekundę pozbawił go oddechu.

Schylając głowę przed napierającym wiatrem, przebiegł kilkadziesiąt metrów. Pchnął obrotowe drzwi i znalazł się w ciepłym wnętrzu. Poprawił przewieszoną przez ramię torbę. Była w środku pusta. Ile tym razem wyniesie pieniędzy?

- Chciałem prosić o otwarcie skrytki – zwrócił się do młodego urzędnika.
- Jakiego typu? Imienna, hasłowa czy też...
- Szyfrowa.

Dalej wszystko potoczyło się utartym torem. Wpisał na komputerowym terminalu odpowiedni kod, następnie wypełnił stosowne dokumenty. Okazało się, że powinien dopłacić trzysta osiemdziesiąt franków, gdyż skrytka była opłacona tylko do końca 1988 roku.

Potem wraz ze strażnikiem przeszedł do pomieszczenia, gdzie przyniesiono mu kasetę. Kiedy ją otworzył, w środku znalazł równo poukładane paczki banknotów. Powoli przeliczył zgromadzone pieniądze. Dziewięćset tysięcy dwanaście franków. Końcówka go rozśmieszyła. Przez chwilę przyglądał się rozbawiony dwóm monetom jednofrankowym.

W głowie ponownie zapaliła mu się czerwona lampka. W pierwszej chwili nie zwrócił na ten sygnał uwagi. Za bardzo był zajęty upychaniem pieniędzy do torby.

Dopiero w drodze powrotnej jakiś element układanki wreszcie trafił na właściwe miejsce i nieoczekiwanie wszystko stało się dla niego jasne.

– Nieprawdopodobne – wyszeptał bezgłośnie. Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Chwilę gapił się bez celu przed siebie, nie mogąc zebrać myśli. – Jeśli to wszystko jest prawdą... – głos na moment zamarł mu w krtani – to wdepnąłem w najbardziej śmierdzące gówno, jakie tylko mogło leżeć na mojej drodze.

Elwira podeszła do automatu telefonicznego w hotelowym holu. Wrzuciła dwa złote i wykręciła numer domowego telefonu Anny. Od chwili gdy spotkały się w windzie w sylwestra, minęły dwa tygodnie. Przez ostatni rok widziały się prawie każdego wieczoru. Czyżby znowu wyrwała się z jakimś adoratorem na narty? Z pewnością powiedziałyby jej o tym. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Łączyło je coś więcej niż tylko nić sympatii. Rozumiały się nawzajem bez słów. Elwira była pewna, że Anna gra kogoś, kim w rzeczywistości nie jest.

Bezustannie mówiła o pieniądzach. Stale je przeliczała, kalkulowała, zastanawiała się, co się jej opłaci. To był pozór, maska dla zmylenia innych.

Może dlatego coś między nimi zaiskrzyło. W gruncie rzeczy były do siebie podobne. Na zewnątrz twarde, drwiące ze wszystkiego i wszystkich, wewnątrz zaś kruche, zagubione, szukające ciepła i bezpieczeństwa.

Elwira była przekonana, że tak jest. Ona była taką osobą. Dlaczego chciała, żeby jej przyjaciółka była do niej podobna? Ktoś kiedyś powiedział, że ludzie zakochani widzą rzeczy ukryte przed innymi. Przez długi czas nie chciała się przed sobą przyznać do tego uczucia. Nie mogło spotkać jej coś tak idiotycznego. To byłoby dobre w przedwojennym romansie pisanym dla kucharek. Hm, może z drobnymi korektami.

Sygnał niepodejmowanej rozmowy buczał jednostajnie w słuchawce. Zawiedziona już miała zamiar odwiesić ją na widełki, kiedy odezwała się automatyczna sekretarka.

– To ja – rzuciła rozczarowana. – Gdzie się podziewasz? Stęskniłyśmy się za tobą. Jedni mniej. Drudzy więcej... Ja więcej. Wiesz, że twój Angol złożył skargę w recepcji, że zginął mu rolex? Patrzyli na niego jak na idiotę.

Przez ramię zobaczyła zbliżającą się Helenę, która spytała:

– Rozmawiasz z nią?

Pokręciła przecząco głową i powiedziała:

– Automatyczna sekretarka. – I dodała do słuchawki: – Masz pozdrowienia od Heleny. Wpadniesz do Bristolu dziś wieczorem, czy robisz sobie wolne? Jakby co, daj znać. Całuski. Pa, pa. – Odwiesiła słuchawkę na widełki. Ruszyły do baru. Kilku mężczyzn stojących przy szatni odprowadziło je spojrzzeniami.

Helena miała na sobie czarny kostium doskonale uwypuklający kształty jej ciała. Kasztanowe włosy spływały niesforną falą na ramiona. Była filigranową szatynką o oczach wiecznie zdziwionego dziecka, które jakoby po raz pierwszy zobaczyło otaczający je świat. Wszyscy faceci dawali się na to nabierać. Nawet jej były mąż.

– Przez prawie rok – opowiadała kiedyś w gronie przyjaciółek – prosiłam ślubnego, by nie palił w toalecie. Nienawidzę, jak śmierdzi w kiblu. Poza tym zawsze wtedy przypomina mi się ojczym, który wracał zalany po robocie i tłukł matkę. Prosiłam więc grzecznie, by miał jakiś wzgląd na moje skrzywione dzieciństwo. A ten nic. Gadał tylko: „Kruszynko, nie denerwuj się” i nadal robił swoje. Nie powiem, prócz tej jednej wady miał sporo zalet. Ale w rok po ślubie miarka się przebrała. Tamtego dnia kupiłam wielką

żeliwną patelnię. Kiedy dostał jej kantem w jaja, złożył się jak scyzoryk. Wcześniej zaczęłam brać lekcje tenisa. Wzięłam rozmach z obu rąk i... trach! Fiut wyleciał przez kuchenne drzwi aż do przedpokoju. Podobno backhand zawsze był moją mocną stroną.

Złamany nos, pęknięta szczęka. Wezwany lekarz pogotowia najpierw... zajął się szlochającą Heleną, wystraszonym puszkciem-okruszkiem, zamiast jęczącym delikwentem.

Elwira nosiła dwuczęściowy kostium w srebrzystym odcieniu. Makijaż upodabniał ją nieco do zmysłowej kotki, rozkapryszonej, leniwej i przewrotnej, która wystawiała ostre pazurki na widok każdego faceta. Jeśli zaś chodzi o kobiety... Elwira potrafiła cicho mruzczyć.

Usiadły przy stoliku w głębi sali.

– Trzeba było jej powiedzieć o moich urodzinach. – Helena poprawiła przewieszoną przez ramię torebkę.

– Kiedy masz te urodziny?

– Za tydzień. W czwartek.

Nieoczekiwanie przy stoliku stanęła Olga. Miała około dziewiętnastu lat. Była trochę puszysta, co szczególnie podobało się gościom z Niemiec, a ją samą wprowadzało w przygnębienie. Pretensje do losu miała zwłaszcza o to, że obdarzył ją wielkim biustem.

– Widziałam ją na mieście z jakimś facetem – powiedziała. Przysunęła sobie krzesło i kiwnęła w stronę kelnera.

– Kogo? – Elwira i Helena spytały niemal równocześnie.

– Ankę.

– Cooo?! Kiedy?!

– Tydzień temu. Jadę ze swoim Helmutem. Przejeżdżamy Alejami Ujazdowskimi. Zobaczyłam ich z samochodu. Wyszli z bramy Parku Łazienkowskiego. Trzymali się za ręce. A może tylko mi się tak wydawało. Nie mogłam sobie odmówić, by nie zobaczyć, dokąd idą. Kazałam swojemu się zatrzymać.

– Może to klient? – Elwira machnęła lekceważąco ręką.

– Jak wyglądał? – Helena przysunęła się bliżej mówiącej.

– Przystojniacha – cmoknęła z miną znawczyni Olga. – Ale na moje oko to krajowy sort.

Kelner postawił przed siedzącymi kobietami szklanki wypełnione po brzegi kostkami lodu oraz butelki coca-coli.

– Polak? – prychnęła z niedowierzaniem Elwira.

– Aha – potwierdziła Olga.

– Przecież to nie w jej stylu. Stale powtarza, że z Polaczkami się nie zadaje.

– Nie wiem, co jest, a co nie jest w jej stylu. – Olga sprawdziła w lusterku makijaż. – Mnie by taki amant przypasował jak nic. Widziałam, jak wsiedli do poloneza i... – nie dokończyła wpatrzona w lusterko, w którym obie mogły obserwować salę za plecami. – O kurwa! To on? – zgryzła głośno kostkę lodu.

Elwira spojrzała w stronę wejścia.

– Ten w tweedowej marynarce?

– Aha.

Nieznajomy ruszył w stronę baru. Przywołał dłonią kręcącego się za kontuarem pracownika. Chwilę o czymś ze sobą rozmawiali. Potem barman wskazał stolik, przy którym właśnie siedziały.

– O matko! – Helena cicho pisnęła. – Idzie w naszą stronę.

Olga chciała coś powiedzieć o swoim makijażu, lecz tylko głośno sapnęła z przejęcia.

– Można? – Andrzej wskazał wolne krzesło.

– Jasne – uśmiechnęła się czarująco Helena.

– Powiedziano mi, że mogę tu znaleźć pomoc w pewnej sprawie.

– Udzielanie pomocy potrzebującym to nasza specjalność. – Olga płochnie zatrzepotała powiekami.

– Tak – Helena kiwnęła głową – wspieranie bliźniego jest najważniejsze.

– Szukam kogoś. – Skinął na kelnera, wskazując na stojące przez dziewczynami szklanki z colą. – Dla mnie to samo.

– Prawdziwi faceci piją tu burbona – rzuciła drwiąco Elwira.

Nie stracił rezonu, wskazując ruchem głowy na stojący nieopodal automat do gry.

– A potem chwałą się przed tobą, jak pięciocentowymi strzałami rozwalili kosmiczną armadę Marsjan?

– Podobasz mi się. – Helena kiwnęła z uznaniem głową.

– A mnie... Nieszczególnie. – Elwira wzięła swoją szklankę i odeszła.

– Szukasz Anny? – Helena zamieszała słomką w szklance Olgi.

– Wiesz coś na jej temat?

– Myślałam, że dowiem się od ciebie.

– Widzieliśmy się kilka dni temu, ale od tamtej pory nie daje znaku życia. To u niej normalne?

- Mój lekarz powiedziałby, że nie. – Puściła do niego oko. – Ale ja bym mu nie wierzyła. Ostatnio zabrali go na przymusowy odwyk.
- To pech.
- Spróbuj zadzwonić.
- Nie odpowiada.
- Może nie jesteś tym królewiczem, na którego czeka.
- Tak myślisz? – udał zastanowienie.
- Nic nie myślę. Nigdy nie byłam królową.

Monsieur Damazy spojrział zrezygowany na piętrzące się przed nim roczniki „Le Figaro”.

Czyżby się mylił?

Nic w nich nie znalazł. Żadnego potwierdzenia swoich przypuszczeń. A przecież był niemal pewien...

Wstał z miejsca i zaczął krążyć po ciasnym pokoju, powtarzając w myślach: „Z pierwszego banku wywoziłem siedemset trzysta tysięcy sto trzysta franków...”

Cholera, dlaczego nie potrafi sobie przypomnieć?

Nieoczekiwanie drzwi do archiwum otworzyły się szeroko. Stanął w nich Jean. Jego piegowata twarz jak zwykle wyrażała zadowolenie.

– Mam coś.

– Czyli co?

Chłopak wskazał na trzymane w ręku zszywkę.

– Miało to pójść do oprawy, ale gdzieś się zawieruszyło... Grudniowe wydania „Le Figaro” z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. – Położył tygodniki na stole.

– Dziękuję ci bardzo. – Monsieur Damazy wrócił na poprzednie miejsce. Już w drugim numerze znalazł to, czego szukał. Zatem miał rację. Uradowany zacisnął dłonie w pięści. – Teraz – rzucił w stronę okna – obowiązują moje reguły gry.

Dzwonek telefonu rwał się nerwowo. Anna właśnie wychodziła. Zatrzymała się w progu. Kto dzwonił? Odezwała się automatyczna

sekretarka, która poprosiła o pozostawienie wiadomości.

– To ja... Andrzej... Proszę, podnieś słuchawkę... – Który to już raz dzwonił w ciągu ostatnich dni? – Aneczko...

Wzruszyła ramionami i zamknęła za sobą drzwi wejściowe. Na klatce schodowej spotkała Teresę.

Wraz z rodziną zamieszkała tu przed kilkoma miesiącami. Nie pasowali do reszty mieszkańców bloku.

Kilka tygodni po tym, jak się sprowadzili, sąsiadka z parteru zatrzymała Annę, gdy wyjmowała list ze skrzynki. Tamta najwidoczniej wracała od fryzjera, gdyż na głowie miała sztywną od lakieru szopę włosów poskręcanych w blond loczki.

– Nie wie pani, kim są ci nowi? – spytała.

W pierwszej chwili Anna nie bardzo zrozumiała, o kim mówi.

– No, ci biedacy. Podobno dostali przydział z kwaterunku i – nachyliła się do jej ucha – mają na nazwisko Krüger. Widziała pani, jak oni chodzą ubrani? Zupełnie nie rozumiem tego wszystkiego. W końcu ludzie po to płacą ciężkie pieniądze na zakup własnościowego lokalu, żeby mieszkać w przyzwoitym towarzystwie, a nie z jakimiś tam...

Najwidoczniej oczekiwała, że ona wyrazi podobne oburzenie. Anna poczuła wzbierającą złość na wyfiokowanego pudła.

– Prawdę mówiąc – odpowiedziała ze słodkim uśmiechem – nigdy nie wiadomo, czyi rodzice paśli krowy.

– No wie pani – tamta niemal zakrztusiła się z oburzenia. – Wypraszam sobie. To miało być niby pod moim adresem?

– *Mais c'est clair comme le jour* [Z]!

– Że co?

– Jajco, miła pani.

Jeszcze tego samego dnia, wracając po południu do domu, zobaczyła nową lokatorkę.

– Coś się stało? – Anna spojrzała na opartą o drzwi wypchaną torbę ze sprawunkami i małą Krzysię siedzącą na wycieraczce.

– Nic takiego. – Teresa machnęła nieprzekonująco ręką. – Wysłałam po zakupy i zapomniałam wziąć ze sobą klucze do mieszkania. Mąż poleciał do teściowej zanieść obiad i masz babo placek.

– Zapraszam do siebie. Zrobię herbatę. – Wskazała drzwi mieszkania.

– Ależ nie trzeba. Za duży kłopot. – Teresa najwyraźniej była wystraszona takim obrotem sprawy.

– Proszę mi mówić po imieniu. Co prawda na chrzcie dano mi Anastazja, ale – dokończyła wesoło – ale wolę swojską Anię. Żaden kłopot. – Wzięła jej torbę, zmuszając, by za nią weszła. – Widzę, że mała jest zmęczona.

– Jeśli tak pani mówi... – dała wreszcie za wygraną Teresa.

Przekroczyła próg domu, ale nie odważyła się iść dalej. Została z małą przy drzwiach, jakby się bała zdeptać rozłożony w przedpokoju włochaty jasny dywan.

– Proszę za mną. – Anna skinęła zachęcająco. – Śmiało.

Weszły do kuchni.

– Zaraz nastawię czajnik. Jaką herbatę pani lubi? Lipton? Earl grey?

– Może być nasza zwykła.

Anna ugryzła się w język. Palnęła głupstwo.

– Oczywiście, nasza – powiedziała i zaczęła się krzątać. Wyjęła filiżanki. Postawiła na stole cukier. – Pomoże mi pani przenieść to do pokoju?

– Oczywiście. – Teresa wzięła tacę. Kiedy stanęła w progu, zatrzymała się na moment. – Ślicznie pani mieszka.

Kilkanaście minut później rozmawiały ze sobą jak stare znajome. Teresa była pielęgniarką w Szpitalu Praskim. Dotychczas mieszkali na Pelcowiznie.

– Warunki nie były najlepsze. Jeden pokój. Toaleta na podwórku. Na korytarzu kuchnia. Wspólna dla trzech rodzin. Ale sąsiedzi byli bardzo mili. Trzymaliśmy się razem. Jak komuś zabrakło przed pierwszym, to inni zawsze służyli wsparciem. Tak po prostu, z potrzeby serca. Ale musieliśmy się wyprowadzić. Budynek groził zawaleniem. Stefan, znaczy się mąż, poszedł do pierwszego sekretarza w fabryce. No i ten pomógł nam dostać to mieszkanie. Prawdę mówiąc, wolałabym stare śmieci. Tu jakoś nie pasujemy.

Anna otworzyła butelkę coca-coli i nalała napój do szklanki. Podsunęła małej, która stała obok matki i trzymała ją za skraj spódnicy. Dopiero teraz dostrzegła, że Krzysia, niczym urzeczona, wpatrywała się w róg pokoju. Tam, na stoliku, obok półki z książkami, stało kolorowe pudełko. W środku lalka Barbie, ubrana w piękną balową suknię. Przypomniała sobie o zabawce. Przed Nowym Rokiem miała zanieść ją... Jak mogła zapomnieć?

„Jak mogłaś? Jak? – zaczęła w duchu przedrzeźniać swoje drugie ja schowane gdzieś w niej głęboko. – Cholera! Mogłam. Zapomniałam! Jutro wszystko naprawię. Tak, jutro”.

– Coś się stało? – Teresa dostrzegła grymas na twarzy Anny.

– Nic, nic – zwróciła się do dziewczynki. – Podoba ci się lalka?

– Krzysia nie słyszy. – Przez twarz Teresy przebiegł bolesny skurcz. – Ma

jakąs wadę. Lekarze mówią, że dałoby się to wyleczyć, ale...

– Ale?

– Kuracja jest bardzo kosztowna.

Anna wstała z miejsca. Przeszła przez pokój i wzięła pudełko. Potem kucnęła przed małą i podała jej zabawkę. Jednocześnie kiwnęła przy tym głową, jakby chciała powiedzieć: „To dla ciebie”.

Krzysia wyciągnęła ręce, lecz sekundę później schowała je za siebie. Spojrzała pytająco na matkę. Annę zakłuła w sercu zazdrość, a może to był żal?

– Pozwól jej – poprosiła.

Teresa kiwnęła przyzwalająco.

Krzysia przytuliła do siebie pudełko z roziskrzonymi oczami.

– Chyba małej spodobał się prezent – chciała powiedzieć swobodnie Anna, lecz w jej głosie zadźwięczała nuta smutku.

– Mogę o coś spytać? – Teresa pogłaskała córkę po głowie.

– Jasne.

– Masz dzieci?

– Córkę – ponownie coś ścisnęło jej gardło. – Jest teraz u mojej mamy. Nie mówmy o tym.

– Mogę spytać, co robisz?

Anna naląła sobie z czajnika kolejną filiżankę.

– A jak myślisz?

– Masz w domu tyle książek. – Sąsiadka rozejrzała się po pokoju. – Pracujesz gdzieś w urzędzie?

Anna zaśmiała się głośno, jakby usłyszała dobry żart.

– Pracuję z różnymi facetami, najczęściej obcokrajowcami.

– To musi być ciekawe zajęcie.

– Powiedziałabym raczej, że dochodowe.

– Cieszę się, że cię poznałam. Odkąd się sprowadziliśmy, czułam się tu jakoś tak... Jakby wokół była pustka. Jakbym żyła między obcymi.

– Może teraz to się zmieni?

Kiedy godzinę później z korytarza dobiegł szczeł kluczy, Teresa poderwała się z miejsca.

– Mąż wrócił. Dziękuję za mile spędzony czas i za lalkę dla Krzysi.

– Cieszę się, że się poznałyśmy.

Kiedy dochodziły do drzwi wyjściowych, Anna poczuła, jak mała pociągnęła ją za sukienkę. Przykucnęła.

– Chciałaś mi coś powiedzieć?

Krzysia pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Chwilę potem schowała się za matkę.

Kiedy Anna została sama, wróciła do pokoju. Spojrzała na telefon. Przypomniała sobie o wiadomości pana Takedy. Sympatyczny żółtek. Umówiła się z nim na dziewiątą. Która to godzina? Dopiero ósma. Do spotkania została jeszcze godzina. Nie musiała się spieszyć.

Sprzątnęła ze stołu filiżanki i zostawiła wszystko w zlewie. W przedpokoju sięgnęła po płaszcz. Wzięła kluczyki od samochodu i wyszła z mieszkania. Zbiegła po schodach. Przed domem ruszyła w stronę pobliskiego parkingu.

Dlaczego od tygodnia nie odbierała telefonów? Zamknęła drzwi przed całym światem, jakby się czegoś wystraszyła. Czego? Uruchomiła silnik. Ruszyła ostro, rozchlapując na boki pośniegowe błoto.

– Jedź, matole! – krzyknęła do kierowcy, który mimo zmiany świateł stał na skrzyżowaniu. Rozzłoszczona uderzyła dłonią w klakson. Co się z nią dzieje? Zawsze karnawał kolejnego roku mijał jej wesoło. Kolorowe noce, zabawa... Teraz schowała się w domu. Wychodziła jedynie po niezbędne zakupy. W ciągu dnia siedziała w fotelu, czytając książki. Wieczorami gapiała się w telewizor i wcześniej szła spać. To było do niej zupełnie niepodobne.

– Przestraszyłaś się, mała – rzuciła do swego odbicia w lusterku wstecznym.

Od zabawy sylwestrowej zaczęła spotykać się z Andrzejem. To również było do niej niepodobne. Umawiali się w małych kawiarniach. O czym ze sobą rozmawiali? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Było jej z nim dobrze. Idąc na kolejne spotkanie, tłumaczyła sobie, że to tylko kaprys. Chwilowy. Oszukiwała się.

W połowie stycznia dała się namówić Andrzejowi na bal karnawałowy. Wokół toczyła się zabawa, wirowały światła, ludzie śmiali się, całowali. Oni zaś, niczym dwoje nastolatków, siedzieli przy stoliku, nie mogąc od siebie oderwać oczu...

Jakiś pijany zatoczył się w ich stronę. Gdyby nie towarzysząca mu kobieta, zwaliłby się na blat. To ją wówczas otrzeźwiło. Już raz płakała. Dosyć tego. Pod pretekstem wyjścia do toalety wymknęła się z sali. Pobiegła do szatni. Odebrała kożuszek i zniknęła w nocnej zamieci.

Uliczny chłód ją otrzeźwił. Usłyszała głos Andrzeja. Wybiegł za nią, lecz zgubiła go w śnieżycy. Zdyszana biegiem zatrzymała się w Parku Saskim. Wichura uspokoiła się. Zapadła cisza. W świetle zawieszzonego na niebie

księżycyca bezgłośnie wirowały płatki śniegu. Już wiedziała, dlaczego uciekła, czemu nie odpowiedziała na wołanie. Przestraszyła się: rodzącej się w niej tęsknoty, marzeń, przychodzących nocami snów. Nie chciała tej miłości. Przecież coś tak głupiego nie może jej spotkać po raz drugi.

Zaparkowała nieopodal Bristolu. W drzwiach przywitał ją szwajcar. Spojrzała na znajome światła palące się za szybami restauracji. Tu była u siebie i tu nikt nie mógł jej zranić.

– Dzień dobry, panie Tadeuszu. – Podeszła do Nochala stojącego na dworze w hotelowym uniformie.

– Witam, pani Aniu.

– Proszę nie pytać, dlaczego dawno mnie tu nie było.

– Jak zwykle ślicznie pani wygląda.

– Jak zwykle jest pan bardzo szarmancki. – Chciała pocałować go w policzek, lecz nie zrobiła tego, przypominając sobie jego niedawną prośbę.

– Kierownik zmiany to wredny typ. Szuka pretekstu, żeby się mnie pozbyć, a ja jeszcze nie skończyłem budowy domku.

Kiedyś nad ranem spotkali się w barze. Zamykano już salę. Pan Tadeusz skończył dyżur. Usiedli w rogu. Właściwie mówił tylko on. O swej pracy, o tym, że kiedy ją kończy, z niecierpliwością czeka chwili, gdy znowu stanie na podjeździe w uniformie szwajcara.

– Wszyscy, którym to mówię, mają podobną do pani minę.

– Myślałam, że udało mi się ukryć zdziwienie.

– Jedni zostają ministrami, pisarzami, dziennikarzami, ja zaś tym, kim jestem, i nie mam zamiaru zmieniać profesji. Dobrze jest znaleźć swe miejsce, niczym właściwie dopasowany do układanki element. Pani jeszcze swojego nie znalazła.

– Tak pan sądzi? – rozbawiła ją ta uwaga.

– Znam się na ludziach. Za każdym razem, gdy pani przychodzi, widzę palący się w pani oczach promyk niecierpliwości.

Dlaczego przypominała sobie teraz tamtą rozmowę? Najlepiej zapomnieć. Jak najszybciej.

Usiadła przy barze, czekając, aż barman poda jej szklankę z tonikiem. Niemal równocześnie dosiadł się Japończyk.

– Mi dużo, pan Takeda, opowiadać o tobie?

– To miło z jego strony – przywołała na twarz wyraz radosnego zainteresowania.

– Jesteś podobno dobra... bardzo. Prawda?

– Najlepsza...

Nieoczekiwanie ktoś stanął za Japończykiem i klepnął go w ramię. Skośnooki odwrócił się, trafiając nosem w otwartą legitymację.

– Służba Bezpieczeństwa – wypowiadający słowa Andrzej najwyraźniej hamował się, by nie wybuchnąć.

Japończyk na moment skulił się w sobie, by sekundę później udać, że nie rozumie polskiego. Andrzej wskazał ruchem głowy wyjście z baru.

– *Security Service! You are not here*[\[8\]](#)!

Już sam podniesiony głos był wystarczającym argumentem, by Japończyk błyskawicznie zmył się z baru.

Spojrzała wściekła na Andrzeja.

– Odbiło ci?! To moja praca!

– Nie będziesz z jakimś skośnookim...

– Bo?

– Ze mną zarobisz tyle samo... Poza tym... – nachylił się do jej ucha, jakby miał zamiar wyjawić jej tajemnicę. – Oni mają w spodniach malutkie mikroprocesory.

– Kretyn!

– To pewne. – Mrugnął łobuzersko okiem. – Nasze służby sprawdziły.

Nie odpowiedziała. Nie zdążyła. Chwycił ją za przegub dłoni i pociągnął za sobą. Dlaczego nie próbowała się wyrwać?

Kiedy znaleźli się przed hotelem, otworzył drzwi samochodu i prosząco wskazał fotel. Wsiadła. Andrzej zajął miejsce za kierownicą i odpalił silnik. Ruszyli. Wtedy ogarnęła ją złość. Przecież nie jest bezwolnym manekinem, który każdemu wolno przestawiać. Co jest, do jasnej cholery?!

– Znowu będziemy tylko gadali? – spytała.

– ...

– A może ty codziennie trzepiesz kapucyna? – Próbowała go dotknąć, lecz odwrócił się tylko i wyznał:

– Jestem w tym zawodowcem.

Szlag by to... Gdyby nie te chochliki w jego oczach, uwierzyłyaby.

W tym momencie coś w niej pękło. Już nie chciała się bronić, tylko wiedzieć. Musi wiedzieć. Musi!

– Powiedz mi, Władziu – Sulimowicz klepnął po ramieniu kierowcę – skąd

ty znasz tyle kawałów?

– Wie pan, generale, jak się stoi w kolejce po to czy tamto, to trzeba o czymś gadać. Ludzie pośmieją się i jakoś ten czas leci.

Lubił swojego szofera. Pracował dla niego od dnia, gdy przypiął gwiazdki pułkownika. Kiedy to było? Zaraz po wypadkach radomskich. Przewidział wówczas, że na tym się nie skończy. Napisał wówczas analizę sytuacji społeczno-politycznej kraju w kontekście działań Komitetu Obrony Robotników. Kiedy pokazał raport dyrektorowi departamentu, tamten kazał wrzucić go do klozetu. Wtedy był jeszcze czas, by potakiwaczy i lizodupów wywalić na zbitą mordę. Ale Gierek wołał potakiwaczy. Na szczęście przeszło mu już przejmowanie się losami partii i resortu.

„Świata, Rysiu, nie zbawisz – mawiał jego stary – a tylko smrodu wokół siebie narobisz. Dalej zajedzie, kto ciszej jedzie”.

Wziął to sobie do serca. Dzięki temu dziś był dwugwiazdkowym generałem, a przyszłość... Zatarł uradowany dłonie. Przyszłość zapowiadała się doskonale. Przystanęli na światłach. Spojrzał przez przyciemnianą szybę na idących chodnikiem.

„Smętni frajerzy – pomyślał z pogardą. – Na razie szepczą po domach. Klóć się na prywatkach. Śmieją przy wódce wystanej w godzinnej kolejce. Niedługo wyjdą na ulice, wrzeszcząc o wolności, sprawiedliwości, lepszej płacy i świetlanej przyszłości. Tyle ich, co pokrzyczą”.

– Więc z czego albo kogo, Władziu, teraz ludzie się nabijają? – trącił zachęcająco kierowcę.

– Polityka ma dziś największe wzięcie.

– Mów, może i ja się pośmieję.

– Bezradny Jaruzelski prosi Wałęsę, aby pomógł mu rozwiązać trudności zaopatrzeniowe i mieszkaniowe. Na koniec jeszcze chciałby, żeby ludzie przestali chodzić na msze do kościołów. Wałęsa zgodził się to wszystko zrobić w ciągu miesiąca. Kiedy minął termin, sklepy zapełniły się towarami, każdy miał mieszkanie, a kościoły zaczęły świecić pustkami. „Jak to zrobiłeś, Lechu?” – pyta Jaruzel. „Bardzo prosto – odpowiada Wałęsa. – Zamknąłem granicę ze Związkiem Radzieckim – zapełniły się sklepy, otworzyłem zachodnią granicę – rozwiązał się problem mieszkaniowy (bo większość przysnęła). Natomiast w kościołach nakazałem odprawianie nabożeństw za zdrowie wszystkich pierwszych sekretarzy obozu państw socjalistycznych”.

– Dobrze – parsknął głośno Sulimowicz.

Godzinę później, w gmachu ministerstwa, wyszedł z gabinetu. Sekretarka

już na niego czekała z przygotowaną teczką zawierającą informacje o nastrojach społeczno-politycznych.

Ruszyli w stronę przejścia prowadzącego do gabinetu ministra. Kiedy zbliżał się do schodów, dobiegł do niego śmiech mężczyzn nadchodzących z bocznego łącznika.

– Wiesz, czym się różni Polska od Stanów Zjednoczonych?

– Czym?

– Tam, jak i u nas, wszystko można kupić za dolary i jednocześnie tam i tu nic nie dostaniesz za złotówki.

Sekundę później obaj wyszli zza zakrętu wprost na Sulimowicza.

– Dzień dobry, towarzyszu generale – wyjąkał najbliższy stojący.

– Dobry... Dobry – odrzekł i ruszył dalej przed siebie. Po przejściu kilkunastu kroków spojrzął na drepczącą obok sekretarkę.

– Znasz ich? – Dziewczyna kiwnęła potakująco głową. – Z jakiego są wydziału?

– Czwartego, sekcja infiltracji.

– Doskonale. Kiedy będę u ministra, zadzwoń do kadr i powiedz, że z mojego polecenia mają ich ukarać półrocznym odebraniem dodatku służbowego. Ile stracą miesięcznie?

– Myślę, że koło sześciuset złotych.

– Doskonale. Wszyscy w tym kraju opowiadają sobie dowcipy, zamiast wziąć się do roboty.

Olga siedziała w kawiarni przy oknie. Mieszając kawę, patrzyła bezmyślnie na znajdujący się po drugiej stronie ulicy pomnik Mickiewicza. Marzyła o lecie. Miała już dosyć zimna i pluchy. O tej porze w zeszłym roku była w Zakopanem. Facet, którego poderwała, zafundował jej dwutygodniowy wyjazd na narty. Ona jednak wolała zostać w hotelu, niż narażać się na złamanie nogi.

Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiała, co ludzie widzą w tym sporcie. Pięć minut jazdy, a potem pół godziny dreptania w kolejce do wyciągu. No, ale jak ktoś lubi stać w kolejce...

Upiła łyk kawy. Była zimna i gorzka. Cholera, zapomniała posłodzić. Kiedy zamierzała przywołać kelnerkę, by podała jej nową filiżankę, kątem oka dostrzegła przystającego obok mężczyznę. Podniosła na niego wzrok. W

takim paltociku bardziej pasował do...

– Można?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszyła tylko ramionami, co oznaczało, by gość poszukał sobie innego stolika. Ten jednak zlekceważył jej odmowę i odsunął sobie krzesło.

Przechodząca obok kelnerka zatrzymała się przy nich na moment.

– Płaszcz trzeba zostawiać w szatni – zwróciła się do nowo przybyłego.

– Ja tylko na chwilę.

– Każdy tak mówi, a potem...

– Powiedziałem, że zaraz wychodzę.

Tym razem kelnerka wzruszyła ramionami i odeszła z nadąsaną miną.

– Możemy porozmawiać? – zwrócił się do Olgi.

Ponownie na niego zerknęła. Zamiast twarzy jej wzrok przyciągnął olbrzymi czarny wągier na czubku nosa. Obrzydliwość.

– Pytałem o coś – w głosie siedzącego obok mężczyzny czuć było wzrastającą złość, że jest traktowany jak powietrze.

– Prognozy pogody mnie nie interesują, a od świadków Jehowy staram się trzymać z daleka.

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podsunął jej pod nos legitymację Służby Bezpieczeństwa.

– A teraz?

– Słyszałam, że takie można kupić na bazarze.

– Więc może warto zawołać milicję. Będiesz miała u nich plus.

– Wystarczy, że mam minus u Wassermana. A poza tym, szanowny panie, od kiedy to jesteśmy na ty?

– Od teraz. – Siejka powstrzymał się, by ordynarnie nie przekląć. Wkurzał go ten tleniony kurwizson. Postanowił jednak trzymać nerwy na wodzy.

– Czego chcesz?

– Interesuje mnie twoja przyjaciółka.

– Mam wiele przyjaciółek.

– Co wieczór spotykacie się w Bristolu... tym kurwidołku.

Olga wydeła pogardliwie wargi. Facet najwyraźniej próbował ją obrazić. Czego mógł od niej chcieć? Nigdy w nic się nie mieszała.

„A może – nieoczekiwanie przyszło jej do głowy – sądzi, że za bycie esbkiem przeleci mnie za darmo?”

– Więc się z nią umów – rzuciła na głos.

– Ma na imię Anna.

- Zaciekawiasz mnie.
- Wiedziałem, że jesteś rozsądną dziewczyną.
- Nigdy nie byłam rozsądna.

Siejka miał już dosyć tej słownej przepychanki. Wolno cedząc słowa przez zęby, zbliżył swoją twarz do twarzy dziewczyny. W jego głosie słychać było groźbę:

– Posłuchaj mnie, kurewko. Jeśli tylko będę miał na to ochotę, to na oczach wszystkich skrucę ci kark i nikt nawet nie mrugnie.

Na sekundę skuliła się w sobie. Co się do niej przyssał ten łaps? Rzuciła kątem oka na boki. Przy stolikach siedziało kilku mężczyzn zagadujących coś do roześmianych partnerek. Czy tutaj cokolwiek mogło jej grozić? Bzdura! Już dawno zapłaciła za kawę. Płaszcz oddała do szatni.

„Drzyj zelowy, brudasie” – prychnęła w myślach.

– Jesteś tego pewien, że na oczach wszystkich...?

Sekundę później rozległ się trzask i zdezorientowana zobaczyła kajdanki na przegubach swoich dłoni.

Siejka poderwał się od stolika, chwytając Olgę za włosy. Dziewczyna z piskiem próbowała się wyrwać. Zaciśnął mocniej dłonie. Albo będzie posłuszna, albo wyrwie jej z pustego łba wszystkie kłaki. Pociągnął ją za sobą w stronę wyjścia. Jeden z mężczyzn poderwał się od stolika.

– Co jest? – rzucił głośno, najwyraźniej szpanując przed siedzącą obok dziewczyną.

Siejka podsunął szczeniakowi pod nos legitymację służbową.

– Służba Bezpieczeństwa. Wracaj do mysiej nory, bo cię rozdepczę.

Moment później wywlókł Olgę z kawiarni. Wystarczyło przejść kilka kroków, by znaleźć się na zapleczu. Tu Siejka pchnął dziewczynę pod ścianę. Wyszarpnął z kabury pistolet i całą lufę wepchnął w usta przerażonej Olgi.

– Posłuchaj, szmato. – Uderzył ją na odlew z otwartej ręki i Olga upadła na bruk. Była już jego. Widział to w jej oczach. Mógł z nią zrobić wszystko, co chciał. Przykucnął obok leżącej i z udaną troskliwością zaczął jej poprawiać potargane włosy. – Muszę wiedzieć o twojej przyjaciółce wszystko. Rozumiesz? – Ponownie się zamierzył, ale cios nie spadł na dziewczynę, która mocno zaciśnęła oczy. – Pytałem, czy mnie rozumiesz?

Kiwnęła głową.

– Chcę wiedzieć, co robi w ciągu dnia. Gdzie sra. Z kim się pierdoli i kiedy ma dostać okres. Wyrażam się jasno?

Ponownie pospiesznie przytaknęła. Szturchnął ją lufą pistoletu, zmuszając,

by otworzyła oczy.

– A jak będziesz próbowała mnie kiwnąć, to cię żywcem obedrę ze skóry. I nie kombinuj, żeby się gdzieś schować. My potrafimy znaleźć wszystkich.

– Zatrzymaj! – Anna sięgnęła po torebkę leżącą na tylnym siedzeniu auta.
– Mam ochotę na spacer.

– Pada śnieg. – Andrzej wskazał ruchem głowy ulicę.

– Masz ochotę, to zostań.

– Okej, idę. – Kiedy zaparkował, wysiadła i ruszyła przed siebie. Po chwili poczuła, jak wsuwa jej dłoń pod ramię. – Gdzie masz ochotę iść? – Zajrzał jej w oczy.

Położyła mu na moment głowę na ramieniu.

– Ostatnim razem mówiłeś, że się we mnie zakochałeś.

– Rzeczywiście, może to brzmi nieco wariacko, ale...

– Ale?

– Podobno stateczni mężczyźni już się nie zakochują. Chyba że spotykają kogoś takiego jak ty.

– Jesteś tego pewien?

Przyciągnął ją mocniej ku sobie.

– Nie wierzysz w to, co powiedziałem?

– Jak ma na imię twoja żona?

– Nie mówiłem, że jestem żonaty.

– A jesteś?

– Nie.

– Chyba przyłapałam cię na pierwszym kłamstwie.

– Kłamstwie? – W jego oczach zobaczyła bezradne zdziwienie.

– Z tym statecznym mężczyzną – zaśmiała się w głos.

Zatrzymała się przed wystawą sklepu jubilerskiego. Kilka choinkowych żółtych lampek zapalało się, to znów gasło na pomiętej srebrnej folii, zachęcając do zatrzymania się i wejścia do środka. Widoczna z ulicy ekspedientka siedziała nieruchomo za ladą i patrzyła w stronę drzwi niechętnym wzrokiem.

Anna wskazała na jedną z trzech tacek, na której leżały rozłożone pierścionki.

– Który wybrałbyś dla mnie? – Głębiej wsunęła ramię pod jego pachę.

- Myślę, że ten z niebieskim oczkiem.
- Trochę za jarmarczny.
- Nie znam się na biżuterii – próbował usprawiedliwić brak gustu.

Po kilku sekundach wskazała na jeden.

- Ten mi się najbardziej podoba. Śliczny, prawda?

Andrzej przysunął twarz do kraty, mrużąc oczy krótkowidza.

- Cena również niczego sobie.

Pociągnęła go za rękę do środka. Za drzwiami został gwar ulicy. Otoczyła ich miętka cisza. Anna rozchyliła brzegi futra.

– Państwo sobie życzą? – Ekspedientka wysłała zza lady obojętny uśmiech.

– Chciałabym przymierzyć pierścionek. Jest na wystawie. Ten z turkusem oprawionym w płatki róży.

– Państwo chcą kupić, czy tylko obejrzeć? – ton, jakim wypowiedziano słowa, najwyraźniej sugerował, że najlepiej będzie, jak wyniosą się ze sklepu.

– Kupujemy czy oglądamy? – spojrzała pytająco na Andrzeja. Nim jednak odpowiedział, zadecydowała sama: – Na razie chcemy obejrzeć, a potem się zastanowimy.

- Właśnie, zastanowimy.

Kiedy sprzedawczyni otwierała kluczem gablotę, Anna przyciągnęła Andrzeja ku sobie za połę płaszcza.

- Więcej fantazji. Nie lubię statecznych sztywniaków.

– Proszę. – Sprzedająca wróciła za ladę i na tacce wyłożonej bordowym pluszem położyła pierścionek.

Anna wsunęła go na palec. Potem uniosła dłoń wyżej, jakby chciała zobaczyć pod światło mieniący się kamień. Spojrzała pytająco na stojącego obok Andrzeja.

- I jak?

Kiwnął niemo głową, że mu się podoba. Zadzwoił telefon. Ekspedientka odeszła kilka kroków, sięgając po słuchawkę.

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Jest piękny, Aneczko.

- Więc mi go kup.

Na twarzy Andrzeja pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Kup? – przełknął ślinę.

- Aha, przecież mnie kochasz.

- Nie zarabiam tyle...

W oczach Anny zobaczył zdziwienie, jakby nie rozumiała, co powiedział.

– To ukradnij. – Wzruszyła ramionami, jakby to było najzupełniej oczywistym rozwiązaniem.

Zaczął się nerwowo śmiać, jednocześnie obrzucając wewnątrz sklepu spłoszonym wzrokiem.

– Ależ ja jestem funkcjonariuszem – przełknął szybko ślinę i wydusił z siebie niemal bezgłośnie: – No, stróżem prawa.

– I co z tego? – wskazała ruchem głowy na ekspedientkę i ponownie zajrzała mu prowokująco w oczy. – Według mnie za chwilę skończy rozmowę. Więc?

Coś błysnęło w jego źrenicach. Panika? Chłopięca przekora? Pociągnął ją za rękę. Wybiegli na dwór. Choć miała botki na wysokim obcasie, dotrzymywała mu kroku. Śmiała się na cały głos. Nie potrafiła się opanować. Andrzej odwrócił się na moment w jej stronę i sam również zaczął chichotać.

Krzyk sprzedawczyni utonął w jęklwym sygnale karetki pogotowia, która bezskutecznie próbowała wyminąć tarasujące skrzyżowanie auta. W pierwszym odruchu ekspedientka zamierzała gonić złodziei. Po kilku krokach zatrzymała się, spoglądając na pozostawione za sobą otwarte drzwi sklepu. Rozejrzała się niepewnie po mijających ją obojętnie przechodniach i ruszyła z powrotem biegiem, by zadzwonić po milicję.

– Ta twoja legitymacja – Anna zawołała zdyszana – chyba na nic się tutaj nie przyda, prawda?

Parsknął jeszcze głośniejszym śmiechem.

– Myślę, że coś by pomogła. – Skręcili za rogiem.

– Więc jak mnie złapią – wyciągnęła przed siebie dłoń z pierścionkiem na palcu – powiem, że ty go ukradłeś.

– Niczego lepszego się po tobie nie spodziewałem.

Pobiegli w stronę przystanku autobusowego. Potrącili jakiegoś mężczyznę i w ostatniej sekundzie wskoczyli do środka przez zamykające się drzwi. Szarpnęło. Chwyciła go wpół, wsuwając dłonie pod rozpięte poły płaszcza. Zamknęła oczy, kładąc głowę na jego piersi. Usłyszała gwałtowne bicie serca. Czuła pospieszne falowanie zmęczonych ostrym biegiem płuc. Wreszcie wyjrzała spod płaszcza, oglądając pierścionek.

– Piękny, prawda?

– Ty jesteś ładniejsza.

– Od serca?

Pocałował ją mocno w usta. Wysiedli kilka przystanków dalej.

– Myślisz, że mogą nas jeszcze gonić? – Obejrzał się niepewny.
– Nikt nas nie znajdzie.
– Skąd ta pewność?
– Kobiety mają przeczucia. Musiałeś o tym słyszeć. – Puściła do niego po łobuzersku oko.
– Zamknij torebkę, bo jeszcze coś ci wypadnie.
Nim to zrobiła, zajrzała do środka. Potem podniosła na niego oczy i zaniósła się głośnym śmiechem.
– Chyba okradli mnie w autobusie z portfela.
– Niemożliwe. – Zaczął się rozglądać dokoła, jakby miał nadzieję znaleźć złodziei. – Dużo miałaś pieniędzy?
– Co mi tam portfel. – Przywarła do niego mocno. – Przecież mam pierścionelek... Od serca... I...
– ...?
– Ciebie.
Zatrzymali się przed wejściem do kawiarni.
– Ty stawiasz, jestem bez grosza.
Kiwnął głową. Weszli do środka. Otoczył ich przytłumiony gwar, mocny zapach kawy. W powietrzu ciągnęły się pajęczne nitki dymu tytoniowego. Usiedli w rogu sali.
– Na co masz ochotę? – nieznacznym ruchem głowy wskazał na bufet.
– Na ciebie. – Podparła brodę piąstkami, nie odrywając oczu od Andrzeja.
– A wcześniej?
– Na kąpiel z tobą pod prysznicem.
– U mnie czy u ciebie?
– U ciebie. Daleko mieszkasz?
– Na Ursynowie.
Andrzej przywołał przechodzącą kelnerkę.
– Jedną kawę i jedną mocca cappuccino.
– Skąd wiesz, że lubię cappuccino?
– Tajemnica służbowa. – Położył dłoń na ustach, jakby w obawie, że może się wygadać.
Pojawiła się kelnerka z tacą.
– Słodzisz? – Andrzej wskazał na cukiernicę.
– Myślałam, że wiesz o mnie wszystko.
– Jeszcze nie.
– Zapowiada się ciekawie. – Uniosła do ust filiżankę. Kiedy smakowała jej

zawartość, przymknęła na sekundę oczy i cicho westchnęła niczym kotka... – Chyba idzie ku lepszemu. – Odstawiła filiżankę na spodek.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Od kilku miesięcy kawa w Warszawie jest coraz lepsza, ale wy chyba nie zwracacie uwagi na coś takiego.

– A powinniśmy?

– Co ty robisz w tym swoim SB?

– Różne rzeczy.

– Ścigasz kurwy?

– Przede wszystkim.

– Kłamiesz.

Skinął głową bez słowa, a po chwili dodał:

– W mojej pracy nie zawsze mówi się prawdę.

– A kiedy ty mówisz prawdę?

Wziął jej dłoń w swoje dłonie, delikatnie przesuwając palcami po pierścionku. Moment później spojrzał jej w oczy z powagą.

– Kiedy kogoś Kocham.

Siejka wysiadł z samochodu i ruszył wyasfaltowaną uliczką w głąb osiedla. Po drodze minął plac zabaw. Dzieciaki, nie zważając na mokry śnieg, zawzięcie kopały w piłkę. Z okien stojącego nieopodal bloku rozległ się kobiecy głos wołający syna na obiad. Dostrzegł pod sklepem spożywczym kolejkę.

– Co dzisiaj dają? – spytał ostatniego w ogonku. Mężczyzna ubrany był w kusy ortalion, w którego płytkie kieszenie wciskał zmarznięte dłonie.

– Piwo przywieźli. Dają po trzy butelki. Dla nas – ocenił wprawnym okiem ilość stojących – wystarczy. Całą ciężarówkę browaru przywieźli przed godziną.

– Święto jakieś?

– Coś pan? Z Księżyca?

– Właśnie wylądowałem.

– Dziś mamy festyn.

Obrócił się za siebie.

– Jakoś nie rzuca się w oczy.

– Bo pogoda wszystko schrzaniła. Ale dowieźli piwo, więc jest święto.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, więc stanął w ogonku. Pół godziny później wyszedł ze sklepu, chowając do teczki trzy portery. Niektórzy ze szczęśliwców już za progiem sklepu otwierali flaszki i pociągali z gwinta z natchnionym wyrazem twarzy.

Siejka zatrzymał się przed kioskiem ruchu. Rzucił na chodnik papierosa i zdeptał go butem.

– Co podać? – Sprzedawca pochylił się do okienka.

– „Trybunę Ludu”.

– Może „Ekspress Wieczorny”, właśnie przywieźli?

– Wieczorny? W południe?

– Widocznie to, co ma się zdarzyć dziś wieczorem – zadrwił kioskarz – wydarzyło się już wczoraj, więc wydrukowali dziś rano.

– Dawaj pan „Ekspresiaka”.

– Złotóweczka się należy.

– Proszę.

– A co z „Trybuną”?

– Kupię jutro. I tak będzie w niej to samo co przed tygodniem.

Schował gazetę do teczki, przekładając nią butelki, by przypadkiem się nie stłukły. Ruszył w stronę budynku oznaczonego numerem 128. Przed wejściem widniała tabliczka: „Klinika profesorska”. Pchnął drzwi i wszedł do środka. W szatni oddał jesionkę. Podszedł do okienka, za którym siedziała pyzata pielęgniarka.

– Byłem umówiony z docentem...

– Pańskie nazwisko? – nie dała dokończyć.

– Siejka.

Kobieta chwilę szukała czegoś w zapisanym notesie.

– Do docenta Jelicza? – spytała.

– Właśnie.

– Gabinet ósmy. Korytarzem prosto. Ostatnie drzwi na lewo. Proszę poczekać w holu. Zostanie pan poproszony.

Ruszył we wskazanym kierunku. W poczekalni była tylko jedna kobieta o twarzy pomarszczonego buldoga. Choć miała koło siedemdziesięciu lat, z jej miny można było wnioskować, że mogłaby jeszcze ugryźć sztuczną szczęką.

Po pięciu minutach czekania z pokoju lekarskiego wychyliła się pielęgniarka.

– Pan Siejka? – Kiwnął potakująco głową. – Proszę.

Wszedł do środka. Za biurkiem siedział pięćdziesięcioletni mężczyzna.

Miał wysokie czoło, kształtne policzki, a ciemną czuprynę znaczyły pierwsze pasemka siwych włosów.

– Pan będzie łaskaw. – Wskazał mu krzesło.

– Jeśli można... – Siejka spojrzął na siostrę. – Chciałbym najpierw porozmawiać z panem w cztery oczy.

Docent zrobił zdziwioną minę, ale w końcu dał znak ubranej w nieskazitelnie biały kitel kobiecie, by zostawiła ich samych. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Jelicz ponownie obdarzył pacjenta sztucznym uśmiechem.

– W czym mógłbym pomóc?

– W wielu sprawach. Na początek chciałbym jednak, byśmy wyjaśnili sobie wszelkie wątpliwości, które mogłyby stanąć na drodze wzajemnego zrozumienia.

– Zrozumienia? – w głosie lekarza dało się wyczuć zdziwienie. – W tej klinice...

– Wiem – Siejka przerwał bezceremonialnie. Następnie sięgnął do teczki i wyjął akta. – Domyśla się pan, co trzymam w ręku?

– Pańska historia choroby?

Nie spiesząc się, rozwiązał tasiemki tekturowych okładek i sięgnął po pierwszy dokument. Następnie podsunął go pod nos Jelicza.

– Pańska lojalka, podpisana w lutym siedemdziesiątego ósmego. Pamięta pan?

Lekarz zbladł, lecz sekundę później przybrał uprzejmy wyraz twarzy.

– Rozumiem, że nic szczególnego panu nie dolega.

– Prócz uczulenia – westchnął nieszczercze Siejka. – Ale w dzisiejszych czasach to przypadek powszechnie zaraźliwa.

Jelicz dostrzegł, że siedzący na wprost mężczyzna wpatruje się w klapę jego marynarki, która wysunęła się spod kitla. Miał w nią wpięty opornik tranzystorowy. W ten sposób co śmielsi próbowali zamanifestować poparcie dla Solidarności.

Majora bawili tacy prawdziwi patrioci, którzy po wcześniejszym dokładnym zamknięciu za sobą drzwi miejskiego kibla, zdobywali się na heroizm i pospiesznie bazgrali na ścianie – „Precz z komuną”. Gdzieś ktoś już kiedyś coś podobnego opisał... Jakiś pisarz? A może dziennikarz?

– Pamięta pan docenta Herszloga? – spytał, po czym rozparł się wygodniej na krześle. – Taki smutny Żydek, na którego ktoś doniósł w sześćdziesiątym ósmym.

– Skończmy tę idiotyczną zabawę w chowanego. – Lekarz poderwał się z

miejsca. Wsparł się dłońmi o blat i przechylił przez biurko. – Mam was gdzieś, powiedziałem to już pańskiemu koledze. Jeśli spróbujecie mnie szantażować, to...

– Ależ panie doktorze. – Na twarzy Siejki pojawiło się oburzenie. – Przychodzę do pana jako przyjaciel.

– I kładzie mi pan to coś na stole?

– To dowód moich dobrych intencji. Proszę się nie denerwować i posłuchać, co mam do powiedzenia.

– Ja już z tym definitywnie skończyłem. – Jelicz wrócił na poprzednie miejsce. – Rozumie pan? Koniec!

– Podoba mi się pańskie zdecydowanie. Obaj wiemy, że wciągnięto pana w szambo. Ja chcę tylko pana z niego wydostać.

– Wydostać?

– Oddam panu tę teczkę. – Major wskazał wzrokiem na leżące dokumenty.

– Ile?

– Niedrogo. Kilka przysług. Za dwa, trzy miesiące będzie pan mógł o wszystkim zapomnieć.

Lekarz sięgnął po lojalkę i przebiegł wzrokiem po zapisanych zdaniach.

– To jest kopia.

– Dostanie pan oryginały. – Siejka uśmiechnął się zadowolony. Więc nie mylił się w swoich przypuszczeniach: „Ludzie są tylko ludźmi – przebiegło mu przez głowę – nawet jeśli Pan Bóg ukształtował ich w śmierzące gównu”. – Jeśli nie będzie ich w archiwum, może pan zacząć wrzeszczeć, że esbecy próbują pana ordynarnie wrobić. Niektórzy z pańskich przyjaciół z Solidarności już to przerabiali. Proszę mi wierzyć, zawsze znajdą się jacyś niegodziwcy, którym przeszkadza czyjaś uczciwość. Tak więc, jeśli nie ma prawdziwych dokumentów, nie ma dowodów. Jeśli nie ma dowodów, to nie można wątpić w prawość pomawianego.

– Jakich oczekuje pan przysług?

– Osobistych.

– I wtedy się pan ode mnie odpierdoli?

– Oczywiście, jeśli otrzymam to, po co przyszedłem.

Jelicz przez dłuższą chwilę przyglądał mu się nieufnym wzrokiem. Major był jednak pewien, że się zgodził. Ludziom nie wolno dawać możliwości wyboru. Wówczas przychodzą im do łba różne idiotyzmy.

– Jaką przysługę mam panu wyświadczyć? Chce pan wyglądać jak Sophia Loren? – rzucił drwiąco lekarz.

– Na razie – odciął się z równą ironią – chcę, żeby na powrót stał się pan porządnym człowiekiem. To dla mnie wystarczający kapitał, żeby być pewnym, iż przyniesie mi w przyszłości godziwy procent.

Rozdział czwarty

Leżeli nago w łóżku wtuleni w siebie. Anna położyła głowę na piersi Andrzeja, wpatrując się w jasną smugę światła przeciskającą się między zsuniętymi zasłonami. Z głośnika adaptera płynęła piosenka Joe Dassina: *L'été indien*. Gdy się skończyła rozległy się tony *Les Champs-Élysées*.

Zaczęła całować wnętrze jego dłoni. Chwilę wcześniej, po raz pierwszy od kilku lat, poczuła spełnienie. Krzyknęła wtedy krótko i przywarła do niego całym ciałem. Nie było w tej sekundzie świata, jej, jego, tylko wspólny puls dwojga serc i przenikająca ich tęcza.

– Tak długo na ciebie czekałam – w jej głosie dało się słyszeć wyrzut. – Dlaczego nie znalazłeś mnie wcześniej?

– Szukałem, najmilsza.

Do pokoju wśliznął się promień słońca. Powoli zmierzał w stronę łóżka, a gdy dotknął jego brzegu, zatrzymał się, jakby niepewny, czy powinien wędrować dalej. W drzwiach pokoju ukazała się kotka, która przemaszerowała obok z dostojną gracją, obojętna na przywołujący głos pana.

– Chyba się na mnie obraziła. – Andrzej okrył kołdrą nagie plecy Anny.

– Myślisz, że mnie nie lubi? – Przytuliła się do niego mocno.

– Dotąd ona była tu panią.

– Co robisz w tym swoim SB? Włamujesz się do ambasad? Wykradasz z sejfów tajne dokumenty?

– Jestem zwykłym trybikiem w wielkim mechanizmie.

– Nie chcesz o tym mówić?

– Nie bardzo jest o czym. Nie jestem nikim ważnym.

– Dobrze. – Nasunęła się na niego i mocno przyciągnęła do siebie. – Nie wracajmy już do tego tematu.

– Mówiłem ci – Andrzej zamknął na niej ramiona – że masz śliczną pupę?

– Co jeszcze?

– Chyba tylko pupę – udał zmartwioną minę.

– Kłamczuch. – Pokazała mu język niczym nadąsana dziewczynka. – Mam jeszcze... – zmarszczyła brwi i zaczęła niemo liczyć na palcach. Chwilę

później sapnęła uradowana. – Wszystko mam śliczne. Może zaprzeczysz? – Usiadła na nim, zaciskając dłonie w pięści, jakby szykowała się do rundy bokserskiej.

– Kłamałem. Jesteś najśliczniejsza.

– No, twoje szczęście. – Położyła się na Andrzeju. – Wiesz, kochany...?

– Tak?

Zajrzała mu głęboko w oczy przepełniona radością.

– Chciałabym, żeby czas się zatrzymał.

– Jeszcze jakieś życzenia?

– Może być herbata.

– Jak pani każe...

Wstał z łóżka, nałożył spodnie i poszedł do kuchni. Nastawił czajnik. Z pokoju napłynęła muzyka. Wyjrzał przez uchylone drzwi. Anna tańczyła nago na środku sypialni w jasnej smudze światła. Miała zamknięte oczy. Rozłożyła szeroko ręce. Fala włosów rozsypała jej się po ramionach.

Wrócił do kuchni, wspierając się nad zlewem. Dłuższą chwilę przypatrywał się kroplom wody skapującym z kranu. Miarowo. Uporczywie. Obowiązkowo. Kretyńsko. Wystukiwały nakaz powrotu w świat odmierzalny. Idiotyczny.

Z zamyślenia wyrwał go gwizdek czajnika. Nalał do filiżanek gorącą wodę. Potem zanurzył we wrzątku torebki. Z kieszeni spodni wyjął fiolkę z niewielkimi czerwonymi pastylkami. Wrzucił jedną do herbaty Anny. Dokładnie wymieszał, czekając, aż się rozpuści.

Kiedy Anna otworzyła oczy, w pierwszej sekundzie nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Tak było zawsze, gdy budziła się w nie swoim łóżku. Pościel zaszeleściła, gdy wolno przekreślała się na bok. Spojrzała na leżącego obok Andrzeja.

„Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę?” – zadała sobie w duchu pytanie.

Podniosła do oczu dłoń i spojrzała na pierścionek nasunięty na palec. To nie był sen. Kamyk zamigotał. A może lepiej o wszystkim myśleć jak o kolorowym mirażu, który przypadkowo jej się przydarzył?

Tak, pierścionek był prześliczny. Miała dobry gust. Przypomniało jej się spłoszone spojrzenie Andrzeja, gdy powiedziała, by go dla niej ukradł.

Dlaczego chciała go poddać próbie? Co zamierzała tym udowodnić?

Czy wolałaby, żeby stchórzył? Wycofał się? Miałaby wówczas pretekst. Roześmiałaby mu się w nos, kupiła ten cholerny pierścionek i nigdy później już by go nie założyła.

Co teraz?

Miłość to głupota!

Cholera, przecież obiecała sobie, że nigdy więcej. Spojrzała na twarz śpiącego obok Andrzeja. Ogarnęła ją fala tkliwości. Jeszcze raz zapragnęła, żeby wziął ją w ramiona. Chciała poczuć jego przyspieszony oddech na twarzy. Zagubić się w jego ramionach. Zapomnieć o wszystkim. Być tylko z nim, dla niego i dzięki niemu.

Zacisnęła mocno powieki.

Dosyć tych idiotyzmów. Przeżyła piękną chwilę. Wystarczy. Czas wracać na ziemię. Żadnych zobowiązań.

A przecież jeszcze niedawno, gdy była sama, budziła się w nocy. Wystraszona tuliła twarz do poduszki. Nasłuchiwała odgłosów nocnej ulicy. Marzyła, by ktoś wziął ją w ramiona, w których wreszcie byłaby bezpieczna i w których znalazłaby spokój. Kiedy jednak przychodził ranek, śmiała się z chwili słabości i znowu biegła przed siebie. Oby szybciej! Dalej...

Dosyć tego!

Spojrzała na stojący na szafce nocnej zegarek. Minęła dziewiąta rano. Ostrożnie odsunęła kołdrę i wolno się podniosła, starając się nie obudzić śpiącego. W tym momencie dostrzegła, że u prawej dłoni nie ma małego palca. Wypadek? Ponownie spojrzała na Andrzeja. Uśmiechał się do czegoś lub kogoś, spokojnie oddychając.

Zebrała ubranie rozrzucone po sypialni. Przeszła do łazienki. Włączyła prysznic. Szum wody zagłuszył jej słowa.

– Przecież dałaś sobie słowo, że tylko z zagranicznymi... Z Polaczkami zawsze są problemy.

Przypomniała sobie wczorajsze popołudnie. Ucieczka ze sklepu jubilerskiego. Niemal usłyszała głośny trzask zamykających się za nimi drzwi mieszkania. Rzucili się na siebie, wygłodniali. Nienasytzeni.

– Kim on właściwie jest? – zadała sobie w duchu pytanie. – Przecież nic o nim nie wiesz.

Sięgnęła po mydło i gąbkę. Zaczęła nacierać się białą pianą. Ramiona. Piersi. Uda. Zamknęła oczy, przypominając sobie jego delikatny dotyk i pieśczęty.

– Dziwka i esbek. Czyż może być bardziej dobrana para?

Puściła mocniejszy strumień wody, czując igiełki rozpryskujące się na ciele. A może prawdą jest to, co niegdyś usłyszała od matki? Że biegnie na oślepi, aż nadejdzie taki dzień, gdy nie zdoła się zatrzymać i spadnie w przepaść. Zaśmiała się gardłowo. Tylko że matka miała co innego na myśli.

Szum płynącej wody zagłuszył dalsze pytania. Odgradzona od świata pluskiem, otulona ciepłem spadającego strumienia obiecała sobie zapomnieć o wszystkim. O tym, co było i co mogłoby nadejść.

Już raz płakała. Wówczas też była pewna. Potem wypaliło się w niej wszystko! Po roku przyszedł upragniony spokój. Musi być wolna!

– Powinnaś otrzeźwieć!

Rozkręciła zimną wodę. Skuliła się smagnięta zimnym biczem. Chwilę stała pod lodowatą strugą rozdygotana i wystraszona tym, co się z nią dzieje. Zakręciła wodę wstrząsana dreszczami. Sięgnęła po ręcznik i zaczęła mocno nacierać zziębnięte ciało.

Kiedy rozczesywała włosy, uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Znowu była taka jak dawniej. Tak jest najlepiej.

Na jednej z półek znalazła suszarkę. Kiedy wreszcie nałożyła ubranie, wyszła z łazienki i stanęła w uchylonych drzwiach sypialni. Andrzej jeszcze spał. Zdjęła z palca pierścioneł. Podeszła cicho do łóżka i położyła go na szafce obok łóżka.

– Kolorowych snów, książę – szepnęła. – Może kiedyś znajdziesz swoją Śpiącą Królownę?

Wyszła z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi wejściowe. Zbiegła po schodach. Na postoju zobaczyła taksówkę.

– Wolny? – spytała.

– W stronę śródmieścia owszem.

– Pasuje. – Zamknęła za sobą drzwi, lecz kierowca nie włączył silnika.

– Czekaemy na kogoś?

– Klient, co to mnie zamówił, zaraz powinien być. Chyba nie ma pani nic przeciw temu?

– Ja nie, ale tamten...

– Spokojnie, to zgodny człowiek. Przyjeżdżam tu po niego codziennie. Jest reżyserem. Kończy właśnie film... Zaraz jaki tytuł? Aha. *Strzelał każdy dom, każde drzewo*. Coś o władzy ludowej i bandach UPA.

– Ktoś na to pójdzie do kina?

– Czy to ważne? Ja mam zarobek, on codziennie taksówkę. No i pani się

trafiło. W sumie wszyscy są zadowoleni.

Fiat 126p zaparkował przy krawężniku jednej z uliczek na Żoliborzu. Wokół było pusto. Przed podjazdami kilku okolicznych domów stały samochody, którymi ich właściciele niedawno wrócili z pracy. Zapłonęły pierwsze latarnie rozświetlające gęstniejący mrok.

Kilka minut po tym jak nadjechał fiat, ze znajdującej się nieopodal willi wyszła starsza kobieta, której zadaniem było sprzątanie domu pod nieobecność właściciela. Postawiła na ganku wypchaną siatkę, dopinając pod szyją palto. Następnie zamknęła za sobą drzwi na klucz. Podniosła bagaż i przeszła przez niewielki ogródek obsadzony krzewami róż, okrytymi słomianymi chochołami. Wyszła na chodnik i z równą starannością zamknęła furtkę.

Potem, śmiesznie kiwając się na boki, ruszyła w stronę najbliższego skrzyżowania dwóch uliczek. Zniknęła za rogiem. Minęła siedemnasta. W niektórych oknach zamigotały srebrne rozbłyski. Niezawodny znak, że włączono telewizory. Wkrótce z kilku stron napłynął dźwięczny sygnał Teleexpressu, nadającego popołudniowe informacje z kraju i ze świata.

Tego dnia wszyscy zostali zaskoczeni informacją, która pojawiła się na początku programu.

Rzecznik prasowy rządu poprawił na nosie okulary, potem powiódł wzrokiem po siedzących na sali akredytowanych dziennikarzach zagranicznych. A gdy szept wystarczająco ścichł, odczytał pewnym głosem:

Biorąc pod uwagę sytuację polityczną państwa, jak też mając na uwadze dążenie władz kraju do normalizacji stosunków społecznych, Biuro Polityczne Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej postanowiło zaprosić przedstawicieli Solidarności oraz władz kościelnych do rozmów przy okrągłym stole.

W sali na moment zapadła cisza. Podobnie było w domach, gdzie ludzie siedzieli przed telewizorami. Więc wreszcie coś się zaczynało dziać.

Siejka wyłączył radio. Wsiadł z fiata i ruszył w stronę willi, z której niedawno wyszła sprzątaczką. Zatrzymał się przed furtką. Nacisnął dzwonek. Kiedy za drugim razem okna domu nadal pozostawały ciemne, wprawnym ruchem wsunął w zamek wytrych i znalazł się w ogrodzie. Nie spiesząc się, przeszedł do drzwi bocznego wejścia.

Z drugiej strony willi, gdzie znajdował się obszerny podjazd, pod domem stał milicyjny radiowóz. Siedzący w środku funkcjonariusze spoglądali nieruchomo na radiowy odbiornik. Może dlatego nie dostrzegli, że w jednym z okien pilnowanej willi ktoś zaciągnął ciężkie zasłony.

– Co o tym myślisz? – Sierżant podkreślił głośność.

– Teraz już wiem, dlaczego w komendzie tak się pospieszyli z wypłatą ekwiwalentu za umundurowanie. Podobno mają też być ekstra premie.

– Myślisz, że ci na górze rzeczywiście chcą gadać z Wałęsą?

– Pies ich tam wie. Mnie jest wszystko jedno, byleby wreszcie można było coś dostać w sklepach. Trzeci tydzień stoję przed meblowym, żeby kupić regał do dużego pokoju. To wszystko jest jakieś porąbane.

– No a jeśli nawet się dogadają, to co dalej?

– Będzie tak jak jest, i tyle.

Rozmawiający w radiowozie nie zauważyli, jak zasłony w oknie ponownie zostały odsłonięte. Kilkanaście minut później włamywacz opuścił dom i zasiadł za kierownicą. Z samochodowego schowka wyjął odbiornik i zaczął szukać stacji.

– Mam cię – szepnął Siejka zadowolony, gdy dobiegło doń miarowe tykanie zegara wiszącego w salonie Sulimowicza. Schował urządzenie podsłuchowe. Włączył silnik i odjechał, pogwizdując w takt płynącej z radia muzyki.

Jak się masz, kochanie, jak się masz?

Powiedz mi, kiedy znowu cię zobaczę?

Anna zatrzymała się przed stoiskiem z zabawkami. Przebiegła po nich obojętnym wzrokiem. Barbie dała córce Teresy. Postanowiła kupić taką samą lalkę. Nie patrząc na cenę, sięgnęła po pierwszą z brzegu plastikową lady, ubraną w finezyjną sukienkę z bufiastymi rękawami obszytymi koronką.

Przed południem sklep z zachodnimi towarami był niemal pusty, nie licząc działu z alkoholami. Spojrzała nad regałami w stronę Jeana, który obojętnie przyglądał się pamiątkowym drobiazgom.

Francuz przesłał jej pocałunek. Uśmiechnęła się zalotnie, pokazując ząbki z sukienkami. Żabojad kiwnął głową, że zaraz do niej dołączy.

Za oknami sklepu dostrzegła przesuwający się tłum. Jakaś kobieta pchała przed sobą wózek z dzieckiem, jednocześnie wymachując zerwaną z głowy chustką. Ktoś wołał przez megafon, ale nie potrafiła rozróżnić

wykrzykiwanych słów. Niewiele obchodziło ją, co dzieje się na ulicy.

Poprawiła pudełko z lalką wysuwające się z koszyka. Podeszła do stojaka z jedwabnymi bluzkami. Zajęta oglądaniem, nie dostrzegła, jak Jean stanął za jej plecami, całując w odsłonięty kark.

– *C'est moi, mon chéri*[\[9\]](#).

Z ulicy napłynął jękliwy sygnał policyjnych radiowozów. Niemal równocześnie idący w manifestacji ludzie zaczęli skandować: – So-li-darność...! So-li-darność...! So-li-darność!!!

Nieoczekiwanie poczuła się zmęczona, jakby uszło z niej całe powietrze. Wsparła się dłonią o pobliski stojak. Pociemniało jej przed oczami. Wstrząsnął nią zimny dreszcz. Francuz nie dostrzegł jej słabości, wpatrzony w szarą robotniczą masę. W poprzek ulicy stanął podwójny szereg funkcjonariuszy ZOMO, osłonięty plastikowymi tarczami. Coraz więcej osób zaczęło skandować pieśń:

*Ojczyzno ma tyleś razy we krwi skąpana!
Jakżeż wielka jest twoja rana!*

Nad głowami uniósł się las rąk z rozłożonymi palcami w kształcie litery V. Chwilę później w stronę pododdziałów milicji poleciały drobniaki. Uderzyły stojących w kaski, odbiły się od tarcz.

– Nie-bij-bra-ta za pie-nią-dze – tłum zaczął krzykliwie skandować.

Potem wszystko zagłuszył gwizd.

– Precz z komuną! Precz z komuną! Precz z komuną!

Anna potarła swędzący nos. Na palcach dostrzegła plamkę krwi. Sięgnęła po chusteczkę. Dotknęła nią nosa. Na materiale pojawiło się kilka czerwonych smużek.

– *Que'st-ce qu'ils veulent?*[\[10\]](#) – Jean wskazał na manifestantów.

– *Ils veulent ce qu'il y a ici*[\[11\]](#). – Wzruszyła obojętnie ramionami.

Francuz zrobił zdziwioną minę.

– *Alors qu'ils viennent*[\[12\]](#).

– *Dans ce cas-là il n'y aura plus rien pour nous*[\[13\]](#).

Pociągnęła go za rękaw w stronę kasy. Młoda dziewczyna obrzuciła ich złym spojrzeniem. Rzadkie włosy miała ulizane i spięte gumką z tyłu głowy. Bładość twarzy jeszcze bardziej podkreślała wąska kreska warg. Przeliczając franki, na moment pobiegła wzrokiem do manifestantów.

Josephine siedziała przy kawiarnianym stoliku. Za oknem rozciągał się widok na Pola Elizejskie, ona jednak zajęta była przeglądaniem wycinków prasowych. Lektura spowodowała nawet, iż zapomniała o leżącym w popielniczce papierosie, który niemal całkowicie się wypalił. W nieruchomym powietrzu niebieski dym piął się w górę prostą smugą. Sięgnęła po kolejną stronę, którą siedzący obok Damazy skserował z rocznika „Le Figaro”.

– To ostatni napad na bank. – Upił łyk kawy z filiżanki. – Na marginesie napisałem dokładną datę i wysokość zrabowanej sumy.

Podniosła na niego oczy. Spokojne, zimne i pozornie obojętne.

– Dlaczego sądzisz, że mogłoby mnie to zainteresować? – Spojrzała na wycinek. Ostatni napad miał miejsce przed rokiem.

– Zaraz wszystko powinno być dla ciebie jasne. – Otworzył leżącą przed nim tekturową teczkę. Podał jej kolejne cztery wycinki. Pierwszy mówił o napadzie i morderstwie amsterdamskiego jubilera. Facet miał pecha. Wtedy w sejfie przechowywał kamienie wartości czterystu osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Ponieważ najprawdopodobniej widział sprawców, został zastrzelony. W prasie pojawiła się seria artykułów mówiąca o tym, że oto uczciwi przedsiębiorcy padają ofiarą gangsterskiej chciwości. Kiedy jednak przy okazji śledztwa wyszło na jaw, że zamordowany parał się paserstwem, dziennikarze nieco przystopowali. Po dwóch tygodniach od chwili znalezienia zwłok w prasie ukazała się jedynie lakoniczna notatka, w której stwierdzono, że śmierć jubilera była związana z wewnętrznymi porachunkami grup przestępczych.

Drugi i trzeci wycinek dotyczył sprawy, która tym razem wydarzyła się w Rotterdamie. Oto jednego dnia policja została powiadomiona o dwóch morderstwach. Dokonała ich ta sama osoba w odstępie kilku godzin. Ofiary były pośrednikami w handlu narkotykami. Nierzetelnymi pośrednikami. Odnalezione w ich mieszkaniach ślady jednoznacznie wskazywały, że dokonano na nich egzekucji. Po uprzednim związaniu każdej ofierze poderżnięto gardło.

Czwarty artykuł mówił o młodym mężczyźnie, który miał więcej szczęścia od poprzedników. W stanie krytycznym został przewieziony do szpitala. Przed śmiercią odzyskał przytomność i zdołał przekazać strzegącym go policjantom, że morderca przyjechał z Polski. Prowadzone potem śledztwo

wykazało, że przez rok między Szczecinem a Rotterdamem funkcjonował kanał przerzutowy amfetaminy. Polskie służby kryminalne poproszone o pomoc przy rozwikłaniu tej sprawy początkowo aktywnie włączyły się w śledztwo. Jednak dwa tygodnie później, z niewiadomych powodów, zerwały współpracę.

– Nadal nie rozumiem. – Josephine odłożyła na stół wycinki prasowe. – Mnie interesuje jedynie to, czy pieniądze, które miałeś pobrać, trafiły do West Banku.

– Cały czas o tym mówimy.

Zdusiła w popielniczce niedopałek i wyjęła z paczki kolejnego papierosa.

– Przejdziemy do sedna?

– Jeszcze sekunda. Chciałbym, żebyś zerknęła na te zestawienia. – Podsunął jej kolejną kartkę, na której widniały dwie kolumny cyfr. – W pierwszej wypisałem wszystkie sumy, które pobrałem z sześciu banków. W drugiej rubryce kartki – przesunął palec – wypisałem sumy, które znalazłem w artykułach „Le Figaro”. Jak widzisz, obie zgadzają się tak w elementach składowych, jak i w sumie ostatecznej.

– Jaki stąd wniosek?

– Że Polacy dokonali tych napadów i morderstw. Konkretnie zrobiła to grupa kierowana, albo jak wolisz, nadzorowana z Warszawy.

– Co dalej? – nie dawała się zbić z tropu. Jej obojętność zaczęła go drażnić.

– Nasze rachunki zostały wyrównane.

Jej oczy nadal miały wyraz zdziwionego dziecka, któremu nakazano odejść od stołu, mimo że wcześniej obiecano czekoladowy deser.

– Możesz jaśniej?

– Dzięki wam znalazłem się na Zachodzie. Nie wiem dlaczego, ale zapomnieliście o mnie na dziewiętnaście lat i pięć miesięcy. Teraz zrobiłem, o co mnie poprosiliście. Nieznany facet wszedł do sześciu banków, podjął w nich pieniądze i zniknął z nimi w ulicznym tłumie. Potem zjawił się w West Banku, gdzie założył nowe konta. Wasze pieniądze są bezpieczne. Jesteśmy kwita.

– Nie mam nic do ciebie. Jednak głośno zastanawiam się, czy twoje rozumowanie jest prawidłowe.

– Znajdujesz w nim jakieś luki?

– Dziennikarz polskiego pochodzenia znany z trzeźwego sposobu myślenia i chłodnych sądów. Tak cię tu oceniają.

Skłonił z podziękowaniem głowę, jakby usłyszał komplement.

– W Polsce wszystko się wali. Już niedługo dojdzie do pierwszych demokratycznych wyborów. Jak myślisz, kto w nich wygra? Czas komuny już mija. Jeszcze tego nie widzisz? – zapytał.

– Powiesz mi coś? – Sięgnęła po kolejnego papierosa, zamiast jednak go przypalić, zaczęła przekładać między palcami.

– Pytaj.

– Dlaczego odpowiedziałeś na hasło? I dlaczego potem wykonałeś przekazane polecenia?

– Odruch Pawłowa.

– Że niby jak?

– Był taki naukowiec badający odruchy warunkowe. Zapalał światło, a psy, które poddawał badaniom, śliniły się, pewne, że zaraz dostaną jedzenie. Postąpiłem podobnie. Jednak przez te dziewiętnaście lat nauczyłem się również myśleć... samodzielnie. Miło mi było cię poznać. – Damazy wstał od stołu. Podał jej na pożegnanie dłoń. Ruszył do wyjścia. Nim nacisnął kławkę, odwrócił się w jej stronę. Twarz Josephine wyrażała coś, na co w tamtym momencie powinien był zwrócić uwagę.

Olga skręciła z ulicy Senatorskiej w stronę placu Teatralnego. Nie mogła skupić się na ruchu. Dwa razy o mało nie wjechała w kufer samochodu hamującego z przodu.

– Chcesz nas pozabijać? – Siejka poprawił pas bezpieczeństwa.

– Zrobiłam prawo jazdy przed dwoma miesiącami – skłamała.

– Zatrzymaj się na parkingu przed teatrem. Potem możesz popełnić samobójstwo.

Zrobiła posłusznie, jak kazał.

Poprzednim razem, gdy zostawił ją pobitą na chodniku, nie bardzo wiedziała, jak powinna postąpić. Zgłosić się na milicję? Bzdura!

Kto mógł obronić ją przed tym bydlakiem?

Nikt!

Wróciła do kawiarni po płaszcz. Siedzący w środku udali, że jej nie widzą. Obsługująca ją niedawno kelnerka obrzuciła klientkę uważnym spojrzeniem, jakby próbowała sobie odpowiedzieć na pytanie, czy ma do czynienia z morderczynią, czy też...

Jakie to miało znaczenie?

– Hamuj, kurwa. Hamuj! – Siejka wrzasnął głośno. – Nie widzisz przed nami wykopu? Że też takim pacanom dają prawko!

– Przepraszam. Myślałam...

– Powiedziałem ci już, byś nie próbowała uruchamiać szarych komórek w pustym łbie, bo ich tam nigdy nie miałaś. A teraz gadaj, co wiesz o tym facecie?

– Anka niewiele o nim mówi.

– Miałaś ją pociągnąć za język.

– Ostatnio nie widujemy się zbyt często.

– To zrób coś, żeby to zmienić. Muszę wiedzieć, co to za jeden i co kombinuje.

– Wiem tylko – zawahała się, niepewna, jak przyjmie jej słowa – że...

– Że?

– On też jest z waszej paczki.

Siejka obrzucił ją spojrzeniem, jakby była niespełna rozumu.

– Jakiej paczki?

– Z SB.

Siejka podrapał się w wągrowaty nos.

– Tym bardziej muszę wiedzieć, co robi w hotelu.

– Może nas pilnuje albo...

– Powiedziałem, byś nie myślała, bo zrobisz tym sobie krzywdę. A tamte dwie?

– Helena i Elwira?

– Aha.

– Mówiłam o nich przed chwilą.

– Rzeczywiście, przez twoją jazdę wszystko wypadło mi z głowy. – Sięgnął po kławkę. – Zadzwoń i powiem, kiedy ponownie się spotkamy. – Wysiadł, zapinając płaszcz. Trzasnął za sobą drzwiami i ruszył gdzieś przed siebie.

– Żebyś tak zdechł! – Olga rzuciła mściwie za odchodzącym.

– Nie ma go. Jego nigdy nie ma... Wiem, tatusiu. – Elżbieta sięgnęła po zapalniczkę i przypaliła sobie papierosa. Zaciągnęła się głęboko i chwilę spoglądała na chmurę wydmuchniętego dymu. – Wiem. Praca na pierwszym

miejscu... Mówił, że jedzie w delegację. Wraca za tydzień. Dziękuję. Pozdrów mamę. Powiedz, że wpadnę w niedzielę na obiad. Nie, jego jeszcze nie będzie. Ja też całuję, tatku. Pa, pa.

Kiedy odkładała słuchawkę, z łazienki wyszedł dwudziestoparolatek przepasany w biodrach ręcznikiem. Poznali się kilka miesięcy temu w fitness clubie. Już w pierwszej chwili zwróciła uwagę na jego pięknie umięśnione ciało.

On natomiast zainteresował się Elżbietą, gdy po zajęciach wsiadała do BMW. Tak więc od pierwszego dnia wiedzieli, kto i czego może oczekiwać od drugiej strony.

– Dzwoniłaś? – Damian przysiadł na oparciu kanapy, pochylił się i pocałował ją w usta.

– Jesteś ciekaw do kogo?

– Nie moja sprawa.

– Tak myślałam.

Chłopak podszedł do barku. Chwilę zastanawiał się, na co może mieć ochotę, by wreszcie sięgnąć po butelkę burbona.

– Nie kapiesz się? – spytał.

– Brałam prysznic przed twoim przyjściem

Podeszła do niego, obróciła do siebie i zaczęła namiętnie całować.

– Pięknie całujesz.

– Ładny z ciebie chłopak. – Pogładziła jego muskularne piersi.

– A z ciebie szałowa dupencja.

Lekko go odepchnęła i wróciła na poprzednie miejsce.

– Wiesz, że nie znoszę rynsztokowego języka.

Damian wypił jednym haustem whisky i przysiadł obok niej na kanapie.

– Miałem cię spytać o to kilka razy.

– O co?

– Masz męża?

– Skąd ta ciekawość?

– W łazience widziałem męskie kosmetyki.

– Mam, ale stale w rozjazdach. Dlaczego pytasz?

– Tak chciałem pogadać.

– Więc już pogadaliśmy.

Chwyciła brzeg ręcznika, który okręcał jego biodra, i jednym szarpnięciem go ściągnęła. Potem rzuciła na podłogę.

– Nie rozbierzesz się?

– Zawsze twierdziłeś, że lubisz zdejmować ze mnie majtki.

Restauracja jeszcze była pusta. Dziewczyny wybrały stolik obok okna. W stronę Grobu Nieznanego Żołnierza właśnie ruszała zmiana warty. Wszystkie przypatrywały się w milczeniu maszerującym wojakom.

Helena spojrzała na zegarek.

– Dopiero siódma wieczór. Ta nocna praca powoli mnie wykańcza – powiedziała.

Pierwsza zareagowała Olga:

– Masz leżącą robotę i jeszcze narzekasz?

Anna prychnęła cicho pod nosem.

– Mogłabyś stać cały dzień przy maszynie.

– A potem leżeć ze starym, który właśnie wrócił z knajpy... – dodała Olga.

– A tak przynajmniej możesz się w dzień wyspać. Zmieńmy temat. – Machnęła ręką, jakby oganiała się od muchy. – Co nowego w wielkim świecie?

Helena, Anna i Elwira odpowiedziały niemal równocześnie:

– Nie wiem, ostatnio nie bywam – wszystkie roześmiały się głośno.

Elwira spojrzała pytająco na Olgę, zajętą poprawianiem biustu.

– A ty...?

Pytana zamyśliła się na chwilę, jakby zastanawiała się, jakiej udzielić odpowiedzi.

– Niedawno wezwano mnie do hycli. Gadał ze mną taki jeden.

– Z SB? – Elwira przysunęła się bliżej do mówiącej. – I co?

Olga rozejrzała się po sali, jakby szukała kogoś, kto mógłby je podsłuchiwać.

– Powiedziałam, żeby...

Na moment zapadła cisza. Pierwsza nie wytrzymała Helena.

– Co? – rzuciła.

Olga przełknęła głośno ślinę.

– Żeby zrobił mi laskę, to wtedy...

– Ale przecież ty nie masz...

Dopiero teraz Helena złapała dowcip i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

– Że jak zrobi mi laskę, to będę kapowała, a że nie mam laski, to niech

spada na drzewo – dokończyła Olga.

W otwartych drzwiach restauracji stanął elegancko ubrany mężczyzna, który zaczął rozglądać się po sali. Anna poderwała się z miejsca.

– Przyszły moje ukochane pieniądze. Do zobaczenia, dziewczyny – powiedziała.

– Ja też lecę. – Elwira wstała z krzesła. – Wrócę za godzinę. Jakby ktoś o mnie pytał, to wiecie, co powiedzieć.

Kiedy Anna z Elwirą odeszły, Helena trąciła Olgę w ramię.

– Co ci jest? Przed chwila nadawałaś jak najęta, a teraz taka mina?

– Anka zabrała mi Belga.

– Tego, za którym pobiegła?

– Tego.

Helena wzruszyła obojętnie ramionami, jakby nie widziała w tym nic naganego.

– Miał napisane na czole, że jest twój?

– Tak się nie robi koleżance.

– Może nie wiedziała?

– Byłam z nim na sylwestrze. Musiała nas widzieć.

– Żal ci jego kasy, czy też jego samego?

– Jednego i drugiego.

– Musisz pogadać z Anką. Nigdy nikomu nie wycięła żadnego numeru, więc na pewno nie zrobiła tego świadomie.

– Może tak, a może nie.

Andrzej upił łyk kawy. Odstawił filiżankę na spodeczek, spoglądając w stronę drzwi wejściowych kawiarni. Dochodziła godzina dwudziesta druga. O tej porze Anna siedziała już na stołkach Bristolu. Rozłożył „Trybunę Ludu” i zaczął przeglądać artykuły.

Mieszkańcy Lublina, Gdańska, Warszawy i Wrocławia opowiedzieli się za konstruktywnymi rozmowami i drogą, która zaprowadzi wszystkich Polaków do „okrągłego stołu”...

„Więc to już jest zaklepane – przebiegło mu przez myśl – okręt idzie na dno...”

Ponownie spojrzął w stronę wejścia. Szkoda czasu na czytanie. Położył na stoliku pieniądze. Wyszedł do hotelowego holu. W recepcji lekko siwiejący

czterdziestolatek bezskutecznie próbował rozwiązać krzyżówkę.

– Dobry wieczór.

Mężczyzna gryzł w zamyśleniu końcówkę długopisu. Odpowiedział skinieniem głowy, nie podnosząc nań oczu.

– Szukam pewnej pani.

– Szatynka? Ruda? Blondynka? Wysoka? – Recepcjonista zmierzył go taksującym spojrzeniem. – Niska? Biust dwójeczka? A może specjalne życzenie?

Andrzej pokazał recepcjoniście zdjęcie Anny. Sekundę później pod nos podsunął legitymację Służby Bezpieczeństwa:

– Słyszałem, że tu pracuje... – powiedział.

– Inaczej turecki sejm za czasów sułtanów? – Mężczyzna spojrzał pytająco na Andrzeja.

– Dywan.

Recepcjonista uśmiechnął się triumfalnie, jakby to on znalazł rozwiązanie. Moment później odchylił się do tyłu, sięgając po klucz od pokoju.

– Zapasowy... Jest z klientem. Gość zameldował się dwa dni temu. Czteryśta trzydzieści trzy. Pańska dama może być jeszcze zajęta.

Andrzej poszedł w stronę windy. Na czwartym piętrze ruszył długim korytarzem wykładanym bordowym chodnikiem. Wkrótce stanął przed właściwymi drzwiami. Przyłożył do nich ucho. Ze środka nie doleciał nawet jeden szmer. Spojrzał na trzymany w dłoni klucz. Nim wsunął go w zamek, powoli nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Uchylił je powoli. Cisza. Wszedł do przedpokoju. Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami. Dostrzegł słaby poblask światła. Najwidoczniej przy łóżku paliła się lampka. Obejrzał się na uchylone drzwi wejściowe i zapukał w szybę. Cisza. Zapukał głośniejszym głosem. Usłyszał jakby zduszone wołanie. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Zaskoczony zamarł w bezruchu. Anna miała ręce przywiązane nad głową. Obezwładniała je pętla krawata, który przywiązany był do poręczy łóżka. W ustach miała knebel.

Przysiadł obok, nie potrafiąc opanować ogarniającego go rozbawienia. Anna szarpnęła się kilka razy.

Wstał. Pochylił się nad nią i rozsuptał węzeł zaciśnięty na nadgarstkach. Anna zerwała z ust knebel.

– Co się tak patrzysz? – rzuciła ze złością. – Nigdy nie widziałeś przywiązanej kurwy?

– Szczerze...?

Zła zaczęła masować nadgarstki.

– Martwiłem się o ciebie.

– Muszę się wykapać. – Wstała z łóżka i naga przemaszerowała przez pokój. Nim wyszła, stanęła w progu.

– Zamów coś do picia. Jeśli cię nie stać, poproś o wodę mineralną. Dostaniemy ją gratis.

Zniknęła w łazience. Wkrótce doleciał go szmer płynącej z prysznicza wody. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Recepcja – usłyszał głos czterdziestolatka.

– Dzwonię z czterysta trzydzieści trzy. Proszę o połączenie z kelnerem.

– Się robi.

Złożył zamówienie. Kiedy Anna wyszła z łazienki, właśnie otwierał szampana.

– Perrier-jouët. – Wskazał na butelkę. Anna kiwnęła z uznaniem głową. – Wierną klientką Perriera – zadźwięczało stuknięte o siebie szkło – była królowa Wiktorja, a wielka Sarah Bernhardt uwielbiała się kąpać w winach tej firmy.

– Tylko to przyszedłeś mi powiedzieć?

Odstawił kieliszek i przesunął koniuszkami palców po jej odsłoniętym, nagim ramieniu.

– Zostawiłaś coś u mnie. – Sięgnął do kieszeni i wyjął pierścionek. – Pamiętasz? – Spowaźniał. Wskazał ruchem głowy hotelowe łóżko. – Chcę, żebyś z tym skończyła.

– I...?

– Była tylko ze mną.

– Nie stać cię.

Andrzej wyciągnął z kieszeni kilka paczek banknotów. Pieniądze i pierścionek położył na szafce obok butelki szampana.

– Na miesiąc... mnie stać. Co wybierasz?

Zawahała się, lecz w końcu sięgnęła po pierścionek. Wsunęła go wolno na palec.

– To najrozsądniejsze wyjście – próbowała zadrwić. – Mając to – spojrzała na mieniący się w świetle kamień – będę miała również twoje pieniądze.

Andrzej przyciągnął ją ku sobie i pocałował w usta. Delikatnie wyswobodziła się z jego objęć.

– Mój samochód jest w warsztacie. Podwieszysz mnie do koleżanki? –

Anna wstała z miejsca i ruszyła w stronę drzwi. – Idziesz?

– Spotkamy się przy samochodzie. Stoi przed hotelem.

Skrzywiła drwiąco wargi.

– Dbasz o moją czy swoją reputację? – Wyszła na korytarz, nie czekając na odpowiedź. Przywołała windę.

„Zabawne – prychnęła w myślach – jeszcze pół roku temu, gdyby powiedziano mi, że jakiś esbek będzie mnie odwiązywał, a ja się potem z nim umówię...”

Zaczęła się cicho śmiać.

– Ależ ten świat jest pokręcony.

Otworzyły się przed nią drzwi windy. Weszła do środka i nacisnęła guzik parteru.

Przypomniała sobie rozmowy z dziewczynami, w których zapewniała, że żaden Polak nie zaciągnie jej do łóżka.

– A jak będzie milionerem? – Olga wówczas nie bardzo wierzyła jej słowom.

– Wtedy zacznę wydawać jego pieniądze. A gdy będzie już golasem, poszukam następnego.

– Co ty właściwie masz przeciw naszym chłopom? – Helena nie bardzo rozumiała zawziętość Anny. – Mają takie same jaja jak inni. Może nie wszyscy gadają po angielsku czy francusku, ale w łóżku potrafią dziewczynę nieźle poobrać.

– Wolę faceta – sapnęła Anna – który myśli portfelem, a nie fiutem.

– A mnie tam jedno i drugie zupełnie nie zawadza – podsumowała Helena.

– À propos jaj – rzuciła Olga. – Ostatnio wpadła mi w ręce książka zatytułowana *Tao miłości*. Można się tam dowiedzieć sporo ciekawych rzeczy o facetach. Jak mogliby to robić i jak wielu z nich jest kiepskimi krawcami.

– Ja tam nie potrzebuję żadnych książek – stwierdziła jednoznacznie Helena. – Daję dupy od osiemnastki i nikt nie musi mnie niczego uczyć.

Winda zatrzymała się, wyrrywając ją ze wspomnień. Wyszła z kabiny. Nałożyła kozuszek i stanęła przed lustrem, sprawdzając makijaż. Kiedy się odwróciła, zobaczyła pana Tadeusza stojącego kilka kroków dalej. Spoglądał na nią, nie kryjąc zauroczenia jej osobą.

– Dzień dobry, panie Tadeuszu.

– Witam, pani Aniu. Jak zwykle ślicznie pani wygląda.

– Jak zwykle jest pan bardzo szarmancki...

Wyszli przed hotel. Anna podniosła kołnierz, osłaniając się przed chłodnym wiatrem.

– Nie za wcześnie zaczął pan dziś zmianę?

– Mówiłem, że kierownik to szuja. Chce się mnie pozbyć, a ja jeszcze mam na karku budowę domku.

Pochylił się w jej stronę i zaczął mówić szeptem:

– Jakiś esbek pytał o panią.

– Skąd pan wie?

– Nie bez przyczyny – dotknął palcem końca swojego nosa – nazywają mnie tu Nochalem.

W tym momencie Andrzej wyszedł przed hotel. Anna wsunęła rękę pod jego ramię. Po kilku krokach odwróciła się do zaskoczonego pana Tadeusza i puściła do niego oko.

Siejka zatrzymał samochód na tyłach Domów Towarowych Centrum. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Ruch był niewielki. Biorąc pod uwagę niemal puste półki, nie było się czemu dziwić. Podeszedł do najbliższej sprzedawczyni, która wydawała się spać z otwartymi oczami.

– Chciałbym kupić szlafrok.

– Nie tylko pan – odparła dziewczyna. – Proszę zajrzeć na drugie piętro do Sawy. Mieli coś rzucić.

– Chyba w Sawie sprzedają rzeczy dla kobiet.

– Jak są, to sprzedają.

– A jak nie ma?

– To i Salomon nie należy jak ten... – zastanowiła się moment – jak z cebra.

Wszedł na schody ruchome. Kiedy wjechał na drugie piętro, zobaczył długą kolejkę.

– Za szlafrokami? – spytał ostatniego w ogonku, nerwowo przebierającego w miejscu nogami.

– Jakimi szlafrokami?

– Normalnymi.

– Miały być, ale przywieźli koszule.

Stojący przed nim mężczyzna rzucił gdzieś ponad głowami w stronę czoła kolejki:

– Nie puszczaj tych, co nie stali. Dla wszystkich ma starczyć.

Przestępująca z nogi na nogę kobieta stojąca obok nerwusa wskazała na szczęśliwca trzymającego pod pachą kilka pakunków.

– Widział pan? Biorą po kilka. Ci ludzie to są podli. Dla nas nie starczy. Po jednym dawać – wrzasnęła. – Po jednym! Tu też są chętni!!!

Siejka pomyślał, że koszula też by mu się przydała. Stał w kolejce. Kiedy patrzył na stojących przed nim ludzi, przyszło mu na myśl pytanie, czy wiedzą, że lada chwila wszystko wokół się zawali?

Jakiś mężczyzna trącił go w ramię.

– Pan stoisz za tymi koszulami?

– Bo co?

– Szkoda nóg. Mają jeszcze do sprzedania kilkanaście sztuk, a tu... – Zamiast kończyć, wskazał na kłębiący się przed nimi tłum ludzi.

Mieszkanie urządzone było bez gustu. W pierwszej chwili odnosiło się wrażenie, że znajdujące się tu rzeczy zgromadzono na wyprzedaj. Cóż z tego, że były sporo warte? Barokowy sekretarzyk nie wiedzieć czemu stał obok biedermeierowskiej komódki, nad nią zaś wisiał Chełmoński, za którego ramę dodatkowo wetknięto rysunki Mai Berezowskiej.

Jednak Helena w swoim mieszkaniu ceniła różnorodność, zwłaszcza jeśli miała rynkową cenę. Według niej błędem było chowanie pieniędzy do skarpety lub noszenie ich do banku. Antyki zawsze były w cenie, a z biegiem lat nabierały wartości. Co prawda dla niej wartość kupowanej rzeczy określała suma, którą musiała wyłożyć z portfela. Niemniej miała do tych spraw wystarczającego nosa. Nigdy nie dała się oszukać. „Może i nie jestem wykształcona – mawiała – ale żaden frajer nie wciśnie mi kitu. Ja swoje oko mam”.

– Jak to wszystko już wiecie? – Anna spojrzała na siedzące przy stoliku koleżanki.

Helena wskazała na Olgę.

– Ona nam powiedziała.

Wskazana wydeła drwiąco wargi.

– Widziałam cię na mieście. Poza tym nie mówiłaś, że to tajemnica.

– To właściwie jaki on jest? – Helena trąciła Annę łokciem. Ta zamyśliła się na chwilę, jakby szukała odpowiednich słów.

- Prawdę powiedziawszy, to nie wiem.
- Przecież mówiłaś, że z Polaczkami... – rzuciła zaczepnie Elwira.
- Nie słuchaj jej – nie ustępowała Helena. – Pukaliście się już?

Anna zrobiła zdziwiona minę.

- Co to ma do rzeczy?
- No, „przed” facet zawsze jest miły, ale już „po”... – Helena przybrała ton nauczyciela. – Wtedy wychodzi szydło z worka...
- On jest jeszcze miłszy i subtelniejszy „po”.
- Jakby nie z tych stron – westchnęła Olga.
- Polak to zawsze jest Polak – nie ustępowała Elwira.
- Ten jest inny – w głosie Anny dało się wyczuć stanowczość.
- Ale nie wiesz jaki.
- Wiem.
- Ale ci zazdroścę. – Helena przymknęła rozmarzone oczy.
- Czego?
- Że tak wsiąkłaś.

Siedząca między Heleną a Elwirą Olga poprawiła stanik, z którego wylewał się wielki biust. Potrafiła nim robić takie rzeczy, że klientom oczy robiły się kwadratowe.

– No, to cyk. To za mojego Ludwisia XIV. – Helena wskazała na krzesło stojące nieopodal fotela. – Już myślałam, że po stronie wydatków będę musiała jeszcze dopisać koszt leczenia trypra, ale na szczęście Pan Bóg uchronił. Będę za to miała nauczkę, żeby nie chodzić z Arabami.

– Ładny mebelek. – Anna podniosła w górę kieliszek. – No, dziewczyny, zdrowie Helenki! – Wsparła dłoń na poręczu fotela.

– Myślisz, że kiedyś sadzał na nim dupę jakiś wicehrabiowaty fircyk? – Olga czknęła głośno.

– Czort jego kręcił. Wiem tylko, że mnie kosztował sporo złociszów.

– Anka, a co z twoim dobiegaczem? – Elwira podniosła kieliszek w toaście.

– Po staremu. Spotykamy się. Płaci. Rozmawiamy.

– Tylko się w nim nie zakochaj – prychnęła głośno Elwira.

– Nie bój się. – Anna machnęła dłonią, jakby oganiała się od naprzykrzającej się muchy. – Kurwy się nie zakochują.

Helena podsunęła przyjaciółkom do spróbowania sałatkę jarzynową.

– Tylko gadacie. Jedzcie coś!

– Anka, a jeśli to jakiś zбочek? – Olga bezskutecznie próbowała

wepchnąć pierś w zbyt małą miseczkę biustonosza.

– Nie wygląda na takiego.

– Więc skoro nie jest homoniewiadomo, to na pewno partyjny? – orzekła Olga, sięgając do salaterki. – Ci zawsze pierdola... od rzeczy. Taki jeden to nim mnie przeleciał, wygłosił mowę o sytuacji geopolitycznej Polski. A tak naprawdę to chciał tylko powiedzieć, że jest biednym kapciowym.

– Wiecie, że kiedyś... – Elwira miała kłopoty z trafieniem szyjką butelki do kieliszków. Ponieważ nie bardzo jej to wychodziło, Olga wyjęła jej z dłoni półlitrowkę. – Kiedyś w ogóle nie było facetów. Na Ziemi żyły same kobitki.

– Same? – Olga spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Samiuteńkie... Samiuśkie.

– To dobrze, że mnie wtedy nie było. Ja tam lubię sobie dobrze popierdolić. No, panienci – zawołała, wstając. – Zdrowie Helenki. – Po wypiciu kieliszka zaśpiewała na całe gardło. – Niech jej fiutek pomyślności nigdy nie zagaśnie...!

Elwira i Anna wybuchnęły śmiechem i już zamierzały przyłączyć się do toastu, gdy Helena zatkała usta Oldze.

– Co się tak wydzieracie?! Sąsiedzi pomyślą, że jestem jakaś zwykła prostytutka.

– W takim razie – Olga nie dawała za wygraną – zdrowie wszystkich uczciwych dziwek, co dyplomy pochowały do szaf, mają nerwy ze stali i dupy z rzemienia.

Nieoczekiwanie na ulicy przed blokiem rozległ się samochodowy klakson. Anna podeszła do okna i machnęła komuś ręką.

– Będę się zbierać.

– Wy ze sobą tylko gadacie? – Elwira nie potrafiła ukryć podejrzliwego tonu.

Anna nie odpowiedziała. A może i nie usłyszała zadanego pytania. Pomachała dziewczynom na pożegnanie i wybiegła z mieszkania. Przez chwilę wszystkie trzy siedziały w milczeniu.

– Myślicie, że tylko gadają? – Elwira zaczęła obracać w palcach pusty kieliszek. Nieoczekiwanie wszystkie trzy pobiegły do okna.

– Facet jest niczego sobie. – Helena stanęła obok niej. – Przystojny, nie powiem. Gdybym teraz miała fiuta, to by mi do niego stanął...

– Zobaczcie, jaki elegancik. – Olga odstawiła pusty kieliszek. – Otworzył przed nią drzwi samochodu. Są jeszcze faceci z klasą.

- Klasą? – Elwira czknęła głośno. – Chyba przedmaturalną! Co oni tam robią w tym samochodzie?
- Gadają. – Helena machnęła obojętnie ręką.
- Albo się pierdolą. – Elwira zagryzła w złości wargi.
- Mówisz, że się pierdolą? – Olga przycisnęła twarz do szyby.
- Jak nic!
- Jakie to piękne... – Helena westchnęła. – I romantyczne...
Moment później odciągnęła dziewczyny od okna.
- Lepiej nie patrzcie, bo się wam w nocy przyśni...

Elwira otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła, porażona światłem padającym przez okno. Przewróciła się na drugi bok i cicho jęknęła. Kurwa, co się stało z jej głową? Dotknęła czoła, nie będąc pewna, czy jest na swoim miejscu. Jak trafiła do domu? Po raz pierwszy w życiu tak się schlała.

Spróbowała podciągnąć się na rękach, ale jęknęła boleśnie. Każdy ruch zdawał się detonować ukryty w mózgu granat. Kiedy zaś trwała w bezruchu, miała wrażenie, że w jej czaszce człapie w stalowych łapciach jakiś skurwysyński krasnal, który kopie raz jedną, to znów drugą jej półkulę.

Pojękując, zwłokła się z łóżka i wspierając o ścianę, przemaszerowała do kuchni. Tu wyjęła z lodówki wodę mineralną i ruszyła znowu do sypialni. Przechodząc obok wiszącego na ścianie lustra, spojrzała na siebie przelotnie.

Przestraszyła się swego wyglądu. Włosy zmierzwione, jakby nie czesała się od miesiąca. Sukienka miała oderwane ramiączko. Na nodze w rajstopach widniała dziura. Dała za nie prawie trzy dolce w Peweksie, niech to diabli.

Usiadła na łóżku i odkręciła butelkę. Piła długimi łykami, mając wrażenie, że woda z trudem przeciska się przez drewniane gardło. Odstawiła butelkę na stolik i rzuciła się na łóżko. Coś ją uwierało w łopatkę. Sięgnęła pod kołdrę i trafiła na słuchawkę telefoniczną. Na podłodze leżał rozbity telefon.

Zaczęły jej się przypominać fragmenty obrazów z wczorajszego wieczoru. Starła się je złożyć razem, niczym rozsypane puzzle. Jednego była pewna – upiła się wczoraj przez Ankę. Miała do niej żal, że puściła się z pierwszym lepszym dupkiem. A przecież gdyby tylko zechciała...

Przypomniała sobie o rozbitym telefonie. Czyżby do niej dzwoniła? Co powiedziała? A może Anna ją wyśmiała? Dotknęła? Zraniła?

- O Chryste – jęknęła boleśnie.

Otworzyły się drzwi do sąsiedniego pokoju. W progu stanęła Olga w krótkiej halce.

– Obudziłaś się wreszcie?

– Przyjechałaś ze mną?

– Jak widać. Sama nigdy nie doczołgałabyś się do chałupy.

Elwira zagryzła boleśnie wargi.

– Chyba za mocno dałam sobie wczoraj po szyi. Dzwoniłam do kogoś? – wstrzymała oddech bojąc się usłyszeć, że...

– Chciałaś. Ale stale odzywała się jakaś automatyczna sekretarka. Więc nawyzywałaś ją od kurew i rozbiłaś aparat – ziewnęła głośno Olga. – Jak się czujesz?

– Jak ten rozpieprzony telefon.

Rozdział piąty

Anna podała urzędnicze paczkę, w której znajdowała się lalka. Zapłaciła za znaczki. Wyszła przed pocztę, gdzie czekał Andrzej.

– Wszystko załatwiłaś?

Kiwnęła potakująco głową. Otworzył przed nią drzwi samochodu.

– Gdzie teraz?

Wskazał wzrokiem na deskę rozdzielczą.

– Najpierw na stację benzynową.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Anna próbowała znaleźć na falach radia muzykę, lecz nie nadawali niczego interesującego.

– Nigdy nie zapytałeś, dlaczego to robię...

– Co?

– Dlaczego jestem kurwą?

Wzruszył obojętnie ramionami

– Każdy facet o to pyta... – nie dawała za wygraną.

– Nie jestem każdy... Poza tym to już przeszłość, a ja nie lubię oglądać się za siebie.

Skręcili na skrzyżowaniu. Kilkanaście minut później zatrzymali się na stacji benzynowej. Kiedy Andrzej tankował, ponownie sięgnęła do włącznika radia. Dostrzegła kluczyki pozostawione w stacyjce. Obejrzała się. Był zajęty migającymi cyframi licznika dystrybutora. Przesiadła się za kierownicę. Spojrzała w lusterko wsteczne.

– Masz jeszcze szansę uciec – szepnęła do odbicia Andrzeja w lusterku wstecznym. Chyba bardzo chciała, by tak właśnie się stało. Sama już nie potrafiła powiedzieć „nie”. Kiedy przechodził obok, przechyliła się przez siedzenie i otworzyła drzwi. Zobaczyła jego zaskoczoną twarz.

– Wsiadaj, kochanie. – Uruchomiła silnik.

– Trzeba jeszcze zapłacić. – Miał minę ucznia, który mimo przygotowania się do lekcji dowiaduje się, że dostał z odpowiedzi stopień niedostateczny. – Zatankowałem, więc muszę zapłacić... może ty tego nie rozu...

– Wsiadaj, kurwa! – Wcisnęła pedał gazu, nie zwalniając sprzęgła. Silnik skoczył z jękiem na wysokie obroty.

Zdezorientowany wskoczył do środka. Anna ruszyła z piskiem opon. Nie zważając na jadące ulicą samochody, wyskoczyła na środkowy pas. Rozległy się z tyłu jękliwe zawodzenia klaksonów.

Krótkie hamowanie i znowu gaz do dechy.

Kątem oka dostrzegła, że Andrzej szuka pasów. Przez skrzyżowanie przeskoczyła w momencie, gdy zapalały się czerwone światła.

– Lubisz szare, nieskomplikowane życie?

– Szare? – pokręcił przecząco głową. – Ale wariackie... Nie boisz się, że ktoś mógł zapamiętać numery rejestracyjne...?

Anna wzruszyła obojętnie ramionami.

– Dlaczego miałabym się bać? – sekundę później roześmiała się. – To przecież twój samochód. – Zwolniła, dojeżdżając do czerwonych świateł. Kiedy się zatrzymali, pocałowała go w policzek. – Gniewasz się?

Pokręcił przecząco głową.

– Na ciebie nie można się gniewać.

– Wiesz, pomyślałam sobie, że jeśli tak wszystko się nam udaje... Hmm – potarła w udawanym zamyśleniu brodę. – Może zostaniemy... polskimi Bonnie i Clyde.

– Ciekawa propozycja. Ale na początek, dla wprawy... Może gdzieś, szalona dziewczyno, po prostu cię porwę?

– Kiedy...?

– Teraz. Znam takie urocze miejsce...

O jedenastej przed południem West Bank był niemal pusty. Mimo chłodu na ulicy wewnątrz panowało przyjemne ciepło. Po marmurowej posadzce rozchodziło się przytłumione echo kroków strażnika, który, gdyby nie wiszący u pasa pistolet, sprawiałby wrażenie dobrotliwego wujka czekającego na krewniaka tylko po to, by ofiarować mu czek na milion franków.

W oddziale realizacji zleceń w fotelu siedziała Josephine, obojętnie przeglądając ostatnie wydanie kolorowego tygodnika. Za kilkanaście minut zgromadzone sześć milionów osiemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów zostanie przelane do Banku Koëniga, gdzie zostaną zamienione na obligacje American Oil Trust. Przy obecnych trendach na światowych giełdach za rok kapitał powinien zostać trzykrotnie pomnożony.

Siedząca za marmurowym kontuarem pracownica banku dostrzegła, że Josephine spogląda na zegarek i obdarzyła ją uśmiechem, którym zdawała się prosić o minutę cierpliwości.

Josephine pomyślała o Damazym. Smutny palant. Jak to się stało, że wysłano go na Zachód? Musiał wiedzieć, że kiedyś zostanie odmrożony. W końcu nie zafundowano mu podróży do Paryża ze względu na żydowskie pochodzenie. Po latach centrala przypomniała o swoim istnieniu. Przed tygodniem Damazy wykonał ostatni ruch na szachownicy, której piony zostały odpowiednio rozstawione.

Wszystko zniknie w Banku Koëniga. W efekcie nikt nigdy nie rozszyfruje drogi, którą przemierzyła forsa z punktu A do punktu N. Oczywiście, jeśli Damazy zapomni, co i na czyje polecenie zrobił. A że zapomni... Tego była pewna!

Wczoraj zaczął prószyć drobny śnieg, gdy zatrzymała samochód przed kawiarnią Robespierre. Chodnikiem spieszyli ludzie z głowami wtulonymi w kołnierze, klnący pod nosem pogodę i zavalone błotem chodniki. Wydawało się, że jedynym jasnym punktem w tej szarzyźnie paryskiej ulicy jest kawiarnia, zza której szyb padało ciepłe światło i przytłumiona piosenka, wabiąca głosem Edith Piaf.

Wysiadła z peugeot'a i weszła do środka. Kilka stolików pod oknem było zajętych. Jakaś młoda para stała przy szafie grającej, kołysząc biodrami w takt słuchanej melodii. Za ladą królował otyły niski jegomość w rozpiętej pod szyją kraciastej koszuli, z czerwonymi szelkami podtrzymującymi olbrzymie płócienne spodnie. Rozejrzała się za kimś młodszym, ale za kontuarem tkwił tylko ciapowaty pięćdziesięciolatek.

– Czym mogę służyć? – Grubasek odstawił wytarte szkło.

– Chciałabym się napić kieliszek margaux – rzuciła automatycznie. – Znajomi podpowiedzieli, że można je tu znaleźć w najlepszym gatunku.

– Margaux? Widzę, że lubi pani wina z okolic Médoc.

Josephine wydało się, że źrenice właściciela na sekundę się zwężyły. Chociaż może to był tylko odbłask płonących nad kontuarem żarówek. A może Josephine zaskoczyło, że na hasło odpowiedział właśnie ten człowiek, ofermowaty tłuszcioch o łatwowiernych oczach dziecka.

– Właśnie z okolic Médoc – odparła.

Całe hasło zostało powiedziane i żadne z nich nie mogło mieć już wątpliwości, z kim ma do czynienia. Pierre Sardou wskazał gościowi stołek w końcu kontuaru.

- Za chwilę podejde. Zatem kieliszek margaux.
- I kawę, podobno jest tu wyśmienita.
- Nie podobno, ale na pewno, i mamy doskonałą szarlotkę.
- Niech będzie.

Dwie minuty później przed Josephine pojawiły się kieliszek wina, filiżanka, dzbanuszek z gorącym mlekiem i smakowicie wyglądające ciasto. W zamian właściciel kawiarni otrzymał szarą kopertę, w której znajdowało się pięć tysięcy dolarów w dwudziestkach.

Rozmawiających obserwowało dwóch sześćdziesięciolatków, którzy trzymali w dłoniach w połowie wypite kieliszki wina.

– Popatrz na Pierre’a – w głosie pierwszego wyczuwało się niekłamaną zazdrość. – Ledwie ta ślicznotka weszła do kawiarni, a ten już do niej tokuje. Dobrze, że nie ma tu Solange.

– Co chcesz. Takie babki lubią pantoflarzy. Czasem jak patrzę na naszego Pierre’a, to mi go żal.

- Niby z jakiego powodu?
 - Wziąć sobie za żonę taką megierę.
 - Niektórzy wolą, by ktoś inny za nich rozpierał się w życiu łokciami.
 - Zwłaszcza jeśli nie potrafią zliczyć do dziesięciu.
- Obaj głośno roześmieli się z dowcipu i zamówili następną kolejkę.

Dwa dni później, na kilka minut przed zamknięciem, próg kawiarni Robespierre przekroczył Czyściel. On również miał ochotę napić się kieliszek margaux. Tym razem Pierre Sardou poprosił gościa, by poczekał kilka minut do czasu zamknięcia lokalu. Potem postawił przed nim zamówiony kieliszek wina.

Podał go lewą ręką, jednocześnie rzucając krótkie, acz uważne spojrzenie na lewą dłoń Czyściela.

Wiedział, czego tamten szuka. Między kciukiem a palcem wskazującym Sardou miał podwójny krzyż przysłonięty ostrzem piki, co oznaczało, że służył w trzynastej półbrygadzie Legii Cudzoziemskiej.

On nosił znak czarnego orła pierwszego regimentu.

Czyściel apatycznie powąchał przyniesiony trunek, kiwnął głową i podniósł kieliszek do ust. W czasie gdy powoli sączył alkohol, gospodarz zabrał się do ustawiania krzeseł na stolikach.

Już od momentu pierwszego zetknięcia z tłuściochem Czyściel wiedział, że ten jedynie maskuje się pozorną naiwnością i wyzierającą z całej osoby osowiałą sytością.

Przypomniała mu się mina pogranicznika, gdy przed laty zatrzymano go na nielegalnym powrocie do Polski. Przez zieloną granicę nawiewało się tylko w stronę Zachodu. A on wracał!

Prawdę mówiąc, był pewien, że nikt nie zauważył, iż zniknął na pięć lat. Mylił się. Za dezercję i zdradę ojczyzny dostał 25 lat. Sędzia ogłosił wyrok i jeszcze tego samego dnia w celi pojawił się pułkownik Sulimowicz z propozycją współpracy przy szkoleniu Palestyńczyków. Stare dobre czasy.

Wreszcie światła na sali zostały zgaszone i gospodarz wskazał niemym ruchem dłoni drzwi prowadzące na zaplecze. W tym momencie dopiero po raz pierwszy od kilku minut Sardou odwrócił się do niego plecami.

– Nie interesuje mnie – Pierre rzucił do idącego z tyłu Czyściela – po co panu francuskie prawo jazdy i samochód.

– Bardzo słusznie – odpowiedział. – Tylko że prócz rzeczy, które pan wymienił, mam dostać coś jeszcze.

– Ma się rozumieć – wymamrotał grubasek i zatrzymał się przed odrapanymi drzwiami na końcu korytarza. Spod przepoconej koszuli wyciągnął klucz zawieszony na łańcuszku.

Weszli do środka. Zapachniało stęchlizną i kuchennymi odpadkami. Sardou przekręcił włącznik i zsymp zalało jaskrawe światło jarzeniówek zawieszonych pod blaszanym dachem.

– Miło tu. – Czyściel rozejrzał się dokoła, próbując ograniczyć wdychanie atakującego go smrodu.

Gospodarz odsunął pojemniki ze śmieciami. Przeszli przez kolejne drzwi. Tym razem znaleźli się w niewielkiej komórce, która być może niegdyś służyła jako zakładowy kantorek. Zajęli miejsca po obu stronach niewielkiego biurka. Chwilę później Czyściel dowiedział się, że dwie przecznice dalej czeka na niego czarny Citroen. W jego schowku był dowód rejestracyjny i prawo jazdy na nazwisko Georges Simenon. Gospodarz położył przed nim dziesięciopistoletowy Glocka z tłumikiem. Wziął pistolet do ręki. Był okej.

– Kolba i język spustowy są owinięte specjalną taśmą, na której nie

pozostają odciski palców – właściciel kawiarni obojętnie cedził słowa. – Pistolet nie ma żadnych numerów, więc po wszystkim możesz go wrzucić choćby do najbliższego kosza na śmieci.

Czyściel sięgnął po prawo jazdy i nieznacznie się uśmiechnął.

– Coś nie tak?

– Zamiast Georges Simenon nie bardziej oryginalne byłoby umieścić nazwisko Maigret?

W oczach siedzącego na wprost Pierre’a pojawił się wyraz niezrozumienia. Nie wiedział, kogo dotyczy pytanie.

– Słyszałeś coś o komisarzu Maigrecie?

– Nigdy nie miałem żadnych kontaktów z policją – grubas najwyraźniej był obruszony. – Jestem uczciwym człowiekiem.

– Georges Simenon to pisarz powieści kryminalnych, których bohaterem uczynił komisarza Maigreta.

Grubas ponownie zrobił zdziwione oczy.

– Mój szwagier nazywa się Georges Simenon, i podobnie jak ja, też jest uczciwym człowiekiem.

– W porządku, nic mi do tego – powiedział Czyściel. Schował dokumenty do kieszeni i chwilę później szedł ulicą do samochodu.

Siedzieli na tarasie. Anna odstawiła na stolik pusty kieliszek od wina. Przynęła się bliżej do Andrzeja. Objęła go w pasie i położyła mu głowę na ramieniu. Dom, który wynajęli, stał na wzgórzu osłonięty z trzech stron strzelającymi w niebo rozłożystymi brzoziakami. Od strony wschodniej rozciągał się widok na dolinę, na której dnie wiała się błękitna wstęga rzeki.

– Pięknie tu. – Andrzej wskazał przed siebie wyciągniętą ręką.

Ciemniejącą linię horyzontu zamykała ściana lasu. Pokazał na niebie punkt zataczający nad ich głowami regularne kręgi.

– Sokół. Chyba wyruszył na wieczorny łów... Piękny zachód słońca. Pstryknę ci kilka zdjęć. – Zmienił obiektyw.

– Nie teraz, wiatr potargał mi włosy.

– Zawsze jesteś śliczna. – Nacisnął migawkę aparatu fotograficznego. – Przesuń się nieco w lewo. Chcę cię mieć na tle tej brzozy. O, właśnie tak. Mówiłem, że pięknie się uśmiechasz?

Pokręciła przecząco głową.

– Teraz nie ruszaj się. Chcę mieć tylko twoją twarz. Taką zamyśloną. Doskonale... Teraz profil. – Strzeliła lampa błyskowa. – Wyśmienicie. I z drugiej strony.

– Obiecuj mi coś.

– Tak?

– Jak fotki będą brzydkie, to je podrzesz.

– Słowo harcerza. – Przysłona ponownie cicho mlasnęła. I znowu. I raz jeszcze. – Wystarczy sesji zdjęciowej. – Pociągnął ją za rękę. – Chyba czas się rozpakować. – Wskazał wzrokiem na środek salonu, gdzie stały bagaże.

– Jeszcze chwila. – Przytuliła się do niego mocniej. – Dobrze, że mnie porwałś. Już nie pamiętam, kiedy byłam gdzieś za miastem.

– Jeszcze odrobina nebbiolo? – zapytał.

– I tak kręci mi się już w głowie. O winach wiesz tyle samo co o szampanach?

– Chcesz posłuchać?

Kiwnęła głową.

– Jeśli chodzi o nebbiolo – zaczął z miną wykładowcy – to zamówiłem je specjalnie ze względu na niepowtarzalny aromat. To włoski pinot noir, w tym sensie, że jak pinot noir w Burgundii, tak nabbiolo jest perłą Piemontu. To wino najbardziej znane jest z tego, że na jego bazie powstają dwie najsłynniejsze włoskie marki: Barolo i Barbaresco... – wskazał na stojące na stole w salonie butelki. – Może spróbujemy? Są doskonałe na... apetyt. – Namiętnie ją pocałował.

– Nie kuś, szatanie.

– To może cappuccino?

– Z przyjemnością.

Andrzej wyszedł do kuchni. Zaparzył kawę. Wsypał łyżeczkę cukru. Na koniec wyjął z kieszeni fiolkę z czerwonymi pastylkami i jedną wrzucił do filiżanki. Wrócił na taras. Chwilę oboje patrzyli na słońce ginące za ciemniejącą w oddali linią lasu.

– Dlaczego jesteś w SB? – jej głos był spokojnie łagodny.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie.

– Nie chcesz o tym mówić? – spytała.

– Uwierzyłem w coś, co sobie wmówiłem.

– Nie rozumiem?

– Po studiach zaoferowano mi dobrze płatną pracę.

– To wszystko?

– Już prawie noc. Ja idę pierwszy się kąpać.

Wrócili do saloniku. Andrzej ruszył do łazienki.

Schyliła się, by otworzyć walizkę. Kiedy sięgała po saszetkę z kosmetykami, zakreśliło jej się w głowie. Wsparła się o poręcz fotela. Gdyby nie to, upadłaby na podłogę. Powinna skończyć z alkoholem. Oddychała chwilę głęboko, próbując się wyciszyć. Z pewnością kąpiel ją otrzeźwi. Usiadła w fotelu i zamknęła oczy.

Kilkanaście minut później Andrzej minął ją owinięty śnieżnobiałym szlafrokiem.

– Nie śpij, bo mi cię ukradną. – Pocałowała go w czoło.

Przeszła do łazienki. Rozkręciła kurki, napełniając wannę. Rozebrała się i powoli wsunęła do gorącej wody. Zamknęła oczy, czując łaskotanie piany ocierającej się o jej ramiona i podbródek. Poczowała się lepiej...

Powoli się rozluźniła. Wszystko zostało gdzieś tam... Daleko... Na zewnątrz. Jak zwykle w takich momentach, odniosła wrażenie, że spogląda na siebie samą z dystansu pozwalającego się oceniać i zrozumieć. Przecież niegdyś dała sobie słowo, że nigdy z żadnymi Polaczkami.

Co się z nią dzieje?

Przychodzi jakiś facet, bierze ją za rękę i burzy dotychczasowy porządek. A ona, jak ta głupia cipa, jedzie z nim na Mazury. Jeszcze trochę, a zacznie się zastanawiać, czy też nie zaproponować mu kasy za spędzoną wspólnie noc.

Przypomniało jej się jego pytanie: „Na miesiąc... mnie stać. Co wybierasz?”.

Nie ma się czym przejmować. Za dwadzieścia cztery dni o wszystkim zapomni. A do tego czasu zafunduje sobie wakacje, których nie miała od lat.

Nieoczekiwanie skronie przeszył dojmujący ból. Jakby ktoś wbił jej w mózg stalową igłę. Chwyciła się za głowę. Otworzyła oczy i przytrzymała się brzegów wanny, w obawie, że zemdleje i zsunie się pod wodę. Sekundę później, przerażona, dostrzegła na swych piersiach krew. Czerwona plama wypełniała niemal pół wanny. Próbowała wytrzeć dłonią krwawiący nos. Wyszła z wanny. Okręciła się ręcznikiem. Drugi zmoczyła w zimnej wodzie i przyłożyła sobie na kark. Krwawienie ustało. Nadal jednak była słaba. Wytarła się pospiesznie. Spłukała wannę. Usiadła na sedesie.

Zaczęła oddychać miarowo.

Co się z nią dzieje? Przecież dotąd nigdy nie chorowała. Chorowała? Skąd pomysł o chorobie? Ostatnie tygodnie były dosyć intensywne. To dobrze, że

dała się namówić na ten wyjazd. Jak długo można żyć w biegu? Spojrzała w lustro. Uśmiechnęła się do siebie, już wszystko dobrze. Poprawiła włosy i ruszyła do sypialni.

Kiedy wsunęła się pod kołdrę, Andrzej przyciągnął ją ku sobie, otaczając ramieniem. Wpatrywał się w sufit nieruchomym wzrokiem, sprawiając wrażenie zagubionego w lesie malca. Po dłuższym wahaniu, jakby mocowaniu się ze sobą, Andrzej wreszcie z siebie wydusił:

– Powinnaś o tym wiedzieć... Chcę, byś o tym wiedziała... Jestem zwykłym facetem, któremu kiedyś wydawało się, że może zostać Jamesem Bondem.

– Na razie mówisz zagadkami – ziewnęła.

– Wierzyłem w Polskę Ludową. W to, że już niedługo... Że w kolejnej pięciolatce... Że błędy zostaną naprawione... Że partia tylko chce naszego wspólnego dobra...

Wysłano mnie na Zachód. Pozwolono posmakować bycia kimś lepszym. Ważniejszym. Bogatszym o wciśnięte do portfela kilka dolców. Pięćdziesiąt zielonych tam było drobniakami, w kraju zaś górą szmalu.

– To w końcu kim byłeś?

– Etatowym pracownikiem wywiadu, oficjalnie zatrudnionym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Sześć lat temu wysłano mnie do ambasady w Paryżu. Oficjalnie zostałem zastępcą attaché kulturalnego. Wszystko było cudnie do dziesiątego czerwca osiemdziesiątego trzeciego.

Tego dnia rano odbyła się mała uroczystość. W zajmowanych przez nas pomieszczeniach rezydent wywiadu odczytał depezę, która nadeszła szyfrówką z Warszawy. Gratulowano nam ostatnich osiągnięć, zwłaszcza pozyskania agenta wpływu w COCOM-ie.

– Co to takiego?

– To zrzeszenie najbardziej uprzemysłowionych państw zachodnich. W klubie, jak go nazywaliśmy, ustalano listy towarów technicznych i informacji naukowych, które ze względu na swą wartość nie mogły być eksportowane na Wschód. Mnie udało się pozyskać człowieka, który w centrali przy rue La Boëtie pięćdziesiąt osiem skreślał z list eksportu najnowszych technologii te, na których szczególnie zależało naszemu wywiadowi technologicznemu.

– Więc byłeś Bondem? – westchnęła. – Przy śniadaniu opowiesz mi dalej.

– Chwilę potem już spała.

– Z uroczystości w ambasadzie wyszedłem nieco wcześniej. Miałem umówione spotkanie w mieście. Wyjechałem samochodem. Wszystko wydarzyło się przy rue François. Zamierzałem skręcić, gdy nieoczekiwanie z chodnika zszedł przechodzień. Pośliznął się i wpadł pod koła mojego wozu. Zahamowałem gwałtownie i wyskoczyłem na ulicę. Nie zwróciłem uwagi na fakt, że obok zatrzymał się czarny furgon. Kątem oka dostrzegłem jedynie otwierane drzwi boczne. Jakieś ramiona chwyciły mnie mocno za marynarkę i zostałem wciągnięty do środka.

– Porwany? – Anna zamarła z widelcem w dłoni.

– Wtedy nie byłem tego pewien. Związano mi ręce i nogi. Zakneblowano. Na głowę zarzucono kaptur z ciemnego materiału. Nie zdążyłem nawet zawołać pomocy. Moment po tym jak zostałem obezwładniony, usłyszałem czyjś zimny głos: „Jeśli zrobisz choć jeden gwałtowny ruch, poderżnę ci gardło”.

Przez godzinę kluczyliśmy paryskimi ulicami. Zwalnialiśmy, to znów przyspieszaliśmy. Wreszcie dochodzące z zewnątrz odgłosy upewniły mnie, że wjechaliśmy do podziemnego garażu.

Ktoś otworzył drzwi. Wywleczono mnie na zewnątrz. Wrzucono do bagażnika samochodu osobowego i ponownie gdzieś ruszyliśmy.

– Kim byli porywacze?

– Byłem pewien, że to ludzie z Direction de la Surveillance du Territoire^[14]. Od momentu porwania nie minęło więcej niż piętnaście minut. O tej porze byłem umówiony z jednym z naszych ludzi. Kiedy nie stawiałem się na spotkanie, czekający agent z pewnością domyślił się, że coś mi się przytrafiło. W takiej sytuacji miał obowiązek natychmiast powiadomić ambasadę. Potem procedura postępowania była wykonywana niemal automatycznie. Błyskawicznie odwołano wszystkie akcje planowane tego dnia w Paryżu. Wszyscy agenci jak najkrótszymi drogami mieli obowiązek natychmiast wrócić do ambasady, gdzie rezydent winien wskazać podległym oficerom kierunki operacyjnych poszukiwań.

– Operacyjnych? Co to znaczy?

– Niejawnych.

– Aha.

– Równocześnie konsul zwracał się do francuskiej policji z żądaniem natychmiastowego odszukania zaginionego dyplomaty. Ambasador rozpoczynał wysyłanie do francuskiego MSZ-etu strumienia depeesz: groźących, żądających, ponagających.

– Ciekawe.

– W czasie gdy to wszystko się działo, ja już byłem poza miastem, tak przynajmniej mogłem wnioskować po odgłosach, które dochodziły z zewnątrz samochodu. Przez całą drogę zadawałem sobie pytanie, kim są porywacze?

W szkole wywiadu uczono nas opanowywać stresowe sytuacje. Przechodziliśmy długie szkolenia na zajęciach psychoterapeutycznych. Próbowałem zatem się uspokoić i w miarę na zimno przekalkulować swój przypadek. Początkowo odrzuciłem przypuszczenie, że uprowadziło mnie DST. Nie porywa się człowieka z paszportem dyplomatycznym tylko dlatego, że pracuje w wywiadzie. Jednego mogłem być pewny – jeśli miałem być zabity, to nie za godzinę ani nawet tego wieczoru. Nie opłaca się łapać faceta, wywieźć go za miasto, narażając się na kontrolę policji i gdzieś w lesie strzelić mu w łeb.

Wjechaliśmy na wiejską drogę. Po kilku minutach podskakiwania na wybojach zatrzymaliśmy się. Zaprowadzono mnie do jakiegoś pomieszczenia. Pachniało smarami i benzyną, więc mógł to być garaż. Prawe ramię przykuto mi kajdankami do kaloryfera.

„Teraz zdejmę ci kaptur – usłyszałem – jeśli odwrócisz głowę w moją stronę, zastrzelę”.

Ściągnięto mi ciemny worek. Zerwano z ust knebel. Kazano usiąść na dmuchanym materacu. Znajdowałem się wewnątrz namiotu, przez którego płótno widziałem cienie mężczyzn krążących dokoła. Zacząłem wołać, że jestem polskim dyplomatą i żądam natychmiastowego skontaktowania z konsulem. Powtarzałem te słowa ze trzydzieści razy, ale nikt nie zwrócił na nie uwagi. Moje ramię przykute do kaloryfera wystawało na zewnątrz. Poczułem ukłucie igły. Usnąłem.

Kiedy wróciła mi świadomość, zobaczyłem przypięty do płachty namiotu list. Na kartce napisano maszynowym pismem, że za moje uwolnienie porywacze żądają pięćdziesięciu tysięcy franków. Mogłem z tego wnioskować, że zostałem uprowadzony dla okupu. Nie dawała mi jednak spokoju ewentualność, że jest to tylko zasłona dymna. W końcu nie byłem nikim ważnym. Na zajęciach z taktyki operacyjnej uczono nas, że najmniej

prawdopodobne odpowiedzi na zadawane sobie pytania najczęściej bywają najtrafniejsze.

– Więc porwali cię Francuzi z... jak mu tam...

– Kontrwywiadu. Zacząłem kalkulować wszystkie za i przeciw. Jednak nie chodzi im o moją głowę, gdyż nie miałbym okazji do takich rozmyślań. Dla Francuzów jestem zerem. Wiedzą, dla kogo pracuję. Łatwiej zatem wyrzucić mnie z kraju jako persona non grata, niż ryzykować, że nasi zastosują wobec ich agentów podobne środki odwetowe. Taka bowiem jest reguła.

Po co obcemu agentowi podrzynać gardło? Lepiej go obserwować, rozpoznawać cele jego działań, podsuwać fałszywe informacje, kontrolować, czy wreszcie werbować na podwójnego szcztura. To przynosiło stokroć lepsze efekty.

Kazano mi przepisać na czystej kartce papieru przypięty do namiotu list. Wtedy zorientowałem się, że po tym, jak podsunęto mi narkotyk, odcięto mi palec u dłoni. Miałem na knykciu założony profesjonalny opatrunek. Musiał to zrobić lekarz.

Z dnia na dzień, czy też z nocy na noc coraz bardziej byłem przekonany, że moja osoba jest pionkiem w jakiejś rozgrywce. Jaka była jej stawka? Czyja wygrana lub przegrana mogła zmienić moją sytuację?

Jeśli nie spałem i nie przepisywałem kolejnych listów, nikt do niczego mnie nie zmuszał. Miałem mnóstwo wolnego czasu. Próbowałem zatem rozszyfrować łamigłówkę, która nosiła moje imię i nazwisko. Dlaczego Francuzi mnie porwali? Jeśli do tego równania podstawię sensowne dane, wówczas być może znajdę właściwe rozwiązanie.

Minęły dwa tygodnie od chwili uprowadzenia i nic się nie działo. Nikt nie próbował mnie przepytować, wyciągnąć ze mnie informacji. Co więcej, porywacze unikali ze mną jakiegokolwiek kontaktu. Tylko dwa razy słyszałem ich głosy. W pozostałych przypadkach porozumiewano się ze mną za pomocą pisemnych poleceń.

Przez cały ten czas żaden z naszych się o mnie nie upomniał.

Nic!

Cisza!!!

Pewnego dnia uświadomiłem sobie coś, co przed laty skrzętnie pomijano i skrywano w czasie nauki w szkole wywiadu. Według słów wykładowców to my mieliśmy stanowić o kierunku i szybkości poruszania się figurek na świeczniku władzy. W końcu władza to nic innego jak dostęp do możliwie najpełniejszej informacji. W rzeczywistości byliśmy niepozornymi trybikami

w wielkim mechanizmie systemu. Każdy z nas mógł być wymieniony lub usunięty bez żadnych konsekwencji dla precyzji działania całości.

– Ale przeżyłeś – Anna pocałowała Andrzeja w policzek – i dziś jesteś przy mnie.

– Pewnego dnia kazano mi założyć kaptur.

– Jak długo cię trzymali?

– Potem dowiedziałem się, że dwadzieścia osiem dni.

– Jak to „potem”?

– W więzieniu straciłem rachubę czasu. Porywacze skutecznie rozbili rozkład dnia czy też nocy, które w końcu przemieszały się ze sobą. Otrzymywałem posiłki w nieregularnych odstępach czasu. Miałem prawo do gorącej kawy, bagietki, marmolady morelowej i garści orzechów. Żadnych ciepłych posiłków, żadnej odmiany, która wprowadziłaby czasową chronologię. Nie wiedziałem, kiedy jest dzień, kiedy nadchodzi noc. W moim namiocie stale paliła się jasna żarówka.

Tak więc tamtego dnia czy nocy kazano mi wciągnąć na głowę kaptur. Zakuto dłonie kajdankami. Ktoś wziął mnie pod ramię. Wyszliśmy na dwór. Wprowadzono mnie do mikrobusu. Godzinę później zatrzymaliśmy się. Rozkuto mi ręce i wyprowadzono na zewnątrz. Jakiś głos ostrzegł mnie, że wolno mi będzie zdjąć z głowy kaptur, gdy nie będę już słyszał silnika odjeżdżającego samochodu. Zrobiłem, jak chcieli. Kiedy zdjąłem worek, dostrzegłem, że stoję na środku ulicy.

Musiałem jak najszybciej dotrzeć do ambasady, jednak nie wiedziałem, w jakiej części Paryża jestem. Hmmm, nie byłem nawet pewien, czy to miasto jest stolicą Francji. Machnąłem ręką na taksówkę. Kierowca nie od razu zahamował. Najpierw zwolnił. Przejechał kilkanaście metrów. Zatrzymał się i dopiero po kilku sekundach wrzucił wsteczny bieg. Widocznie dzielnica nie należała do najekskluzywniejszych.

– Ale w końcu udało ci się wrócić.

– Powitano mnie jak kogoś, kto przyleciał z Marsa.

– Nie dziwię się.

– W czasie pracy w ambasadzie zaprzyjaźniłem się z szyfrantem. Za jakies zasługi wysłano go na Zachód, by dorobił się kilkusetdolarowej fortuny. On mi powiedział, co się działo podczas mojej nieobecności.

Wyobrażasz sobie, że oni nawet nie wysłali do policji not konsularnych? Nie kiwnęli palcem, choć już następnego dnia wiadano, że porwał mnie francuski kontrwywiad. Żabojady chciały nastraszyć naszych i wyhamować

akcje naszego wywiadu na terenie Francji.

– Dlaczego o tobie zapomnieli?

– W tym czasie prowadzono grę operacyjną w celu złowienia pewnego angielskiego technika, który spędzał wakacje w Paryżu. Obawiano się, że jak zrobią wokół mnie szum, wówczas Francuzi na tyle nas przycisną, że jakikolwiek kontakt na mieście z werbowanym agentem będzie niemożliwy.

– Ten gość był aż tak ważny?

– Pracował w Faslane, małej angielskiej nadmorskiej wiosce. Różniła się ona tym od innych rybackich osad, że obok znajdowała się tajna baza brytyjskich atomowych okrętów podwodnych. Rozumiesz? Jakaś sprawa, której finał był niewiadomy, była ważniejsza ode mnie. Nagle stałem się kimś nieważnym, śmieciem, który można wyrzucić do kosza, zapominając, że w ogóle istniał.

Po powrocie do ambasady, jeszcze tego dnia, zapakowano mnie w samolot i wysłano do kraju. Po przylocie nikogo nie interesowało, jak się czułem, co się ze mną działo. Ich jedynie ciekawiło, co powiedziałem Francuzom. Ci skurwiele nie uwierzyli w żadne moje słowo. Byli pewni, że zdradziłem, a teraz wracam jako kret.

– ...?

– Podwójny agent.

– Aha.

– Maglowano mnie przez miesiąc. Dzień w dzień. Tydzień po tygodniu. Wreszcie jakiś przylizany frajerzyna wręczył mi kwiaty, order „za zasługi dla obronności kraju” i powiedział, że towarzysze znowu mi ufają. Ponieważ jako agent byłem spalony, przeniesiono mnie do innego departamentu, wcześniej wręczając trzytygodniowe skierowanie do sanatorium.

– Tylko tyle?

– Owszem. Podczas spacerów nad morzem obiecałem sobie, że już nigdy nie dam się nabrać.

– Co dalej?

– Tacy jak ja albo kładą uszy po sobie i udają, że nadal wierzą, albo przechodzą do Solidarności i pierwsi chwytają za pochodnię, by podpalać stosy...

– Albo...?

– Martwią się już tylko o siebie.

W salonie panował półmrok. Na ścianie paliły się jedynie dwa kinkiety, które rzucały niezbyt jasne światło. Z włączonego magnetofonu płynęła cicha muzyka symfoniczna.

Wokół niskiego stołu siedziało trzech mężczyzn w skórzanych fotelach. Na ich twarzach malował się wyraz dobroduszości, tak iż w pierwszej chwili można by pomyśleć, że przed Nowym Rokiem spotkało się trzech sobowtórów Świętego Mikołaja. Takie można byłoby odnieść wrażenie, gdyby nie ich oczy: zimne, skupione na twarzy mówiącego lub przewiercające sąsiada podejrzliwym spojrzeniem ukradkiem rzuconym spod rzęs. Może właśnie dlatego stanowili tak zgrany zespół?

Sulimowicz wskazał stojące na stoliku talerze. Obok leżały sztucce. Dalej koszyki z różnymi rodzajami pieczywa. Półmiski z sałatkami, sosjerki z kilkoma rodzajami sosów i podgrzewane naczynie z mięsem.

– Częstujcie się. – Jakby chcąc dać pozostałym przykład, Sulimowicz pierwszy sięgnął po talerz i nałożył sobie kawałek mięsa. Następnie wziął odrobinę sałaty i kromkę chleba. – Czego się napijemy?

Pułkownik Tabor machnął ręką.

– To już nie dla mnie. Wątroba mi siada, nie mówiąc o innych podzespółach.

– Daj spokój. – Jastrzębski klepnął go mocno w kolano. – Setka dobrej gorzałki jeszcze nikomu dupy nie rozerwała.

– Więc wypij dwie, za siebie i za mnie.

Abstynent był zastępcą dyrektora Departamentu Drugiego Wojskowych Służb Informacyjnych i do jego zadań należało sprawowanie pieczy nad ochroną kontrwywiadowczą kraju. Jastrzębski należał do kierownictwa Wydziału Czwartego Komitetu Centralnego PZPR, który nadzorował pracę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Więc dla mnie podwójna setka. – Jastrzębski ochoczo przysunął szklanke do Sulimowicza wznoszącego do góry oszronioną butelkę.

– Co nowego w Komitecie? – spytał generał.

Jastrzębski upił połowę i westchnął zadowolony.

– Coś się psuje w państwie duńskim.

– Jest aż tak źle? – Tabor nałożył sobie jedzenie.

– Sekretarze nie bardzo wiedzą, co odpowiadać ludziom na zebraniach Podstawowych Organizacji Partyjnych. Czy w końcu solidaruchy to kontrewolucjoniści, czy też tacy sami robotnicy, którzy mają już po dziurki

w nosie pierdolenia o niczym... To jest jeden z głównych powodów zaprzestania statutowej działalności organizacji w większości zakładów w kraju. Ludzie nie chcą już czekać. Żądają, by kierownictwo zdecydowało, jaki trend będzie dominował w stosunkach z Solidarnością. Frakcja betoniarzy nawołuje do zaostrzenia walki z przeciwnikiem politycznym. Ugodowcy Jaruzelskiego podjęli decyzję, ale jeszcze wstrzymują się z jej ogłoszeniem. Reszta jest niezdecydowana... Tak to mniej więcej wygląda w dużym skrócie.

– Czyli mamy coraz mniej czasu. – Sulimowicz zaczął grzebać bezmyślnie na talerzu. – Co u was w służbach? – Zwrócił spojrzenie na pułkownika.

Tabor sięgnął po raport i przerzucił kilka stron, szukając odpowiedniego fragmentu.

– Za Jaruzelskim stoi armia, dlatego nie musi obawiać się przewrotu. Od czasu objęcia funkcji pierwszego sekretarza wymienił większą część kadry dowódczej, która w chwili obecnej jest mu lojalna. Za kilkanaście dni, dzięki pośrednictwu strony kościelnej – skłonił się w stronę Sulimowicza – powinno dojść do rozmów rządu z opozycją. W efekcie ci z Gdańska już wkrótce mogą zdobyć realną władzę w kraju.

– Szybko to idzie. – Jastrzębski odłożył widelec.

– Jesteśmy na to przygotowani? – Tabor spojrzał pytająco na gospodarza. – Prawda?

Generał przytaknął ruchem głowy.

– Jak wiecie, od ponad roku wszystkie najważniejsze informacje o krajowych agentach oraz informatorach Służby Bezpieczeństwa są mikrofilmowane. Do końca akcji został jeszcze jeden przerzut.

Głos Sulimowicza był ostry, jakby chciał tym uciąć rodzącą się sprzeczkę.

– Ten temat przerabialiśmy wiele razy. Ja wybrałem bank i moja w tym głowa, żeby dwa plus dwa równało się cztery.

Siejka wziął ostrożnie w dłonie nagrywający magnetofon i przełożył go na siedzenie obok. Odwrócił się i sięgnął po torbę leżącą na tylnym siedzeniu. Wyjął z niej bułkę z serem. Odwinął papier i zaczął jeść, przytrzymując słuchawki na uszach.

– Ja chcę być tylko pewien! Chyba mam do tego prawo? – złościł się pułkownik. – Nie chcę za kilka miesięcy dowiedzieć się, że po trzydziestu

latach służby dostanę emeryturę, którą za kilka lat zje inflacja.

– Zawsze byłeś skurwysynem – w głosie Jastrzębskiego zabrzmiała ugodowa nuta. – Dlatego tak wysoko cenię sobie twoje uwagi. W końcu dbając o siebie, pośrednio dbasz i o mnie. Rozumiem zatem, że za kilka tygodni będziemy mieli w Paryżu wszystkie materiały.

– Zgadza się. – Upewnił go Sulimowicz. – Wielu ludzi w tym kraju wołałoby zapomnieć, że MSW ma na nich haka. Za pewien czas będą niemile zaskoczeni, gdy dowiedzą się, że są na nich kwity... mocne kwity!

Anna otworzyła oczy. Skąd ten huk, który ją zbudził? Sekundę później uświadomiła sobie, że to jej własny puls bijący w skroniach. Uniosła się ciężko na łokciu, aby przekręcić się na bok. Wtedy zobaczyła zakrwawioną poszewkę poduszki.

– O Chryste! – krzyknęła przerażona.

– Coś się stało? – Andrzej otworzył rozespane oczy.

– Nie wiem... ja... – próbowała opanować drżenie głosu. – Nie wiem, co się dzieje. Bardzo źle się czuję.

Dopiero teraz Andrzej dostrzegł mokrą od krwi poduszkę. Zrzucił ją na podłogę. Pomógł Annie położyć się na wznak. Pobiegł do łazienki. Przyniósł mokry ręcznik i delikatnie wytarł jej twarz.

– Co się ze mną stało?

– Nie wiem, kochanie. Ale już nie krwawisz.

– Boję się!

– Gdzieś cię boli?

– Czuję się strasznie słaba.

Andrzej sięgnął po słuchawkę stojącego nieopodal aparatu telefonicznego.

– Do kogo dzwonisz?

– Do kogoś, kto nam pomoże.

Wykręcił numer i czekał dłuższą chwilę, nerwowo bębniąc palcami po blacie.

– To ja, Andrzej... Dobrze, że cię złapałem. Załatw mi dobrego lekarza. Nie na kiedy, tylko natychmiast... To dla mnie bardzo ważne. Kurwa mać – podniósł głos – czy mówię zagadkami? Natychmiast...! Wiem, że dziś jest niedziela... Okej, już się nie grzeję... Gdzie? Dobrze, zapamiętam... Dzwon do niego. Będę za dwie godziny. Dzięki. – Pocałował Annę delikatnie w

policzek. – Kochanie, już wszystko dobrze. Pomogę ci się ubrać. Powoli. Nie spiesz się. Poczekają na nas.

– Do kogo dzwoniłeś?

– Do przyjaciela. Jest mi winien kilka przysług.

Przytrzymała jego dłoń, gdy pomagał jej wstać. Spojrzał na nią pytająco. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Chciałam od ciebie uciec... Przecież kurwy się nie zakochują...

– Nie mów tak.

– Przestraszyłam się. Ale teraz... Wiesz...? Już się nie boję. Już wiem, że... ty i ja...

W jego oczach zaszklily się łzy.

Kiedy się ubrali, Andrzej pomógł jej zejść po schodach. Posadził na ławce, na podjeździe. Wyprowadził z garażu samochód i pomógł wsiąść do środka. Ruszyli, wzbijając tumany wyrzucanego spod kół piasku. Przeskoczyli przez polanę i wjechali na leśną drogę. Anna przymknęła oczy.

– Zwolnij trochę, kochanie. Obiecuję nie umrzeć przed wizytą u lekarza.

– Masz rację. – Przyhamował nieco. Kiedy jednak wyjechali na szosę, ponownie dodał gazu. Po kilkunastu minutach nadjeżdżający z przeciwka samochód mignął na nich światłami, dając sygnał, że mają przed sobą patrol drogówki. Andrzej nie zwolnił. Za kolejnym zakrętem minęli zaskoczonych milicjantów.

– Będą nas ścigać! – Anna się obejrzała.

– Wątpię. Ustawili się tam, by wyrwać lewy grosz od frajerów. Powiadamiając inne patrole lub ruszając za nami w pościg, stracą dniówkę.

– Nie pomyślałam o tym.

– Oprzyj się wygodnie i niczym nie zwracaj sobie głowy. Za godzinę będziemy na przedmieściach Warszawy.

Andrzej zaparkował samochód na parkingu przed szpitalem MSW. Pomógł Annie wsiąść, wprowadził ją do holu głównego i posadził na ławce.

– Poczekaj sekundę, przyprowadzę jakiś wózek.

– Nie trzeba – próbowała zaprotestować, ale jej nie posłuchał.

– Bądź grzeczna i nie grymas. – Zrobił minę jakby strofował niegrzeczną córkę. – Będę za moment.

Rzeczywiście zjawił się po chwili. Usadowił Annę w wózku inwalidzkim.

Ruszyli długim korytarzem. Wjechali na piętro. Andrzej pchnął drzwi Oddziału Chirurgii Ogólnej. Minęli kilka korytarzy i wreszcie zatrzymali się przed gabinetem numer 26. Jak zdążyła zauważyć, w końcu korytarza trwały prace remontowe.

Anna zsiadła z wózka. Pomógł jej zdjąć płaszcz i wziął pod ramię.

– Chcę wejść sama. – Położyła dłoń na klamce.

– Dobrze. – Został na korytarzu.

Weszła do gabinetu. Za biurkiem siedział około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Miał wysokie czoło, kształtne policzki, a ciemną czuprynę znaczyły pierwsze pasemka siwych włosów.

Opowiedziała o dotychczasowych krwotokach. Badający osłuchał ją stetoskopem. Potem pytał, czy nie zażywa jakiś lekarstw. Na co w przeszłości chorowała? Przez cały czas coś notował w karcie chorobowej.

– Myśli pan, doktorze, że to coś poważnego?

Podniósł na nią zmęczone oczy.

– Nie wiem, miła pani. Musimy zrobić szczegółowe badania. Dopiero wówczas będziemy mogli powiedzieć coś konkretnego.

– Prawdę mówiąc, już czuję się o wiele lepiej.

– Może za dużo pani pracuje...?

– Nie przemęczam się.

– Proszę zgłosić się do mnie z wynikami. – spojrział na kalendarz. – Za cztery dni? W tym gabinecie o godzinie czternastej. – Wypisał skierowanie na badania. – Proszę zrobić je w klinice specjalistycznej, wtedy na pewno będą na czas. Mam nadzieję, że stać panią na to?

– Będę na pewno.

Rozdział szósty

Monsieur Damazy podziękował zebranych w sali gościom.

– Jeszcze raz chcę wszystkich zapewnić – w jego głosie dało się słyszeć wzruszenie – że nadal będę służył Polsce, walcząc o przywrócenie jej swobód obywatelskich. *Vive la Pologne! Vive liberté, égalité, fraternité!*

Wzniósł nad głowę złotą statuetkę Ikara przyznaną na dzisiejszej uroczystej kolacji przez Polonię francuską: „Za szczególne zasługi w walce o demokratyczne wartości”. Ponownie uklonił się i zszedł z mównicy.

Do stolika odprowadziły go oklaski.

Godzinę później zegnany przez burmistrza Paryża wsiadł do samochodu i ruszył w stronę domu. Wieczór był w miarę ciepły. Być może to pierwsza zapowiedź zbliżającej się wiosny. Z ulic znikł śnieg, który spadł na początku lutego. Latarnie rzucały białe kręgi na ciemną powierzchnię jezdni.

Włączył radio.

Popłynęły piosenki Edith Piaf. *Les flons flons du bal*, potem *Non, je ne regrette rien* i wreszcie *Milord...*

Zwłaszcza ostatnia zapadła mu w pamięć. Wtedy też była zima. Jechał pociągiem. W zamarzniętej szybie wychuchał niewielkie oczko, którym spoglądał na zewnątrz. Właśnie pociąg wtoczył się na jakąś stację. Był to pierwszy przystanek po stronie francuskiej. Kiedy stali, czekając na sygnał do dalszej jazdy, gdzieś z otwartego okna niewielkiej stacyjki popłynęły tony *Milord*.

Zmienił bieg, zwalniając przed skrzyżowaniem. Uśmiechnął się do swego odbicia w lusterku. Od ostatniej rozmowy z Josephine w kawiarni nie widział jej na oczy.

A może ich spotkania były tylko przywidzeniem? Złym snem, z którego na szczęście już się obudził?

Zaparkował samochód przed domem. Wspiął się po kilku stopniach do drzwi wejściowych secesyjnego budynku. Otworzył zamek, wystukując na

klawiaturze kod dostępu. Wszedł do środka. Zapalił światło i ruszył schodami na górę. Zajęty myślami nie usłyszał, że drzwi wejściowe nie zamknęły się z charakterystycznym trzaskiem. Dopiero na półpiętrze wydało mu się, że słyszy za sobą kroki. Odwrócił się. Jakiś nieznajomy patrzył na niego obojętnym wzrokiem.

Nie zdążył spytać, kim jest.

Pierwsza kula strzaskała Damazemu obojczyk i rozerwała płat płuca. Stojąc u szczytu schodów, zachwiał się. Chciał krzyknąć. Przez szeroko otwarte usta nie mógł chwycić oddechu. Zobaczył rozmazującą się przed oczami sylwetkę napastnika. Trzymany przez niego pistolet wystrzelił po raz drugi.

Kolejna kula przebiła żołądek i dwunastnicę. Zatoczył się na ścianę. Powietrze zgęstniało wokół, zatykając usta lepłą mazią o smaku krwi.

Glock ponownie plunął ogniem. Damazy zwałił się na barierkę schodów ze strzaskaną kością piszczelową prawej nogi. Próbował chwycić się poręczy.

Ostatni strzał podciął mu nogi. Uderzając głową o stopnie, spadł na półpiętro. Leżąc na posadzce, zobaczył własną krew powoli rozlewającą się po białych marmurowych płytach. Nim stracił przytomność, usłyszał kroki. Przez mgłę dostrzegł blisko twarzy obiektyw aparatu fotograficznego. Oślepił go błysk flesza. Zapadł się w ciemność.

Dwóch sanitariuszy chwyciło nosze. Dźwignęli je do góry.

– Szybciej! – Spieszący obok lekarz uniósł wyżej butelkę z płynem krwiozastępczym. Przez elastyczną rurkę wsączał się on w żyłę odsłoniętego przedramienia Damazego.

Na ulicy zebrał się już tłum gapiów. Minęła dwudziesta druga. Światła pulsujące na karetce i policyjnych radiowozach rzucały wokół rozmigotane niebiesko-czerwone refleksy.

– To był czarny citroen. – Mężczyzna stojący przed policjantem potarł w zamyśleniu brodę. – Tak, na pewno czarny.

– Prócz kierowcy, wewnątrz, siedział ktoś jeszcze? – Mundurowy wyjął notatnik.

– Nie, facet był sam.

– Cholernie mu się spieszyło – dorzucił ktoś z boku.

– O mało mnie nie rozjechał – dodał ktoś inny.

Kiedy sierżant zadawał kolejne pytania, przed budynek zajechał kolejny radiowóz. Wysiadł z niego siwiejący mężczyzna o zmęczonej twarzy. Poprawił kapelusz, który zsunął mu się na tył głowy.

– Gdzie ekipa? – zapytał, po czym klepnął w ramię odwróconego policjanta.

– Kończą oględziny. Spotka ich pan, komisarzu, na drugim piętrze. – Przybyły ruszył w kierunku wejścia do budynku.

Kółka od noszy zaskrzypiały wsuwane w prowadnice do karetki. Damazy zobaczył nad sobą rozmazaną twarz lekarza. Coś do niego mówił. Powinien dać znać, że go widzi. Chciał zmusić mięśnie twarzy do wysiłku, ale ponownie zapadł się w mroczną czeluść.

Wokół niego okręcił się wir, który wsysał go w bezdenną głębię. Próbował walczyć. Bił wokół ramionami. Szarpnięciami nóg rozrywał więzy oplatające kostki. Ciemność pulsowała dziesiątkami głosów, które nakładały się na siebie, wzajemnie mieszały. W pewnym momencie wydało mu się, że wynurza głowę nad powierzchnię zalewającej go fali. Usłyszał głosy rozmawiających kobiet.

– Chodź mi pomóc. Sama nie dźwignę... Teraz na bok.

– Mimo pięćdziesiątki... No, no! Jest niczego sobie, nie sądzisz?

– Daj spokój, też przychodzi ci do głowy. Lepiej podaj kamforę.

– Dlaczego mam dać spokój?

– Tobie tylko jedno w głowie.

– Mnie? Powiedz to lekarzom oglądającym się za młodymi pielęgniarkami.

– Sądzisz, że jeszcze zaliczasz się do ich grona?

Rozmowa się urwała.

Dlaczego nie czuł własnego ciała? Chciał o to zapytać. Daremnie.

– Połóżmy go teraz na plecach. Uważaj na cewnik. O tak...

– Kto ma dzisiaj nocny dyżur?

– Siostra Marion.

– Nie lubię starej kłepy. Zamiast zajmować się chorymi, roznosi plotki kto z kim, kiedy i w jakim gabinecie. Obrzydliwość.

Damazy próbował krzyknąć: Dlaczego mnie nie słyszycie!? Jediną odpowiedzią było skrzypnięcie kłamki zamykanych drzwi.

Pozostał sam. Nie widział rozmawiających kobiet? Czyżby oślepl? A może tylko nie potrafi rozewrzeć powiek? Dlaczego nikt mu nie mówi, co się z nim stało? Ogarnął go strach. Zimny i bezgraniczny, niczym otaczająca ciemność. A jeśli tak wygląda śmierć?

Nie, to nie może być prawda. Strzelano do niego. Pamięta czerwień krwi rozlewającej się na posadzce.

Nie umarł. Był tego pewien. Spróbował się poruszyć. Bezskutecznie. Ponowił wysiłek. Walczył chwilę z determinacją. Jednak zamiast mięśni, które napręzał, czuł chłodną pustkę.

Krzyk był martwą ciszą. A przecież Damazy istniał. Bał się. Pragnął. Owładnięty zwierzęcym strachem zaczął bić wyimaginowanymi ciosami atramentową ciemność. Przeklinał histerycznym wrzaskiem swą bezsilność.

Siostra Marion objęła dyżur z punktualnością, która stawiana była młodszym pielęgniarkom za wzór. Od dwudziestu lat niezmiennie przychodziła do kliniki o dwudziestej piętnaście, by w sześć godzin później równie punktualnie opuścić budynek.

Współpracownicy jej nie lubili, lecz niewiele ją to obchodziło. Była brzydką korpulentną kobietą o twarzy, na której stale malował się wyraz skupienia, podkreślany przez nienaturalnie ściągnięte brwi i wiecznie zmarszczone czoło.

Niektóre z siostr, drwiąc za jej plecami, mówiły, że wyglądem przypomina starego pekińczyka, któremu wydaje się, że jest psem tropiącym. Rzeczywiście, siostra Marion lubiła wiedzieć wszystko o otaczających ją ludziach. Nie uważała jednak tego za wadę.

Teraz również dyskretnie wyglądała na korytarz, gdzie jeden z lekarzy szeptał coś do ucha śmiejącej się młodej pielęgniarki.

Z tego powodu nie zauważyła, że cztery z kilkunastu umieszczonych w pokoju monitorów, które rejestrowały aktualny stan psychofizyczny pacjenta, zwariowały. Linie oscylografów odmierzające aktywność mózgu oraz rytm pracy serca stromą kreską gwałtownie skoczyły do góry. Gdyby siostra Marion to widziała, winna bezzwłocznie wezwać flirtującego na korytarzu lekarza i powiadomić go o krytycznym stanie chorego. Lecz ona patrzyła przez uchylone drzwi, jak doktor pociągnął dziewczynę do jednej z wolnych separetek.

Gdyby leżący na sali pacjent zobaczył, co będzie się działo na sąsiednim wolnym łóżku, być może ciśnienie skoczyłoby mu o 300 procent. Co ją to obchodzi.

Komputer nadzorujący stan chorych na oddziale intensywnej opieki medycznej miał jeszcze dziesięć sekund, by automatycznie wszcząć alarm. Siostra oddziałowa nie zauważyła, że kilka sekund wcześniej cień mężczyzny wysliznął się z separatki zajmowanej przez Damazego. Chwilę potem zniknął w głębi korytarza.

Późniejsza sekcja denata wykazała, że do kroplówki ktoś wstrzyknął truciznę, która spowodowała wstrzymanie akcji serca. Prócz tego nie natrafiono na żaden ślad, który sugerowałby, kim był morderca.

Anna krytycznie spojrzała na umytą szybę okienną. Po chwili dostrzegła niewielką smugę pozostawioną po źle startej wodzie. Sięgnęła po zmiętą kawałek gazety i zaczęła trzeć zabrudzoną powierzchnię.

Od dzisiejszego rana znęcała się nad sobą. Kiedy ostatnio sprzątała w mieszkaniu, myła okna? Nie mogła sobie tego przypomnieć. Zawsze trafiała się chętna sąsiadka, która chciała dorobić przed pierwszym.

Początkowo nie bardzo jej wychodziło wspinanie się na parapet, rozkręcanie okiennic, ciągłe zmienianie brudnej wody. Ale się uparła. W efekcie, po stronie zysków zanotowała niemal kryształowo czyste szyby. Po stronie strat zaś złamany paznokieć i zmęczenie. „Proszę się nie przemęczać” – to były ostatnie słowa lekarza, do którego wczoraj zawiózł ją Andrzej. Nigdy nie słuchała niczyich rad.

Dotknęła nosa.

Który to już raz dzisiejszego dnia? Palce były czyste. Bolała ją każda kostka i mięsień, ale krwotok się nie powtórzył. Coś się do niej przyplątało. Jakieś chwilowe niedomaganie. Była tego pewna.

Niepotrzebnie spanikowała.

Ponownie ogarnął ją zimny dreszcz, gdy przypomniała sobie tamten ranek i zakrwawioną poduszkę. Ależ się wtedy wystraszyła. Zawsze zdrowa, tryskająca energią... Nie wyobrażała sobie choroby. Coś takiego dla niej nie istniało. Codziennie przeglądając się w lustrze, podziwiała swoje ciało. Była piękną kobietą. Miała tego pełną świadomość.

Przypomniało jej się niespokojne spojrzenie Andrzeja. Jego przejęty głos.

Może właśnie dlatego gdzieś w głębi była zadowolona, że spotkał ją ten przypadek. Nikt nigdy nie patrzył na nią z takim przejęciem, ukrytym lękiem, chłopcą bezradnością, która szybko przerodziła się w bunt.

Znalazła potwierdzenie. To był dla niej dowód.

Ucieczka z rzekomo ukradzionym pierścieniem, odjazd spod stacji benzynowej tak naprawdę niczego nie potwierdzały. O niczym nie świadczyły. Dopiero jej niedomaganie odkryło spojrzenie, które chciała zobaczyć w oczach swojego mężczyzny. Nie słowa, ale właśnie TO spojrzenie.

Spojrzenie?

W tej sekundzie uświadomiła sobie, że stoi nieruchomo na parapecie z dłonią uniesioną do mycia okiennej ramy. Pod krótkim szlafrocikiem nie miała majtek. Nigdy ich w domu nie nosiła, gdy była sama.

Piętro niżej na chodniku stał mężczyzna, który z rozmarzonym uśmiechem zadzierał głowę do góry, nie mogąc oderwać oczu od jej nagiej pupy.

*Z piątku na sobotę
Idzie raz va banque,*

Puściła do patrzącego oko i zaczęła kręcić biodrami w takt melodii. Wmurowany w chodnik otworzył szeroko usta.

*zabłąkany motyl,
mała Lady Punk...*

Sięgnęła do paska, jakby zamierzała rozwiązać kokardę. Wówczas rozchylony szlafrok odsłoniłby wszystkie jej wdzięki.

Zobaczyła siebie sprzed lat, gdy w komunijnej sukience biegła w procesji przed niosącym monstrancję księdzem. Sypała wówczas na ulicę płatki kwiatów, kłaniała się i ustępowała miejsca stojącej już za jej plecami koleżance. Miała wówczas wrażenie, że jest aniołem i unosi się nad ziemią, przejęta żarliwością płynącą z modlącego się wokół tłumu. Wtedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, co to jest szczęście. Niemal poczuła jego słodki smak.

Potem był ślub i ponowny lot ku gwiazdom. Wówczas była pewna, że nikt i nic nie jest w stanie odebrać jej tej radości. Rozczarowanie miało smak palącej goryczy, a upadek z nieba był bolesny.

Teraz, gdy stała na parapecie, przyszło jej do głowy, że gdyby skoczyła...

mogłaby frunąć w błękit, na złość dewotkom patrzącym z okien bloku stojącego po drugiej stronie osiedlowej uliczki.

„Koniec pokazu”.

Zeskoczyła na podłogę. Sięgnęła po słuchawkę telefonu. Wykręciła numer.

– Tak, słucham – głos Andrzeja był obojętnie zimny.

– To ja – cmoknęła do słuchawki. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo cię kocham.

Siejka pchnął drzwi punktu fotograficznego opatrzone u góry dzwonkiem. Na ścianach wisały zdjęcia par ślubnych. On uśmiechał się do niej. Ona do niego. Zadowoleni. Szczęśliwi. Na jak długo?

– Proszę łaskawie poczekać minutkę. – Zza pluszowej kurtyny wychylił się właściciel. – Jeszcze zrobię dwa ujęcia i jestem do pana dyspozycji.

– W porządku. – Dał znać dłonią. – Nie spiesz mi się.

Usiadł na wyściełanym pluszem krześle i wziął do ręki kolorowy magazyn. „Kłopoty sercowe księżęcej pary” przeczytał wielki nagłówek. Pod spodem widniały wypłowiałe zdjęcia jakiejś pary z nieczytelnym podpisem.

Odłożył miesięcznik na miejsce. Nie miał czym zawracać sobie głowy, tylko takimi duperelami. Ponownie jego wzrok powędrował do wiszących na ścianach fotek.

Dlaczego on się nigdy nie ożenił? Właściwie to kochał się tylko w jednej. To była szkolna miłość. Matura. Maj. Szli wtedy całą klasą przez park. Wyczekał chwili, gdy na moment zostali sami. Jąkając się, zaproponował, by razem ze sobą chodzili. Bo on... Że ona... Że czuje między nimi jakąś więź... Nie zdołał do końca wydusić dalszych słów. Nic nie odpowiedziała. Wzruszyła ostentacyjnie ramionami i odeszła.

Od tamtej pory zamknął się w sobie. Może bał się, że znowu zostanie odrzucony? Kiedyś brał na noc dziewczynę. Nigdy nie szedł z nimi do łóżka. Kazał jej przebierać się w damski szlafrok, iść do kuchni i robić kolację. Potem siadali przy stole. On jadł, a ona miała gadać o byle czym. Nic nie robić pod stołem z jego erekcją, tylko gadać o wczoraj, dzisiaj, zakupach, kolejkach, trzęsieniu ziemi w Tbilisi. Niekiedy udawali kłótnię rodzinną. Siejka ordynarnie przeklinał, wyzywając jedzącą kolację dziewczynę od kurew i darmozjadów. Po czymś takim wybiegał do kibla i się onanizował. Ale po jakimś czasie przestało mu to wystarczać.

– Już służę szanownemu panu – wyrwał go z zamyślenia głos fotografa.

Obok przeszła dziewczyna z rudymi warkoczami w ładnej sukience. Chwilę potem zza pluszowej kurtyny wyszedł chłopak z kozuszką w rękę. Zadzwieczał dzwonek nad drzwiami.

– Ach ci młodzi. – Fotograf uniósł oczy do sufitu. – W zimie chcą mieć wiosnę.

– A w lecie przychodzi zima – rzucił sarkastycznie – i on zaczyna się zastanawiać, dlaczego dał się w to wszystko zrobić.

– Czasem nie jest tak źle.

– Fakt, na otrzeźwienie niekiedy trzeba poczekać dwadzieścia lat.

– Widzę, że pan szanowny z tych rozczarowanych.

– Raczej realistów. – Sięgnął do kieszeni marynarki po film. – Chciałbym żeby wywołał pan zdjęcia mojej córki – skłamał, podając kliszę. – Zapłacę podwójnie, ale mają być w dużym formacie i dobrze obrobione. Bez żadnych papierów ORWO lub innego badziewia. Najlepiej KODAK. Rozumiemy się?

– To rzeczywiście sporo wyniesie.

– To już moje zmartwienie. Na kiedy będą gotowe?

– Proszę przyjść za dwa dni.

– W porządku. Do widzenia.

Andrzej odchylił się na oparcie krzesła, słuchając głosu Anny. Kiedy po raz kolejny pocałował ją na pożegnanie, ktoś zapukał do pokoju. Schował rozłożone na biurku paszporty do szuflady. W progu stanął kierownik sekcji.

– Mam dla ciebie małą robótkę. – Nie czekając na zaproszenie, przysunął sobie nogą krzesło.

– Jak małą?

– Nie powinno ci to zająć dużo czasu. Dostaliśmy list. – Rzucił na biurko zapisaną kartkę. – Napisała go prawomyślna obywatelka Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Andrzej skrzywił się, jakby przybyły namawiał go do przełknięcia plasterka cytryny.

– Możesz bez tego pieprzenia?

– Zawiedziona żona zorientowała się, że jej mąż puszcza się z dwudziestoletnią dupą. Więc ruszyło ją obywatelskie sumienie i chce donieść na starego.

– Ktoś ważny?

– My zajmujemy się tylko ważnymi ludźmi. Jest redaktorem naczelnym tego czegoś. – Kierownik rzucił mu na biurku kolorowy tygodnik. – Towarzysz redaktor ślini się do wszystkich w Wydziale Pracy KC, jednocześnie robiąc maślane oczy do Komisji Krajowej Solidarności. Trzeba przypomnieć chujowi, w czym żłobie macza spasionego ryja.

– Jasne.

– Zaproś obywatelkę na wystawny obiad. Niech ci się wypłacze w mankiet. A potem...

– Mam ją przelecieć?

– Zawsze wiedziałem, że jesteś dobrym człowiekiem. – Kierownik klepnął go po ramieniu i ruszył do drzwi, pogwizdując jakąś melodię. Nieoczekiwanie się zatrzymał. – Prawda, zapomniałbym. Ostatnio korzystałeś z lokalu operacyjnego. – Miał na myśli apartament na Ursynowie, który wykorzystywano do mniej formalnych spotkań z agentami.

– Owszem.

– Powinienem dostać od ciebie raport: kiedy, z kim, dlaczego.

– Zapomniałem.

– Połóż mi go dzisiaj na biurku. Ja też mam szefów, a oni są przekonani, że z moją pamięcią jest wszystko okej.

– Jasne.

– A jeśli chodzi o żonę naszego redaktora, to wystarczy, jak pociągniesz ją za język – powiedział i wyszedł z pokoju.

Andrzej sięgnął do szuflady i wyjął paszporty. Trzymał w ręku oryginały. Wystarczyło wypełnić odpowiednie rubryki, wsiadać w samolot i jechać. Wziął wieczne pióro i zaczął wpisywać dane Anny.

Dziewczynka stała przy siatce ogrodzenia, spoglądając na ulicę. Była ubrana w szary płaszcz. Włosy związane w dwa rude kucyki śmiesznie sztywno sterczące na boki. Nakrapiana piegami buzia była zbyt poważna jak na ten wiek. Bawiące się wokół dzieci biegały po przedszkolnym placu zabaw. Mała nie zwracała na nie uwagi. Najwyraźniej na kogoś czekała.

Tak było każdego dnia, odkąd Siejka zaczął ją obserwować. Spojrzał na zegarek. Piętnasta pięćdziesiąt. Punktualnie o szesnastej w głębi ulicy pojawi się starsza pani. Wówczas dziewczynka podniesie dłoń w geście powitania.

Obie przywitają się przez siatkę. Starsza kobieta wejdzie do budynku, by odebrać wnuczkę. Jednak dziewczynka przez moment pozostanie przy ogrodzeniu. Jeszcze kilka sekund będzie patrzyła w głąb ulicy, jakby ktoś jeszcze miał nadejść. Kiedy nikt się nie pojawi, mała obróci się na pięcie i pobiegnie do przedszkola.

Siejka odwinął kanapkę. Właściwie to nie jadł jeszcze śniadania, nie licząc kilku kubków kawy i wypalonej do południa paczki papierosów. Powinien rzucić w cholerę to świństwo. Co dnia mówił sobie, że zrobi to już jutro. Rozgrzeszony obietnicą zapominał o danym słowie następnego dnia.

Z kromki chleba wypadł na podłogę samochodu plasterek kiełbasy. Schylił się po niego. W pierwszej chwili chciał go oczyścić z piasku, ale ostatecznie wyrzucił przez uchyloną szybę. Obok przebiegał kundel, który znieruchomiał zaskoczony spadającym z nieba podarunkiem. Pies pożarł cienki plasterek, oczekując na kolejny szczęśliwy traf.

Siejka wreszcie dostrzegł starszą kobietę. Na jej widok stojąca przy parkanie dziewczynka pomachała na powitanie.

Dwadzieścia minut później obie wyszły z budynku przedszkola i ruszyły w stronę przystanku autobusowego.

Włączył silnik. Wrzucił bieg. Nie musiał wlec się za autobusem, by wiedzieć, gdzie obie wysiądą. Siedem przystanków dalej zaparkował samochód przy krawężniku, czekając na autobus linii 126.

Sięgnął po paczkę papierosów. Pusta. W drugiej kieszeni marynarki znalazł nierozpieczętowaną. Zerwał banderolę, wyjął klubowego, przypalił i zaciągnął się głęboko. Dopadł go atak gwałtownego kaszlu. Odkręcił szybę okienną i wyrzucił papieros na ulicę.

Co oni dodają do tego cholernego tytoniu? Ścinki zapoconych skarpetek? Powoli kaszel ustał. Coś tylko zapiekło go w przełyku. Może to oskrzela? Nie zdziwiłby się, gdyby miał pylicę. Wszystko od tego przekłętą kurzu w archiwum.

Był jednym z najmniej istotnych trybów maszyny napędzanej przez tysiące ton papieru skrupulatnie oznaczonego różnymi stopniami tajności, posegregowanego i rozmieszczonego na tysiącach metalowych stelaży. Ale on miał już wprawę w godzeniu się z tym, co go spotykało.

Przerażało go tylko jedno. Z jednym nie mógł się pogodzić. Z wszechobecnym kurzem. W pierwszych latach pracy archiwisty czuł go w każdym wdechu. Bezustannie wstrząsany nerwowymi napadami kaszlu miał pewność, że wszechogarniająca go szarość oblepia go i wciąga w głąb, w

mroczne bagno, gdzie się udusi.

Aż pewnego dnia stało się. Kurz go wchłonął, wessał i przetrawił. Stał się jego szarą częścią, jednym z elementów, szarych puzzli, miriadową częścią pyłu, nieistotną, zbędną i niezauważalną. Przestał nienawidzić podziemi. Kiedy opuszczał gmach ministerstwa, niecierpliwie czekał dnia, aż nałoży szary fartuch, zejdzie betonowymi schodami do podziemi. Potem był trzask przełącznika i cichy powitalny pomruk jarzeniówek zapalających się pod sufitem. Z czasem przestał interesować się światem zewnętrznym i miał nadzieję, że tamten zapomniał o nim. Tak się jednak nie stało.

Sześć miesięcy wcześniej na jego biurku zadzwonił telefon. Major był zaskoczony i dezorientowany. Nikt nigdy do niego nie dzwonił.

– Archiwum, słucham – rzucił niepewnie do słuchawki.

W aparacie rozległ się głos naczelnika wydziału.

– Za pół godziny macie się zameldować u generała Sulimowicza.

– Kogo? – wyrwało mu się.

– Siejka, nie róbcie ze mnie idioty. Przecież to szef naszego departamentu.

– Ma się rozumieć, towarzyszu pułkowniku. Ma się rozumieć.

– Powiecie mi – w głosie dzwoniącego dało się usłyszeć nutę podejrzliwości – dlaczego dyrektor wzywa was do siebie. Coś przeskrobaliście?

– Nic mi o tym nie wiadomo, towarzyszu pułkowniku.

– Dobra. Potem wpadnijcie do mnie, omówimy tę sprawę.

Spojrzał na stojące obok biurka nowe półbuty i zaklął ordynarnie. Dziś rano postanowił je rozchodzić. Kiedy przyszedł do pracy, natychmiast je ściągnął, czując jakby w pięty wrzynało mu się rozpalone żelastwo.

Dwadzieścia minut później kroczył bordowym chodnikiem korytarza drugiego piętra skrzydła A. Nigdy tu nie był. Kiedy stanął przed drzwiami opatrzonymi nazwiskiem generała, poprawił na sobie mundur. Potem przycesał włosy i zapukał. Sekretarka wskazała krzesło i kazała mu poczekać, aż towarzysz dyrektor znajdzie dla niego czas. Siedząca za biurkiem dziewczyna wypowiedziała te słowa, patrząc gdzieś przed siebie, jakby powtarzała wyuczony na pamięć tekst.

Usiadł w rogu dużego pokoju. Minęła godzina, dwie. Ktoś wchodził. Wychodził. Nogi coraz bardziej go piekły, ale nie ośmielił się poluzować

sznurowadeł.

Dzwoniły telefony. Sekretarka robiła kawę, herbatę. Potem zanosila to wszystko za wielkie obite skórą drzwi. Wracala.

Mijala kolejna godzina.

Przez otwarte okno wpadalo upalne powietrze, a on mial wrazenie, ze juz nie piety, lecz cale nabrzmiate stopy ma wciśnięte w rozpalone do czerwoności stalowe prawidła.

O szesnastej dziewczyna zlozyla na swoim biurku dokumenty. Schowala je do pancерnej szafy. Wziela z wieszaka płaszcz i wyszła z sekretariatu, w ogóle go nie dostrzegając.

Dopiero gdy zostal sam, przyszło mu do głowy, ze o nim zapomniano.

Odgłosy rozmów ludzi idących korytarzem powoli milkły, aż wreszcie otoczyła go kompletna cisza. W końcu nie był kimś ważnym, wiec to normalne, ze zostal przeoczony i niedostrzeżony.

Wstal z miejsca z bolesnym grymasem twarzy i kuśtykając, ruszył do drzwi wyjściowych. Kiedy kładł dłoń na klamce, nieoczekiwanie rozległ się głos:

– Zapraszam, towarzyszu, do siebie. Zapraszam.

Obrócił się. Był nadal sam? Na biurku migotala lampka interkomu. Starając się ukryć dręczące go cierpienie, podszedł do drzwi prowadzących do dyrektorskiego gabinetu. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

– Nareszcie jesteście. – Zza biurka wybiegl mężczyzna w rozpiętym mundurze generalskim, którego poły rozchylał na boki wydatny brzuch. Na twarzy gospodarza malowala się szczerza radość. Można było odnieść wrazenie, ze cały dzień czekal tylko po to, żeby go powital. – Siadajcie. Napijecie się herbaty? Sekretarka zostawila termos.

– Jeśli można, poproszę tylko o wodę.

– Co macie taki dziwny głos?

– Zachryplęm od tego gorąca – skłamał.

– Sodową?

– Bardzo proszę. – Spragniony wypil duszkiem wodę z podanej szklanki.

– Co tam u was? – Sulimowicz siadł obok na dosuniętym krześle i klepnął go po przyjacielsku w kolano.

– Jakby to ująć... – bąknął zdezorientowany.

– Wiem, co chcecie powiedzieć. – Na twarzy generała pojawil się wyraz zatroskania. – Przyszło nam żyć w ciężkich czasach. Cóż, tak to już czasami bywa. Ale dzięki temu kiedyś będziemy mogli powiedzieć, ze zawsze

kroczyliśmy przed siebie z dumnie podniesionym czołem.

Siejka automatycznie przytaknął.

– Z pewnością spytacie, dlatego partia wybrała właśnie was?

– Partia mnie wybrała? – przełknął głośno ślinę.

– Wiedziałem, że będziecie zaskoczeni.

– Prawdę mówiąc...

– Otóż to. Powiedzmy sobie prawdę. Wybrała was, bo jesteście prawym człowiekiem. Prawym człowiekiem i zwykłym członkiem partii. Czyli jej bazą, na której wznosi się gmach socjalizmu.

Moment później z twarzy generała zniknął wyraz zainteresowania tym, co mówi. Wrócił za biurko i zaczął wydawać Siejce polecenia, jakby miał do czynienia z sekretarką skrzętnie notującą jego słowa. Generał zlecił mu zrobienie kopii pięciu tysięcy sześciuset czterdziestu teczek akt agenturalnych. Od numeru 20560 do 26200. W tym katalogu umieszczono najgroźniejszych wrogów klasy robotniczo-chłopskiej.

– Sami rozumiecie – Sulimowicz spojrzał w sposób, jakby właśnie znowu go zauważył – że naszej rozmowy nie było.

Jakby zapominając o gościu, Sulimowicz pogłośnił telewizor. Właśnie z trybuny sejmowej przemawiał generał Jaruzelski. Z głośnika płynęły słowa o rozumieniu potrzeb drugiego człowieka. Tworzeniu możliwości i dawaniu szansy na samodoskonalenie i zaspokajanie indywidualnych potrzeb każdego Polaka.

„Kurwa – zaklął Siejka w duchu – ktoś tu pierdoli od rzeczy!”

I właśnie w tamtym momencie obudził się z letargu, w którym tkwił ostatnie dwadzieścia lat. Przez ten cały czas godził się, by życie spychało go na margines.

Siedzący za biurkiem generał uświadomił mu, że on praktycznie dla niego nie istnieje. Podobnie było w sekretariacie, w którym przesiedział tyle godzin.

Był nikim. Powietrzem, którego się nie widzi. Teraz został potraktowany jak bezwolny przedmiot, pozbawiony własnego ja, zdolny jedynie do wykonywania wydawanych poleceń.

Ogień z bolących stóp niemal sparaliżował mu kolana. Zagryzł mocno wargi, by nie krzyknąć z bólu.

A może było to jedynie tłumaczenie, które wiele dni później miało bardziej uwiarygodnić bunt, który się w nim zrodził? W gabinecie Sulimowicza wreszcie wybuchła rozsadzająca go od wewnątrz wściekłość wywołana

wielogodzinną katorgą.

Kiedy pozwolono mu odejść, zamknął za sobą drzwi gabinetu. Natychmiast przysiadł na krześle i zerwał z nóg półbuty. W środku zobaczył krew.

Skarpetka na prawej nodze miała na pięcie olbrzymią dziurę. Nic go to nie obchodziło. Wróci do archiwum na bosaka.

Już miał wyjść na korytarz, gdy nieoczekiwanie usłyszał głos Sulimowicza. Automatycznie poderwał się na baczność, chowając buty za plecy.

To był jednak tylko interkom, którego generał zapomniał wyłączyć.

– To ja. Nadal w pracy? Wiem, ja też siedzę po nocach... Dzwonię właśnie w tej sprawie. Od jutra mikrofiszki będą kopiowane na... Nie, on się niczego nie domyśli... O to się nie martw... Moja w tym głowa... Tak, wziąłem wszystko pod uwagę... Teraz twoja kolej. Trzeba uruchomić kanał przerzutowy do Paryża...

Siejka wrócił do domu w kapciach. Przez całą drogę myślał o podsłuchanej rozmowie. Leżąc długo w nocy, już wiedział, jak zemścić się za cierpienie, na które tego dnia został skazany.

Do rzeczywistości przywróciło Siejkę sapanie zatrzymującego się na przystanku autobusu. Zobaczył dziewczynkę prowadzoną za rękę przez babcię.

Pewnego dnia podszedł do ogrodzenia, przy którym stała.

– Jak masz na imię? – spytał.

Mała długo patrzyła na niego migdałowymi oczami.

– Ja mam na imię Leon Siejka. – Ukłonił się niczym mały chłopiec. – Ale jak byłem w twoim wieku, to chłopaki wołali na mnie jakała.

– Dlaczego?

– Bo jak byłem zdenerwowany, to tak się zacinałem, że nie mogłem poprawnie wymówić choćby jednego słowa.

– Często byłeś zdenerwowany?

– Im bardziej mnie przezywali...

– A teraz?

– Jakoś mi przeszło.

– Chyba muszę już iść.

Siejka dostrzegł badawczy wzrok przyglądającej mu się wychowawczynie.
– Mam na imię Ika – zawołała. – A właściwie to Monika.

Elwira postanowiła tego wieczoru nie iść do Bristolu. Zerwała z kalendarza kartkę z datą ostatniego dnia stycznia, zmieła ją w rękę i cisnęła o podłogę. Była na siebie zła. W końcu wiedziała, że to esbek. Powinna być ostrożniejsza. Co jej właściwie strzeliło do głowy, żeby go śledzić?

Gdyby nie Anna, nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi. Czy był przystojny? Powiedziałyby raczej, że nie był brzydki. Podobne jednak zdanie miała też o psie sąsiadki mieszkającej obok.

Taksówkarz, którego wynajęła dziś rano, był zachwycony propozycją.

– Powiem coś pani w sekrecie. Moim marzeniem jest zarobić trochę grosza na bilet lotniczy, jechać do Nowego Jorku i zatrudnić się jako kierowca. Tam to jest życie. Tu najwyżej stoisz w korku, bo idzie osiemdziesiąta piąta z rzędu demonstracja, albo szukasz warsztatu naprawczego, bo gabłota wpadła w dziewięćdziesiątą siódmą wyrwę w jezdni i odleciało ci źle przykręcone koło.

Kiedy taksjarsz zobaczył wychodzącego z bloku Andrzeja, gwizdnął cicho.

– Musi mieć nieliczne powodzenie.

– Kto?

– No pani szanowny małżonek.

– Coś pan, zwariował? Jaki małżonek?

Taksówkarz zrobił zmartwioną minę.

– Rozumiem. W takim razie to jeszcze większy kanał.

– Niby dlaczego?

– Jak już w czasie narzeczeństwa taki skacze na boki, to po zaobrączkowaniu mogiła. Już się cwaniaczka nie upilnuje.

– A pan skąd taki oblatany?

– Kiedyś byłem chłopiec jak walczyk, to wiem.

– Zamiast tyle mówić, niech pan lepiej uważa, byśmy go nie zgubili.

– Spokojna głowa.

Następne dwie godziny jeździli za polonezem po całej Warszawie. Andrzej zrobił zakupy w Supersamie. Potem zajechał przed firmowy sklep Mody Polskiej. Pół godziny później wyszedł z jakimś dużym pakunkiem przewieszonym przez ramię. Wreszcie zatrzymali się na Marszałkowskiej

przy Domach Centrum i udał się do baru Zodiak. Przez szybę widać było, jak zamówił danie, potem z tacą usiadł w rogu sali. Nim zaczął jeść, wyciągnął gazetę i zaczął ją czytać.

– Najwyraźniej gościowi nigdzie się nie spieszy. – Taksówkarz odwinął z folii bułkę i zaczął jeść. Jestem ciekaw, czy już się zorientował, że za nim jeździmy?

– Myśli pan?

– Tylko się głośno zastanawiam.

– Prosiłam, żeby trzymać się z daleka.

– A co to niby pomoże? – Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

Elwira wzruszyła ramionami.

– A niby skąd ja mam wiedzieć?

– Ja myślę, że on wie. Pamięta pani przed godziną?

– Niby co?

– Jak wjechaliśmy na rondo Babka, niedaleko Powązek?

– Prawda – przyznała skinieniem głowy. – Niedaleko Powązek.

– Objechaliśmy je wtedy ze trzy razy dokoła. – Ponownie obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – Nic to pani nie mówi?

– ...?

– Naszym gazetom i telewizyjnym wiadomościom wierzę w jednym. Ameryka, proszę pani, to kraj zbrodni, mafii i strzelanina na ulicach. Tam trzeba stale mieć się na baczności. Dlatego dużo czytam książek kryminalnych.

– I co w nich znalazł pan interesującego? – nie kryła drwiny.

– Że jak ktoś trzykrotnie objeżdża rondo, to robi to tylko dlatego, by zorientować się, jaki samochód siedzi mu na ogonie. Nikt normalny trzy razy z rzędu nie robi kółka. Zatem jak ktoś ma oczy z tyłu i jest uważny, wyłowi depczącego po piętach delikwenta. A tamten gość tak właśnie postąpił.

– Dlaczego mówi mi pan o tym dopiero teraz? – Spojrzała na licznik.

Zapłaciła i wyszła zła na ulicę. Przeszła podziemnym przejściem do hotelu Forum. Miała ochotę na kawę. Kiedy dochodziła do wejścia kawiarni, poczuła, jak czyjaś dłoń ujmuje ją pod ramię. Obejrzała się gniewnie i zobaczyła twarz Andrzeja.

– Zapraszam – powiedział i pociągnął ją za sobą. Zaskoczona dała się prowadzić, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć. Kiedy usiedli, wreszcie z siebie wydusiła:

– Śledziłeś mnie?

– Ja? – Zrobił zdziwione oczy. – Raczej ty jeździłaś za mną. Pomyślałem, że masz coś ważnego, stąd moje zaproszenie na rozmowę.

– Zawsze masz taki gładki bajer?

Zaprzeczył. Chciał coś dodać, ale zjawił się kelner. Najwidoczniej znał Andrzeja, jednak widząc go w towarzystwie, powstrzymał się od okazania jakiegokolwiek sympatii.

– Czego się napijesz? – Andrzej spojrzał pytająco na Elwirę.

– Może być kawa. Bez śmietanki i bez cukru.

– Dla mnie to samo – uczynił dłonią gest, jakby chciał tym powiedzieć do kelnera: „To wszystko. Jesteś wolny”.

Kiedy zostali sami, spojrzał jej w oczy i powiedział:

– Mogę o coś spytać?

– Próbuj.

– Dlaczego mnie nie lubisz?

To pytanie ją zaskoczyło.

– Nie lubię? – skrzywiła się. – Jesteś mi obojętny. Po prostu myślę, że chcesz skrzywdzić Anię.

Na twarzy siedzącego na wprost Andrzeja pojawił się niemal wyraz osłupienia.

– Ja? Skrzywdzić?

– A mówimy o kimś trzecim?

– Skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

– Podpowiada mi to kobieca intuicja.

– Kobieca...? – Andrzej na chwilę się zawahał.

Wiedziała, do czego pije, i tym bardziej nie zamierzała ustępować pola.

– Masz coś przeciw?

– Myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi. W końcu oboje ją kochamy.

– Oboje? – Wzruszyła ramionami. – Nie sądzę, byś wiedział, co znaczy miłość. – Sięgnęła do torebki i położyła na stole pieniądze. – Mam nadzieję, że kawa będzie ci smakowała. – Okręciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

Długo patrzył za nią.

– Głupia zazdrosna lesba – rzucił pod nosem.

Dwie godziny później siedział w samochodzie, wpatrując się w szklane skrzydła wahadłowych drzwi przychodni. Spojrzał na zegarek. Co Anna tam robi tak długo? Początkowo nie chciała, by wszedł z nią do środka. Wreszcie zgodziła się, żeby tylko odprowadził ją pod drzwi gabinetu. Potem miał czekać w samochodzie.

– Jest! – Zobaczył kolorową sukienkę. Wyszła na dwór, by chwilę potem zbiec lekko po schodach. Wsiadła do środka. Przytuliła go mocno i kilka razy pocałowała radośnie w policzek.

– Mówiłam ci, że cię kocham? – spytała.

Odwzajemnił pocałunki. Kiedy jednak próbował ją ku sobie przyciągnąć, wyśliznęła się niczym piskorz.

– O, nie... – Pogroziła palcem. – Jeżeli myślisz, że znowu... W samochodzie... Na ulicy i w środku dnia, to się mylisz...

Mimo swobodnego tonu wyczuł w niej wewnętrzne rozdygotanie.

– Gdzie pani każe jechać?

– Do mnie...

Włączył silnik. Wrzucił bieg i po chwili manewrowania wyjechał na ulicę. Przekręcił włącznik radia.

... W Polsce nie ma rzeczy niemożliwych. Zdecydowanie i determinacja kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej świadczyć może jedynie o tym, że jesteśmy świadkami nowej polityki wewnętrznej, a nie kolejnego manewru taktycznego...

Anna przekręciła potencjometr, zapatrzona w zbliżające się skrzyżowanie. Kątem oka dostrzegł na jej twarzy wyraz zagubienia.

Powinien był uważać na zmieniające się światła, a nie patrzeć na nią. Nacisnął gwałtownie pedał hamulca. Zablokowane koła zapiszczały na asfalcie. Samochodem niegroźnie zabujało na boki. W tej samej sekundzie Anna gwałtownie wybuchnęła, niemal krzycząc:

– Nie widzisz czerwonego światła?! Chcesz mnie zabić?!

– Ależ... – próbował coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu.

– Mam zginać, bo jakiś dupek chce się przede mną popisać?! Nie umiesz jeździć, to zostaw samochód i zapierdalaj pieszo. Skarpetki, buciki... i popierdalaj! Nie popisuj się! Nie popisuj... – ostatnie słowa wypowiedziała niemal szeptem.

Chwilę patrzyła na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami. Wyciągnęła przed siebie dłoń, jakby próbowała go dotknąć. Jej usta szeptały bezgłośnie. Wreszcie zrozumiał...

– Mam raka...

Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu dłoń na ustach.

– Białaczka. Ten twój lekarz powiedział, że mam białaczkę...

Wydawało się, że Anna nie wierzy w wypowiedane słowa. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, obojętni na uliczny ruch i klaksony.

Nieoczekiwanie za szybą od strony kierowcy ukazała się czerwona ze złości twarz. Tamten uderzył otwartą dłonią w dach samochodu.

– Na amory ci się zebrało, baranie jeden?!

Anna przekreśliła włącznik radia, z którego popłynęła głośna muzyka. Chwilę potem zaczęła rozdzierająco szlochać.

*Z piątku na sobotę
idzie raz va banque,
zabłąkany motyl,
mała Lady Punk...*

Rozdział siódmy

Anna stała nieruchomo przy oknie, spoglądając na spieszących dokądś ludzi. Do pracy. Do znajomych. Do sklepu. Do dupy to wszystko. Oparła się nosem o zimną szybę. „Śmieszne – wzruszyła w duchu ramionami – zebrało mi się na filozofowanie”.

Właściwie to nie przeraziła jej wiadomość, że jest chora. A przynajmniej nie w tym stopniu, w jakim można było oczekiwać. Przeraziły ją oczy mówiącego do niej lekarza. Zobaczyła w nich obojętność, niemal lekceważenie. Choć głos zdawał się wyrażać co innego, jednak oczy pozostawały zimno obce.

„Kurwa mać! Czego ty właściwie chcesz? – wrzasnęła na siebie w myślach. – Żeby facet popłakał się z twojego powodu?”

Przygryzła nerwowo wargi. Miała życiowego pecha. Skurwysyński pech czekał cierpliwie w ukryciu, aż po raz drugi przyjdzie do jej głupiej głowy, że potrafi strącać nosem chmury, że znowu potrafi latać. Niepotrzebnie dała się namówić Andrzejowi na powtórne badania. Zrobiła to bardziej dla niego niż dla siebie. Dziś rano odebrała wyniki i obojętnie rzuciła na stół w przedpokoju.

A jeśli poprzednio ktoś się pomylił...?

Jeśli...?

Może...!

Zza jej pleców dobiegł odgłos podnoszonej przez Andrzeja słuchawki. Potem rozległ się odgłos wykręcanego numeru. Czy na jego miejscu zostałyby? Czy chciałyby go całować? Tulić w nocy i czuwać nad spokojnym snem?

– Zibi, cześć, to ja... Wiem, wiem, tyle lat... Jestem świnia... Mam problem. Zerkniesz na badania? Tak... To bardzo ważne...

On jednak nie zamierzał odchodzić. W oczach Andrzeja widziała kojący uśmiech, gdy na nią patrzył. Jego ramiona były bezpieczną przystanią, która pozwalała skryć się przed mrokiem i spokojnie dotrzeć do rana. Jak długo przy niej wytrwa? Nie chciała jałmużny. Bała się współczucia.

– W końcu jesteś specjalistą... Moja dziewczyna... Jasne, że rozumiem...

Dobra... Zaraz będę. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

Anna usłyszała odgłos odkładanej słuchawki. Rozległy się kroki. Andrzej stanął za plecami Anny i wsunął dłonie pod jej ramiona. Objął ją delikatnie w pasie.

– Nie powinnaś przejmować się na zapas.

– Do kogo dzwoniłeś?

– Zibi jest doskonałym specjalistą. Chcę, by sprawdził badania. W końcu ludzie są omylni.

Odchyliła głowę do tyłu, ocierając się policzkiem o jego ramię.

– Dobrze, że jesteś, kochanie. Już niczym się nie przejmuję – wyszeptała.

– Słowo?

– Uhm.

– Gdzie położyłaś dzisiejsze wyniki?

– W przedpokoju. Na stoliku.

Pocałował ją w policzek. Kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwi, podeszła do okna. Wkrótce zobaczyła Andrzeja przed domem. Odwrócił się i pomachał do niej dłonią. Chwilę potem wsiadł do samochodu i odjechał.

Wstrząsnął nią dreszcz. Ludzie na ulicy dokądś spieszyli. O czymś ze sobą rozmawiali. Coś nieśli w siatkach. Złościли się. Uśmiechali. Stała i patrzyła na nich z góry, oddzielona od wszystkich narastającym strachem.

Nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Wzdrygnęła się na ten dźwięk, lecz nawet się nie odwróciła. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. Potem krótki cichy gong i dobiegł głos Elwiry.

– Cześć, koteczku. To ja... Nie było cię wczoraj wieczorem w pracy. Przedwczoraj. Trzy dni temu. Wszyscy już tęsknią za tobą. Ja też... Bardzo... A teraz najświeższe wiadomości: Helenka złapała syfa... Chyba wzięła przykład z ciebie. Tak się zakochała, kurwa głupia, że pozwoliła bez gumy. Ty też na siebie uważaj. Pa... kochanie.

Odwróciła się na pięcie. Sięgnęła po przerzucony przez oparcie tapczanu płaszcz.

Siejka rzucił niedopałek i zdeptał go nogą. Obok na chodniku leżało już kilka petów. Spojrzał w okna restauracji hotelu Bristol. Skąd ludzie biorą szmalec na zabawę w takim lokalu? Bezskutecznie spróbował podciągnąć wyżej kołnierz palta.

Olga siedziała w środku. Rozmawiała przy stoliku z jakimś facetem. Miała dość oryginalną urodę. Przynajmniej tak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

„Na jedną noc wystarczy – zachnął się w myślach. – Żaden przecież z tych... tutaj nie zamierzał się z nią żenić”.

Prawdę mówiąc, jemu ta mała również wpadła w oko już za pierwszym razem. Wywlekał ją z kawiarni, ciągnąc za włosy, a ona śmiesznie ni to piszcziała, ni pobekiwała. Może jeszcze kiedyś z nią zatańczy. Może. Kiedyś.

Gdy sięgał po kolejnego papierosa, zobaczył, że Olga wyszła z sali.

Dziewczyna zapięła guziki kożuszka. Nałożyła przed lustrem берет i ściągnęła jeden bok śmiesznie na bok. Dochodząc do drzwi, uśmiechnęła się do stojącego nieopodal szwajcara.

– Do widzenia, panie Tadeuszu.

– Do widzenia, pani Olu. Do widzenia. Co dzisiaj tak wcześniej?

– Wszyscy faceci – roześmiała się głośno – których spotkałam, prosili mnie o rękę. Jak na jeden wieczór to trochę za dużo.

Pchnęła drzwi i wyszła na dwór. Z braku wolnego miejsca zaparkowała na Krakowskim Przedmieściu. Będzie musiała przejść kilka kałuż i uważać, żeby nie pośliznąć się na topniejących kawałkach lodu.

Przechodząc obok szyby wystawowej, za którą leżały wczorajsze ciastka, dostrzegła za sobą cień. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, do kogo należy.

Przyspieszyła kroku. W końcu zaczęła biec. Rozpaczliwie szukała wzrokiem przechodniów, ale wokół nie było nikogo.

Dopał ją po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia i zaciągnął między robotnicze budki stojące za pomnikiem Prusa. Uderzył w tył głowy. Upadła na kolana. Sekundę później dostała kopniaka w twarz. Straciła przytomność.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz blisko swojej. W oczach miał nienawiść, a do gardła dociskał jej nóż.

– Mówiłem ci już, że jesteś zwykłym kurwiszonem, który przed nami nigdzie nie ucieknie. Nigdzie!

– Ja przepraszam... – wydusiła z trudem. – Myślałam, że to jakiś zbrodca...

– Zakazałem ci myśleć.

Siejka uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Zatoczyła się na stertę desek.

– Przepraszam... Nie chciałam, żeby nas widzieli razem.

– Ten kit zostaw dla swoich fagasów. Rozumiemy się?

Kiwnęła posłusznie głową.

– A teraz gadaj. Wszystko, co się zdarzyło w hotelowym burdelu od naszego ostatniego spotkania.

Helena weszła na salę restauracyjną i od razu dostrzegła siedzące przy oknie Elwirę i Olgę. Godzina wczesna, więc gości było niewielu. Kilku mężczyzn obrzuciło ją taksującym spojrzeniem. Odruchowo wysunęła piersi do przodu.

Choć miała swoje trzydzieści pięć lat, spokojnie mogła konkurować z młodszymi. Zwłaszcza że umiała coś więcej, niż tylko rozkładać nogi i stękać w udanym zachwycie.

– Co jest? – Elwira spojrzała zaskoczona. – Przyszłaś do pracy?

Usiadła przy stoliku, przywołując barmana:

– Panie Stasięku, dla mnie coca-cola i pięćdziesiątka winiaku. – Odwróciła się w stronę pytającej. – Do jakiej roboty? Jestem porządna kurwa, a nie byle jaka zdzira. Znudziło mi się siedzieć w domu z panią Celiną.

– Z kim? – Olga spojrzała na koleżanki pytająco.

– Młoda jesteś. Do tej pory miałaś fart, ale wszystko przed tobą – zachichotała Elwira. – Z penicyliną. Jak złapiesz syfa, to dostaniesz kilka działek w dupsko i po strachu – zwróciła się do Heleny: – Więc wpadłaś tylko dla towarzystwa?

– Jak będziesz miała chętnego masochistę, to mogę zrobić mu laskę za sto docłów z naciąganiem jąder za uszy. – Helena puściła oko do przechodzącego obok mężczyzny i rozejrzała się po sali. – Anki jeszcze nie było?

Olga upiła łyk coli z wypełnionej lodem szklanki.

– Wsiąkła jak ty przed tygodniem. Elwira próbowała się dodzwonić, ale odpowiada tylko automatyczna sekretarka.

– Nasza mała się zakochała – westchnęła z zazdrością Helena. – Trzeba jej poradzić, żeby kupiła sobie gumki.

Co to była za knajpa? Anna dopiero teraz się zastanowiła. Nigdy wcześniej tu nie była. Idąc ulicą, pchnęła jakieś drzwi, zza których dochodziła przytłumiona muzyka. Weszła do środka. Usiadła przy stoliku. Zjawił się kelner w garniturze z wytartymi mankietami. Poprosiła o setkę wyborowej.

– Wódkę podajemy wyłącznie do pełnego zestawu obiadowego.

– A bez zestawu?

– Bez...? Może jest jeszcze piwo. Odwrócił się od niej i zawołał przez salę: – Pani Janeczko, mamy jeszcze browar?

– Coś pan, panie Władeczk, o tej porze? – napłynął skądś zachrypnięty głos. – Nawet zapasy nam już wyszli.

– Nie mamy piwa – zawyrokował kelner. – A bez zestawu będzie drożej.

– W porządku. Setka i coś do popicia.

– Pani Janeczko, mamy jeszcze tonik?!

– A jest tego gazowańca! Jest...! Klucze zostawiam na zapleczu. Muszę już lecieć. Zamknie pan za mną?

– Ma się rozumieć. – Odwrócił się do Anny. – Mamy tonik.

– Niech będzie.

Godzinę później siedziała przy kolejnym stoliku, przykrytym różową serwetą z wytłaczanymi pseudokurpiowskimi wycinankami. Przed nią stały dwa puste kieliszki. Który to z rzędu lokal? Trzeci? Czwarty? Za oknem zapadał mrok. Która mogła być godzina? Dostrzegła nad kontuarem tarczę zegara. Przypatrywała mu się dłuższą chwilę, jednak w pełnym papierosowego dymu pomieszczeniu jego wskazówki rozjechały się w nieczytelne plamy. Podobnie jak wówczas...

Wtedy też uciekała. Też był wieczór i też się bała następnego dnia. Właściwie to chciała tylko zapomnieć. Upić się do nieprzytomności i zapomnieć. Miała pecha – mocną głowę. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziała.

Do tamtego dnia była grzeczną dziewczynką. Tak, mamó. Nie, mamó. Dobrze, mamó. Najpierw musiało podobać się matce, dopiero potem mogło podobać się jej. To rodzicielka najpierw dostrzegała jakiegoś chłopaka, który potem wpadał jej w oko.

Stała wówczas naprzeciw matki i czuła wzrastającą w sobie nienawiść. Jak to możliwe?

– Nie wolno ci odejść. – Stała na jej drodze do drzwi wyjściowych. – Masz dziecko. Mała cię potrzebuje. Czy nie widzisz, że Monika cię kocha?

– Zejdź mi z drogi.

– Jesteś matką.

– Ja? – zaczęła się wtedy śmiać. – Ty nią jesteś. To ty wybrałaś Romana. Ty chciałaś, żebym miała dziecko. Pewnej nocy zastanawiałam się, czy nie powinnaś spać razem z nami.

– Jesteś obrzydliwa.

– Byłam jedynie twoim pośrednikiem, wykonawcą twoich chęci, nakazów, wskazówek, poleceń.

– Nie zapominaj, do kogo mówisz.

– Zawłaszczyłaś mnie sobie. Nie liczyło się nic, co moje. Kim jestem i jaka jestem. Musiałam być taka, jaką ty chciałaś, żebym była. Zrób to. Nie rób tamtego. Uśmiechnij się. Przyznaj, jakie to ładne. Zagraj nam na pianinie. Nie patrz w tamtą stronę... Czasem zastanawiałam się, czy nie powinnam prosić cię o zgodę, żeby się wyszczać.

– Proszę nie używać w moim domu takich...

– Mam to w dupie – krzyknęła doprowadzona do ostateczności. – Tu wszystko jest twoje. Twój dom. Twoje meble. Twoje łyżki. Twoja córka. Gdzie tu jest miejsce dla mnie?

Odepchnęła matkę na bok i wybiegła na korytarz.

Jak trafiła do tamtej knajpy? Ile Michał mógł mieć lat? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Dosiadł się do jej stolika. O nic nie pytał. Czowała, że wie, co się z nią dzieje. Że ucieka i nie ma dokąd pójść. Podała mu dłoń, gdy wstał z miejsca i spytał, czy ma ochotę mu towarzyszyć? Pachniał dobrą wodą kolońską. Wyszli na ulicę. Poprowadził ją do samochodu. Zaimponował zachodnią bryką. Mieszkała z nim przez kilka miesięcy.

Kiedyś, gdy leżeli w nocy obok siebie zmęczeni miłością, nieopatrznie spytała:

– Myślisz, że my... Że moglibyśmy...?

– Nie.

Trzy tygodnie później towarzyszyła mu na firmowym przyjęciu. W pewnej chwili Michał przedstawił jej przyjaciela. Był od niego starszy, ale również zdecydowanie bogatszy...

– Można się przysiąc?

Anna otrząsnęła się ze wspomnień. Obok stolika stał mężczyzna z

głupkowato chytrą miną. Jechało od niego tanimi papierosami i przetrawionym piwem.

– Kiedy się ostatnio kąpałeś? – Ostentacyjnie pociągnęła nosem.

– Że co proszę? – Zrobił jeszcze głupszą minę.

– Zamiast się wietrzyć, powinieneś się myć.

– Mówił ci ktoś, że jesteś zwykłą kurwą?

– Spadaj! – chciała coś jeszcze dodać, ale wypity alkohol niebezpiecznie zabujał wewnątrz knajpy. Gdyby nie przytrzymała się stolika, zleciałaby z krzesła.

Natręt przybrał pogardliwą minę. Potem ruszył z powrotem do baru. Kiedy się rozsiadł na stołku, machnął dłonią na kelnera dłubiącego zapalką w zębach.

– Władeczku, jeszcze raz dla mnie wódeczka, ale nie ta na ruskim spirytusie. To gównu szkodzi na wzrok.

– Się robi. Podać coś na ząbek?

Zapytany odwrócił się w stronę Anny i mlasnął głośno językiem.

– Owszem. Golnij sobie, Władeczku, ze mną. Dla nas dwóch wystarczy. – Obaj wybuchnęli głośnym śmiechem, patrząc na pijaną.

– Sprawdź, czy nie wróciła do siebie. – Elwira patrzyła na Andrzeja nieufnym wzrokiem.

– Dzwoniłem kilka minut temu.

Helena upiła łyk z wysokiej szklanki.

– Może gdzieś zabalowała? – Spojrzała na parkiet, gdzie tańczyło kilkanaście par.

– Nie rozumiem. – Bezwiednie podążył za jej wzrokiem.

– Nie chciałabym cię urazić.

– Spróbuj jaśniej.

– Pewnie poszła z jakimś klientem.

Andrzej zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Może ona coś wie? – wskazał na Olgę siedzącą kilka stolików dalej.

– Tyle samo, co my – prychnęła obojętnie Elwira. – Chyba będziesz musiał poradzić sobie sam.

– Dzięki. – Wstał od stolika i ruszył energicznym krokiem w stronę wyjścia.

Wziął z szatni płaszcz i zarzucając go na ramiona, wyszedł na dwór. W twarz smagnał go chłodny podmuch wiatru. Andrzej podniósł wyżej kołnierz i ruszył przez pustą ulicę do zaparkowanego naprzeciw radiowozu. Zapukał w szybę. Siedzący za kierownicą milicjant spojrzał pytająco, lecz nie uchylił okna. Zapukał po raz drugi.

– Co jest? – Tamten najwyraźniej był zły, że musi wpuścić do ciepłego środka chłodne powietrze.

– Skontaktujcie się z oficerem dyżurnym. – Podsunął pod nos kierowcy legitymację Służby Bezpieczeństwa.

– Po co?

– Po jajco! Bierz radiostację.

– Wszyscy w безпеce jesteście tacy nerwowi?

Siedzący w głębi samochodu milicjant schylił się, by spojrzeć na natręta.

– Kraj się wali, to im się spieszy.

– Masz jeszcze jakieś uwagi? – Andrzej warknął, czując wzbierającą wściekłość.

– Sześćdziesiąt dwa do trójki. Odbiór – po chwili kierowca jeszcze raz powtórzył zakodowane wezwanie.

– Trójka, słucham, co wam się urodziło? – w radiostacji rozległ się zachrypnięty głos.

– Jest tu jeden bezpiecznik. Najwyraźniej ma pilną sprawę.

Milicjant oddał Andrzejowi mikrofon.

– Kapitan Leszczyński.

– Starszy chorąży Modrzewski.

– Poszukujemy młodej kobiety. Interesuje mnie, czy w ciągu ostatnich godzin któraś z załóg nie była wysyłana na interwencję.

– Macie rysopis?

– Wiek między dwadzieścia sześć a trzydzieści lat. Włosy kasztanowe, ubrana w zachodnie ciuchy...

– Sprawdzę w meldunkach – na moment w radiostacji zapadła cisza.

Siedzący na tylnym siedzeniu milicjant ponownie wychylił się w stronę Andrzeja.

– Coś przeszkrobała? – Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, dodał z przekąsem: – Chciała obalić socjalizm?

– Jutro dowiesz się z gazet – rzucił na odczepnego.

Radiostacja ponownie zachrypiała.

– Mieliśmy jedną taką. Znalaziono ją dwie godziny temu na ulicy. Nie

wyglądała najlepiej. Jeszcze pół godziny, a przejechałaby się na drugi świat.

– Gdzie teraz jest? – Niemal wyrwał kabel łączący mikrofon z nadajnikiem.

– Szpital Praski. Mają ostry dyżur.

Andrzej rzucił mikrofon na kolana milicjanta i ruszył pospiesznie do zaparkowanego nieopodal poloneza. Przez chwilę mocował się z kluczykiem, który uwiązł w zmarzniętym zamku. Wściekły kopnął nogą w karoserię. Pomogło. Wsiadł do środka i trzasnął za sobą drzwiami. Silnik zaskoczył po chwili dychawicznej czkawki. Wjechał na Krakowskie Przedmieście. Latarnie rzucały na jezdnię brudne plamy światła odbijającego się w rozjeżdżonym lodowym błocie.

Skreślił w Miodową. Dodał gazu, ale niebezpiecznie zarzuciło nim na jezdni. Na szczęście ulica była pusta. Przeskoczył przez most na praską stronę. Dodał gazu, wymijając jadące przed nim w oddali piaskarki.

Kiedy dojeżdżał do szpitala, wyprzedziła go karetka reanimacyjna. Nie zważając na niebezpiecznie śliską nawierzchnię, kierowca gnał przed siebie jak wariat. Facet musiał być niezły, gdyż zakręcając przed szpitalem, wszedł w kontrolowany poślizg. Erką zabujało na boki, lecz sekundę później już pędziła na podjazd.

Andrzej zaparkował samochód nieopodal głównego wejścia. O tej porze przed szpitalem było zaledwie kilka samochodów. Ruszył biegiem w stronę głównego wejścia. Kiedy znalazł się w holu, na drodze stanął mu strażnik.

– O tej porze odwiedzin już nie ma.

– Nie przyszedłem na wieczorne party. – Machnął przed nosem legitymacją. – Służba Bezpieczeństwa. Gdzie znajdę lekarza dyżurnego?

– Korytarzem prosto do pogotowia.

Pobiegł we wskazanym kierunku. Po drodze minął roztrzęsionego lekarza, który krzyczał coś do idącego obok mężczyzny.

– Nie. Nie! I jeszcze raz nie!!! Nawet siłą nie zaciągniecie mnie do tego palanta. Ja pracuję w służbie zdrowia, a nie w cyrku kaskaderów. Co ja mówię, kaskaderów! Straceńców! Z tym kierowcą nigdzie już nie wyjadę, basta!!!

Andrzej pchnął drzwi wahadłowe. Zatrzymał przechodzącego obok mężczyznę w kitlu.

– Szukam lekarza dyżurnego – powiedział.

– Słucham. – Tamten nie zwolnił nawet kroku.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pacjentce, którą przywieziono do

was dwie godziny temu.

– Pan to rodzina?

– Tak jakby.

Nie zatrzymując się, lekarz obrzucił go obojętno-grzecznym spojrzeniem.

– Nie udzielamy informacji... – nie dokończył, widząc legitymację służbową. Wzruszył ramionami. – Widziałem lepsze.

– Słuchaj, kutasie! – Andrzej złapał go za poły kitla i przycisnął do najbliższego filaru. – Pierdolę, co widziałeś. Pierdolę, co ci się podoba albo na co lejesz z góry – w jego głosie zabrzmiała groźba. – Jeśli nie dowiem się wszystkiego, o czym chcę wiedzieć, to rozjebię ten burdel i chuj mnie obchodzi, że twoim wujkiem jest Wałęsa, albo że jutro zrobicie strajk generalny.

– To dla pana ktoś bliski? – w głosie lekarza odezwała się grzeczna nuta.

Andrzej zwolnił uścisk i cofnął się o krok.

– Nie zamierzam jej aresztować ani przesłuchiwać. Nie ukrywa się ani nikt jej nie ściga. Chcę wiedzieć, co się z nią stało i jeśli zrobiono jej krzywdę, to... – zagryzł wargi i zacisnął dłonie w pięści.

– Trzeba było tak od razu. I chuj mnie obchodzi, czy twoim wujkiem jest Jaruzelski.

– Przepraszam. – Andrzej miał minę obitego kijem psa.

– Proszę iść za mną.

Wkrótce dotarli do pokoju lekarskiego na oddziale wewnętrznym. Lekarz wskazał Andrzejowi krzesło. Sam sięgnął do przegródek z dokumentacją pacjentów. Wyjął dowód osobisty i podał go Andrzejowi.

– To ona?

Przytaknął.

– Przywieziono ją o dwudziestej pierwszej dziesiątej. Duże wychłodzenie organizmu.

– Jak to?

– Znalazła ją jakaś kobieta. Powiadomiła milicję. Ci wezwali nas. Leżała nieprzytomna w śniegu. Stwierdzono zatrucie alkoholem metylowym. Jednak nie wyglądała na kogoś pijącego denaturat... – zawahał się lekarz.

– Coś jeszcze?

– Owszem.

– ...?

– Wszystko wskazuje na to, że została pobita i zgwałcona.

– Robiliście badania?

– Zabezpieczyliśmy wymaz z pochwy. W końcu została przywieziona jako ofiara alkoholowego zatrucia.

– Przecież powiedział pan, że...

– To sprawa milicji, ją udzielam pomocy potrzebującym.

Andrzej zaczął trzeć nerwowo czoło.

– Jak teraz się czuje? – spytał.

– Odzyskała przytomność. Ogólne osłabienie. Za dwa dni będzie mogła być wypisana.

– Dziękuję. – Wstał z miejsca. Sprawiał wrażenie, że nie bardzo wie, gdzie iść.

– Dobrze się pan czuje?

– Kiedy mogę ją zobaczyć?

Od momentu gdy Anna odzyskała przytomność, z uporem wpatrywała się w drzwi wejściowe. O czymś rozmawiała z kobietą leżącą na łóżku obok. Machinalnie odpowiadała pielęgniarce. Wszystko to jednak działo się gdzieś na obrzeżach świadomości. Jej prawdziwe ja schowało się głęboko w niej, nie spuszczać wzroku z klamki drzwi.

Co się stało? W pamięci miała czarne dziury, jakby ktoś na białym obrusie powypalał plamy żarzącym się papierosem. Była w jakiejś knajpie. Drugiej? Trzeciej? Piła wódkę. Potem patrzyła na zegar, który sflaczał, jakby uszło z niego całe powietrze. Obie wskazówki obwisły, wskazując podłogę, na którą się zsunęła.

Co było dalej? Zobaczyła nad sobą twarz mężczyzny.

– Kim jesteś?

Powiedział, że lekarzem.

– Co się ze mną stało?

Piła alkohol, który jej zaszkodził.

– Gdzie jestem?

W szpitalu.

Teraz był dzień. W podłączonej do ramienia butelce z kroplówką mieniły się refleksy przeciskającego się przez żaluzje słońca. Miała na sobie zbyt dużą koszulę. Powąchała kołdrę, potem swoje ramię. Powinna się wykapać.

W otwartych drzwiach stanął Andrzej.

– Nareszcie jesteś – szepnęła, gdy całował ją w policzek. – Chcę wrócić do

domu.

– Lekarz mówi, że musisz zostać jeszcze dzień, póki organizm...

– Chcę wrócić do domu – powtórzyła z uporem. – Zabierz mnie stąd.

Natychmiast.

Godzinę później pomógł jej wsiąść do samochodu. Spojrzała w lusterko i krzyknęła przerażona. Pół twarzy miała sine, z krwawymi wybroczynami na policzku.

– Powiesz, co się ze mną stało?

– Piłaś w jakiejś knajpie. Wyszłaś na ulicę. Przewróciłaś się na chodnik.

Gdyby nie jakiś przechodzień, zamarzłabyś. To wszystko.

W drodze zatrzymali się przed apteką.

– Poczekaj na mnie. Muszę wykupić lekarstwa – powiedział.

– Będę już grzeczna.

– Słowo?

Spróbowała się uśmiechnąć.

Dźwięk dzwonka do drzwi. Helena wstała z kanapy. Otworzyła zamek. W progu stała Elwira. Wglądała na zmęczoną, jakby nie przespała dzisiejszej nocy. Przepuściła ją obok, wskazując ruchem głowy otwarte drzwi prowadzące do pokoju.

– Co z nią? – spytała.

– Właśnie wracam. Gdyby nie twarz, wyglądałaby znośnie.

– Możesz jaśniej?

Elwira usiadła za stołem. Sięgnęła po leżące papierosy. Wyjęła jednego. Przypaliła, zaciągnęła się głęboko i powiedziała:

– Z nią się coś dzieje.

– Nadawaj wersję dla mniej rozgarniętych.

– Nie chce mi o niczym powiedzieć. – Ze złością zgmiotła w popielniczkę dopiero co zapalony papieros, by po chwili sięgnąć po następny. – Wiem... Czuję, że coś niedobrego się z nią dzieje. – Złamała papieros między palcami.

– Czyli wiesz tyle samo co ja. – Helena przezornie zabrała paczkę z zasięgu dłoni Elwiry. – Andrzej był u małej?

– Owszem.

– W takim razie jest pod dobrą opieką.

– Masz coś mocniejszego?

Helena spojrzała w stronę barku.

– Jest tylko resztką łykacza, który został po urodzinach. Przynieść?

Elwira skinęła głową. Sama poszła do kuchni po szklanki.

– Może się pomyliłam. Może on ją rzeczywiście kocha?

Helena nalała im, potem spojrzała w oczy koleżanki.

– Myślę, że wolałabyś, żeby okazał się draniem.

– Powiedz mi wreszcie prawdę – Anna położyła dłoń na policzku Andrzeja. – Muszę wiedzieć... Widziałeś się z tym twoim Zibim?

– Nie miał żadnych wątpliwości. – Umknął wzrokiem gdzieś w bok, jakby się wstydział tego, co mówi.

Dłoń Anny zsunęła się bezwładnie na kołdrę. Zacisnęła mocno powieki. Głos Andrzeja napłynął z daleka. Przedzierał się przez oszalały ze strachu puls serca. Cały czas miała nadzieję. Że pomyłono badanie. Że wszystko okaże się tylko żartem drwiącego z niej losu. Że...

Kiedy tamtego dnia odepchnęła matkę i wybiegła za próg domu, usłyszała jej krzyk: „Zostaniesz za to ukarana. Pan Bóg ci tego nie daruje”. Zniosła się wówczas głośnym śmiechem. Bóg miałby ją karać? Przecież jest miłosierny!

Dotknięcie dłoni Andrzeja przywróciło ją do rzeczywistości.

– ... Mówił, że to wczesna faza choroby... Przeszczep szpiku daje stuprocentową gwarancję... – przełknął z trudem ślinę, jakby mówienie sprawiało mu trudność. – Ale operacja... Jest bardzo kosztowna. Robią ją tylko na Zachodzie. W Paryżu i chyba w Amsterdamie... Kosztuje koło sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

Anna wydeła drwiąco usta.

– Musiałoby mnie przelecieć pół Warszawy, zanim uzbierałabym taką kasę... – udała skupienie. – W stolicy jest około miliona ludzi... Połowa to mężczyźni. Odliczając zbawidowców i niemowlaki...

– Znajdziemy te pieniądze.

Ponownie zacisnęła mocno powieki, nie wierząc w zapewnienia.

Rozdział ósmy

Andrzej wykręcił przy Supersamie w stronę Rakowieckiej. Dojeżdżając do skrzyżowania, zobaczył zapalające się czerwone światło. Zahamował. Nie mógł dziś zostać z Anną. Musiał wrócić do pracy. Odkąd przywiózł ją ze szpitala, często mu się przyglądała. Nic nie mówiła, jedynie wodziła za nim oczami.

– Myślisz, że moje życie ma jeszcze jakiś sens? – spytała dzisiejszego ranka. Właśnie postawił obok łóżka tacę ze śniadaniem.

– Jeśli zrezygnujesz i poddasz się, to przegrałaś.

– Po co mam walczyć?

– Jeśli ja się nie liczę, masz jeszcze dziecko.

– Nie znam córki. Zostawiłam małą u matki, gdy miała rok. Chyba nawet nie wie, że ktoś taki jak ją istnieje.

– Kilka osób cię kocha.

– Ty... Elwira. Pewien szwajcar z hotelu Bristol.

Andrzej przysiadł na brzegu łóżka.

– Masz ochotę udowodnić sobie, że jesteś nikomu niepotrzebna?

Nie odpowiedziała. Przez następne pół godziny z trudem udało mu się ją przekonać do zjedzenia kanapki. Kiedy całował ją na do widzenia, przytrzymała go za rękaw marynarki.

– Myślisz, że Bóg istnieje?

– Skąd to pytanie?

– Odpowiedz.

– Nie wiem. Chciałbym, ale nie wiem.

– Idź już, bo się spóźnisz. I pamiętaj – ponownie przyciągnęła go ku sobie, patrząc w oczy – żebyś mnie zawsze kochał.

Na ulicznym sygnalizatorze zapaliło się zielone światło. Skręcił w Rakowiecką. „Pamiętaj, żebyś mnie zawsze kochał”. Dlaczego to powiedziała?

Kiedy dojeżdżał do bramy wjazdowej ministerstwa, przestraszył się myśli, która przyszła mu do głowy. Zatrzymał samochód na parkingu przed gmachem głównym i wybiegł z auta, nie zamykając nawet za sobą drzwi.

Pchnął drzwi do gmachu F, pokazując wartownikowi legitymację. Potem przechylił się przez barierkę i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Towarzysz wybaczy – sierżant chciał coś powiedzieć – ale z tego aparatu...

– To pilne. Sprawa służbowa.

Wartownik obrzucił go nieufnym spojrzeniem, ale było mu to obojętne. Wykręcił najpierw dziewiątkę, a gdy usłyszał sygnał wyjścia na miasto, połączył się z telefonem Anny. W słuchawce rozległ się jeden sygnał, drugi... dziesiąty...

– Odbierz, proszę – zaczął szeptać do słuchawki. – Nie rób mi tego.

Poczuł jak umundurowany trącił go w ramię.

– Towarzyszu, proszę nie blokować telefonu.

– Jeszcze chwila.

W słuchawce ponownie odezwało się buczenie niepodejmowanego połączenia. Więc miał rację. Słowa, którymi go pożegnała, mogły oznaczać tylko jedno... A on był taki głupi, że tego nie rozumiał. Co powinien teraz zrobić? Jeśli coś sobie zrobiła... Poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

– To niemożliwe – szepnął cicho. – Nie możesz mi tego zrobić. Nie wolno ci.

Po drugiej stronie rozległ się trzask podnoszonej słuchawki.

– Halo – głos Anny wydawał się zaspany.

– To ja, Aneczko.

– ...?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś mi bardzo potrzebna. No i...

– No i...?

– Usłyszeć twój głos. Całuję cię mocno. Do zobaczenia wieczorem.

Anna spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Rozległ się sygnał rozłączonej rozmowy, a ona pozostała jeszcze dłuższą chwilę ze słuchawką przy uchu, jakby zapomniała o ich wymianie zdań.

Co dalej?

Gdzie iść?

Jak postąpić?

Odłożyła słuchawkę, która zsunęła się z widełek na blat stolika. Nie zwróciła na to uwagi. Weszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Na kuchennym stole leżały rozłożone albumy ze zdjęciami. Szkoła średnia. Studniówka. Matura. Pierwszy chłopak. Pierwszy pocałunek. Pierwszy szum w głowie po kilku kieliszkach wina. Wszystko wtedy wydawało się takie

proste. Jednoznaczne. Nieskomplikowane. Po rajskie jabłka wystarczyło tylko sięgnąć. Wyciągnąć dłoń i zerwać.

Na jednej z przewracanych kart albumu pojawiło się zdjęcie obozu studenckiego. Była dumna, że dostała się na anglistykę. Na trzecim roku rozpoczęła równoległe studia na romanistyce. Myślała nawet o pozostaniu na uczelni i rozpoczęciu kariery naukowej.

Wzięła do ręki zdjęcie przyjaciół. Obok niej na fotce stał... Jak miał na imię? Jej pierwsza miłość. Wówczas wydawała się tą największą. Jedyłą. Taką, której nikt nigdy jeszcze nie przeżył.

Ognisko.

Gorąca noc.

Rozgwieżdżone niebo.

Nieporadne pieszczoty. Jej cichy krzyk i zdziwienie, że to już, że to tak... nijako. Bez fajerwerków. Bicia w dzwony. Lotu ku gwiazdom. Potem przyszło obrzydzenie, gdy usłyszała pytanie:

– Podobało ci się?

Tym krótkim zdaniem jakby uderzył ją twarz i obrzydził to, co miało być najpiękniejsze. Zamknęła się w sobie. Odsunęła na bok. Przestała bywać na prywatkach i w klubach studenckich. Zaszła się w bibliotece uniwersyteckiej. Książki były jej kolejną miłością, która nigdy jej nie zdradziła, nie zadała bólu.

Pewnego dnia, zerkając znad słownika, dostrzegła Romana. Początkowo nie zwróciła na niego uwagi. Zobaczyła go dnia następnego, kolejnego. On również uciekał przed hałaśliwym życiem studenckim do BUW-u.

Połączyły ich wspólne lektury, podobne patrzenie na świat, wrażliwość. Znowu była pewna, że to właśnie ten. Że to na niego czekała, a poprzedni raz był pomyłką niewartą nawet wspomnienia. Potem ślub...

Przerzuciła karty albumu. Urząd stanu cywilnego. Kościół. Przyjęcie weselne. Wyjazd do Zakopanego.

Rok później spodziewała się dziecka. Roman wyjechał na stypendium zagraniczne, z którego nie wrócił. Początkowo chciał, by do niego przyjechała. Gdy dowiedział się o ciąży, zamilkł. Wkrótce listy, które wysyłała za granicę, zaczęły wracać z adnotacją, że adresat wyprowadził się w nieznane.

Odepchnęła od siebie albumy, które spadły na podłogę. Przysunęła krzesło do kuchenki gazowej. Otworzyła drzwiczki piekarnika. Pochyliła się w stronę kurków z gazem.

Siejka wyjął z aparatu fotograficznego kliszę mikrofilmu. Chwilę trzymał ją w dłoni, zastanawiając się, ile też pieniędzy dostałby od ludzi, gdyby zniszczył ich sfotografowane akta.

– Macie pecha. – Sięgnął do teczki i wyciągnął ćwiartkę wódki.

On miał za to fart. W monopolowym wystąpił żołądkową gorzką. Po tej gorzałce nie jechało tak z ust. A przecież należało oblać skończoną pracę. Odkręcił zakrętkę. Wziął głęboki wdech i wypił całą zawartość. Po ostatnim łyku stęknął z lubością, czując ciepło rozlewające się po żołądku. Kiedy chował butelkę do teczki, spomiędzy stelaży dobiegł odgłos kroków. Spojrzał na zegarek. Jest jak zwykle punktualnie. Wyjął z kieszeni cukierki, szybko rozwinął z papierka i wsunął do ust. W krąg światła rzucanego przez zawieszoną u sufitu gołą żarówkę wszedł Sulimowicz.

– Melduję się, towarzyszu generale. – Siejka przybrał postawę zasadniczą.

– Spocznijcie, majorze. Robota wykonana?

– Ku chwale ojczyzny.

– Siejka – generał wyczuł w jego głosie drwinę – daj już sobie siana z tą ojczyzną...

– Tak jest. – Położył na stoliku przed Sulimowiczem trzy rolki.

Generał wziął je do ręki i chwilę im się przyglądał. Czy podobnie jak Siejka, Sulimowicz zastanawiał się, ile też pieniędzy dostałby od ludzi, których akta zostały zniszczone? A może nie musiał zawracać sobie tym głowy. Może już wiedział?

– Dobra robota, towarzyszu. – Poklepał majora protekcyjnie po ramieniu. – Partia wam tego nie zapomni.

„Więc jednak brali mnie za durnia – splunął w myślach. – Tak było najbezpieczniej”. Chciałby zobaczyć minę stojącego na wprost bęcwała, gdy zrozumie, jak wielki popełnił błąd.

– Pomyślę, jak wynagrodzić wam tę robotę... – powiedział Sulimowicz

– Mógłbym o coś prosić?

– Mówcie, śmiało.

– Chciałbym iść na urlop, lecz naczelnik szykuje już dla mnie robotę.

– Załatwię to.

– No i myślałem – major udał zmieszanie – czy nie wystąpić o wyjazd do sanatorium. Po latach siedzenia w podziemiach dostałem reumatyzmu.

– No tak – generał kiwnął ze zrozumieniem głową – o zdrowie trzeba dbać. Najpierw ojczyzna, ale zdrowie też jest ważne – ponowne klepnięcie. – Załatwię wam wyjazd do sanatorium w Soczi. Zaufajcie mi. W końcu, kolego majorze, jesteśmy w jednym kole Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

– Mogę się odmeldować?

– No, idźcie już, idźcie.

Elwira nacisnęła widełki automatu telefonicznego. Rozległ się brzęk dwuzłotówki, która jednak nie wyleciała. Elwira kilkakrotnie uderzyła w widełki.

– Cholera, hotel Forum w centrum Warszawy, a telefon dziadostwo, jak w pierwszej lepszej pipidowie.

– I co? – Helena przejrzała się w lusterku, poprawiając kosmyk włosów, który zsunął jej się na czoło.

– Ciągle zajęte.

– Próbuje ją złapać od dobrej godziny. – Spojrzała na zegarek. – Z kim ona tak gada?

– Mnie się pytasz?

– Coś mi się zdaje – Helena wsunęła lusterko do torebki – że lepiej będzie, jak zabierzemy dupy w troki i zajmiemy się... – nie dokończyła. Elwira chwyciła ją za ramię, wskazując niemo wzrokiem na drzwi wejściowe. Obie stały z boku holu głównego, w niszy.

– A mówiłam kurwie, by się nie zakochiwała – głos Elwiry był pełen wściekłości.

Przy szatni stał Andrzej. Uśmiechając się do czterdziestoletniej kobiety, pomagał jej zdjąć futro.

– To jakieś dziane pudło – podsumowała krytycznie obserwowaną Helena.
– Ale na gębie musi mieć z kilogram tapety.

– Urwę mu jaja... – Elwira chciała wyjść z ukrycia, ale Helena w porę złapała ją za ramię.

– Nie rób wioski. Trzeba poczekać na dogodny moment. Chodźmy za nimi na salę. Ty zajmiesz się tym gnojem, a ja biorę na siebie lafiryndę.

– Może tamten stolik? – Kobieta wskazała róg sali.

– Jak pani sobie życzy. – Andrzej skłonił lekko głowę, puszczając ją przodem.

– Mów mi Roma. Może dzięki temu rozmowa będzie dla mnie mniej krępująca.

Kłamała. Mówiły to jej oczy i dotyk palców, którymi przebiegła po jego krawacie.

– Ładne imię.

W jej oczach wyczytał, że dostrzegła kłamstwo.

– Mnie się też nie podoba. Ale nie mam wyboru – powiedziała.

Usiedli przy stoliku. Andrzej przywołał gestem kelnera.

– Dzisiaj w restauracji jest dzień włoski – nachylił się do swojej towarzyszki – ale jeśli wolisz kuchnię polską...?

– Mam nadzieję, że dzień włoski nie ogranicza się tu do serwowania czterech odmian makaronu. Chociaż biorąc pod uwagę puste sklepy, to i tak byłoby coś.

– Sądzę, że możemy liczyć na coś więcej.

Wybrał wino. Wkrótce stanęły przed nimi kieliszki. Andrzej spróbował caberneta. D’Anjou miało smak tak lekki, jak tylko mogą mieć grona cabernet Franc z winnic leżących nad Loarą. Był jednak pewien, że siedząca na wprost kobieta nie ma o tym zielonego pojęcia.

– To miłe, że przysłali takiego przystojniaka – uśmiechnęła się szeroko, gdy dwadzieścia minut wcześniej się jej przedstawił. Wówczas też dostrzegł w jej oczach coś więcej niż tylko zaniepokojenie spotkaniem z facetem z bezpieki. Najwyraźniej musiało jej przyjść wówczas do głowy, że mogłaby się na mężu zemścić w inny sposób, nie tylko na niego donosząc.

– Co państwo wybiorą z dań? – Kelner nachylił się nad stolikiem z miną, jakby mieli wyjawić mu tajemnicę swojego życia.

– Wybierz dla mnie coś lekkiego. – Nawet nie wzięła do ręki menu. – Z pewnością masz dobry gust.

– Skąd ta pewność?

– W karcie win najwyższą cenę ma rosé d’Anjou. Musiał ją wpisać matolek. Ty wybrałaś nieco tańsze, ale o niebo lepsze cabernet d’Anjou.

„Więc nie jest taka głupia – przebiegło mu przez głowę – za jaką chce uchodzić. Jest również na tyle przewrotna, że już na wstępie rozmowy dała mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nie mam do czynienia z idiotką”.

Powinien się bardziej skoncentrować na chwili bieżącej, a nie błędzić myślami za Anną.

– W takim razie – schylił przed Romą z uznaniem głowę – nie pozostaje mi nic innego, jak zamówić coś równie „ulotnego” – wskazał na sałatkę z lekkim sosem, świeże warzywa i cielęcinę.

Kiedy kelner odszedł, przechyliła się przez stolik, dotykając jego dłoni.

– Nie wiedziałam, że Służba Bezpieczeństwa ma takich koneserów. – Cofnęła się, przybierając bardziej oficjalny wyraz twarzy. – Zanim przejdziemy do rozkoszy... smakowych, miejmy za sobą najmniej przyjemną część naszego spotkania.

– Zatem?

– Nie będziesz nagrywał?

– Mam dobrą pamięć.

– Słyszałeś o czymś takim jak Odessa Dwa? – Andrzej zaprzeczył ruchem głowy. – Ostatnio często mówiło się o tym w moim domu.

– Mówiono przy tobie?

– Mąż mi ufa.

Sięgnął po kieliszek i spojrzał na wino pod światło.

– Nawet teraz?

– On nie wie, że ja wiem o jego dziwce.

– To zmienia postać rzeczy. Co zatem kryje się pod słowami Odessa Dwa?

– Skąd mam wiedzieć? Słyszałam, jak jeden mówił o jakimś GRU. Wiesz, co to może być? – Podała mu zapalniczkę, by przypalił jej papierosa.

– Zarząd Główny Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR, czyli wywiad wojskowy. Co twój mąż ma z nimi wspólnego?

– Mnie o to pytasz? Ostatnimi czasy bywają u nas różni faceci.

Andrzej potarł w zamyśleniu brodę.

– Wiesz, kiedy w najbliższym czasie mają się spotkać?

Pokręciła przecząco głową.

– Ale jeśli cię to interesuje, mogę się dowiedzieć. Wiem, że mąż w przyszłym tygodniu wybiera się do Gdańska wdzięczyc się do tych z Komisji Krajowej Solidarności. Jesteś ciekaw dlaczego? – Andrzej kiwnął potakująco głową. Nie był jednak pewien, czy udało mu się ją przekonać o swej naiwności. – Według mnie on już wie, że ta łajba o nazwie Polska Ludowa pójdzie na dno, i szykuje sobie koła ratunkowe. – Spojrzała mu w oczy. – A ty?

– Nie wiem, o czym mówisz?

– Czyżby? – Wstała od stolika i pocałowała go w policzek. – Myślę, że jesteś bystrzejszy, niż udajesz. Pójdę do łazienki. Zaraz wracam.

Przebiegło mu przez głowę, że popełnił błąd, biorąc ją za zdradzoną żonę, która zamierza odegrać się na niewiernym. Odwrócił się, by przywołać kelnera i dostrzegł stojącą tuż za nim Elwirę.

– Jesteś sam czy z Anią? – na jej twarzy malowało się nieszczerze zainteresowanie.

– Masz jakiś problem?

– Kurwy nie miewają problemów. – Przysunęła sobie krzesło.

Nieoczekiwanie obok stolika pojawił się kelner.

– Podać nowe nakrycie?

– Dziękuję. Ta pani przysiadła się tylko na moment.

– Więc nie jesteś sam, złotko? – na twarzy Elwiry pojawił się pogardliwy grymas. – Szkoda, że twój stary nie wyrzucił cię z kondomem do śmieci.

Spojrzał w stronę drzwi. Powoli zaczynał tracić cierpliwość, starał się jednak zachować spokój. W duchu był wściekły, że dał się namówić na lokal w centrum miasta. W końcu należało się spodziewać, że może mieć pecha.

– Posłuchaj. – Sięgnął po kieliszek wina z miną, jakby tylko to było dla niego najważniejsze. – Z pewnością ktoś na ciebie czeka przy którymś z tych stolików – wskazał ruchem głowy na salę. – Może więc dziś wieczorem daruj sobie mnie. Okej?

– Co ty sobie myślisz, pojebańcu jeden? Że zamieszasz głupiej kurwie w głowie... i zaraz bierzesz się za następną?

Tego było już dla niego za wiele.

– Wiesz, gdzie pracuję? – wyciągnął legitymację i podsunął jej pod nos. – Służba Bezpieczeństwa – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Mówi ci to coś? Zrywaj się od tego stolika, bo teraz jestem w pracy...

– Nie wiedziałam – próbowała z siebie wydusić. – U niej jest ciągle zajęte. Nie wiem... Dzwonię... Dzwonię i nic. Cały czas gada...?

Sekundę później Elwira przerażona poderwała się z miejsca, patrząc w stronę drzwi wyjściowych.

– O matko, Helena! – krzyknęła boleśnie.

– Rozumiesz, kaszalocie, że w tym lokalu nie ma dla ciebie miejsca? – Helena jeszcze raz wepchnęła przemocą głowę Romy do muszli klozetowej.

Nie zważając na jej rozpaczliwe próby obronienia się, ponownie spuściła wodę. – Lalunia już więcej nie przyjdzie tu z tym panem, prawda? – spytała Romę, która klęcząc na posadzce, łapała powietrze szeroko otwartymi ustami. Z mokrych włosów ciekła jej woda na gołe ramiona. Jedno ramiączko sukienki było oderwane.

– Namieszałam! – krzyknęła histerycznie Elwira. – Cholera, niepotrzebnie namieszałam.

– Co? – nie zrozumiała Helena.

– Jajco! Pomyłka w adresie!

Kiedy Elwira wybiegała z toalety, na twarzy Heleny pojawił się wyraz zażenowania. Troskliwie próbowała poprawić zwisające ramiączko Romy.

– Proszę wybaczyć moją gwałtowność. – Zrobiła płaczącą minę. – Nigdy sobie tego nie wybaczę... Pani pozwoli, pomogę wstać. – Podała Romie dłoń, by chwilę później z udawanym cierpieniem dotknąć czoła. – To wszystko przez te bolesne miesiączki. Raczyła pani zauważyć, jak ciężko je znoszę? Jestem wtedy jakaś taka... nedorobiona. No i te migreny!

Wzięła Romę pod ramię. Kobieta była kompletnie zaszokowana tak gwałtowną zmianą.

– Proszę uważać. Śliskie kafelki. – Helena podtrzymała ją. – Szalenie było miło panią poznać... Proszę, tu jest wyjście. – Otworzyła skrzydło drzwi.

Roma się zawahała. Pomyślała, że napastniczka tylko wyczekuje momentu, by zaatakować z tyłu. Helena była jednak uparcie grzeczna.

– Nie, nie... Nalegam! Pani pierwsza. Bez krępacji...

– Nie gniewaj się, stary. – Helena klepnęła Andrzeja pocieszająco po ramieniu. – Praca nie zając, nie ucieknie. Chociaż... – chrząknęła niepewnie – ta lafirynda dała nogę niczym... – próbowała opanować ogarniający ją śmiech. – Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś tak rwał do szatni. Cały czas gadała, że to na pewno jakaś sprawka Stasi^[15]. Wiesz, o co jej chodziło?

Pokręcił przecząco głową. Odpalił silnik, wrzucił bieg i ruszył.

– A ty? – Helena spojrzała na siedzącą obok niej na tylnym siedzeniu Elwirę.

– Nie wiem, nie interesuję się polityką.

Andrzej spojrzał przez ramię i spytał:

– Na pewno macie klucze do mieszkania Ani?

– Ona ma. – Helena wskazała na towarzyszkę. – Włącz jakieś granie.

– Po co? – spytał Andrzej.

– Bo robi się wisielczy nastrój.

Z radia popłynęła nastrojowa muzyka.

– Skąd wam przyszło do głowy, że mogło się z nią coś stać?

Helena wzruszyła ramionami. Oparła się łokciami o fotel obok kierowcy.

– Ty chyba coś wiesz.

Andrzej przelotnie odwrócił się do obu kobiet i pokręcił przecząco głową.

– Po prostu się o nią martwię.

– Więc musisz być wyjątkiem.

– Niby z jakiego powodu?

– Nie znam faceta, który po przeleceniu dziewczyny zawracałby sobie czaszkę martwieniem się o nią. No, chyba... że znowu naszła go chcica.

– Daj już sobie na wstrzymanie – westchnęła głośno Elwira.

– Mówię to, co myślę – powiedziała Helena obrażonym tonem. – Jak wam nie pasi, to od teraz mogę nic nie gadać.

Rozległ się głos spikera:

Minęła godzina dwudziesta pierwsza. A oto wieczorne wiadomości. Dziś, dwudziestego drugiego lutego, w godzinach przedpołudniowych rozpoczął swe historyczne obrady okrągły stół, złożony z przedstawicieli rządu i solidarnościowej opozycji. Otwierający obrady minister spraw wewnętrznych, generał Czesław Kiszczak, oceniając dotychczasowy dorobek polskich reform politycznych, stwierdził, że sukces wzajemnego porozumienia może stać się odnowicielską tendencją w odbudowie socjalistycznej formacji.

– Pierdolenie o Szopenie, wyłącz tego barana – prychnęła pogardliwie Helena. Andrzej przekręcił wyłącznik radiowy. – Podobno jeden gość, który spał z Olgą, powiedział jej, że chłopaki z Solidarności i tak wydmuchają tych z rządu. Że okrągły stół to podpucha dla komuchów. On nawet jej gadał... – zatkała sobie usta dłonią. – Kurwa, zapomniałam, że jesteś esbekiem.

Najpierw zaczął śmiać się Andrzej, potem dołączyła do niego Elwira.

– Z czego tak rżycie? – próbowała się bronić Helena. – Wypsnęło mi się. – W końcu i ona się roześmiała. – Obiecuj, że na mnie nie doniesiesz.

Andrzej kiwnął głową i podniósł prawą dłoń w niemej przysiędze, jakby chciał powiedzieć: „Masz to jak w banku”. Kiedy zatrzymali się przed domem Anny, wszyscy ponownie spoważnieli. Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę bloku. Kiedy znaleźli się przed klatką schodową, podnieśli głowy.

- W jej oknach pali się światło. – Helena wskazała wyciągniętą dłonią.
- Może jest już w domu? – w głosie Andrzeja zabrzmiała nuta nadziei.
- To co, idziemy? – Elwira wsunęła dłonie w kieszenie płaszcza.

Andrzej ruszył w stronę klatki schodowej.

Weszli na drugie piętro. Andrzej nacisnął dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Zrobił to po raz drugi i kolejny.

– Czujecie coś? – Helena pociągnęła nosem. – Jakby ktoś nie zakręcił gazu.

Rozdział dziewiąty

Trumna spoczęła na podwyższeniu obok grobu. Zebrani wokół żałobnicy skupili się pod parasolami. Siąpił drobny deszcz i było przejmująco zimno. Mimo to na pogrzeb Damazego przyszło kilkaset osób. Był osobą znaną wśród paryskiej Polonii, a jego tragiczna śmierć wstrząsnęła wszystkimi.

Najbardziej przerażające było to, że choć od dnia zabójstwa upłynęło trochę czasu, policja nie trafiła na żaden trop mordercy. W kropłównie odkryto jedynie ślad trucizny, która wstrzymała akcję serca.

Nic więcej. Żadnych odcisków palców, bodaj przybliżonego rysopisu kiler, który dostał się do szpitala.

Komputerowy system monitoringu stanu pacjenta wszczął alarm już po dziesięciu sekundach od momentu zarejestrowania pierwszych groźnych zaburzeń zdrowia hospitalizowanego. Poderwało to na nogi personel medyczny oddziału. A mimo to nikt nie zauważył obcego.

Kto zawinił? Jak zwykle w takich sytuacjach, jeden wskazywał na drugiego, ten zaś na trzeciego. Z raportu siostry Marion i lekarza, którzy pełnili wówczas dyżur, jednoznacznie wynikało, że postrzelony był pod stałym nadzorem medycznym.

Według pielęgniarki oddziałowej morderca mógł dostać się do pacjenta jedynie podczas obchodu. To był ich obowiązek, a siostra Marion znana była z przestrzegania przepisów.

Oczywiście słowa pielęgniarki potwierdzały odpowiednie zapisy w książce dyżurów. Czego jak czego, ale braku skrupulatności nikt nigdy nie mógł jej zarzucić.

Nadszedł moment pożegnania zmarłego. Po modlitwie, w trakcie której odmówiono pacierz za duszę nieżyjącego, wystąpił prezes francuskiego stowarzyszenia polonijnego. Choć w takich okolicznościach najczęściej padają okrągłe formułki mówiące o zasługach nieżyjącego, tym razem wszystkich wzruszyły proste i wypowiedziane od serca słowa.

– Byłeś nam przyjacielem, a w wielu sprawach arbitrem. Surowym, acz sprawiedliwym. Wierzyliśmy ci, gdyż byłeś naszym wzorem. O twej szlachetności zaświadczyło całe życie – ucieczka przed komunizmem i walka

na emigracji o wolną Polskę. Powtarzam, byłeś naszym wzorem. Trudnym do naśladowania. Wymagającym, a zarazem wyrozumiałym dla słabości. Nigdy o nic nie zabiegałeś. Nigdy niczego dla siebie nie chciałeś. Niczego, prócz naszych serc.

Wśród żałobników, tuż przy trumnie, stała spowita kirem Josephine. Od czasu do czasu podnosiła chustkę do oczu i wycierała łzy spływające po policzkach pod gęstą ciemną woalką. Ci, którzy jeszcze nie wiedzieli, kim była dla zmarłego, szybko dowiadawali się, że jest jego córką. Tak twierdziła baronowa Zasławska, a jej można było wierzyć.

Jak opowiadały wtajemniczone przez damę przyjaciółki, po zniesieniu sankcji stanu wojennego jedynacze udało się wyjechać z Polski i dołączyć do ojca. Niestety, nie dane było obojgu dłużej się sobą nacieszyć.

Po uroczystości pogrzebowej Josephine zaprosiła grono co znaczniejszych gości na kawę, aby wspominać zmarłego. Tak przynajmniej napisała na rozesłanych zaproszeniach. Dzięki temu miała jednak nadzieję poznać wielu wpływowych ludzi, którzy ze względu na pamięć jej ojca mogli być bardzo pomocni.

– Módlmy się – głos kapłana zagłuszył krakanie wron przelatujących chmarą nad nagimi koronami drzew. – Niech Pan pobłogosławi duszę świętej pamięci Damazego...

Josephine nie słuchała smętnego zawodzenia. Było jej zimno. Z chęcią łyknęłaby pięćdziesiątkę koniaku.

„Niech to szlag – zakłęła w myślach – długo jeszcze księżulo zamierza smęcić?” Ponownie sięgnęła po chusteczkę, którą otarła łzę rzekomo wypływającą spod powieki.

Pomyślała o Niedźwiadku, z którym rozmawiała telefonicznie poprzedniego wieczoru. Tak nazywała Sulimowicza. Może dlatego, że „niedźwiadek” kojarzył jej się ze słowem „dziadek”. Oczywiście wielokrotnie w nocy upewniła go, że do podeszłego wieku jeszcze mu daleko. Zabawne, jak facetowi niewiele potrzeba. Kilka głośnych westchnień i amant był przekonany, że mógłby u niego terminować choćby i Rasputin.

„Smętny zwis” – skrzywiła się w myślach z obrzydzeniem. Niedźwiadek miał jednak niewątpliwy atut. Władzę. Wkrótce będzie miał duże pieniądze. Josephine również bardzo chciała je mieć. Po wszystkim pobiorą się w Hiszpanii. Już nawet wybrała dla nich dom na wybrzeżu.

– Módlmy się.

Kapłan zaintonował modlitwę. Po chwili na jego znak trumnę powoli

spuszczono do grobu przy dźwięku dzwonu bijącego w cmentarnej kaplicy.

– Wiesz, Patryku – mężczyzna otulony w jesionkę spojrzął na przyjaciela.
– Zawsze uważałem i uważam, że ludzie to było niezasługujące na jakikolwiek szacunek. Jednak w przypadku monsieur Damazego szczerze żałuję tej straty.

Stojący obok zdjął z głowy kapelusz i w ślad za duchownym uczynił znak krzyża.

– Masz rację. Odszedł najbardziej prawy z prawych.

– Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego został zabity.

– Tak to już jest. Najlepsi odchodzą, a ich miejsca zajmują kanalie.

– Nadal walczysz o ten spadek?

– Owszem, ale po ostatniej przegranej sprawie odwoławczej definitywnie straciłem wiarę w jakąkolwiek sprawiedliwość.

Żałobnik nałożył kapelusz. „Zależy – pomyślał – co kto rozumie pod słowem sprawiedliwość”. Głośno zaś westchnął współczująco.

Dziewczynka próbowała skoncentrować uwagę na układanych klockach. Jednocześnie cały czas zerknęła przez uchylone drzwi do jadalni, gdzie siedziała babcia z tamtą ładną panią. Zerknęła w stronę misia, którego usadziła obok miseczki ulepionej z plasteliny.

– Lepiej nic nie mów – pogroziła zabawce paluszkami. – Następnym razem ulepię piękniejszą. Ale teraz nie mam do tego głowy.

„Nie mam dziś do tego głowy” było ulubionym powiedzeniem babci i dziewczynka szybko dostrzegła, że jako wymówka pasuje do każdej okazji.

Rzeczywiście, do zabawy zupełnie nie miała dziś głowy. Jeszcze godzinę temu owszem. Wracając z przedszkola, zaplanowała sobie przeprowadzenie rozmowy z misiem, który dziś rano pokłócił się z Agnieszką, ulubioną lalą. Potem zabawki miały iść z nią na spacer, a potem... Hmmmm. To pytanie cały czas nie dawało jej spokoju. Czy dziś na podwieczorek rzeczywiście będą obiecane wafelki z galaretką owocową?

Zerknęła w stronę jadalni. Choć dawno minął już czas podwieczorka, babcia nie ruszyła się od stołu. Dlaczego cały czas ociera łyzy? Chyba się cieszy na wizytę ładnej pani?

Kiedy, jak co dnia, wysiadły z autobusu, weszły do sklepu spożywczego, by kupić chleb na kolację. Potem ruszyły uliczką obsadzoną lipami. Gdy

dochodziły do furki, babcia nieoczekiwanie przystanęła. Zaskoczona patrzyła na młodą kobietę stojącą na chodniku.

– Anna?

Właśnie wtedy Monika dowiedziała się, że ładna pani ma na imię Anna. O czym obie rozmawiały? Nie miała okazji się dowiedzieć, gdyż babcia nakazała jej wziąć zabawki i iść do swojego pokoju.

Ponownie spojrzała w stronę misia. Ten jednak siedział grzecznie obok Agnieszki. Najwidoczniej zabawki już się pogodziły w obawie, że usłyszą ostrą reprymendę. Nieoczekiwanie usłyszała za sobą szelest sztywnej sukienki babci. Odwróciła się. Obok babci przykucnęła ładna pani.

– Chciałam ci coś powiedzieć – z trudem mówiła przez ściśnięte gardło. – Coś bardzo ważnego. Ja... – Dotknęła jej dłoni wspartej na misiu. – Jestem twoją mamą.

Mała spojrzała na babcię. Kiedyś, gdy spytała o mamę, usłyszała, że ona jej nie ma. A teraz...? Babcia pochyliła się nad wnuczką.

– Monisiu, daj mamie buziaka. Chyba będzie jej z tego powodu bardzo przyjemnie.

Pocałowała nadstawiony policzek. Zawsze była pewna, że mamy bardzo ładnie pachną. Teraz się upewniła i przestało ją to już interesować.

– Mogę pobiegać po ogródku? – Spojrzała pytająco na babcię.

– Zostań w domu. Jest za zimno. Lepiej przygotuj się do snu.

Dziewczynka chwyciła zabawki i ruszyła przed siebie w podskokach.

– Chyba słowo „mama” nie wywarło na niej żadnego wrażenia – uśmiechnęła się smutno Anna.

– Słowa nic nie znaczą. Chodźmy do kuchni. Zrobię ci jeszcze herbaty.

– Dziękuję. – Anna spuściła głowę niczym mała dziewczynka.

– Za co? – Matka niepewnie pogładziła ją po ramieniu.

– Że miałam mamę.

Sekundę później obie rzuciły się sobie w ramiona.

Monika stała za uchylonymi drzwiami. Chwilę potem wycofała się na paluszkach.

– Dziwni są ci dorośli – zaczęła tłumaczyć misiowi. – Przychodzą i mówią dzieciom, że są ich mamami, ale nikt nie pamięta o obiecanych wafelkach i owocowej galaretkie.

Dziś w przedszkolu poznała kolejną literę alfabetu i zamierzała jej nauczyć misia oraz Agnieszkę. Usadziła zatem obie zabawki na brzegu krzesła. Wzięła kartkę i starannie napisała litery: A, B i C.

– Te literki, moi drodzy, już poznaliście – przybrała ton wychowawczynie, która dziś rano usadziła starszaki przed tablicą. – A teraz poznacie dwie następne: D i E.

Miś chyba nie bardzo pojął, na czym polega pisanie, gdyż Monika dłuższą chwilę musiała tłumaczyć zawilóści prowadzenia ołówka. Kiedy wreszcie nauczyła tego również i Agnieszkę, usłyszała głos babci wychylającej się przez drzwi.

– Kochanie, chodź już na kolację.

Kiedy wszystkie zasiadły przy stole, babcia zmówiła krótką modlitwę. Anna przypomniała sobie czas, gdy sama była mała, i szepcząc: „... chleba naszego powszedniego...”, rozglądała się za smakowitymi kąskami. Teraz przez cały czas przyglądała się córeczce. Monika od czasu do czasu zerknęła w jej stronę, a gdy ich oczy trafiały na siebie, uśmiechała się. Nie było w tym jednak nic ponad wyuczoną grzeczność. Cóż, mała jej prawie nie znała. Ostatni raz widziała Monikę przed czterema laty.

Kiedy otworzyła kurki z gazem, jedno ze zdjęć spadło ze stołu trącone łokciem i sfrunęło pod jej stopy. Podniosła fotografię z podłogi. Mała obejmowała ją za szyję i uśmiechnięta dotykała noskiem jej nosa. Na dworze była wówczas jesień. Kolorowe liście fruwały po parku. Wzięła ją na spacer do Łazienek. Obie szły szeroką aleją pokrytą kobiercem liści. Zaczepił je wówczas jakiś fotograf. Dała się namówić na fotkę. Kiedy pstrykał im zdjęcie, mała szepnęła jej coś na ucho.

– Jaki jest pani adres? – Mężczyzna wyciągnął notes.

– Po co panu?

– No jak to? – roześmiał się. – Nie będę wiedział, gdzie wysłać odbitkę.

Zapisała mu na podsuniętej kartce i zapłaciła z góry, mając nadzieję, że tamten o niej zapomni. Dwa tygodnie później znalazła w skrzynce zdjęcie z córką. Wrzuciła je z przyzwyczajenia do albumu.

Teraz nie wierzyła, że może pokonać chorobę. Gdy dowiedziała się o raku, poddała się bez walki. Słuchała zapewnień Andrzeja, kiwała głową, że rozumie jego słowa. W rzeczywistości zatrzasnęła przed wszystkimi drzwiami do siebie. Już tylko chciała, by pozostawiono ją w spokoju. Nic więcej.

Przez syk ulatniającego się gazu usłyszała dawny głos matki:

– Nie wolno ci odejść. Masz dziecko. Monika cię potrzebuje. Czy nie widzisz, że mała cię kocha?

Co wówczas szepnęła do niej Monika? To było coś ważnego. Zaczęła kasłać. Zrobiło jej się niedobrze. Musi sobie przypomnieć. Musi! Podniosła

się ciężko z krzesła. Zakręciła kurki i zataczając się, wyszła z kuchni. W pokoju otworzyła okno. Ściany niebezpiecznie zaczęły się chybotać. Próbowwała złapać się parapetu, ale było już za późno. Upadła, wymiotując.

Dotknięcie matki przywróciło ją do rzeczywistości.

– Przyśnisz mi się dzisiaj? – Dziewczynka stała przed babcią w pizamie, tuląc w ramionach misia i lalkę.

Właśnie te słowa usłyszała od córki w parku: „Przyśnisz mi się?”.

– Daj mamie buziaka i szoruj do łóżeczka.

Podeszła i cmoknęła Annę w policzek. Miała ochotę objąć córkę, ale nim się zdecydowała, mała pobiegła już do sypialni.

– Już późno. Będę szła. – Wstała z krzesła.

– Dobrze, że przyszłaś. – Matka wzięła ją za ręce i przyciągnęła ku sobie.
– Martwiłam się o ciebie.

– Mamo... – Anna wydusiła przez ściśnięte gardło. – Wszystko będzie dobrze, prawda...?

Anna wysiadła przed blokiem z taksówki. Nie wiedzieć czemu wokół zapachniało wiosennymi bzami. Teraz? W zimie?

Stała chwilę na chodniku. Chłodny wiatr smagnął ją po twarzy, lecz nie podniosła kołnierza.

Była spokojna. Już się nie bała. Pragnęła tylko jednego. Żeby córka powiedziała do niej „mamo”, żeby przytuliła się tak jak dawniej w parku i żeby znowu chciała, by Anna jej się przyśniła.

Ruszyła w stronę klatki schodowej. Weszła na piętro i wsunęła klucz w zamek. Próbowwała przekręcić, ale daremnie. Czyżby nie zamknęła za sobą drzwi? Weszła do środka. W przedpokoju paliło się światło. Sekundę później zderzyła się z Heleną wychodzącą z kuchni.

– Nareszcie jesteś.

– Stało się coś? – Zrobiła niepewną minę.

– Aleś nam napędziła stracha.

– Nam?

Dopiero teraz zobaczyła stojącego w drzwiach salonu Andrzeja. Był zły.

– Co ty sobie wyobrażasz, że wszyscy będą stawać na głowie, wydzwaniać przez pół dnia, denerwować się... A ty jak przedszkolak, wychodzisz... Nikt nic nie wie. Gdzie jesteś, co robisz, czy coś się stało...? – Podszedł do Anny, chwycił ją za ramiona i potrząsnął, jakby chciał tym obudzić ją z letargu, w który zapadła. – Martwiliśmy się o ciebie... – Zaczął trzeć szybko czoło. – Przepraszam. – Spojrzał po twarzach otaczających go kobiet. – Chyba lepiej zrobię ci herbatę.

Elwira uniosła nieśmiało dwa palce do góry, wyglądając zza pleców Heleny.

– Ja też mogę prosić...? Zaszło mi w gardle.

– Jasne. – Andrzej ruszył do kuchni.

Anna weszła do pokoju i ciężko usiadła na kanapie.

– Co się dzieje? – Elwira przysiadła obok.

– Nic... – wzruszyła ramionami.

– Pierdu, pierdu. – Helena usiadła w fotelu na wprost. – Sprzedaj ten kit komuś innemu.

Elwira spojrzała na drzwi prowadzące do przedpokoju, a stamtąd do kuchni i powiedziała:

– Nie lubię go... Ale chyba jest w porządku...

Siejka uchylił szybę samochodu. Wcześniej puścił bąka, od którego go zemdliło. To przez ten cholerny kapuśniak, który zjadł w stołówce ministerstwa. Już po pierwszej łyżce był przekonany, że zupę ugotowano na ścierce sprzątaczkii. Jednak za bardzo był głodny, by pójść po rozum do głowy i odstawić talerz. Kotlet na drugie danie też nie miał smaku. Nic dziwnego, że pracownicy ministerstwa mówili o swojej stołówce „padłodajnia”. Jedynym plusem były dania mięsne, które można było brać na wynos. Tylko czy widok mięsa może być wystarczająco atrakcyjny, by jedzący zapomniał o czymś tak ważnym jak smak?

Zakręcił szybę przed wciskającym się do środka zimnem. Nalał sobie z termosu herbaty. Popijając z plastikowego kubka, spoglądał w głąb ulicy. Właśnie zza zakrętu wyjechał bordowy ford.

„Nieźła bryka – przemknęło mu przez głowę. – Trochę cierpliwości. Niedługo będzie mnie stać na dziesięć nowszych”.

Samochód skręcił w przecznicę i zniknął za rozłożystymi tujami. Za

moment zatrzyma się przed gankiem domu Sulimowicza, gdzie stał już biały peugeot. Siejka nałożył na uszy słuchawki i sprawdził, czy w magnetofonie jest kasetka.

Przechylił się przez oparcie i wziął z tylnego siedzenia tygodnik motoryzacyjny. Kupił go dziś rano. Może wybierze sobie lepsze auto? Na pewno pierwszy wieczór spędzi z nagimi dupami. Pełen serwis! Tańce, a potem paszoł won!

Przeglądając tygodnik, roześmiał się pod nosem. Na każdej stronie wzrok kusił coraz to inny nowy model. Periodyk co tydzień kupowało kilkadziesiąt tysięcy facetów skazanych na wieloletnie czekanie w kolejce na przydział małego fiata. Kiedy szczęśliwiec wreszcie dostawał talon na upragnione cztery kółka, wówczas budził się w nim skąpiec. Drań podpowiadał, że samochód może sprzedać na pniu za podwójną cenę.

W słuchawce rozległ się trzask drzwi i kroki osób wchodzących do salonu.

– Siadajcie, gdzie kto ma ochotę. – Sulimowicz wskazał gościom fotele.

Zajęli miejsca. Każdemu wydawało się, że ze swojego fotela ma lepszy widok na innych, samemu pozostając w nieznacznym cieniu. Generał wtoczył między siedzących barek na kółkach. Zadzźwięczały pękate butelki i szklanki.

– Każdy obsługuje się sam. – Sulimowicz sięgnął po najbliższej stojącą butelkę burbona. Nalał sobie pół szklanki i nie czekając na nikogo, pociągnął spory łyk. – Tego mi było trzeba – westchnął głośno, mrużąc oczy.

– Jak stoimy z naszym rozkładem jazdy? – Tabor nalał sobie wody sodowej.

– Nie najgorzej, pułkowniku.

– Czyli? – Jastrzębski uniósł szklankę z alkoholem w niemym toaście.

Generał rozparł się wygodnie w fotelu.

– Skończyliśmy mikrofilmowanie ośmiu tysięcy czterystu pięćdziesięciu sześciu akt osobowych. Ponad siedem tysięcy dotyczy najważniejszych osób z podziemia opozycyjnego. Reszta to nasi partyjni towarzysze i sojusznicy z Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego – powiedział.

– Myślicie, że rzeczywiście wszystko pierdolnie? – Tabor dopił wodę i odstawił szklankę. Lata służby w WSI nauczyły go po stokroć zadawać to

samo pytanie. Nie wspominając o ostrożności, zwłaszcza wobec osób, z którymi przychodziło mu współpracować. Może dlatego przez trzydzieści lat powoli piał się do góry, zajmując w hierarchii służbowej coraz wyższe stanowiska.

Niedawno zaspokajało to jego ambicje. Kiedy ogłoszono stan wojenny, swoją aktywność ograniczył jedynie do przeglądania dziennych meldunków z kraju i czytania stenogramów z podsłuchów, które założono w pomieszczeniach, gdzie przebywali internowani.

Największe wrażenie wywarły na nim nie zapisy rozmów Wałęsy, Kuronia, Michnika i całej solidarnościowej reszty, lecz podsłuchy Gierka i Jaroszewicza. Obalony pierwszy sekretarz nie sądził, by niedawni towarzysze, których większość zawdzięczała mu karierę, poważyli się podsłuchiwać jego wymianę zdań z niedawnym premierem.

Były szef PZPR-u dość jednoznacznie określił tych, którzy odebrali mu władzę – miernoty i zdrajcy! Najważniejsze w jego wypowiedzi było to, że on wiedział, iż ustrój nie ma szansy przetrwać dłużej niż kilka lat. Wtedy właśnie Tabor ostatecznie zrozumiał, że czas zacząć myśleć o bezpiecznej przyszłości.

Sulimowicz i Jastrzębski to były gnojki. Pierwszy nadal myślał o władzy, drugi o pieniądzach. Każdy był jednak niezbędnym elementem układanki, po której złożeniu ostatecznie wygra szczęśliwy los.

A na czym jemu zależało? Hmm. Kiedy to wszystko się skończy, kupi duży dom na południu Hiszpanii. Nienawidził zim. Ostatnie badania lekarskie tylko potwierdziły potrzebę zmiany klimatu na śródziemnomorski.

– Myślicie, iż rzeczywiście to wszystko pierdolnie? – Tabor powtórzył pytanie.

W salonie zapadło na dłuższą chwilę milczenie. Wreszcie generał wstał z fotela i podszedł do stojącego w rogu sekretarzyka. Otworzył go i sięgnął po jakieś kartki. Zajął swe poprzednie miejsce, kładąc je na kolanach pułkownika.

– Przeczytaj. Jutro mam przedstawić ocenę sytuacji społeczno-politycznej kraju. Dostanie ją tylko ścisłe kierownictwo partii. Towarzysze chcą wiedzieć, czy jeszcze ma sens gadanie o socjalizmie, czy też już czas najwyższy martwić się o własną dupę.

Tabor wziął do ręki kartki. Początkowo przerzucał wzrokiem treść akapitów. Wreszcie zaczął czytać. Najpierw cicho, półgłosem. Potem coraz głośniej i wyraźniej.

– ... Afera „Żelazo”, czyli nielegalne kontakty oficerów wywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ze światem przestępczym na Zachodzie, wydają się wyraźną zapowiedzią nadchodzących przemian ustrojowych.

Spółki, tworzone przez dyrektorów państwowych przedsiębiorstw, komisarzy wojskowych, funkcjonariuszy milicji i SB, sekretarzy partii oraz prokuratorów lub ich żony, zaczęły przejmować dostawy zaopatrzenia dla państwowych przedsiębiorstw i monopolizowały sprzedaż ich produkcji.

Wprowadzenie pod koniec roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego ustawy o działalności gospodarczej doprowadziło do zburzenia najważniejszego filaru socjalizmu – zasady, że na działalność gospodarczą musi pozwolić państwo...

– Według danych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej – włączył się Jastrzębski – liczba przestępstw w Polsce jest w roku bieżącym najwyższa od czasu zakończenia pierwszej wojny światowej... – Pociągnął spory łyk z trzymanej w dłoni szklanki, w połowie wypełnionej lagavulinem. Czy ktokolwiek, prócz niego, potrafił docenić smak szesnastoletniej whiskey? Szczerze w to wątpił.

W głębi ducha gardził siedzącymi obok prostakami, nazywając ich brązowonosymi. Tak to zawsze jest, że liżąc komuś dupę, ubrudzisz nos gównem. A ci nigdy nie doszliby do stanowisk inną drogą. On zawdzięczał wszystko sobie. To prawda, że urodził się na zapyziałym zadupiu. Ale dzięki swojej pracy skończył szkoły, dostał się na uniwersytet, a potem studia doktoranckie na Harvardzie.

Był kimś. Do idealnego obrazu nie pasowała jedynie przeszłość. Najchętniej wymazałby z pamięci chłodne poranki szarego dzieciństwa. Z tamtego okresu najgłębiej zapadła mu w pamięć głodno ssąca w żołądku zazdrość, że warchlaki potrafią najeść się byle świństwem.

– Jeszcze masz jakieś wątpliwości? – Sulimowicz spojrzał na Tabora.

– Na twoim miejscu – Jastrzębski powiedział do generała, trąc w zamyśleniu brodę – pominąłbym fragment z akcją naszych służb specjalnych na Zachodzie. – Nachylił się nad barkiem i nalał sobie do kieliszka martela. – Za to jestem gotów wypić choćby butelkę tego gówna.

– Wczoraj do archiwum wkroczyli ludzie z Departamentu Pierwszego.

– Czego szukali? – rzucił Tabor.

– Nie domyślasz się? – Jastrzębski zrobił zdziwioną minę. – Chcą zrobić to samo, co my. Czyszczą akta. Tylko że obudzili się trochę za późno.

– Albo mają niezbyt długą listę – stwierdził generał. Skończyłbyś już z

tym paleniem. – Spojrzał na Jastrzębskiego. – Nie ma czym oddychać.

– Ile materiałów mamy w Paryżu? – Jastrzębski, nie zważając na generała, jeszcze raz zaciągnął się głęboko papierosem i dopiero wówczas zdusił go w popielniczce.

– Sto dwadzieścia dwie rolki. Na każdej mieści się od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu zmikrofilmowanych teczek agentów.

– Myślę, że Jaruzelski coraz bardziej skłania się, by w tym czasie ogłosić wybory do Sejmu. Na pewno zrobi tak po wizycie Gorbaczowa – powiedział Tabor.

– Więc to już zaklepane? – Jastrzębski pokręcił zdziwiony głową. – Czyżby Gorbi na miejscu chciał sprawdzić, co jest grane? Sądzicie, że będzie próbował naszym odradzać tak pochopny krok?

– Tego nie można już odkręcić. Przecież to jedno z ustaleń okrągłego stołu – prychnął pogardliwie Jastrzębski. – Te palanty z Komitetu Centralnego są pewni, że wygrają z solidaruchami. A przynajmniej zdobędą większość w parlamencie. Że ludzie mają już dosyć ulicznych burd, że uwierzyli w hasło: „Partia taka sama, ale nie taka sama”.

– Czyli jaka? – nie zrozumiał Tabor.

– Właśnie. – Jastrzębski najwyraźniej miał ochotę splunąć. – Chuj ją wie. Ale ci z Białego Domu są pewni, że społeczeństwo jeszcze raz da się nabrać na stary numer.

– Więc bój to będzie ich ostatni – Tabor westchnął filozoficznie i zwrócił się do Jastrzębskiego: – Co z twoimi z WSI?

Sulimowicz pomyślał, że to pytanie było zbędne. Nic tak nie pogłębia wzajemnego zaufania jak patrzeć sobie na ręce.

Jastrzębski był potrzebny obu stronom, by tych z Komitetu Centralnego trzymać na wystarczającą odległość od spraw służb specjalnych. Przez ostatnie dwa lata doskonale wywiązywał się z tego obowiązku.

Generał przypomniał sobie wakacje sprzed dwóch lat. Spędził je z generałem Jamrowiczem w Soczi w ośrodku wypoczynkowym dla wyższej kadry dowódczej demoludów. Już od dnia przyjazdu przypadli sobie do gustu. W czasie oficjalnych spotkań i prywatnych rozmów toczonych w pokojach wzajemnie utwierdzali się w nienaruszalności fundamentów władzy ludowej.

Prywatnie, w trakcie długich spacerów, kiedy mogli być pewni, że nie są podsłuchiwani, zaczęli bez niedomówień zastanawiać się nad przyszłością zdychającego PRL-u. Zbyt wiele mieli do stracenia, by pozwolić, żeby

Wałęsa wykopał ich za burtę w chwili, gdy zostanie premierem. Że tak się stanie, nie mieli wątpliwości. Obaj wiedzieli, że tytuły i gabinety nic nie znaczą. Prawdziwą władzą było posiadanie informacji, które znajdowały się w kontrolowanych przez nich archiwach. A tym nie zamierzali się z nikim dzielić. Niestety, Jamrowicz zmarł na atak serca zaraz po powrocie.

Sulimowicz przez następne lata realizował punkt po punkcie plan, który zrodził się w jego głowie na plażach Soczi. Spokojnie, bez nerwowej szarpaniny. Pośpiech to zły doradca. Miał wystarczająco dużo czasu. Najpierw włączył węń Tabora, a później Jastrzębskiego.

Siejka poprawił słuchawki, które zsunęły mu się na tył głowy.

– Już niedługo wybory – głos Sulimowicza tchnął optymizmem.

Pół godziny później goście generała opuścili willę. Siejka również włączył silnik fiata i ruszył w stronę domu. Dzisiejszego wieczoru będzie miał sporo pracy. Wyjechał z osiedlowej alejki na główną ulicę. Czasem odpowiednio zinterpretowana intonacja wypowiedzanego zdania pozwalała zrozumieć jego prawdziwy sens. Z zamyślenia wyrwał go milicyjny gwizdek. Zobaczył kierującego ruchem, który nakazał mu zjechać na poboczne rondo. Kiedy mundurowy stanął obok samochodu, major odkręcił szybę.

– Wie pan, panie kierowco, jakie popełnił wykroczenie?

Prawdę mówiąc, nie miał o tym zielonego pojęcia i nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął legitymację służbową. Milicjant przyjrzał się dokładnie fotografii.

– Życie wam niemiłe?

– Mam za sobą dwanaście godzin służby.

– Więc jedźcie ostrożniej, bo zamiast do swojego łóżka, traficie do szpitala.

Podziękował skinieniem głowy i odjechał.

Nadeszła fala zimna, a po kilku dniach znowu zapanowała odwilż. Białe zaspas zgarbiętego na skraj chodników śniegu zamieniły się w szaroczarne zwały błota. Spieszący chodnikami śmiesznie przeskakiwali nad kałużami, próbując oszczędzić sobie zmoczenia butów. Daremnie. Jeśli nie wpadli w

kałużę, to ochlapał ich autobus, gdy uradowani sądzili, że udało im się uniknąć najgorszego.

Anna siedziała przy oknie z brodą wspartą na piąstkach zaciśniętych dłoni. Spoglądała na szybę, po której spływały strumienie kropel. Próbowwała odgadnąć kierunek ich nurtu. Za każdym jednak razem umykały w nieprzewidzianą wcześniej stronę.

Usłyszała trzask zamka przy drzwiach wejściowych. Za plecami stanął Andrzej. Poznała go po zapachu wody kolońskiej. Pocałował ją w policzek, potem położył dłonie na ramionach i obrócił twarzą do siebie.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Staram się...

– Grzeczna dziewczynka. – Pocałował ją w policzek. – Zrobiłaś, o co prosiłem?

Kiwnęła potakująco głową i powiedziała:

– Obrałam włoszczyznę... Ugotowałam rosół...

– Zjadłaś?

Pokręciła przecząco głową:

– Nie chciało mi się.

– Musisz jeść.

– Po co?

Andrzej sięgnął po neseser. Otworzył go i po chwili wyjął ze środka kilka paczek banknotów. Potem włożył pieniądze w jej dłoń.

– To zaliczka za moje mieszkanie. Jak je sprzedam, to sprowadzę się do ciebie. – Znowu pocałował ją w policzek. – Jak będziesz miała mnie dosyć, to wyrzucisz, kiedy tylko zechcesz.

Zaskoczona przeniosła wzrok na pieniądze.

– Ależ... Po co to wszystko? – Zmarszczyła brwi, jakby nie mogła zrozumieć powodu jego postępowania.

Nie zwrócił na to uwagi, kontynuując uradowanym głosem:

– Złożyłem podanie. Może dostanę pożyczkę w pracy... Rozmawiałem z pierwszym sekretarzem organizacji partyjnej. Obiecał poparcie. Mam też coś odłożone na czarną godzinę. Sprzedamy samochody... i jakoś uskładamy.

– Przecież to bardzo dużo pieniędzy.

– Najważniejsze, żeby tylko dali pożyczkę.

– Jesteś wariatem!

– Podobno miłość to wariactwo.

– Tylko raz powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Słowa są nieważne.

Położyła mu głowę na ramieniu i przymknęła oczy. Znowu poczuła się bezpieczna. Na chwilę wróciła jej pewność, że jakoś się z tego wydobędzie.

– Tak, słowami można oszukać. – Zaczęła całować jego powieki. – Oczy nigdy nie kłamią. A ty masz piękne i dobre oczy.

– I jestem trochę głodny – zamruczał, udając nadąsanie. – Od śniadania nie miałem nic w ustach.

Wstała z miejsca i pociągnęła go za rękę do kuchni. Wstawiła rosół na gaz. Potem wyjęła z szafki talerz.

– Siadaj, marudo. – Wskazała krzesło.

– Nic z tego – zaprotestował. – Bez ciebie nie tknę nawet łyżki.

– Chcesz, żebym była gruba? – próbowała zażartować.

Postąpił krok do tyłu, i zaczął jej się przyglądać z udaną powagą.

– Nie chcę, żebyś była gruba. – Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

– A co chcesz? – szepnęła.

– Żebyś mnie mocno kochała.

Rozdział dziesiąty

– W marcu jak w garncu. – Kierowca taksówki odwrócił się do Andrzeja siedzącego za jego plecami. Najwidoczniej miało to być usprawiedliwieniem, że chwilę wcześniej prowadzony przezeń samochód ochlapał błotem stojących na przystanku autobusowym. – Tylko że w polskim garncu jakoś pusto.

Wyraźnie zamierzał wciągnąć go w rozmowę, ale on nie miał na to najmniejszej ochoty. Był zmęczony dzisiejszym dniem. Właściwie wszystko szło zgodnie z założonym wcześniej planem. Krok po kroku zbliżał się do wytyczonego celu.

Skąd zatem obawy? A może niepokoiło go, że wszystko tak świetnie się układało. Prawdopodobnie zmęczenie ostatnich dni dawało mu się we znaki.

Pomyślał o Elżbiecie. Od dziesięciu lat stanowili dobrane małżeństwo. Tak przynajmniej sądzili wszyscy wokół, a im było wygodnie podtrzymywać tę opinię. Dzięki teściowi trafił do Departamentu Pierwszego. Panna młoda wniosła w posagu ojca, który jako wiceminister spraw wewnętrznych mógł bardzo wiele. Tak przynajmniej wydawało się na początku 1980 roku. Potem przyszły strajki na Wybrzeżu, które wraz z dojściem Jaruzelskiego do władzy zmiotły ludzi ekipy Gierka. Wiceminister został wysłany na dwa lata jako attaché kulturalny do Mongolii, skąd powrócił już jako emeryt. Nim jednak tak się stało, dostali piękne czteropokojowe mieszkanie w centrum Warszawy, a zięć wyższy stopień oficerski.

Czy można było wymarzyć sobie bardziej dobraną parę?

Jeśli chodzi o ich wspólne pożycie, również nie mogli narzekać. Oboje mieli własne sprawy, do których strona przeciwna zupełnie się nie wtrącała. Czasami on udawał kochającego męża i przynosił jej kwiaty. Czasem ona przychodziła do niego w nocy do łóżka, dając i dostając to, czego oczekiwała. Spędzali swoje imieniny przed telewizorem, zapewniając się wzajemnie, że nie ma dla nich lepszego odpoczynku.

Może dlatego, gdy wszedł do domu i pocałował Elżbietę w czoło, nie oczekiwał, że przerwie czytanie trzymanej na kolanach powieści. Ku jego zaskoczeniu odłożyła romans, przyciągnęła go ku sobie i pocałowała w usta.

– Miałeś być wczoraj.

– I co, byłem...?

– To miło, że dziś wpadłeś. – Elżbieta strzepnęła niewidoczny pyłek z jego ramienia.

– Widzę, że się za mną stęskniłaś – nie krył ironii. Przeszedł do kuchni i nastawił czajnik z wodą na herbatę.

– Tata jest chory. – Stała w progu.

– Co z nim?

– Na razie umieszczono go na oddziale intensywnej opieki medycznej. Leży pod namiotem tlenowym.

– Rozumiem.

– Pojedziemy do niego?

Spojrzał na żonę w sposób, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– Wiesz, że on mnie nie cierpi. Nie chciałbym, żeby mu się pogorszyło.

– Nie bądź złośliwy.

– Chcesz herbaty? – zawołał za nią.

Elżbieta nieoczekiwanie zatrzymała się, odwróciła i powiedziała wolno i wyraźnie:

– Nie chcę herbaty... Chcę mieć ciebie.

W pierwszej sekundzie nie zrozumiał. Dopiero po chwili dotarł do niego prawdziwy sens jej słów.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – rzucił, wyłączając czajnik.

W lodówce zobaczył tort. Z jakiej okazji go kupiono? Sięgnął po kiełbasę. Sprzątająca u nich kobieta miała rodzinę na wsi, zatem nigdy nie było problemów z zaopatrzeniem w wędliny. Ukroił dwie kromki chleba. Na tacy postawił kubek z herbatą i przeszedł ze wszystkim do pokoju. Elżbieta jak poprzednio póleżała na sofie.

– Widziałam się z ojcem na kilka dni przed tym, nim trafił do szpitala.

Chciał powiedzieć, że powinna była go od niego pozdrowić, ale w porę ugryzł się w język.

– To miłe z twojej strony.

– Wiesz, że jestem jedynaczką?

– Jakże mógłbym o tym zapomnieć. Stale mi o tym przypominano.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Chcę, byś do mnie wrócił – w jej głosie dało się słyszeć zdecydowanie. – Ojciec powiedział mi o kilku sprawach.

– Sprawach?

– Raczej oszczędnościach. Moglibyśmy wspólnie pomyśleć, co z tym zrobić – ostatnie słowa wypowiedziała, miękko patrząc mu w oczy.

Już raz został kupiony. A może raczej dał się kupić? Czy było mu z tym źle? Sięgnął po drugą kanapkę. Szkoda, że nie powiedziała mu o tym wszystkim pół roku wcześniej. Może wówczas... Może...

– Co myślisz, Andrzejku, o mojej propozycji?

Chciał powiedzieć, że jest już za późno.

– Wychodzisz? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Służba.

– Przecież dopiero wróciłeś.

– Wrócę za godzinę, góra dwie.

– Będę czekała.

Objęła go czule w pasie. Potem wyjęła zza pleców pakunek.

– Ode mnie. Na urodziny. Ale, jak wrócisz, nie zakładaj jej. – Wsunęła mu dłoń w spodnie. – Ja też chcę być dzisiaj twoim prezentem.

Otworzył paczkę. Wewnątrz znalazł bawełnianą pidżamę w różowe słoniki.

– Dziękuję. – Cmoknął ją w policzek.

Wyszedł z domu. Na parkingu spotkał sąsiada z psem na spacerze.

– Moje uszanowanie, panie Andrzejku.

– Witam – odkłonił się.

– Myśli pan, że dojdzie do strajku generalnego?

– Cholera wie.

– Właśnie, nikt nic nie wie. Czy ja nie mogłem urodzić się w spokojniejszych czasach?

– Spokojniejszych? – prychnął. – Czy w tym kraju kiedyś takie były?

– Fakt. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Jak nie wojna, to komunizm. Jak nie komunizm, to solidarnościowe rozwolnienie. O, przepraszam – uśmiechnął się głupio – pan może jest ich sympatykiem?

– Jestem sympatykiem rozgarniętych umysłowo.

– Czyli myśli pan podobnie jak ja...

Nie słuchał dalej. Wsiadł do auta i wyjechał na ulicę. Włączył radio. Z głośnika popłynęła muzyka symfoniczna. Pokręcił potencjometrem, lecz nie trafił na nic ciekawszego. Na falach długich nadawano wiadomości. Szukał dalej. Miał już dosyć gładzenia o potrzebie porozumienia, potrzebie budowy wspólnej Polski. Gadano tak, bo ci z Gdańska jeszcze obiecywali, że będą grzeczni.

Z placu Dzierżyńskiego[16] skręcił w trasę WZ. Przeskoczył przez most i skręcił w stronę kina Praha.

Ile teść mógł im zostawić? Elżbieta z niczego nie zdawała sobie sprawy. Jeśli chodziło o utrzymanie, nigdy się tym nie interesowała. Zawsze było jej dobrze i bezpiecznie. Może dlatego w ogóle nie brała pod uwagę, że cokolwiek mogłoby w jej życiu zmienić się na gorsze? Andrzej był pewien, że nowa władza dobierze się byłym partyjniakom do dupy. On przynajmniej na ich miejscu tak by postąpił.

Siejka zaparkował samochód i ruszył w stronę wejścia do kliniki. Choć było już późno, w środku dostrzegł kilku czekających pacjentów.

– Jestem umówiony z doktorem Jeliczem – rzucił do pielęgniarki, która próbowała go powstrzymać, gdy ruszył w stronę pokoi lekarskich. Moment później pchnął drzwi gabinetu. Siedzący za biurkiem Jelicz obrzucił go posępnym spojrzeniem.

– Ma pan zdjęcia? – spytał.

Siejka wyjął z neseseru szarą kopertę i podał ją lekarzowi.

Pierwsza fotografia przedstawiała Annę stojącą na tle ośnieżonej brzozy. Kolejne ukazywały w zbliżeniu jej twarz w różnych ujęciach: en face, z dwóch profilów i pod różnymi kątami. Jelicz wolno je przekładał. Wreszcie położył na stole.

Teraz major wyjął kolejną kopertę i do rozłożonych zdjęć, niczym w pasjansie, dołożył następne fotografie. W pierwszej chwili można byłoby pomyśleć, że są to kolejne zdjęcia Anny. Jednak po wnikliwszym przyjrzeniu okazywało się, że przedstawiają jedynie podobną kobietę.

Jelicz ponownie zaczął studiować fotki.

– Nie macie lepszych?

Pokręcił przecząco głową.

– Nikt nie będzie się jej dokładnie przyglądał. Ma być podobna. Resztę załatwi makijaż.

– Operację możemy zrobić za trzy dni. Oczywiście jeśli pacjentka...

– Zgodzi się.

– Musi jeszcze podpisać stosowne dokumenty.

– Podpisze.

– ... Wystarczy niewielki lower facelift... Przeróbka dolnej części twarzy.

Tu jest największa różnica. Będę ciął w ten sposób... Zaczynając od prawej żuchwy aż do nasady podbródka. Z drugiej strony podobnie... Dodatkowo niewielkie zewnętrzne naciągnięcie mięśni policzkowych.

– Kiedy dojdzie do siebie?

– Gojenie nie powinno potrwać dłużej niż dwa, trzy tygodnie.

– Dwa tygodnie.

– Przy dokładnym przestrzeganiu zaleceń pooperacyjnych za cztery tygodnie powinno być wszystko okej. Chyba że...

– Że?

– Wdadzą się komplikacje. Raz na tysiąc przypadków występują powikłania.

– Proszę się postarać, żeby operacja miała numer dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewięć.

Jelicz zaczął nerwowo przemierzać gabinet.

– Obawiam się czegoś jeszcze.

– ...?

– Pacjentka z pewnością będzie chciała porozmawiać ze mną przed operacją. Wtedy pozna we mnie lekarza, który powiadomił ją o białacze.

– Nie będzie z panem rozmawiała.

– Muszę mieć większe fotografie pacjentki. W lepszej rozdzielczości. Najlepiej kolorowe.

– Dostarczę pojutrze. Jeszcze pan coś musi, doktorze?

– ...

Wyszedł z gabinetu. Na ulicy smagnął go po twarzy chłodny powiew wiatru. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Elżbieta siedziała nieruchomo obok kierującego samochodem Damiana. Tkwili tak już od półgodziny. Próbował o coś ją spytać, ale zbywała go milczeniem. Spróbował po raz drugi.

– Czekamy na kogoś?

– Spiesz ci się?

– Więc czekamy.

Kilkanaście minut później z klatki bloku, przed którym zaparkowali, wyszedł mężczyzna z ładną kobietą. Po ożywieniu siedzącej obok Elżbiety Damian zrozumiał, że chodzi właśnie o niego.

– Na nich czekaliśmy?

Nawet nie odwróciła twarzy w jego stronę. Przez moment wydało mu się, że widzi na niej cień zazdrości.

– Nie powiesz chyba, że to twój mąż.

– Mój.

– Mówiłaś, że jest w delegacji.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu odwróciła twarz w jego stronę.

– Bardzo przejmujesz się tym, co mówię.

– Jasne! Nawet tym, że mnie kochasz?

– Nie łap mnie za słówka.

Damian przyjrzał się młodej kobiecie. Była niczego sobie. Niezłe ciuchy. Z pewnością wszystkie kupione w Peweksie. Takich kolorów nie zobaczysz nawet w domach towarowych.

– Nie wygląda na to, żeby to była jego koleżanka z pracy.

– On nie ma w pracy koleżanek.

– Mówisz to z takim spokojem.

Andrzej i Anna wsiedli do samochodu, który po chwili ruszył z miejsca.

– Myślisz, że powinnam teraz płakać?

– Nic nie myślę. Nie bardzo rozumiem, po co tu przyjechaliśmy.

– Chciałam ją zobaczyć.

Nie starał się zrozumieć skomplikowanych spraw małżeńskich kochanki. Ona dostawała to, czego chciała. On zaś mógł liczyć na jej pełny portfel. Poza tym Elżbieta nie była taka brzydka. Prawdę mówiąc, nie bardzo nawet wiedział, ile ma lat. Ale niewiele go to obchodziło. Jego ostatnia dupa miała sześćdziesiąt lat, a brak urody rekompensowało kilkadziesiąt dolarów, które wciskała mu do slipek po każdym ciupciani.

Żyć nie umierać. Tylko że w pewnym momencie babsko zaczęło coś przebąkiwać o miłości i małżeństwie. Dlatego pewnego dnia nie przyszedł na umówioną randkę.

Jak tamta miała na imię? Wiktoria? Walentyna? Racja – Waleria. Wzdrygnął się na wspomnienie jej obwisłych piersi.

– Skąd wiedziałaś, że go tu zastaniemy? – próbował kontynuować przerwany wątek.

– Bawisz się w Sherlocka Holmesa?

Elżbieta odkręciła w swoją stronę lusterko wsteczne i zaczęła sprawdzać makijaż. Potem sięgnęła do torebki i wyjęła kredkę, by poprawić kontur ust. Nie dostrzegł w niej żadnego zdenerwowania. Raczej zimną obojętność.

Chwilę patrzyła w odbicie swoich oczu. Przypomniały jej się słowa ojca: „Niestety, zabeczko, nasza praca czasem wygląda dosyć dziwnie. Jeśli Andrzej nie zechce ci sam powiedzieć o tym, co robi, sama nigdy o nic nie pytaj”.

Nigdy o nic nie pytała. Widziała go już z wieloma kobietami. Jeden jest stolarzem, inny piekarzem, a wreszcie inny posuwa panienki. Praca jak inne, z tą tylko różnicą, że najczęściej wykonywana na leżąco.

Damian spojrzał na zegarek.

– Co teraz?

– Nic.

– Jak to: nic?

– Odwiozę cię na uczelnię, potem przyjedziesz do mnie wieczorem.

– A jak on wróci do domu?

Elżbieta spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

– Boisz się?

– Myślałem o tobie.

Uśmiechnęła się cukierkowato, udając, że troska chłopaka sprawiła jej przyjemność.

– Jesteś kochany, że tak się o mnie martwisz. Ale muszę cię uspokoić. Kiedy Andrzej wraca do domu, dzwoni kilka godzin wcześniej. Jak widzisz, jesteśmy bardzo zgodnym i darzącym się zaufaniem małżeństwem.

Odniósł niemile wrażenie, że ostatnie słowa wypowiedziała z niezachwianą wiarą w to, co mówi.

Anna zatrzymała się w pewnej odległości od parkanu otaczającego przedszkole. Zobaczyła córkę stojącą przy siatce. Coś ścisnęło ją za serce. Przypomniała sobie dni, gdy będąc małą dziewczynką, z niecierpliwością wypatrywała nadejścia matki. Tylko że ona zawsze doczekała się jej przyjścia.

Zagryzła wargi i zacisnęła mocno dłonie w kieszeniach futra. Ruszyła pewnym krokiem. Kiedy doszła do siatki, uśmiechnęła się na przywitanie.

– A gdzie babcia? – Monika była najwyraźniej zawiedziona, a ją coś ukłuło w serce.

– Prosiła, żebym ja dziś po ciebie przyszła.

Ruszyła w stronę budynku. Mała pobiegła do szatni. Anna pomogła jej

zdjąć z wieszaka kożuszek. Potem rozpięła fartuch. Niepewnie rozejrzała się wokół, nie wiedząc, w której szafce powinna go schować.

– Podpowiesz mi, gdzie wieszasz swoje rzeczy?

– Tam jest szafka z czarnym kotkiem. Ma na imię Czarus.

– To chyba niezbyt dobre imię dla kotka.

– Babcia też tak powiedziała.

– I nie dałaś mu innego imienia?

Mała pokręciła przecząco głową.

– To nieładnie odbierać komuś coś, co raz się już dało. Poza tym on je bardzo lubi.

– No chyba że tak.

Wzięła Monikę za rączkę i ruszyła w stronę wyjścia.

– Masz samochód? – mała zdziwiła się, widząc, jak otwiera auto.

– Chciałabyś wrócić autobusem? – Córka zaprzeczyła ruchem głowy. –

Wiesz, ja też mam kotka. – Anna wskazała maskotkę przyczepioną do wstecznego lusterka.

– Jak ma na imię? – Monika usadowiła się na tylnym siedzeniu.

– Chciałam prosić cię o pomoc w wyszukaniu najlepszego imienia. –

Włączyła silnik i ruszyła. Mała przez dłuższą chwilę milczała. Kiedy dojeżdżały do domu jej buzia się rozpromieniła.

– Nazwiemy go Mysiek.

Anna zaparkowała przy krawężniku. Potem odwróciła się do córki.

– Mysiek? To dlatego, że kotki polują na myszki?

– Ależ skąd. Zobacz na jego zamyśloną mordkę.

– Rozumiem. – Kiwnęła z uznaniem głową. – Doskonałe imię. – Dotknęła dyndającej na wstążce maskotki. – Chyba mu się spodoba.

– Na pewno – mała stwierdziła z przekonaniem. – W końcu sam mi powiedział, jak chce się nazywać.

– Jeśli tak sprawy się mają... – Pomogła wysiąść córce z samochodu.

W progu czekała już na nich matka.

– Wejdiesz do środka?

– Chciałabym, ale muszę jechać. Przyjadę jutro rano po małą... Jeśli można... – dodała po chwili.

– Przyjeźdź z Myskiem – zdecydowała Monika. – On mnie chyba polubił.

– Nie tylko on. – Przykucnęła przy małej i próbowała pocałować ją w czoło, lecz sekundę wcześniej Monika okręciła się na pięcie i pobiegła w głąb domu.

Coś się stało. Była tego pewna. Wystarczyło spojrzeć na Andrzeja. Usiadł na kanapie i mocno ją przytulił. Był smutny i zrezygnowany. Czowała to. Objęła go mocno. Wtuliła się w niego, jakby chciała oddać całą siebie.

Po chwili wzięła w dłonie jego głowę. Oczy miał przepełnione goryczą przemieszana ze skrywaną gdzieś w głębi bezradnością.

– Dlaczego milczysz?

W odpowiedzi zacisnął mocno usta, a po policzku spłynęła mu łza. Przytulił ją, gładząc delikatnie po włosach.

– Chcę wiedzieć. – Odsunęła się i delikatnie pocałowała go w usta. – Wyduś to z siebie wreszcie.

– Nie dostanę ani grosza – szepnął zrezygnowany. – Próbowałem też w banku...

– To nic, najmilszy. Najważniejsze, że mamy siebie. Że jesteś obok i mam twoją miłość. Tylko to się liczy. Tylko to.

Nie spodziewała się tego wybuchu. Zaczął mówić szybko, z rosnącą złością, jakby próbował tym wykrzyczeć swą niemoc.

– Ten naczelnik wydziału... Skurwysyn jeden... Ale to są ich metody! – Zaczął pospiesznie przemierzać pokój nerwowym krokiem. – Wiesz, co powiedział? – Zatrzymał się przez Anną. Znowu był zrezygnowany i zagubiony niczym małe dziecko. – Miałem ochotę zabić gnoja. Obić mu ten wredny pysk... Powiedział...

– ...?

– Powiedział, że oni sfinansują twoją operację... Ale musisz coś dla nich zrobić.

Przyciągnęła go ku sobie, zmuszając, by usiadł obok.

– Myślałam, że stało się coś gorszego. – Zrobiła minę naburmuszonej dziewczynki. – Że już mnie nie kochasz. Że spotkałeś inną i że...

Nie dał jej dokończyć, kładąc dłoń na ustach.

– Nie bądź głuptasem.

– Obiecuję. Czego chce ten palant?

– W Paryżu masz odebrać jakieś materiały i przywieźć je do hotelu.

– Tylko tyle? – Wzruszyła ramionami.

– To nie wszystko...

Dlaczego zgodziła się na zabieg plastyczny? Myślała o tym tamtej nocy, gdy leżała przytulona do boku śpiącego Andrzeja. Odpowiadała sobie również na to pytanie teraz, w klinice, gdy leżąc w separacie, była przygotowywana przez pielęgniarkę.

Przypomniała sobie twarz kobiety, której zdjęcia pokazał Andrzej. Była do niej podobna i wystarczyła niewielka korekta...

Nie, lepiej o tym nie myśleć...

Zawsze nie cierpiała lekarzy. Panicznie bała się zastrzyków. Ale teraz... Zostanie bliźniaczką jakiejś nieznannej kobiety. Tamta była nawet ładna, o nieco wyzywającej urodzie. Na razie myślała o tym wszystkim jak o malowidle, które przyjdzie jej poprawiać tuszem do rzęs, szminką, podkładem na policzki, pudrem czy też różem.

Gdzieś w środku chciała tej zmiany. Stała się inna. Zmieniła ją wiadomość o śmiertelnej chorobie. Wiele spraw okazało się nieważnych, a te, które niegdyś uznawała za nieistotne, urosły do rangi pierwszoplanowych.

Zmieniła ją również miłość. Długo się jej opierała. Nie wierzyła. Nie chciała tego uczucia i próbowała od niego uciec. To dobrze, że jej się nie udało. Wreszcie znalazła mężczyznę, na którego czekała całe życie.

Znalazła?

Właściwie to połączył ich przypadek, w momencie gdy doszło do kolizji aut. Już wtedy Andrzej wywarł na niej wrażenie. Ukrywała to przed sobą i nie do końca dopuszczała do świadomości. Teraz wiedziała, że udawała sama przed sobą. Potem idiotyczna kradzież u jubilera. Wówczas chciała, by stchórzył i się wycofał. Nie zrobił tego, i za to również go pokochała.

Tak, zmieniła się wewnątrz. Odnalazła tłumioną przez lata miłość do córki. Wreszcie znalazła nić porozumienia z matką. Mała jeszcze słabo ją znała, zatem zewnętrzna zmiana nie będzie dla Moniki czymś nie do zaakceptowania. Wreszcie dla niej samej to, co za chwilę się stanie na sali operacyjnej, będzie ostatecznym zerwaniem z przeszłością. Narodzi się nowa kobieta. Nowa dziewczyna, matka, kochanka...

Może w przyszłości żona...?

– Teraz zrobię pani zastrzyk – głos pielęgniarki był ciepły i pogodny. – Proszę się nie obawiać. Nawet pani tego nie poczuje. Za chwilę będzie po wszystkim... O, już.

– Już po wszystkim?

– Po wszystkim. – Siostra kiwnęła głową.
– Rzeczywiście nie zauważyłam.
– Za chwilę przyjdzie do pani chirurg. Przygotowuje się do operacji.
– On jest dobry w tym, co robi? – Skąd w jej głosie ta niepewność?
– Naprawdę najlepszy.
– Jak się pani teraz czuje? – spytał lekarz.
– Jak chyba każdy przed operacją.
– Zapewniam panią, że to nic poważnego.
– Mogę o coś prosić?
– Oczywiście, słucham.
– Mam za uchem duży pieprzyk. Co prawda przykrywają go włosy, ale...
– Oczywiście, zajmę się tym. Zabieg nie powinien potrwać dłużej niż trzydzieści minut. Aha – cofnął się – chcę uprzedzić, że kiedy się pani obudzi, część twarzy będzie w opatrunku. Choć poduszka jest specjalnie modelowana, proszę zwracać uwagę, by nie opierać głowy na policzkach.
– Oczywiście, będę się starała.
Obok rozsunięły się drzwi. Anna przechyliła głowę i zobaczyła lekarza w masce na twarzy. Był przebrany w zielony strój operacyjny. Przez sekundę wydało się jej, że gdzieś już widziała te oczy.
Chciała o to zapytać, lecz ogarnęła ją cisza, która zamknęła jej powieki.

Na ekranie telewizora podłączonego do kamery było widać paryską ulicę. Filmujący najwyraźniej nie przywiązywał wagi do stabilności obrazu, gdyż ten skakał od płyt chodnikowych po kostki idących przodem kobiet, by po chwili objąć całe ich sylwetki. Obie dyskutowały o czymś zawzięcie, żywo przy tym gestykulując. Z głośnika płynęła przytłumiona przez szum ulicy sprzeczka.

– Mówię ci, że to jest ten blondyn.
– Ależ daj spokój.
– Żadne daj spokój, jestem pewna.
– Przecież ten drań oblał winem Michele, gdy była w tej ślicznej kremowej sukience.
– Ślicznej? Co ty w tej kiecce zobaczyłaś ładnego?
Dalszą rozmowę zagłuszył odgłos odpalanego gdzieś obok motocykla. Obraz na sekundę zamigotał i gwałtownie przesunął się w bok. Filmujący

najwyraźniej przystanął, „zdejmując” przeciwległą stronę ulicy. Kadr znieruchomiał. Moment później nastąpiło zbliżenie na sylwetkę siedzącej przy stoliku Josephine. Ubrana była w jasny kożuszek, a długie kasztanowe włosy miała związane w kitkę kolorową wstążką.

Właśnie sięgała po filiżankę kawy. Kiedy ją odstawiła, zaczęła się rozglądać, jakby na kogoś czekała. Spojrzała zniecierpliwiona na zegarek. Wkrótce zjawił się mężczyzna o siwiejących skroniach, wsparty na lasce.

– Zdjąłem ich w kawiarni niedaleko Luwru. – Siejka sięgnął po butelkę z piwem. Przechylił ją, lecz była już pusta. – Chcesz jeszcze? – zwrócił się do siedzącego obok Andrzeja i wskazał wzrokiem na trzymaną w ręku flaszkę.

– Jedno wystarczy.

– W stołówce sprzedawali po sześć, więc jak masz ochotę...

– Nie, dzięki.

Siejka kiwnął zgodnie głową.

– Jak chcesz.

Obraz zmętniał, by znowu się rozjaśnić. Tym razem ulica była pokazywana z perspektywy idącego. W kadrze pojawił się chodnik. Między plecami idących przodem widoczna była sylwetka Josephine.

– Czasem zastanawiałem się, czy nie lepiej było, żebyś zakręcił się koło tej laski?

– Mówiliśmy już o tym.

– Tylko głośno myślę.

– Byłbym bez szans.

– To, że daje dupy Sulimowiczowi, jeszcze o niczym nie świadczy.

– Tylko że on, patrząc na to z boku, oferuje jej pewność dorwania się do tej forsy. My zaś nadal mamy tylko kilkanaście procent nadziei, że ich wydymamy.

– Kilkanaście?

– Tak myślę.

– Nie bądź pesymistą...

– Gdybym nim był, nie robiłbym tego wszystkiego.

– Okej, to już przerabialiśmy i nie ma co wracać do tematu.

– Otóż to.

– Zobacz. Za chwilę wejdzie do banku.

– Obraz jest dosyć kiepski.

– Robiłem kamerą z neseseru, ale według mnie obraz jest okej. – Ekran znowu zmętniał. Kolejne ujęcie filmowane było już wewnątrz banku. – Za

moment stanie przy okienku. Najpierw pokaże urzędnicze swoje prawo jazdy. To zabezpieczenie Sulimowicza, żeby przed nim nikt nie dobrał się do skrytki. Teraz jej fotografia z dokumentu zostanie porównana ze zdjęciem, które zostawiła, zawierając bankową umowę. Hasło jest imiennie-szyfrowe. Sprawdzenie wypada pomyślnie. Zobacz, podchodzi strażnik. Zaraz zaprowadzi ją do działu skrytek.

Ekran zgasł. Siejka uniósł się z krzesła i przełączył telewizor na pierwszy program.

– Godzinę po tym, jak nasza „Paryżanka” umieści w banku ostatnie mikrofilmy, zjawi się ta twoja kurewka... Chciałbym, żeby było to już jutro.
– Siejka westchnął głośno, wstał i ruszył do kuchni po kolejną butelkę. – A propos – zza otwartych drzwi doleciał jego głos – jak ona czuje się po zabiegu?

– Na razie wszystko okej.

– Widziałeś już jej twarz? – Syknęło otwierane piwo. Major szybko przyłożył szyjkę do ust, na sekundę przed tym, nim spieniony płyn wypłynął na zewnątrz.

– Na to za wcześnie. Ma opatrunki. Za tydzień zdejmą jej bandaż.

Na ekranie pojawiło się studio popołudniowego wydania dziennika telewizyjnego.

Siejka wyłączył fonię.

– Już mam dosyć tego pierdolenia. – Pociągnął spory łyk z butelki. – Jesteś ciekaw, co zrobiliby wałęsiarze, gdyby dowiedzieli się, że najważniejsza część archiwum MSW została zmikrofilmowana, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent z tej roboty jest już przerzucone na Zachód?

– Przyszło mi teraz do głowy – Andrzej wyłączył kamerę – że właściwie to nie ma opcji, byśmy przegrali. Zawsze nasze będzie na wierzchu.

– Że niby jak?

– Jeśliby nawet teraz ktoś od Sulimowicza wywąchał, co planujemy, wtedy zaczęlibyśmy wrzeszczeć, że próbowaliśmy udaremnić wielki przekręt. Wyobrażasz sobie reakcję tych z Solidarności? Może nawet dostalibyśmy za to medale.

– Sram na ich medale. Za to nie kupię nowego merca, willi na Lazurkowym Wybrzeżu i kilku dziwek na każdą noc tygodnia.

– Aż kilku?

– Czemu nie. – Siejka zrobił do Andrzeja oko. – Zamierzam mieć łóżko długie na cztery metry i szerokie na sześć. Zatem jeśli z powodu zadyszki ich

nie dogonię, zawsze będę miał gdzie się walnąć ze zmęczenia.

Na odgłos dzwonka Anna podeszła do drzwi. Wyrzała przez wizjer. Za drzwiami stała jej matka. Otworzyła zamek i nacisnęła klamkę. Na twarzy stojącej za progiem kobiety najpierw pojawił się wyraz zaskoczenia i przerażenia.

– Stało się coś?

Anna odsunęła się, by zrobić przejście.

– Co się stało? – niecierpliwiła się matka, zdejmując jesionkę.

Wskazała na otwarte drzwi prowadzące do pokoju i siedzącą na kanapie Elwirę, jakby tym gestem chciała powiedzieć: „Od niej dowiesz się wszystkiego”.

– Miło mi poznać – powiedziała matka i uścisnęła dłoń nieznajomej.

Elwira wymieniła z Anną pospieszne spojrzenia. Ta zaś kiwnęła głową, jakby nakazując, by powiedziała wszystko.

– Właściwie to nic takiego.

– Nic?!

– Ania musiała przejść niewielki zabieg kosmetyczny. To kwestia związana z okostną. Zwykły zabieg chirurgii dentystycznej. – Elwira starała się, by z jej głosu przebijała pewność.

– Aha...

Właściwie to Elwira sama nie do końca wiedziała, dlaczego Anna poddała się operacji. Chciała wierzyć w to, co napisała na kartce, tłumacząc swoją decyzję. Czy była prawdziwa?

– Już wszystko jest nareperowane.

– Dobrze, że nie przyszłam z małą – matka westchnęła z ulgą.

Elwira dostrzegła, jak oczy Anny zapłonęły żywym blaskiem. „Co z nią?” – napisała pospiesznie na kartce.

– Ostatnio pytała o ciebie, kiedy znowu przyjdiesz?

„Ucałuj ją ode mnie i powiedz, że jak tylko będę się lepiej czuła, to zaraz ją odwiedzę”.

Słowo „zaraz” podkreśliła dwukrotnie. Zadzwonił telefon. Elwira podniosła słuchawkę.

– Słucham.

– Jak czuje się Anna? – głos Andrzeja zagłuszał ruch ulicy.

- W porządku.
- Co tak oficjalnie?
- ...
- Nie możesz mówić? Przyszedł ktoś?
- Jest mama Anny.

Andrzej przytrzymał klamkę drzwi budki telefonicznej, które odchylił wiatr.

- To chyba będzie lepiej, jak wpadnę do was za godzinę.
- Tak chyba będzie lepiej.
- Kupić coś na kolację?
- Już zrobiłam potrzebne sprawunki.
- W takim razie powiedz Ani, że będę koło dwudziestej.

Odwiesił słuchawkę na widełki i wyszedł na chodnik. Rozejrzał się. Ma sporo czasu. Zobaczył neon kawiarni i ruszył w jej kierunku. Wszedł do środka, gdzie otoczyło go przyjemne ciepło i cichy gwar rozmów siedzących wewnątrz ludzi. Wybrał stolik w najodleglejszym kącie i zamówił kawę.

Młoda kelnerka uśmiechnęła się do niego prowokująco. Była wysoka. Zgrabna. Krótka spódniczka ukazywała kształtne nogi, a obcisły sweterek uwypuklał jędrny biust. Miała ładną twarz, do której nie pasowały jedynie usta o zbyt dużych wargach. Chociaż...

– Tylko kawa? Może ma pan jeszcze jakieś życzenia? – Choć wskazała w stronę bufetu z ciastkami, oboje wiedzieli, że chodzi o coś zupełnie innego.

– Nie jadam słodczy. Podobno są niezdrowe.

– Szkoda. Czasami to, co najlepsze, nie zawsze bywa... aż tak niezdrowe.

Odeszła, wyzywająco kołysząc biodrami. Andrzejowi przyszło do głowy, że jeszcze kilka miesięcy temu on pierwszy by ją zaczepił.

Dlaczego tego nie zrobił?

Czemu kilkanaście minut temu był zły, gdy dowiedział się, że u Anny jest jej matka i musi poczekać? Złapał się również na tym, że coraz częściej myśli o kochance.

„Idiotyczne” – zachnął się.

Do Służby Bezpieczeństwa trafił przez przypadek. Właśnie obronił pracę magisterską na Wydziale Romanistyki i zastanawiał się, co powinien ze sobą robić dalej. Jednego z ostatnich dni czerwca jechał autobusem, gdy

nieoczekiwanie spotkał przyjaciela z lat dziecińczych. Krótkie przywitanie, obojętne pytania o zapomnianych kolegów. W pewnej chwili spytał, gdzie pracuje.

– W Firmie – padła odpowiedź.

Znajomy wskazał głową na mijany gmach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W tamtym czasie w filmach i powieściach szpiegowskich CIA określało się mianem Firmy. Stąd szybko zrozumiał, o co tamtemu chodzi. Kilka dni później przekroczył wartownię przy Rakowieckiej.

Miał mgliste pojęcie, czym jest безпеka. Przez całe studia wiódł rozrywkowe życie. Niekiedy kolejną noc spędzał z kolejną dziewczyną, a stypendium studenckie puszczał w kilka godzin. Takimi ludźmi władza się nie interesowała.

Pierwszy rok przepracował w Firmie, przenosząc jakieś papiery i wypełniając rubryki obojętnymi mu nazwiskami. Potem naczelnik wydziału zwrócił się do dyrektora departamentu, by zabrał od niego faceta, który skłócił ze sobą niemal wszystkie kobiety. Oto bowiem jedne się w nim kochały, z innymi był w trakcie zrywania romansu, trzecie zaś próbowały zdyskredytować rywalkę, która aktualnie cieszyła się jego względami. Czy to była jego wina, że nie on za kobietami, lecz kobiety oglądały się za nim?

Szybko znaleziono rozwiązanie, które usatysfakcjonowało każdą ze stron. Został przeniesiony do Szóstej Sekcji Infiltracji Zewnętrznej Departamentu Drugiego. Pod tą szumną nazwą krył się wydział, którego zadaniem było uwodzenie kobiet, aby dzięki nim zdobywać interesujące kontrwywiad informacje. Każdego z mężczyzn pracujących w sekcji określano mianem „Romeo”.

Tak, to było wymarzone dla niego miejsce. Po dwóch latach dopadł go pech. Traf sprawił, że mąż kochanki dowiedział się o jej niewierności. Nie byłoby w tym tragedii, gdyby gość był byle kim.

W efekcie szumu, którego rogowarz narobił we władzach Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Andrzej musiał zniknąć z Warszawy.

Po przejściu badań i testów psychologicznych uznano go za dobry „materiał”. Trafiał do kadrowca Departamentu Pierwszego.

Po raz kolejny padły sakramentalne pytania: Czy chodzi do kościoła? Czy w jego rodzinie ktoś chrzczył dzieci? Co myśli o działaniach KOR-u?

KOR? Nie bardzo wiedział, co to takiego. Wtedy po raz pierwszy usłyszał o Komitecie Obrony Robotników i nazwiskach Kuronia, Modzelewskiego i Michnika. Wreszcie padło ostatnie pytanie:

– Powiedzcie, dlaczego chcecie pracować w wywiadzie?

Mógłby dość łatwo zbyć ciekawskiego stwierdzeniem, że robi to dla ojczyzny, przeżycia fascynującej przygody i podobnymi frazesami. Po minie siedzącego za stołem dostrzegł, że oczekuje czegoś zupełnie innego.

– Interesuje mnie – wypalił bezczelnie – dobrze płatna i nietuzinkowa praca.

Ton dalszej rozmowy stał się wreszcie mniej oficjalny. Na miesiąc wrócił do poprzedniego miejsca pracy. W tym czasie, jak się później dowiedział, odpowiednie służby po raz kolejny dokładnie sprawdziły jego życiorys. Wszystko wypadło zadowalająco.

Niektórzy mu zazdrościli, inni uznali to za awans, który potwierdzał starą regułę, że na babskiej dupie można daleko zajechać. Sam wyznawał tę zasadę, dlatego pół roku wcześniej ożenił się z Elżbietą.

Dwa miesiące po pierwszym spotkaniu z kadrowcem Departamentu Pierwszego został skierowany do szkoły wywiadu. W następnym roku teść załatwił mu wyjazd na placówkę dyplomatyczną. Miał ciepłą posadę. Nie musiał jak inni uganiać się po mieście. Jednak pewnego dnia zlecono mu pilny wyjazd na miasto. Nasłuch ambasady namierzył zwiększoną aktywność Direction de la Surveillance du Territoire. Rezydent postanowił odwołać wszystkie akcje planowane na mieście. Nie z każdym z agentów można się było skontaktować telefonicznie. Jego wysłano na rue François, by ostrzegł kolegę z sekcji, który właśnie jechał na spotkanie werbunkowe.

Andrzej dostrzegł czarną furgonetkę wystarczająco wcześnie, by uprzedzić śledzonego przez Francuzów Polaka. Ale przestraszył się. Kilka sekund wahania i... po powrocie do ambasady skłamał, że dojechał na miejsce już po tym, jak ich człowiek został porwany.

A palec, który rzekomo mu obcięto, stracił, gdy miał szesnaście lat i naprawiał silnik w motorowerze kolegi.

Rozdział jedenasty

Anna obudziła się z drzemki. W pokoju panował półmrok. Przez okno wpadało światło ulicznych latarni. Skądś płynęła odległa piosenka. Nie potrafiła sobie przypomnieć jej słów. Dostrzegła zarys sylwetki siedzącego na wprost niej w fotelu Andrzeja.

Również drzemał.

Miała szczęście, że go spotkała. Z pewnością siedziałyby teraz przy barku, sączyła drinka i udawała, że dobrze się bawi.

Kiedy wypowiedziała w myślach ostatnie zdanie, przyszło jej do głowy, że do tej pory się oszukiwała. Dostawała to, co sama dawała. Tylko że ona chciała uwierzyć w świat, który ją otaczał. Może dlatego tak łatwo udawało jej się zwieść innych. Po spędzonej z nią nocy każdy był przekonany, że jest w nim zakochana lub uważa go za najfantastyczniejszego na świecie. Łatwo jej było manipulować ludźmi. Wystarczyło wyczuć, czego chcą, i reszta już przychodziła bez większego wysiłku.

Zerknęła w stronę okna, w którego szybach odbijały się niewyraźne kształty mebli oświetlonych przez latarnię.

Jak wygląda jej twarz? Obawiała się momentu, gdy zdejmie bandażę i spojrzy w lustro. Czy bardzo się zmieni? Co na to Monika?

Gdzieś w głębi duszy cieszyła się z fizycznej odmiany. To było jak głośnie trzaśnięcie za sobą drzwiami. Odcinało od dawnego życia. Niemal namacalnie potwierdzało, że wszystko uległo zmianie.

Poprawiła poduszkę pod plecami. Szelest materiału obudził Andrzeja. A może nie spał? Zapłonęła stojąca lampa.

– Wszystko w porządku? – spojrzał lekko zaniepokojony.

Kiwnęła głową, że wszystko okej, jednak moment później uczyniła przeczący ruch głową.

– Chcesz pić?

Wskazała palcem w stronę okna.

– Na spacer? Chcesz iść na spacer?

Uczyniła przeczący ruch głową, pokazując na palcach znaną z dzieciństwa zabawę w zgadywanki.

– Pogoda?

Przeczenie.

– Śnieg? Drzewa? Ulica? Domy – wymieniał bezradnie cisnące się do głowy słowa. – Miłość? Bóg? Diabeł? Raj...

Zaczynało ją to bawić. Miała ochotę się roześmiać, szybko jednak przypomniała sobie zalecenia lekarza przekazane przez pielęgniarkę – żadnej mimiki twarzy. „Im bardziej uda się pani przez czas gojenia zachować kamienną twarz Bustera Keatona, tym szybciej nastąpi proces gojenia”.

– Niebo? Anioły? Okno?

Strzeliła palcami, że tym słowem jest „okno”.

– Otworzyć okno?

Przytaknęła ponownie.

– Chyba żartujesz. – Zmarszczył czoło, jakby mówił do małej dziewczynki, którą w ostatnim momencie udało się powstrzymać przed popełnieniem głupstwa. – Na dworze jest chłodno. Musisz być w ciepłku.

Pokazała mu palcami „fucka”. Ze śmiechem chwycił ją za palec i pocałował go.

– Nowa zgadywanka?

Strzeliła palcami.

– Co tym razem chce moje kochanie? Gwiazdkę z nieba? – roześmiał się głośno. – Jeśli nie gwiazdkę, to... – zamyślił się, nie bardzo wiedząc, jakie powinien wypowiedzieć słowo.

Nie czekając, aż rozpocznie nową serię zgadywanki, przechyliła się i sięgnęła po leżący na blacie stolika skoroszyt. Potem pokazała, że chciałaby coś napisać.

– Długopis?

Wstał i przyniósł go z sekretarzyka. Kiedy pisała, próbował zajrzeć jej przez ramię, ale delikatnie odsunęła go od siebie, dając do zrozumienia, że musi uzbroić się w cierpliwość.

„Jeśli mnie tak kochasz, to... – podsunęła mu kartkę. – Powiedz, skoczyłbyś z mostu do Wisły, żeby mi to udowodnić?”

Zaczął się śmiać. Początkowo cicho, potem coraz głośniej.

„Co jest śmiesznego w moim pytaniu?”

– Ależ nic, najmiłsza. Wreszcie sobie coś uświadomiłem.

„?”

– Że jesteś najbardziej szaloną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem w życiu.

„Tylko tyle?”

– I że właśnie za to kocham cię najbardziej.

„Zaczynasz mówić z sensem. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Skoczyłbyś?” – napisała, stawiając dwa wykrzykniki.

Chwilę milczał, patrząc jej w oczy. W jego spojrzeniu było ciepło radosnego uniesienia, a może i zachwyty?

Puknęła go końcem długopisu w ramię, żeby się ocknął.

– Skoczyłbym... Najmilsza – szepnął z wewnętrzną pasją. – Choćby z najwyższego mostu świata.

Zbliżyła zabandażowaną twarz do jego ucha i szepnęła niemal na granicy słyszalności:

– Ja też bym dla ciebie skoczyła.

Kiedy leżeli przytuleni do siebie w nocy, omal nie krzyknęła. Przecież mogą mieć ze sobą dziecko. Chodziliby z Moniką i dzidziusiem na spacer.

Wolałby mieć chłopca czy dziewczynkę? Czy ma to dla niego jakieś znaczenie?

Pomyślała, że powinna mu o tym wszystkim napisać. Kiedy jednak wsłuchiwała się w jego miarowy oddech, odłożyła wszystko do następnego dnia.

Kiedy Andrzej przechodził przez uliczne pasy, obok nieoczekiwanie usłyszał ostry pisk hamulców. W ostatniej sekundzie kątem oka dostrzegł nadjeżdżający z dużą prędkością samochód osobowy. Nim ten zdołał go uderzyć, podskoczył do góry. Moment później runął na maskę, przeturlał się po niej i spadł na chodnik. Jak długo trwało, nim uświadomił sobie, co się wydarzyło?

Spróbował dźwignąć się na rękach. Usiadł na chodniku, by po chwili spróbować wstać. Obok zobaczył twarz wystraszonego mężczyzny.

– Nic się nie stało? – kierowca z trudem wymawiał roztrzęsione głoski. – Może niech pan spróbuje wstać.

– Panie – kobiecy głos dobiegł gdzieś z tyłu – rannego lepiej tak nie szarpać. Rozjechałeś człowieka, a teraz chcesz go pan do końca uszkodzić.

– Ja przecież nie chciałem. – Podtrzymujący ramię Andrzeja zwolnił uścisk i ten ponownie poleciał na chodnik.

– A nie mówiłam? Rozjechał, a teraz targa po trotuarze jak worek z

ziemniakami.

Wreszcie Andrzej wstał o własnych siłach. Machinalnie zaczął otrzępywać jasną kurtkę, na której widniała olbrzymia ciemna błotnista plama.

Kierowca znowu był przy nim.

– Jak się pan czuje?

– Bywało gorzej.

– Wszedł pan na jezdnię na czerwonym świetle.

– Byłem trochę zamyślony.

Zajęczał syrena radiowozu.

– Obywatele, rozejść się! – Chudy milicjant w stopniu sierżanta wreszcie przecisnął się przez tłum gapiów. – Idźcie do domów. To nie darmowy teatr. A może ktoś chciałby na świadka? – Zaczął spoglądać na zgromadzonych wokół. – Powiedzieć, jak było?

Ostatnie pytanie szybko odsunęło gapiów na znaczną odległość.

– Więc kto tu kogo najechał? – Milicjant sięgnął do raportówki, z której wyciągnął notatnik w burych plastikowych okładkach.

– Miałem zielone... – kierowca zaczął się strachliwie jąkać.

– Mogę prosić na bok? – Andrzej wziął funkcjonariusza pod ramię, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. Chwilę potem pokazał legitymację Służby Bezpieczeństwa. – To moja wina. Wszedłem na pasy na czerwonym. Nic mi się nie stało. Proszę go puścić. Spiesz mi się.

– Gdzie wam się tak spieszy? – milicjant zbaraniał wobec nieoczekiwanego obrotu sprawy.

– Zadzwońcie do gabinetu ministra spraw wewnętrznych, to odpowiedzą wam na wszystkie interesujące was pytania. – Poklepał sierżanta po plecach i lekko utykając, ruszył w swoją stronę.

– Widziała pani? – Kobieta, która niedawno napominała kierowcę, by nie szarpał rannego, trąciła łokciem stojącą obok sąsiadkę. – Najpierw tamten mu coś dał...

– Kto?

– Ten niby ranny, ale jak się okazuje, to zdrowy. A teraz, zobacz pani, władza ludowa bierze łapówkę od kierowcy.

– Wstydu nie mają.

– Już niedługo ichniego.

– Mój ojciec w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym mówił to samo. I co? I, za przeproszeniem, dupa kwadratowa: – Amerykanie nie przyszli ratować nas od komuny.

Andrzej skręcił w stronę mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Początkowo bolało go lewe biodro, ale powoli je rozruszał. Jedyna strata to kurtka. Dopiero kilka minut temu zobaczył, że ortalion jest przerwany. Mocniejsze szarpnięcie, a podszewka wyskoczy na wierzch. Podciągnął pod brodę zamek błyskawiczny przed wiejącym od Wisły wiatrem.

„Niech to diabli – przemknęło mu przez głowę. – Masz jakieś plany, coś tam sobie układasz, o czymś marzysz, a tu trach...”

Każdemu pisany jakiś los. Co ma być, to będzie. A może to już gdzieś tam na górze wszystko jest zapisane, zaszufadkowane, podstemplowane i zatwierdzone? Jeśli tak jest, to jaki sens mają dotychczasowe plany? Anna? On? I ta cała reszta?

– Cholera! – westchnął pod nosem. – Że też człowiekowi przychodzą do łba takie idiotyzmy. – Zatrzymał się przy mostowej barierce. Wychylił się, spoglądając na mętnosiną wodę. Splunął, długo spoglądając za spadającą śliną. – Jeśli mnie tak kochasz... – powtórzył pod nosem niedawne pytanie – to skoczyłbyś z mostu do Wisły, żeby mi to udowodnić? Zakłamana dupencja – rzucił głośno – i dodatkowo megawariatka!

A może nie?

Ta myśl przyszła mu do głowy w momencie wypowiedzenia ostatnich słów. Dotąd wszystko, co ich wiązało, było jakimś wariackim, samonapędzającym się kołowrotem wydarzeń, szaleńczych eskapad i precyzyjnie realizowanych punktów wcześniej założonego planu. Wszystko działo się tak do chwili, gdy napisała na kartce tamto zdanie.

W pierwszej sekundzie przestraszył się jej spojrzenia. Już wcześniej widział to coś w jej oczach. Chwilę później próbował zbagatelizować, szybko zapominając. Tym jednak razem...

Szaleństwo było pozorne, a to, co za nim się kryło...

Nie powinien zawracać sobie tym głowy. Powiedział, że skoczyłby, ale w końcu nie musi niczego udowadniać. Wystarczy, że uwierzyła.

Ponownie splunął. Śledząc lot śliny, bardziej wychylił się za barierkę.

– Obywatelu. – Nieoczekiwanie dobiegły zza pleców szybkie kroki.

Chwilę potem czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu Andrzeja. – Chyba nie macie zamiaru skakać?

Odwrócił się. Za nim stał niedawno napotkany tykowany sierżant. Kilka metrów dalej parkował radiowóz z otwartymi drzwiami.

– Myślicie – wzruszył obojętnie ramionami – że zamierzałem skoczyć?

– Od myślenia są ci z Komendy Głównej. Ja jestem na służbie.

– Więc wam nie przeszkadzam. – Strząsnął z ramienia rękę milicjanta.

Sierżant wrócił do radiowozu i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Jedziemy.

– Niedoszły samobójca? – Siedzący za kierownicą uruchomił silnik, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu.

– Tylko esbek, którego spotkaliśmy pół godziny temu.

– Myślisz, że esbecy są lepszego sortu i nie skaczą do rzeki?

– Ten chyba nie.

– Możesz jaśniej?

– Jak rok temu odchodziłeś od żony... Pamiętasz?

– Niby co takiego?

– Zapytałeś mnie, czy uważam, że postępujesz jak wariat?

– Odpowiedziałeś, że nie wyglądam na pomyleńca, który nie wie, co robi.

Ale co to ma wspólnego...

– Tamtemu facetowi nie powiedziałbym tego, co tobie...

Na ekranie telewizora początkowo migotały biało-czarne paski. Z głośnika płynął szum, który raz stawał się głośniejszy, to znów cichł.

– To rozbiegówka. Chwila cierpliwości. Co prawda film jest tylko czarno-biały, ale można się zorientować, co i jak.

Siejka otworzył butelkę piwa. Rozległ się cichy syk i kapsel odskoczył, spadając na podłogę. Oblizał szyjkę, na którą wypłynęła biała piana.

Wreszcie ekran ściemniał i moment później ukazała się paryska ulica. W perspektywie można było zobaczyć wyraźny zarys wieży Eiffla. Idący chodnikiem o czymś rozmawiali, śmiali się, to znów przebiegali na drugą stronę ulicy, klucząc między jadącymi wolno samochodami.

– Zobacz, jakie autka. A jak ludzie są ubrani. Kurwa, aż chce się żyć... O, teraz... To ona!

Na ekranie ukazały się plecy idącej kobiety. Miała na sobie gustowny

kożuszek, sukienkę w szkocką kratę i wysokie zamszowe botki.

Obraz na moment ściemniał. Gdy się rozjaśnił, ponownie można było zobaczyć kobietę z poprzedniego kadru. Tym razem jednak szła wprost na ukrytą kamerę. Gdy niemal weszła w obiektyw, Siejka wcisnął stop-klatkę.

– Teraz ją masz w całej okazałości. – Spojrzał na siedzącego obok Andrzeja, jakby chciał się upewnić, że patrzy na ekran.

– Ładna.

Siejka zwolnił stop-klatkę. Po chwili nastąpiła ponowna zmiana. Kamera znalazła się za plecami idącej kobiety, która wkrótce skręciła w stronę wejścia do Banku Koëniga.

Cięcie.

Kolejne kadry pokazywały nieznaną w momencie, gdy stała przy bankowym okienku, podpisując dokumenty.

Kamera odsunęła się do tyłu, prezentując wnętrze banku. Moment później nieznaną odeszła od okienka i ruszyła w stronę bramki, której pilnował umundurowany wartownik.

Film dobiegł końca. Siejka zgasił telewizor i włączył stojącą lampę, aby oświetliła stół, na którym leżały rozrzucone fotografie, i powiedział:

– To wideo – wskazał na ekran telewizyjny – zrobiłem miesiąc temu, gdy do skrytki trafiła przedostatnia partia mikrofilmów z Polski.

– Myślę, że bankowa procedura nie jest skomplikowana.

– Jasne. – Siejka pociągnął z butelki kilka solidnych łyków. – Jeśli znasz hasło, strażnik prowadzi cię do działu sejfów. Tam każdy własnym kluczem otwiera określoną skrytkę. Po czym strażnik zostawia cię samego w specjalnie przeznaczonym do tego pomieszczeniu.

– Zatem prościzna.

– Nie chcesz piwa?

– Jakoś nie mam melodii.

– Będzie więcej dla mnie. – Triumfalnie spojrzał w stronę kuchni, gdzie na stole stało jeszcze dziewięć pełnych butelek. – Ale do rzeczy. Nasza „Paryżanka” umieszcza w sejfie ostatnie materiały... Jak za każdym poprzednim razem, wraca do hotelu, skąd przekazuje wiadomość, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Kiedy zadzwoni po raz ostatni, zapukam do drzwi jej pokoju.

– Nadal przy tym obstajesz?

– Masz lepszy pomysł?

– ...

– Zatem pukam do jej pokoju. Myślę, że nie będzie cię zbytnio interesowało, jakich użyję perswazji, by oddała mi klucz. Potem czekamy, aż pracę w banku przejmie druga zmiana. Wtedy zjawia się twoja kurewka. Wygarnie wszystko i grzecznie przyniesie nam to w ząbkach do hotelu. Grzecznie – zaczął się głośno śmiać – bo przecież musi mieć przeszczep, a my jej to sfinansujemy, prawda...?

Andrzej sięgnął po rozrzucone na stoliku fotografie Anny, Olgi, Heleny i Elwiry...

– Miałeś je zniszczyć.

– Czasem lubię przed snem na nie popatrzeć i pomarzyć sobie, co bym z nimi zrobił, gdyby były obok mnie.

Andrzej przeniósł wzrok na telewizor i chwilę patrzył w skupieniu na pusty ekran.

– Możesz puścić jeszcze raz?

Siejka bez słowa uruchomił odtwarzacz. W milczeniu obejrzelik cały film. Po jego zakończeniu Andrzej ponownie puścił go od początku.

W pewnym momencie wcisnął stop-klatkę.

– Mam.

– ...

– Już za pierwszym razem coś mi tu nie pasowało.

Siejka uśmiechnął się szeroko, jakby liczył, że Andrzej dostrzeże to coś.

– Teraz wiem, co jest nie tak. – Przysunął się do ekranu telewizora i puknął w ekran, wskazując na mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy.

– To już trzecie ujęcie, w którym pojawia się ta postać.

– Jesteś lepszy ode mnie. – Siejka wzniósł pustą butelkę w niemym toaście. – Ja dostrzegłem gnojka za dwudziestym razem.

– Ktoś od Sulimowicza?

– On nikomu nie wierzy.

– Nawet jak patrzy rano w lustro? – prychnął drwiąco Andrzej.

– Chuj go wie.

Anna siedziała nieruchomo na kanapie, patrząc w sufit. Stojąca obok pielęgniarka powoli zwijała bandaż, dotąd owinięty wokół jej twarzy. Wreszcie zdjęła go całkowicie.

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości – powiedziała.

Anna mrugnęła powiekami, że wszystko jest w porządku.

– Teraz muszę nasączyć tampony, aby je odkleić od miejsc, które wcześniej nieco krwawiły.

Pół godziny później siostra skończyła przemywanie twarzy specjalnym preparatem ziołowym. W miejsca liftingu delikatnie wtarła krem.

– Proszę go stosować trzy razy dziennie. Jeśli zrobi to pani częściej, nie zaszkodzi.

„Mogę już próbować mówić?” – napisała na kartce Anna.

– Oczywiście, bardzo przepraszam, że nie powiedziałam tego wcześniej. Początkowo proszę mówić powoli, z pewnym umiarem. I prosiłabym o okręcanie dolnych partii twarzy przewiewnym, ale utrzymującym ciepło szalikiem.

– Może być z wielbłądziej wełny? – wycodziła powoli.

– Taki będzie najlepszy. – Siostra włożyła do torby przyniesione ze sobą narzędzia chirurgiczne i zakręciła otwarte flakoniki z płynami do przemywania. – I to właściwie wszystko, w czym mogłam być pomocna. Wszystko dobrze się goi i jestem pewna, że za dwa tygodnie zapomni już pani o wszystkich niedogodnościach.

„Ile płacę?” – napisała.

– Rachunek został już uregulowany. Życzę miłego dnia.

Pielęgniarka ruszyła do drzwi. W przedpokoju zdjęła palto z wieszaka i wyszła z mieszkania.

Przez chwilę Anna siedziała w bezruchu. Wiedziała, co chciałaby zrobić. Nie wiedzieć jednak czemu odwlekała ten moment, jakby się tego obawiając.

„Rusz się!” – nakazała sobie w myślach.

– Jeszcze nie – wyszeptała.

„Czego się boisz?”

– Zmieniłam się. A jeśli nie spodobam się Andrzejowi?

„Zachowujesz się jak histeryczka”.

– Zmieniłam się.

„Czy inni to zauważą?”

– Wystarczy mi tylko Andrzej, moja córeczka i matka. To idiotyczne, że rozmawiam sama ze sobą. Może rzeczywiście jestem szurnięta?

Wstała z miejsca i przeszła do ciemnej łazienki. Stała przed lustrem, wpatrując się w niewyraźny kontur swojej twarzy.

– Jak wyglądasz? – szepnęła.

Sekundę później dotknęła włącznika i zapaliła światło.

Andrzej wszedł na klatkę schodową starej kamienicy. Mimo upływu lat nadal panowała tu atmosfera przedwojennej mieszczańskiej sytości. Marmurowe schody, solidna kuta w brązie poręcz zdobiona secesyjnymi wygibasami. Ruszył w stronę windy, otworzył metalowe drzwi i wszedł do ciasnej ażurowej klatki. Wcisnął guzik drugiego piętra. Winda szarpnęła, wydając metalowy zgrzyt, i ruszyła wolno do góry. Szybciej sam wspiałby się po schodach. Czy dawniej ludziom nigdzie się nie spieszyło?

Nim odpowiedział sobie na to pytanie, gdzieś na górze trzasnęły otwierane drzwi.

– Tylko wróć do domu przed zmrokiem – napominał męski głos.

– Dobrze, tato!

Rozległ się tupot nóg na schodach.

– I nie biegaj tyle, przecież masz astmę.

– Dobrze, tato!

– Pamiętaj, żebyś cały czas miał zapięty sweter.

– Dobrze, tato!

Zobaczył chłopca o płowej czuprynie. Właśnie rozpinął ostatni guzik.

– Jak wrócisz, wypij gorące mleko.

Tym razem zamiast odpowiedzi na dole trzasnęły drzwi klatki schodowej. Dojeżdżając na drugie piętro, zobaczył zamykające się drzwi mieszkania oznaczone numerem 13. Rzucił okiem na kartkę, jakby chciał się upewnić, że właśnie pod ten adres miał trafić.

– Żłota numer osiem, mieszkania trzynaście – wyrecytował mechanicznie.

„I nie biegaj tyle, przecież masz astmę – w myślach zabrzmiały mu niedawno usłyszane słowa. – Dobrze, tato!”

Windą szarpnęło i klatka zatrzymała się na drugim piętrze. Zamek cicho szczęknął i wypaczone drzwi samoistnie odchyliły się przed nim z cichym skrzypnięciem.

– Może tak właśnie powinno być? – mruknął zadowolony, że podjęto za niego decyzję.

Stanął przed drzwiami oznaczonymi numerem trzynastym. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, odbezpieczając pistolet. Wcisnął przycisk dzwonka. Rozległy się mechaniczne tony gongu wygrywającego melodię *What a Wonderful World*.

Lubił Armstronga. Zwłaszcza jego trąbka przyprawiała go o dreszcz, gdy...

– Pan do kogo? – Stojący w otwartych drzwiach mężczyzna spojrzał zdziwiony na Andrzeja.

– Przysyła mnie major Siejka. Miałem coś panu oddać. – Wyjął spod pachy tekturową teczkę z dokumentami. – Można? – spytał.

– Proszę.

Gospodarz cofnął się o krok, robiąc obok siebie przejście. Potem wskazał dłonią uchylone drzwi do pokoju.

– Panuje tam niełichy bałagan. Jutro wybieram się z synem w góry. Ale jeśli to panu nie przeszkadza...?

Rzeczywiście, wszędzie leżały wyjęte z szaf ubrania. Część była spakowana do dwóch walizek, reszta leżała na sofie i krzesłach.

Jelicz zdjął spodnie z najbliższego krzesła. Gdy znowu się odwrócił, zobaczył wycelowany w swoje czoło pistolet.

– Ale przecież... – zaskoczony zachłysnął się własną śliną.

Andrzej pociągnął za spust. Rozległ się stłumiony stukot, jakby ktoś uderzył trzepaczką w czyszczony dywan. Na czole Jelicza wykwitła krwawa plama.

– Myślałem, że pan... – drętwiejące wargi wyrzuciły zdziwione słowa z ostatnim westchnieniem. Upadł na kolana. Moment tkwił na klęczkach, by w końcu bezwładnie przechylić się na bok i niczym manekin zważyć na dywan.

Andrzej przez chwilę szukał wyrzuconej z magazynka broni łuski. Znalazł ją między skarpetkami w kolorowe bratki. Zabezpieczył pistolet i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Czy lekarz mógł przechowywać w domu przedoperacyjne fotografie Anny? Rozejrzał się dokładnie po mieszkaniu. Podszedł do szafy. Otworzył jej drzwi i zaczął przeszukiwać bieliźniarkę. Chwilę potem trzymał w dłoni szarą kopertę ze zdjęciami.

„Dlaczego – zadał sobie w duchu pytanie – ludzie zawsze traktują szafę jako najbezpieczniejszą w domu skrytkę?”. Nie starał się jednak znaleźć odpowiedzi.

Przyszło mu na myśl, że gdyby nie samootwierające się drzwi windy, ojciec i syn jutro pojechaliby na wakacje.

„A może to już gdzieś tam jest na górze wszystko zapisane, zaszufelkowane, podstemplowane i zatwierdzone?”

Złapał się na tym, że identyczne pytanie zadał sobie kilka godzin

wcześniej. Tylko że tyczyło się ono zupełnie czegoś innego.

Spróbował opanować drżenie dłoni. Nie bardzo mu się to udało. Wcisnął je głęboko do kieszeni. Zastanawiał się, czy wchodząc, nie dotykał jakichś przedmiotów. W porządku – wystarczyło tylko wytrzeć przycisk dzwonka.

Ruszył do wyjścia. Klamkę nacisnął łokciem, a drzwi zamknął za sobą nogą.

Winda czekała z uchylonymi drzwiami. Przetarł klamkę i przyciski pięt. Potem zatrzasnął nogą drzwi i zbiegł po schodach. Kiedy wyszedł na dwór, starał się nie patrzeć na grupę chłopców kopiących piłkę.

Ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Gdy wsiadał do środka, usłyszał za sobą wołanie:

– Tato...! Tato!

Poznał głos chłopca.

Wcisnął kluczyki do stacyjki i odpalił pośpiesznie silnik.

– Cholerna winda i pechowa trzynastka. – Splunął przez uchyloną szybę.

Nastawił głośno radio.

Anna przyglądała się w skupieniu swojej twarzy. Czy to była ona? Te same oczy, krój ust, zarys policzków... Coś w niej było odmiennego. Nie potrafiła jednak sobie uzmysłwić co.

– Partia taka sama, ale nie taka sama – zachichotała pod nosem, powtarzając slogan umieszczony na transparencie rozwieszonym przed jej blokiem.

Przesunęła palcem po niemal niewidocznej bliźnie pod podbródkiem.

„Jeśli będzie pani stosować się do zaleceń – usłyszała w myślach głos pielęgniarki – oraz stosowała przepisane kremy, wkrótce blizny pooperacyjne będą niemal niewidoczne”.

– Zatem do dzieła.

Odkręciła wieko słoiczka wypełnionego żółtą, niezbyt przyjemnie pachnącą, galaretowatą mazią. Ostrożnie umoczyła czubek palca i nabrała nieco tłustego kremu na opuszek. Zaczęła delikatnie wcierać go w podbródek.

W tym momencie zrozumiała, co z jej twarzą jest nie tak.

Oczy!

Nieruchome, smutno patrzące. A przecież nie powinna być smutna. Miała

przy sobie kochającego mężczyznę. Kiedy pytała go, czy skoczyłby dla niej z mostu do Wisły, podobne pytanie zadała samej sobie.

Czy skoczyłaby?

Zrobiłaby to bez wahania!

On był jej światem i oddechem. Każdego dnia niecierpliwie czekała nocy, kiedy wreszcie otoczy ją silnym ramieniem. Wtulając się w niego, wsłuchiwała w miarowy oddech, który stawał się jej oddechem, przynoszącym pewność, że jeszcze wszystko się ułoży, że choroba jest bez znaczenia, że prócz ich miłości nic nie jest ważne.

Szczęknął klucz w drzwiach wejściowych. Zgasiła stojącą przy lustrze lampkę, która oświetlała jej twarz.

– Kochanie – głos Andrzeja był pełen troski, a zarazem czułego zniecierpliwienia. – Aneczko, gdzie jesteś?

– W łazience.

– Dlaczego siedzisz po ciemku? Stało się coś?

– Wszystko w porządku.

– Na pewno?

– Nie zapalaj światła.

– Masz taki poważny głos.

– Zdjęłam bandaż.

– Nie za wcześnie?

– Była pielęgniarka.

Staął za jej plecami i delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

– Chcesz zobaczyć?

– Wiem, że jesteś śliczna.

– Chcesz?

– ...

– Czyli tak. – Sięgnęła do włącznika lampki. Zrobiło się jasno. – I co o tym myślisz?... Dlaczego nic nie mówisz?

– Jesteś piękna.

– Byłam brzydka?

– Śliczna, ale jakby trochę inna... Chyba będę się musiał znowu zakochać – zaśmiał się jakoś tak gardłowo, niczym chłopiec, który po raz pierwszy pocałował dziewczynę.

– Znowu zakochać...? Wiedziałam, że jesteś podłym bigamistą.

Pocałował ją w szyję.

– Nic nie czujesz?

– Nastawiłaś coś w kuchni?

– Myślałam o swoim zapachu.

Pochylił się i głośno pociągając nosem powiedział:

– Coś jakby zioła. Nawet przyjemnie pachną. Zmieniłaś perfumy?

– Wiesz – odwróciła się do niego z uśmiechem – czasami się zastanawiam, czy używanie perfum ma sens. Gdzieś czytałam, że męski zmysł powonienia jest na tyle kaleki, że potrafi rozróżnić jedynie kilka podstawowych zapachów. Przeważają w nich te, które dolatują z kuchni. I powiem ci jeszcze, że...

Pocałował ją delikatnie w usta.

– ... że kocham cię nad życie.

– Ja ciebie mocniej... Kupiłem ciastka u Bliklego.

– Więc udawałaś, że nie pamiętasz, że dziś będę mogła zdjąć...

– Udawałem.

– Potrafisz mnie łatwo oszukać. – Zrobiła nadąsaną minę. – To może być niebezpieczne.

– Chyba tylko dla mnie. – Usiadł rozbawiony na kanapie. – Musiałbym pamiętać dziesiątki naszych rozmów, twoich chwilowych kaprysów i drobnych sprzeczek. Nie mam do tego, najmilsza, głowy.

– Więc nic nie pamiętasz z tego, o czym do tej pory rozmawialiśmy?

– Nie łap mnie za słówka. Pójdę do kuchni zrobić herbatę.

– Pamiętasz chociaż, że nie słodzę?

– I nie znosisz wrzątku.

Andrzej nastawił w kuchni czajnik. Sięgnął po dwa kubki. Do każdego wrzucił torebkę z herbatą. Z kieszeni marynarki wyjął fiolkę z pastylkami. Jedną wrzucił do kubka Anny. Chwilę dokładnie mieszał, aby się rozpuściła.

Anna postanowiła tego dnia wyjść do miasta. Nie powiedziała o tym Andrzejowi, bo z pewnością znalazłby tysiące przeszkód i zdroworoządkowego tłumaczenia, które powinno ją przekonać do pozostania w mieszkaniu.

Umówiła się z dziewczynami na kawę w Śródmieściu.

– To ty jeszcze żyjesz – zaśmiała się do słuchawki Olga. – Nawet nie wiesz, jakie fantastyczne plotki krążą o tobie w Bristolu.

– Jakie?

– No, że poderwałaś obleśnie bogatego Angola i teraz mokniesz gdzieś w Tuten cham, albo Tamten cham. – Helena i Elwira również radośnie zapiszczały do słuchawki, że nareszcie będą się mogły zobaczyć i poplotkować.

– Coś mi się obilo o uszy – Helena nie kryła ciekawości – że przeszłaś korektę urody. Może i ja zdecydowałabym się na drobne poprawki. Od dziecka wkurzały mnie te cholerne odstające uszy.

– Jesteś pokręcona.

– Nie bardziej od ciebie. Musisz dokładnie o wszystkim opowiedzieć.

– Elwira jak zwykle za dużo mówi.

– Daj spokój, nawet nie wiesz, jak się o ciebie martwiła.

– Okej, już nic nie mówię.

– Codziennie gadała, że powinnaś jeść to, a nie tamto. Pić takie i srakie soki. Ale jej tłumaczyłyśmy, że w końcu masz swojego chłopca, więc niech on dyga z siatami zakupów. Może nie mam racji?

– Jasne, że masz.

– No i git.

– Do zobaczenia, Helenko.

Potem zadzwoniła do matki. Po raz pierwszy od lat usłyszała w jej słowach troskę. Po raz pierwszy? A może wcześniej nie chciała jej usłyszeć? Umówiły się na obiad, gdy mała wróci z przedszkola.

Wcześniej postanowiła kupić córce kilka ładnych ciuszków.

– Nie zapomnij o rajstopach – przypomniała matka. – Te, które Monika teraz nosi, są prawie na wykończeniu. Ostatnio jest trochę podziębiona, więc dobrze byłoby kupić ze dwie cieplejsze pary.

– A ty, mamo, jak się czujesz?

W słuchawce na chwilę zapadło milczenie. Jak dawno temu pytała matkę o zdrowie?

– Jak się czuję? – po drugiej stronie dało się wyczuć zdezorientowanie przemieszane z zaskoczeniem. – Mam już swoje lata, więc czasami... Ale jakoś sobie radzę.

„Mam już swoje lata...”. Właściwie to ile matka miała lat? Zaczęła pospiesznie przypominać sobie daty minionych uroczystości i rodzinnych rocznic. Na niewiele się to zdało.

– A jak, Aniu, u ciebie? Już doszłaś do zdrowia?

– Już wszystko w porządku. – Chciała jej tyle powiedzieć, ale nie potrafiła. Musi ponownie nauczyć się tak wielu rzeczy.

– A co u twojego narzeczonego? Przyjdziecie razem na obiad? Z chęcią poznałabym go bliżej.

W pierwszej sekundzie w głowie Anny zapaliła się czerwona lampka. Już raz matka ją wyswatała, po czym próbowała sterować jej małżeństwem.

– Andrzej cały dzień jest w pracy.

– Przyjdziecie razem, kiedy uznacie za stosowne. Do zobaczenia, córeczko.

– Do zobaczenia... mamo.

Dzień był słoneczny. Kiedy wyszła z klatki schodowej, poczuła na policzkach ciepły powiew wiatru. Kiedy wreszcie przyjdzie wiosna? Spojrzała na bezlistne konary drzew.

– Witam, pani Aniu. – Sąsiad mieszkający piętro niżej skłonił głowę. Nie lubiła tego kurdupla, który za każdym razem ślinił się na jej widok. Nie darzyła również sympatią drepczącej obok niego zwalistej żony. – Dawno pani nie widzieliśmy.

– Owszem.

– Ale, nieprawdaż, ładny mamy kraj...

– Trafnie pan to ujął. Miłego dnia.

– Do widzenia.

Sąsiedzi ruszyli w stronę osiedlowego sklepu.

– Widziałeś, jak się dziś wypindrzyła? – warknęła oburzona grubaska.

– Kto?

– No, ta z drugiego piętra.

– Nie zauważyłem. – Drepczący obok mąż uśmiechnął się nieszczerze.

– Mówię ci, że z niej musi być lepsze ziółko.

– Ależ co też, Marzenko, mówisz. Podobno to jakaś urzędniczka.

– Porządna kobieta ma męża i dzieci.

– Widocznie nie ma szczęścia w miłości.

– Ja tam wiem swoje.

– Oczywiście, Marzenko. Oczywiście.

Czyściel usiadł w fotelu, rozkładając przed sobą gazetę. Jego wzrok

przykuła pierwsza strona „Ekspressu Wieczornego”, który kupił dzisiejszego popołudnia.

Tajemniczy mord na warszawskim Żoliborzu – przeczytał nagłówek. – Wczoraj w godzinach popołudniowych dyżurny żoliborskiej komendy został powiadomiony o śmierci znanego chirurga Ryszarda Jelicza.

– Wszystko wskazuje na to – czytał półgłosem – że mamy do czynienia z wyrokiem, który wykonał wynajęty zabójca. Sugeruje to sposób dokonania zbrodni. Jedna z przyjętych przez milicję wersji zakłada mafijne porachunki, które w ostatnim czasie...

Odłożył gazetę. Co go obchodzą gangsterskie strzelaniny? Czas najwyższy, żeby milicja bardziej przyłożyła się do roboty.

– I pomyśleć – westchnął głośno – że jeszcze niedawno w tym kraju było tak bezpiecznie.

Zmiał gazetę i głęboko wcisnął do kosza na śmieci.

Anna wsiadła do stojącego na parkingu samochodu. Kiedy zajęła miejsce za kierownicą, zerknęła w lusterko wsteczne. Widocznie nie zmieniła się tak bardzo, skoro poznali ją sąsiedzi.

Dwadzieścia minut później zatrzymała się przed Peweksem w Alejach Jerozolimskich. Kiedy podeszła do drzwi, zobaczyła zatkniętą za szybę kartkę z informacją, że jest dezynsekcja lokalu. Zajrzała przez szybę. Na podłodze siedziało dwóch robotników, którzy jedząc odwinęte z papieru kanapki, popijali je piwem.

Przypomniała sobie, że nieopodal jest sklep z dziecięcymi ubrankami. Może będzie miała szczęście i tam coś trafi?

Kiedy zatrzymała się przed wystawą, zobaczyła ładną sukienkę. Nie jest tak źle. Weszła do środka. Sklep był pusty. Za ladą siedziała smutna sprzedawczyni, wpatrzona w siebie tylko znany punkt. Kilka nagich manekinów, stojących za jej plecami, miało podobny do niej pusty wzrok.

Doszła do lady. Dopiero kilka sekund później została dostrzeżona przez sprzedającą.

- Chciałabym kupić rajstopki. – Anna próbowała zmusić się do uśmiechu.
- Nie ma.
- Na sześciolatkę.
- Nie ma.

- Musi mieć pani ciężką pracę.
- Niby dlaczego.
- Cały dzień powtarzać w kółko to samo...
- Pani przyszła filozofować czy coś kupić?
- A te bluzeczki?
- Które?
- Za panią.
- Duże rozmiary. Ale jak podwinie pani rękawki... Z tyłu można też zrobić fałdkę i spiąć agrafką... Będzie jak ulał na dwunastolatkę.
- Mówiłam o sześciolatniej dziewczynce.
- To nie ma.
- A te ubranka? – Podeszła do wystawy, wskazując na jedną z kolorowych sukienek.
- Co na wystawie, to na wystawie. A co w sklepie, to w sklepie. Jak pani chce, to mogę tylko...
- Anna nie słyszała już, co mówi do niej ożywiony manekin. Poczowała, jak rozpalony młot uderza ją w pierś. Przed wystawą przeszedł Andrzej z kobietą, która czule obejmowała go w pasie.
- Pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy, to żeby wybiec i... Nie potrafiła ruszyć się z miejsca. Zdrętwiała patrzyła, jak tamta gubi dłonie we włosach Andrzeja, przyciąga jego głowę ku swojej i namiętnie całuje w usta. Chwilę potem oboje ruszyli w stronę Marszałkowskiej.
- Jak się pani podobają rzeczy z wystawy – usłyszała za plecami – to proszę przyjść pojutrze. Wtedy zmieniamy dekorację.
- Wybiegła na ulicę, nie mogąc oderwać oczu od pleców odchodzących.
- „A może to tylko ktoś do niego podobny?”
- W myślach usłyszała własny szyderczy śmiech.
- „Jesteś głupią dziwką, która ponownie dała się nabrać na czule słówka”.
- „To nieprawda”.
- „Po co się oszukiwać?”
- „Może wszystko będzie można wyjaśnić”.
- „Po co bronisz skurwiela? To zwykły chuj na kaczych nogach”.
- Zamknij się – krzyknęła głośno, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.
- Pani coś do mnie mówiła? – Przechodzący obok mężczyzna spojrzał na nią zdezorientowany.
- Przepraszam, to nie było do pana.
- Podbiegła kilkadziesiąt metrów, by nie stracić ich z oczu. Zupełnie nie

zważali, że ktoś może ich zobaczyć. To ją zbiło z tropu.

Przypomniała sobie wpadkę Heleny, która zanurzyła głowę jakiegoś koczokodana w muszli klozetowej.

– Byłam pewna, że ta lafirynda rwie twojego chłopca – tłumaczyła jakiś czas później z wypiekami na twarzy. – A tu wyszło, że on ma taką krzywą robotę. Teraz – skończyła zdecydowanie – jak nawet zobaczę Andrzeja nago z jakimś wycieruchem w łóżku, to grzecznie okryję ich kołderką i udam, że mnie tam w ogóle nie było.

„Przyjrzyj im się dokładnie. Tak zachowują się zakochani. Ślinią się co dwadzieścia metrów. Jeszcze chwila, a przeleci ją na najbliższym przystanku autobusowym”.

„Może takie właśnie ma zadanie?”

„Albo jesteś ślepa, albo głupia!”

Idący przodem doszli do Parku Saskiego, przysiedli na jednej z ławek i zaczęli karmić chlebem zziębnięte kaczki.

Co teraz powinna zrobić?

Wrócić do domu?

Kupi gorzałę, skuje się i zapomni o wszystkim...

Tylko na jak długo?

Moment później zobaczyła nadchodzącego chłopaka. Miał ze dwadzieścia lat.

– Może mi pan pomóc? – wykrzywiła usta w bolesnym grymasie. – Czuję się jakoś dziwnie. Trochę mi słabo.

– Może pomogę pani dojść do ławki?

– Nie, nie. – Chwyciła go mocno pod ramię. – Proszę podprowadzić mnie kawałek przez park do ulicy. Tam złapię taksówkę.

– Przez park? – zdziwił się. – Tędy będzie bliżej.

– Wolę przez park. Świeże powietrze doda mi sił.

– Jeśli tak pani uważa.

– Proszę mnie objąć w talii. Dziękuję, tak czuję się pewniej.

Anna pociągnęła za sobą chłopaka, który zbaraniał, nie bardzo wiedząc, kto kogo prowadzi. Kiedy byli już blisko, Andrzej nawet ich nie zauważył. Powinna coś szybko wymyślić. Tylko co? W momencie gdy się zrównali, Anna położyła głowę na ramieniu chłopaka i zaśmiała się głośno.

– Naprawdę?... To niesamowita historia. Jesteś wspaniałą...

Chłopakowi przyszło do głowy, że wisząca na jego ramieniu kobieta to wariatka i najlepiej zacząć rozglądać się wkoło, czy przypadkiem w pobliżu

nie znajduje się karetka, z której właśnie dała nogę. Z przypuszczeniem tym kłóciła się doskonale skrojona sukienka i obezwładniający go zapach piżma.

„A może ona na mnie leci? – Ponownie spojrzął na kobietę kątem oka. – Z pewnością jest trochę starsza, ale z drugiej strony, jeśli wziąć pod uwagę całokształt... Hmm, niczego sobie”.

– A może wpadniemy do mnie? – szepnął do niej.

– Do ciebie?

– Mam oddzielny pokój w akademiku – rzucił dumnie, jakby właśnie opowiadał o nabyciu willi na Lazurowym Wybrzeżu.

Anna zwolniła uścisk i pociągnęła go w stronę ulicy.

– Wolny pokój? – zawołała nienaturalnie głośno.

– A w przyszłym roku obiecano mi w kwaterunku kawalerkę.

– Chyba trafiłam – zatrzepotała płochliwie powiekami – na prawdziwego farciarza.

– Więc jak?

– Z czym?

– No, z akademikiem.

– Umówmy się na dziś wieczór.

– Super.

– Ale wcześniej przywołaj taksówkę. – Puściła jego ramię.

Wybiegł na ulicę, niemal zmuszając taksówkarza do zatrzymania się.

– Co jest, pacanie? – Rozeźlony kierowca wychylił się przez otwartą szybę. – Życie ci niemiłe?

– Kobieta zasłabła!

– To wołaj pogotowie, a nie taxi.

– Trzeba ją odwieźć do domu.

– Ja właśnie jadę do domu, gdzie żona czeka z obiadem.

– Ale...

– Dam ci, człowieku, dobrą radę. Idź do PKO i weź te drobne, które twoi starzy uskładali przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Potem zapychaj do Polmozbytu. Tam kup sobie najnowszego poloneza. Wtedy będziesz mógł odwieźć swoją damę choćby do Szczecina, gdzie jest złomowisko tych gruchotów.

Nieoczekiwanie kierowca usłyszał za sobą otwierane drzwi.

– Co jest? – krzyknął zdezorientowany

– Na Saską Kępę. Płacę poczwórnice.

– Jak sobie szanowna pani życzy.

Chłopak uskoczył na chodnik przed ruszającym samochodem.

– Poczekaj – zawołał. – Zapomniałaś wziąć mojego adre...!

Nie dokończył, gdyż ktoś chwycił go za kurtkę i obrócił. Zobaczył przed sobą wściekłą twarz mężczyzny. Już gdzieś go widział. Prawda, to ten gość siedzący na ław...

– Posłuchaj mnie uważnie, matołku – zaciskający dłonie na jego kurtce facet niemal wypluwał mu słowa w twarz. – Jak jeszcze raz zobaczę cię w pobliżu tamtej kobiety, to wyrwę ci jaja, a potem wepchnę je do gardła. Czy zrozu...

Tym razem Andrzej nie dokończył. Stojący na wprost chłopak zrobił przekładkę z jego ramionami, potem gwałtownie okręcił się w prawo, rzucając go przez biodro. Andrzej przez sekundę leżał na chodniku, nie bardzo wiedząc, co się z nim stało.

– Posłuchaj uważnie, matołku – prychnął gniewnie chłopak. – Zawsze robię to, na co mam ochotę, i żaden frajer nie będzie mi mówił, co i jak.

Andrzej powoli wstał.

– W takim razie muszę ci nakopać do dupy.

Chłopak próbował użyć poprzedniej sztuczki. Jednak atakowany zablokował go i efektywnym rzutem na bark pociągnął za sobą. Zza kurtki chłopaka wysypały się ulotki sygnowane znakiem Solidarności. Przekoziołkowali po chodniku i Andrzej trzymał już w kleszczach leżącego pod nim chłopaka.

– Niezły z siebie podrywacz – sapnął wściekły Andrzej. – To ty rozklejasz to coś po murach?

– Chcesz mnie zakapować?

Gdzieś z boku rozległy się milicyjne gwizdki.

– Zapamiętaj, że masz o tej kobiecie zapomnieć. Zrozumiałeś? – Nie zwolnił uścisku, dopóki chłopak nie kiwnął głową, że zrozumiał. – A teraz – Andrzej poderwał się na nogi – spierdalamy, żeby nas nie aresztowano.

Po powrocie do domu Anna zrzuciła z siebie ubranie i weszła pod prysznic. Musiała się rozładować. Rozkręcała na przemian to ciepłą, to zimną wodę. Za każdym razem, gdy smagała ją gorąca lub lodowata woda, krzyczała głośno, próbując wyrzucić z siebie targającą nią wściekłość i niewypowiedziany żal, że jej Andrzej obściskiwał się z jakimś tlenionym

tłumokiem.

Jak mógł to zrobić? Przecież bezgranicznie mu ufała. W zamian on wycina jej taki numer. To nie była jakaś tam dupencja, która wiesz się facetowi na ramieniu i próbuje go zainteresować głupim szczebiotem. Widziała oczy tamtej suki. Zobaczyła w nich wszystko. Tak spoglądają kobiety, które wiedzą, że mają faceta na własność.

Chwyciła butelkę z szamponem i cisnęła nią o ścianę. Plastik odbił się i boleśnie ugodził ją w ramię.

Najbardziej wkurwiało ją to, że zrobiła z siebie idiotkę, odgrywając komedię z jakimś chłystkiem. Zamiast tego powinna była podejść i wyrznąć koczkodana prawym sierpowym w szczękę.

Chociaż, czy ta kobieta była czemuś winna?

Wyszła spod prysznicza i przeszła do pokoju, zostawiając za sobą plamy skapującej z niej wody. Rzuciła się na sofę. Moment później poderwała się na nogi i zaczęła drzeć leżącą na stoliku obok gazetę. Potem z całej siły kopnęła poduszkę, która spadła z sofy.

Wróciła do łazienki i nałożyła szlafrok.

A tak solennie sobie obiecywała, że już żaden facet nie namiesza jej w głowie. Co się z nią stało? Dlaczego tak łatwo dała się podejść?

– Bo jesteś głupią kurwą – krzyknęła na głos.

Nieoczekiwanie usłyszała wkładany do zamka klucz. Pobiegła do kuchni i pospiesznie wyjęła kubek i herbatę. Nastawiła czajnik na wodę. Gdy zapalała gaz, w drzwiach stanął Andrzej.

– Co dzisiaj robiłeś? – rzuciła obojętnie, starając się stłumić narastającą w niej agresję.

– Byłem w pracy. Potem... jechałem samochodem i zobaczyłem, jak umizgujesz się do jakiegoś dupka.

Tego już było dla niej za wiele. Odwróciła się, ściągając z palca pierścionek. Potem cisnęła mu go w twarz

– Ty kłamco! W dupę sobie wsadź to świecidełko „prosto z serca”! Widziałam, jak obściskiwałeś się z jakąś wyliniałą lafiryndą.

– Ależ, kochanie...

– Nie mów do mnie kochanie! – krzyknęła histerycznie. – Nie jestem żadnym twoim kochaniem. Słyszysz! Nie jestem, i basta!!!

W tej sekundzie otworzyła najbliższą szafkę. Chwyciła talerz i cisnęła nim w stojącego w progu Andrzeja. Zrobił unik i gdzieś w pokoju rozległ się brzęk rozbijanego o ścianę szkła.

To ją rozsierdziło jeszcze bardziej. Talerze, spodeczki i filiżanki leciały jedno za drugim w stronę wycofującego się do przedpokoju Andrzeja. Wreszcie trzasnęły drzwi wejściowe.

Anna stała dłuższą chwilę, spoglądając na skorupy rozrzucone po mieszkaniu. Wytlukła niemal cały serwis. Spojrzała na ostatni talerz, który trzymała w ręku.

– I gdzie ja teraz kupię taki ładny komplet? – krzyknęła do drzwi wyjściowych i cisnęła w nie porcelaną.

Przysiadła na oparciu sofy, ciężko dysząc. Między rozbitymi skorupami dostrzegła błyszczący pierścionek. Schyliła się po niego.

– A miał być od serca – cicho chlipnęła i ponownie rzuciła go na podłogę.

Podeszła do okna i dyskretnie wyjrzała zza firanki.

Andrzej stał pod domem, coraz to spoglądając w górę.

Może rzeczywiście był w pracy, a to babsko tylko tak na niego patrzyło. Pies z nią tańcował.

„Chyba zacznasz go usprawiedliwiać”.

– Nikogo nie usprawiedliwiam.

„Czyżby?”

– Musi przyjść i wszystko wyjaśnić.

„Już był, ale go przegoniłaś”.

– Korona mu z głowy nie spadnie, jak przyjdzie raz jeszcze.

„A jak nie przyjdzie?”

– Kocha, więc wróci.

„Może napuścić na niego dziewczyny. Niech trochę za nim pochodzą”.

– Gównu, gównu, gównu! Nie będę się zniżać do takich metod.

„Lepiej wiedzieć, niż nie wiedzieć?”

– Gównu!

Ktoś zapukał do drzwi.

On był na dworze, zatem...?

Na korytarzu stała mieszkająca obok sąsiadka. Wskazała wzrokiem na zamek.

– Zostawiłaś klucze.

– To nie moje... Nieważne... Wejdiesz na herbatę? Zostały mi jeszcze dwie całe filiżanki – próbowała zadzwonić.

Kiedy usiadły za stołem, sąsiadka kiwnęła smutno głową.

– Ja też kiedyś się na mojego zdenerwowałam. Byliśmy dopiero co po ślubie. Na jego nieszczęście pod ręką miałam tylko żeliwny garnek. Jak go

palnęłam, to stracił przytomność i cały dzień nie mógł do siebie dojść.

– Mogłaś go zabić.

– Myślę, że nie tylko ja. – Teresa spojrzała na skorupy zalegające podłogę.

Potem obie wybuchnęły niepohamowanym śmiechem.

– Pójdę już. Chłop niedługo wraca z pracy, a tu obiad jeszcze niegotowy.

– A ja wezmę się za sprzątanie.

Sąsiadka schyliła się, podnosząc fragment rozbitej filiżanki.

– Szkoda takiej ładnej zastawy.

– Jeżeli tylko tyle ma kosztować nauka, to wychodzi całkiem tanio.

– Rzeczywiście. Na to nigdy nie warto żałować.

Kiedy została sama, poszła do kuchni po zmiotkę i szufelkę. Potem dokładnie wymiotła wszystkie kąty i zakamarki.

Zadzwoił telefon. Wstała z klęczek i podeszła do aparatu.

– Halo.

– Kocham cię – usłyszała głos Andrzeja. – Musisz mi uwierzyć.

– Nic nie muszę.

– Kiedy się zobaczymy?

– Zadzwoń jutro – odłożyła słuchawkę.

Zobaczyła przy nodze stołu pierścionek. Wzięła go do ręki i chwilę mu się przyglądała. Potem wsunęła na palec serdeczny.

Sulimowicz wyszedł ze swojego gabinetu i ruszył pustym korytarzem. Zza jednych z zamkniętych drzwi doleciał dźwięk zegara wybijającego drugą w nocy.

„Już tak późno?” – pomyślał i przetarł dłonią oczy.

Niedługo wyśpi się za wszystkie czasy.

Wcisnął guzik przywołujący windę. Chwilę później wszedł do środka i zaczął zjeżdżać na poziom minus dwa. Dostrzegł w lustrze swoje zmęczone odbicie. Mimo to uśmiechnął się do siebie. Jeszcze chwila i będzie na finiszu.

Pomyślał o tym biednym głupku, Siejce. Smętny frajer. Czy z tego, co się wokół dzieje, cokolwiek do niego trafiało? Wątpliwe. Przypomniał sobie jego wczorajszą wieczorną wizytę.

– Wejdźcie, nie stójcie tak w progu

Godzinę wcześniej wezwał Siejkę do siebie, podając mu domowy adres.

– Otworzy wam gosposia – poinstruował. – Powiecie, że przyszlście do mnie z dokumentami, to wskaże wam drogę do gabinetu.

Kiedy odłożył słuchawkę, otworzył szufladę, z której wyjął portfel.

„Właściwie – zadał sobie w duchu pytanie – czy cokolwiek powinienem dawać temu mułowi?”

I tak z pewnością nie domyśla się, czemu to wszystko służy.

Z drugiej jednak strony...

Otworzył portfel i wyjął z niego pięć studolarowych banknotów.

Pięć...? Nie za dużo? Za sto zielonych czteroosobowa rodzina miała się przez miesiąc całkiem dobrze. Odłożył sto na bok.

Cztery...? Samotny facet... Z pewnością zaraz poleci do peweksowskiego monopolu. I tak mu nie będą smakowały zachodnie koniaki. Czysta jest najzdrowsza. Odłożył kolejną setkę.

Trzysta...? W końcu obiecał załatwić mu sanatorium w Soczi. Plaża, dobre jedzenie, słońce, ciepłe morze. Jak nie zapomni, powie sekretarce, by wyszukała coś w resortowej puli wypoczynkowej. Odłożył setkę na bok.

Dwieście...? Na pewno dwieście było aż nadto, ale w końcu niech wie, że ma sprawiedliwego przełożonego, który nie zapomina o podwładnych.

Major stawiał się w willi punktualnie.

– Siadźcie. – Sulimowicz wskazał fotel ustawiony nieopodal biurka. – Może macie ochotę czegoś się napić? – Wykonał nieokreślony ruch ręką. – Woda sodowa? Sok? A może coś mocniejszego? – Próbował przyjacielsko się uśmiechnąć. – Ku pokrzepieniu serc?

– Nie chcę przeszkadzać. – Siejka, uparcie tkwiący w progu, był najwyraźniej speszony. – Towarzysz generał ma tyle pracy...

– Fakt, ale, jak to mówią, pracy nie przerobisz, a i dziewczyny nie przekochasz. – Wskazał na białą kopertę opartą o lampkę. – To dla was, za waszą ciężką pracę. Partia wam nigdy tego nie zapomni.

– Ku chwale ojczyzny.

– I ojczyzna, rzecz jasna, też... Kupcie sobie coś za to albo wpłaćcie na książeczkę Pekaó.

Siejka postąpił kilka kroków do przodu i sięgnął po kopertę. Nim jednak zamknął na niej palce, Sulimowicz wychylił się ze swojego miejsca i przytrzymał jego dłoń.

– Nie zapominajcie jednak o tajemnicy służbowej. Niektórzy myślą, że

gmach Polski Ludowej się wali, i już teraz zaczynają mieć długie języki.

– Ależ ja...

– Chciałem tylko przypomnieć, zwłaszcza że ludzka pamięć jest bardzo krótka... Nawet dla tych, którzy zostali pochowani na Powązkach w Alei Zasłużonych.

Sulimowicz wrócił na poprzednie miejsce, przybierając minę dobrego wujka z Ameryki, a Siejka cofnął się do drzwi.

– Ja właśnie chciałem zapewnić towarzysza gene...

– I za to właśnie was szanuję...

– Mogę tylko powiedzieć, że jestem zaszczycony, że obdarzono mnie tak wielkim zaufaniem.

– Słusznie... Zostaliście obdarzeni. A wy nie zawiedliście pokładanego w was zaufania.

Siejka miał ochotę rzygnąć, słysząc te wyświechtane frazesy. W telewizorze mógł przynajmniej wyłączyć fonię. Tu zaś musiał słuchać tego socjalistycznego pierdolenia niemającego odrobiny ładu i składu.

– Jeszcze raz dziękuję, że towarzysz generał pozwolił mi przysłużyć się...

– Oczywiście, oczywiście...

– Odmeldowuję się. – Siejka strzelił obcasami i wykonał przepisowy w tył zwrot.

– Tylko zamknijcie za sobą dokładnie drzwi.

Winda wreszcie zatrzymała się z cichym skrzypieniem automatycznie rozsuwających się drzwi.

Sulimowicz przeszedł kilka metrów i zatrzymał się przed stalowymi drzwiami. Zerwał zawieszoną na nich plombę i przekreślił klucz w zamku. Zapalił światła. Przeszedł krótkim korytarzem i doszedł do miejsca zajmowanego przez Siejkę. Jak zwykle przy biurku leżał brezentowy worek wypełniony aktami.

Za każdym razem, gdy major kończył kopiowanie kolejnej partii materiałów, wrzucał akta do przygotowanego zawczasu worka. Gdy ten był już pełny, dzwonił na bezpośredni numer Sulimowicza. Wymieniał swoje imię, nazwisko i odkładał słuchawkę. Kilkanaście godzin później, w nocy, generał zjeżdżał do podziemi.

Sulimowicz wolał tę pracę wykonywać sam. Tylko wtedy mógł mieć

stuprocentową pewność, że archiwalia rozpląną się w niebycie.

Ten worek miał być ostatni. Przysunął sobie nogą krzesło i przysiadł na brzegu. Z uwagą obejrzał biurko i stojący na nim ubiegłoroczny kalendarz z roznegliżowaną panienką. Kolory na fotografii spłowiwały. Na patrzącego spoglądała trupio szara twarz, nęcąca zielonoburymi cyckami.

Otworzył szufladę i koniuszkiem palca zaczął przesuwając znajdujące się w środku papiery. Najczęściej były to zabazgrane niewyraźnym pismem kartki. Na kilku generał dostrzegł nieporadne rysunki nagich kobiet z dokładnie odtworzonymi narządami rodnymi.

„Musi być z niego niezły świntuch – przemknęło mu przez głowę. Kiedy odsunął ostatnią kartkę, zobaczył suchy kawałek niedojedzonej kanapki. – I brudas”.

Zamknął szufladę, starannie wycierając palec o nogawkę spodni. Dźwignął worek. Zgasił za sobą światło i wrócił do windy. Zamknął drzwi prowadzące do archiwum i opieczętował je plombownicą. Zaciągnął worek do windy.

Chwilę potem zatrzymał się na parterze. Wyszedł bocznymi drzwiami na wewnętrzny dziedziniec, gdzie stał zaparkowany jego samochód. Mżył drobny deszcz ze śniegiem. Generał wrzucił do bagażnika worek z aktami. Usiadł za kierownicą i po chwili zatrzymał się przed szlabanem, przy którym stał wartownik.

Milicjant schylił się, by zobaczyć twarz kierującego. Gdy poznał Sulimowicza, wyprężył się na baczność i podniósł stalową belkę.

Zgodnie z przepisami powinien był pokazać wartownikowi legitymację służbową. Kilka lat temu taki jeden próbował go do tego zmusić. Chyba do dziś przeklina dzień, kiedy tak głupi pomysł przyszedł mu do głowy.

Mimo wszystko było mu szkoda stracić to, do czego doszedł przez tyle lat. W sumie pieniądze nie grały tu największej roli. Miał ich na swoje potrzeby aż nadto. Był kimś. Jedni prężyli się przed nim, oddając honory. Sekretarka dbała, by codziennie rano miał na biurku zaparzone zioła. Inni czekali tylko, by łaskawie zwrócić na nich uwagę. Kierowca stawiał się na każde wezwanie.

Chociaż, gdy będzie już na Zachodzie... Mając pieniądze, nadal będzie miał wszystko.

– Tylko że – sapnął – w sto razy lepszym gatunku.

Dwadzieścia minut później zatrzymał auto przed domem. Ciągnąc za sobą po ścieżce worek z aktami, doszedł do drzwi wejściowych. Kiedy już znalazł się w środku, zszedł schodami do piwnicy. W rogu jednego z pomieszczeń suterenu stał stalowy piec.

Zapalając jedne akta od drugich, po kolei wrzucał je na ruszt. Obojętnie patrzył na skręcające się w żarze kartki. Kiedy ostatnia teczka się zwęgliła, wybrał dokładnie szufelką z pieca całą zawartość. Upewnił się, czy nie ma niedopalonych resztek.

Wreszcie wiadro z popiołem zalał wodą i wszystko wlał do ścieku połączonego z miejską kanalizacją.

Anna siedziała bez ruchu na kanapie, wpatrując się w tarczę wiszącego na wprost zegara. Jak długo? Bezmyślnie śledziła przesuwającą się wskazówkę sekundnika, która rytmicznie wykonywała kolejny obrót.

Na dworze powoli zapadał zmierzch. Wnętrze mieszkania pociemniało i po pewnym czasie zegar znikł w ciemnościach, zaznaczając jedynie swą obecność cichym tykaniem.

Powinna wstać, zapalić światło...

Tylko po co?

Ile jeszcze zostało jej życia? Rok...? Zaledwie miesiąc...?!

Kiedy to ją spotka? We śnie czy jak będzie szła ulicą?

Bała się cierpienia.

Zacisnęła mocno usta, żeby nie krzyczeć.

Bała się. Tak strasznie, tak przerażająco boleśnie...

Była sama, i tak już zostanie do końca.

Andrzej...? Znajdzie sobie inną kobietę. Córka i tak jej nie pamięta. Matka? Chyba jej nienawidzi. Została sama i niczego już nie jest w stanie zmienić.

Ktoś zapukał do drzwi.

Kolejny roznosiciel reklamowego śmiecia?

Wyłowiła z ciszy odgłos przesuwającego się sekundnika. Jego tykanie było kołem ratunkowym, które jeszcze utrzymywało ją na powierzchni. Było czymś jedynym i realnym. Prawdziwym dowodem, że nadal jest, że może jeszcze oddychać, że niedawno kochała, że tak bardzo pragnie żyć, że...

Ponowne pukanie. Tym razem głośniejsze, bardziej natarczywe. Zza drzwi dobiegł głos Elwiry.

– Wiem, że jesteś w domu.

Anna podciągnęła nogi pod brodę i obejmując je mocno ramionami, cicho szepnęła:

– Nie ma mnie...

– Proszę... Wpuść mnie.

Znowu pukanie. Zatkala dłońmi uszy. Dlaczego nie zostawią jej samej? Przecież jej już właściwie nie ma. Już zaczęła odchodzić...

Elwira nie ustępowała, dobijając się coraz głośniejszymi stuknięciami. Nie mogąc znieść powtarzającego się stukania, poderwała się z kanapy. Podbiegła do drzwi. Otworzyła je i krzyknęła rozzłością:

– Dlaczego nie pozwolicie mi zostać samej?

Zobaczyła twarz Elwiry, wystraszonej, skulonej gdzieś w sobie, jakby proszącej o ciepły gest. W tym momencie zrozumiała, że przyszedł ktoś bliski, kto nigdy niczego od niej nie oczekiwał...

– Martwiłam się o ciebie... – szepnęła cicho. – Tak długo cię nie widziałam... Więc...

Anna zostawiła drzwi otwarte i wróciła na swe poprzednie miejsce na kanapie. Usłyszała za sobą kroki i Elwira położyła jej dłoń na ramieniu.

– Rzucił cię? – spytała.

Anna zaprzeczyła wolnym ruchem głowy.

– Więc nadal jesteś w chmurach?

Ponownie zaprzeczyła.

– Mogę zapalić światło?

Zaprzeczyła.

– Może zaparzę ci herbaty albo...

Zaprzeczyła.

– Powiedz, kto cię skrzywdził – Elwira usiadła obok niej – a wyrwę mu jaja i wepchnę je do gardła.

Niespodziewanie Anna poderwała się z miejsca. Skoczyła do ściany i zdarła z niej zegar. Moment później z mocą cisnęła go o podłogę.

– To tykanie rozsadza mi głowę.

Jęknęła jakaś sprężyna, a zębate trybiki rozsypały się z grzechotem po podłodze. Anna stanęła przed Elwirą. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

– Jestem chora – wydusiła z siebie.

W pierwszej chwili Elwira nie zrozumiała jej słów. Sądziła, że jej smutek wynika... Chora? To niemożliwe!

– Jak to?...

– Mam raka krwi.

Elwira zagryzła boleśnie wargi.

– Na pewno znajdzie się jakieś lekarstwo... Trzeba iść do lekarza... Mam

bardzo dobrego...

– Już byłam.

Nieoczekiwanie przyjaciółka wybuchnęła karcącym, a zarazem wojowniczym głosem. Chwyciła Annę za ramiona i potrząsnęła nią mocno.

– Musisz walczyć! Słyszysz?! Nie wolno się poddawać... Nie wolno...! Nie pozwalam...!!! On o tym wie?

– Andrzej?

– Mówi to samo, co ty.

Elwira wzięła Annę w ramiona. Nie chciała, żeby zobaczyła jej łzy. Nie chciała też, by usłyszała wyszeptane cicho słowa.

– Tylko że ja ciebie naprawdę kocham.

W salonie panowało przyjemne ciepło. Dyskretne światła kinkietów rozświetlały narożniki pokoju. Pachniało koniakiem rozlanym do kieliszków ustawionych przed siedzącymi w fotelach.

Zgromadzeni w środku trzech mężczyźni czytali z uwagą kopie maszynopisów.

– Jeszcze trochę – powiedział wolno Jastrzębski, nie odrywając oczu od tekstu – a władza posypie się do reszty.

– Prawdę mówiąc – Sulimowicz odrzucił kartki na stolik – mam to głęboko w dupie. Za miesiąc składam raport o przeniesienie w stan spoczynku.

– Ja już to zrobiłem. – Jastrzębski też odłożył kopie. – Zabawne, że sekretarka spytała mnie, czy mam jakieś plany na przyszłość.

– I co odpowiedziałeś? – spytał.

– Że wreszcie będę mógł się poświęcić temu, co lubię najbardziej.

– Dziewczynom? – próbował żartować Tabor.

– Grze w go. Powinieneś kiedyś spróbować. To rozwija szare komórki.

– Jak wynika z analizy – zmienił temat Tabor – Jaruzelski chce ubiegać się o prezydenturę.

– Szerokiej drogi. – Generał wzruszył ramionami. – Mając solidaruchów na karku, długo nie pociągnie. Zwróciliście uwagę na akapit na drugiej stronie? Ten z biura analiz Komitetu Centralnego. Wałęsa też ma apetyt na to stanowisko i zupełnie się z tym nie kryje.

– À propos apetytu. – Jastrzębski spojrział w stronę uchylonych drzwi do

jadalni. – Nie myślicie, że warto wreszcie coś przekąsić?

Sulimowicz dźwignął się z fotela i powiedział – Ja też zgłodniałem. – Podszedł do drzwi, lecz nim je otworzył, obejrzał się na wstających. – Słyszałem dziś niezły kawał. Do sklepu mięsnego wchodzi facet i widzi jedno pęto kiełbasy wiszące na haku. Nie wierzy własnym oczom, więc pyta dla pewności: „Czy to jest kiełbasa?”. „Ano, kiełbasa” – odpowiada ekspedientka. „Na ile?” – pyta klient. „Na osiedle”. „Po ile?” „Po plasterku”.

Śmiejąc się, zasiedli do stołu.

Siejka podkreślił potencjometr magnetofonu. Wkrótce śmiech umilkł, a jego miejsce zajął brzęk sztućców. Szkoda, że zapomniał zrobić sobie kanapkę. Od południa nie miał nic w ustach, a dochodziła już dwudziesta druga.

Przełknął głośno ślinę.

„Gdzie tu jest, kurwa, sprawiedliwość – przemknęło mu przez głowę. – Tamci teraz opychają się szynką, która z zaplecza milicyjnych konsumów nigdy nie trafiała do tłoczących się przed ladą kupujących”.

W słuchawkach rozległ się dźwięk dzwoniącego telefonu.

Sulimowicz spojrzał niechętnie w stronę aparatu. Kiedy dzwonek powtórzył się po raz czwarty, przełknął z westchnieniem kawałek pieczonego schabu.

– Sulimowicz.

Przez dłuższą chwilę słuchał z uwagą. Wreszcie bez pożegnania odłożył słuchawkę na widełki.

– Co jest? – Tabor spojrzał w jego stronę z nożem gotowym do pokrojenia leżącego na talerzu mięsa.

– Zaczęło się.

– Możesz jaśniej? – Jastrzębski otarł sos z kącików ust.

– Jaruzelski dał zgodę na demokratyczne wybory.

– Mówiłeś, że już ci to wisi. – Tabor odkroił duży kawał mięsa i w całości wpakował go do ust.

– Mogą mnie przetrzymać w resorcie kilka miesięcy dłużej.

Jastrzębski machnął lekceważąco ręką i powiedział:

– Mam doskonałego kardiochirurga. Wystawi ci takie zwolnienie, że palce lizać. Najważniejsze, że za parę dni wyjdzie z kraju ostatni przerzut z mikrofizjami.

Tabor chwilę walczył z niepogryzionym dokładnie mięsem. Wreszcie udało mu się je przełknąć.

Jastrzębski zamyślił się, bezwiednie dłubiąc widelcem w sałatce jarzynowej. Po kilku latach przygotowań wreszcie byli na finiszu. Dotąd tworzyli zgrany zespół. Przynajmniej łączył ich wspólny cel. Przed nimi ostatnie rozdanie. Czy któryś z siedzących przy stole nie chowa asa w rękawie?

Przez dłuższą chwilę w jadalni panowało milczenie. Każdy zadał sobie identyczne pytanie co Jastrzębski. Wszyscy wierzyli, że trzymają pozostałych w szachu. Kiedyś Sulimowicz nazwał to równowagą strachu.

Kiedy to było? Półtora...? Dwa lata temu?

– Każdy z nas ma coś na pozostałych dwóch – powiedział generał bez żadnych emocji. – Gdyby tak nie było, ten ktoś okazałby się grubym frajerem.

– Sugerujesz...? – Tabor nie dokończył, udając oburzenie.

– Nic nie sugeruję. Ja tylko stwierdzam fakt – odparł Sulimowicz.

– Przypuszczasz, że jestem szulerem, który...

– On tego nie musi myśleć – Jastrzębski przybrał ton głosu generała. – Jak człowiek pracuje przy gównie, to nie ma takiej siły, żeby się nim nie powalał. Taką wybraliśmy pracę, bo taka właśnie nam odpowiada. Wiemy, co jesteście warci, i to jest naszą przepustką do tego interesu.

– Mimo wszystko można to wyrazić w sposób bardziej oględny.

– Odkąd to zrobił się z ciebie taki delikates? – nie dawał spokoju Jastrzębski.

– Nie pozwolę – Tabor zaczął wypluwać głoski wraz ze śliną – żeby było jaki... no... szargał moją godność.

– O czym ty smęcisz? Godność wypierdoliłeś już na pierwszym roku politologii, kiedy zaczęłeś kapować na przyjaciół – krzyknął Jastrzębski.

– Nie byłeś ode mnie lepszy. – Taborowi najwyraźniej puściły nerwy. – W końcu to ty, przed moim ślubem, posuwałeś moją narzeczoną.

– O czym doskonale wiedziałeś, licząc na to, że załatwię ci posadę w Komitecie wojewódzkim – odparł Jastrzębski.

Sekundę później obaj poderwali się ze swoich miejsc, gotowi rzucić się na

siebie z zaciśniętymi pięściami. Nim jednak do tego doszło, usłyszeli śmiech Sulimowicza. Spojrzeli na niego, jakby był niespełna rozumu.

– Tobie też palma odwala? – warknął gniewnie Jastrzębski.

– Jak was słucham – generał z trudem wypowiadał słowa, krztusząc się ze śmiechu – to przypomina mi się pewien wieczór, gdy jeszcze byłem dzielnicowym. Zostałem wezwany do mieszkania, w którym zastałem dwóch pijaczków. Kłócili się, kto ma prawo dopić do końca butelkę.

– Że niby jak? – wypowiedzieli równocześnie.

– Jeszcze nic nie mamy, a wy już się bierzecie za łby. – Momentalnie spoważniał. – Skończcie wreszcie z tym pierdoleniem. – Sulimowicz miał już dosyć słownej przepychanki. – Zamierzamy zrobić interes. Duży. Megainteres, który ustawi nas do końca życia. Każdy z nas musi mieć gwarancję, że pozostali go nie wystawią do wiatru. I to jest w porządku. Mam rację?

Milcząc, skinęli głowami.

– Kontrolujemy w państwie przepływ informacji. Ty – wskazał na Tabora – wywiad wojskowy. Ty partię. Ja Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Każdy trzyma pozostałych za jaja. Kiedy będę miał swoją część forsy i mikrofisz, zapomnę, że kiedykolwiek was znałem.

Siejka od godziny wyrzucał sobie, że podsłuch założył tylko w gabinecie Sulimowicza. Gdyby tamci zamknęli drzwi do jadalni, nic by nie usłyszał.

– Mamy jeszcze do omówienia kilka spraw. – Sulimowicz miał zmęczony głos.

– Może zaczniemy od tego twojego... – Tabor zmarszczył czoło. – Jak mu tam?

– Siejski? – podpowiedział Jastrzębski.

– Siejka – poprawił generał.

– Powiedziałaś, że skończył robotę.

– Nie zrobił kopii?

– Niby jak? Przecież w tym zaszranym kraju brakuje nawet papieru do dupy. A wszystkie importowane materiały, w tym mikrofisz, są wydawane ze ścisłego rozdzielnika... Przeze mnie.

– I co dalej? – ziewnął Tabor.

– Już o nim myślałem – rzucił Sulimowicz.

- O Siejce?
- Nie. O Czyścielu.

Siejka nie zrozumiał sensu wypowiedzi generała. Nie znał żadnego Czyściera. Nazwisko brzmiało dosyć dziwnie. Nazwisko? A jeśli to pseudonim?

– Poczekajcie chwilę. – Zaskrzypiało przesuwane po podłodze krzesło. – Załatwię to od ręki.

Usłyszał kroki. Wyobraził sobie róg gabinetu i niewysoki stolik, na którym stał nowoczesny aparat telefoniczny. Rozległa się kombinacja krótkich pisków, gdy Sulimowicz wybierał numer.

– Nie mogę cię złapać, a sprawa jest pilna... Trzeba wyczyścić jednego głupka. Leon Siejka, Złota pięć, mieszkania dwanaście. Masz tydzień. I żeby nie został po nim nawet numer buta...

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

– Złota pięć, mieszkania dwanaście... – powtórzył bezwiednie Siejka, starając się przypomnieć, skąd zna numer tego mieszkania. Moment później uprzytomnił sobie, że to jego domowy adres.

Rozdział dwunasty

Andrzej wsłuchiwał się w oddech śpiącej obok żony. Równy. Miarowy. Nigdy nie czuł, by w czasie snu przekręcała się na bok. Zawsze budziła się w takiej samej pozycji, w jakiej zasnęła – na wznak, z rękami położonymi na poduszce za głową, niczym noworodek.

Kiedy się kładli tego wieczoru, poczuł zapach Chanel. Używała go zawsze, gdy miała ochotę się z nim kochać. Ponieważ robiła to niezbyt często, jeden flakon starczał prawie na rok.

Kiedy poczuł opiumowany aromat, zrobiło mu się niedobrze.

– Cio tak zbladłeś? – Przechyliła się nad nim, by zgasić lampkę nocną. To również należało do małżeńskiego rytuału. – No, cio się stało mojemu syneckowi?

Kurwa, jakżeż nienawidził dziecięcego seplenienia.

– Chyba jakaś kolka.

– Zaraz ci rozmasuję bzusek.

Zamiast to zrobić, wsunęła mu dłoń w spodenki, zaskoczona, że ich nie zdjął.

Zawsze udawała zaskoczenie i natychmiast nakazywała mu je ściągnąć. Potem zaczynało się ugniatanie i naciąganie.

Podczas pierwszej nocy poślubnej był przekonany, że zamierza mu urwać fiuta, żeby do końca życia mieć spokój z tym – jak kiedyś podsłuchiwał w jej telefonicznej rozmowie z przyjaciółką – niehigienicznym wpychaniem w nią czegoś, co tylko może coś jej przestawić w środku.

Kiedy wreszcie stawał na wysokości zadania, wzdychała głośno, jakby właśnie wróciła z nocnej zmiany w fabryce. Potem kładła się na plecach i rozkładała nogi. Do jego zadań należało doprowadzenie jej do orgazmu. Prawdę mówiąc, nigdy nie wiedział, kiedy go miała, a kiedy nie. Ot, w pewnej chwili otwierała oczy, całowała go w policzek i odpychała od siebie, żeby jak najszybciej z niej wyszedł.

Podobnie było i tym razem.

– Dziękuję. Jesteś kochany.

Zawsze mówiła tak po wszystkim: „Dziękuję. Jesteś kochany”. Chwilę

potem zamykała oczy, zasypiając kamiennym snem.

Jeszcze na początku małżeństwa biegał do łazienki, by się po wszystkim wyonanzować. W końcu jemu też coś się należało z małżeńskiego seksu.

Kilka miesięcy po ślubie oboje osiągnęli orgazm. Kiedy krzyknął krótko, wtulając się w nią, mocno zepchnęła go z siebie i wyskoczyła spod kołdry.

– Zrobiłeś to!

– Niby co? – Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

– No, byłeś ze mną do końca.

– Coś nie tak?

– Nic z tego – zaczęła spazmatycznie szlochać. – Nic z tego. Nie będzie końca. Nie chcę żadnego dziecka. Ono może mnie wyssać.

– Chyba czegoś nie rozumiem – wyrzucił z siebie bezradnie.

– Ono może mi wyssać obie piersi. Przecież to straszne. Wy, faceci, macie swoje potrzeby. Jeśli chcesz, nie musisz chodzić po wszystkim do łazienki. Ja ci to zrobię do końca... No, wiesz, obciągnę... – ostatnie słowa powiedziała z wyraźnym obrzydzeniem.

Kiedy przypomniał sobie tamtą scenę, ogarnęło go zdziwienie, że w ogóle znała takie wyrażenia. Grzeczna panienka z dobrego domu. Przez kilka lat nie potrafił rozgryźć tej zagadki.

Wreszcie po jakimś czasie dowiedział się, że mając szesnaście lat, uciekła z domu i żyła w hipisowskiej komunie. Wysoko postawiony w MSW tatuś wyciągnął ją spod kołdry kilku facetów, którzy się właśnie z nią zabawiali. Córeczka powędrowała do sióstr zakonnych. Wróciła natchniona Duchem Świętym, z którym nie wolno jej się było afiszować. Natomiast jej kochankowie zniknęli w więzieniu na kilka miesięcy.

Potem trafił się on. Wciśnięto mu odnowioną moralnie panienkę w zamian za obietnicę szybkiej kariery.

Nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Żona z pewnością nie usłyszała dźwięku wytlumionego dzwonka. Wysunął się delikatnie spod kołdry i przeszedł do gabinetu. Zamknął za sobą cicho drzwi i sięgnął po słuchawkę.

– Halo?

– To ty? – rozpoznał głos Siejki.

– Dzwonisz do mnie tylko po to, by zadać to idiotyczne pytanie?

– Chcą mnie zabić.

– Że niby jak?

– Kurwa, głuchy jesteś?

– Kto?

– Rusz łbem – w głosie dolatującym ze słuchawki wyraźnie było słycać panikę.

– Namierzyli nas? – Andrzejowi przebiegły ciarki po plecach.

– Chcą tylko mojej głowy.

– Jesteś pewien? – Moment później zdał sobie sprawę, że tym razem on zadał idiotyczne pytanie. Inaczej Siejka nie dzwoniłby do niego po nocy. – W porządku, chcą cię zabić. – Andrzej bezwiednie spojrział w stronę zamkniętych drzwi. – Ale...

– Jak to: w porządku? To, kurwa, nie jest w porządku. Przyjedź. Musimy pogadać.

Rozległ się sygnał przerwanej rozmowy.

Piętnaście minut później Andrzej wyszedł z domu, cicho zamykając za sobą drzwi na klucz. Kiedy jutrzejszego ranka żona obudzi się i nie zobaczy go śpiącego obok, z pewnością jej to nie zdziwi. Nigdy nic jej nie dziwiło.

Do Złotej miał daleko, jednak w nocy warszawskie ulice były puste. Przemknął na czerwonych światłach przez skrzyżowanie i minął stojący na chodniku radiowóz. Najwidoczniej załoga ucięła sobie nocną drzemkę.

Wbiegł po schodach na górę. Kiedy miał nacisnąć dzwonek, drzwi raptownie się otworzyły. Najwidoczniej Siejka nasłuchiwał.

Major nie wyglądał najlepiej. Jechało od niego piwem przemieszonym z wodą. Andrzej dostrzegł, że Siejka próbuje opanować drżenie rąk. Przez następne pół godziny opowiadał o tym, jak dzisiejszego wieczoru podsłuchiwał Sulimowicza.

– Nie mogłeś zadzwonić wcześniej? – spytał Andrzej.

– Musiałem się napić.

– To ci pomaga w myśleniu?

– Masz coś przeciw?

– Okej. Puszczaj tę zasraną taśmę.

Siejka sięgnął po magnetofon kasetowy.

– *Jak mu tam?*

– *Siejki?*

– *Siejka.*

– *Powiedziałeś, że skończył robotę.*

– *Nie zrobił kopii?*

– *Niby jak? Przecież w tym zasranym kraju brakuje nawet papieru do dupy. A wszystkie importowane materiały, w tym mikrofisz, są wydawane ze ścisłego rozdzielnika... Przeze mnie.*

– *I co dalej?*

– *Już o nim myślałem.*

– *O Siejce?*

– *Nie. O Czyścielu.*

Po chwili ciszy Andrzej ponownie usłyszał głos generała:

– *To ja. Nie mogę cię złapać, a sprawa jest pilna... Trzeba wyczyścić jednego głupka. Leon Siejka, Złota pięć, mieszkania dwanaście. Masz tydzień. I żeby nie został po nim nawet numer buta...*

Andrzej spojrział na siedzącego na wprost majora.

– Czyściel? Słyszałeś kiedyś o nim? – Siejka zaprzeczył. – Może to jakieś nazwisko, które... – nie dokończył, zamyślając się na moment. – Chyba rzeczywiście możesz mieć kłopot.

– Chciałeś powiedzieć „możemy”.

– Musimy dopaść go wcześniej, nim on zapuka do twoich drzwi.

– Niby jak? Zadzwoń do Sulimowicza i poproszę, żeby podał adres tego chuja?

– Niekoniecznie.

Andrzej sięgnął po magnetofon i chwilę przyglądał mu się w zamyśleniu.

– Spodobał ci się mój MK? – spytał Siejka.

– Myślę – odparł Andrzej.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała cisza, przerywana uderzeniami kropel deszczu spadających z dachu i stukających o parapet okienny.

– I...?

Andrzej odłożył magnetofon i powiedział:

– Chyba coś mam.

– Wiesz, jak możemy dopaść tego...?

– Czyściciela?

– Właśnie.

– Przewiń taśmę do miejsca, żebym usłyszał dźwięk poszczególnych klawiszy.

– Po co ci to?

– Zobaczysz.

Andrzej przysunął sobie aparat telefoniczny. Po usłyszeniu na nagraniu pierwszego sygnału zaczął szukać na klawiaturze odpowiadającego mu dźwięku.

– Jest... Zapisz ósemkę – powiedział.

– Jesteś pewien?

- Puść raz jeszcze.
- Okej, to na pewno numer osiem.
- Kilkanaście minut później mieli przed sobą numer telefonu.
- Co teraz? – Siejka czknął głośno.
- Sulimowicz nagrał się na automatyczną sekretarkę. Mamy więc trochę czasu. Może jeszcze nie odsłuchiwał wiadomości – odparł Andrzej.
- Mamy numer telefonu Czyściela, ale...
- Teraz wykręcimy numer do informacji i poprosimy o podanie adresu abonenta...

Kiedy wyszedł od Siejki, ruszył w stronę domu. Dochodziła pierwsza w nocy. W połowie drogi zatrzymał samochód. Zjechał na pobocze i zgasił silnik.

Czy zdołał przekonać Annę, że spotkała go z obcą kobietą? Powinna mu uwierzyć. Musi mu uwierzyć.

– Inaczej cała układanka rozsypie się niczym domek z klocków. – Złapał się na tym, że wypowiedział te słowa bez przekonania, jakby nieoczekiwanie pieniądze, które czekały na nich w jednym z paryskich banków, stały mu się obojętne.

Nie, nadal zależało mu na forsie. Chociaż może już nie tak mocno jak niegdyś.

Dlaczego nie chciał się przed sobą przyznać, że ważniejsza była dla niego Anna?

Ważniejsza?

Bzdura!

Uruchomił silnik. Przejechał kilkaset metrów i ponownie się zatrzymał. A jeśli rzeczywiście bardziej zależy mu na niej niż na pieniądzach?

– Idiota – rzucił do swego odbicia w lusterku wstecznym. – Przecież to dziwka. Zwykła kurwa, która za pieniądze daje dupy na prawo i lewo. Może to wreszcie dotrze do twojej głupiej czachy.

Nie wierzył w słowa, które wykrzyczał.

Ktoś zapukał w boczną szybę. Obok stał pryszczaty facet.

– Człowieku, zielone światło. – Wskazał na sygnalizator. – Jesteś daltonistą?

Dopiero teraz Andrzej uświadomił sobie, że zatrzymał się przed

skrzyżowaniem.

– Rusz się wreszcie, koleś.

– Okej, sorry.

Zawrócił i pojechał w stronę domu Anny.

W jej oknach paliło się światło. Wysiadł, widząc stojącą nieopodal budkę telefoniczną. Wszedł do środka. Chwilę się wahał, potem wrzucił dwa złote i wykręcił jej numer.

– Halo? – usłyszał.

– To ja.

– Co za ja? – spytała.

– Andrzej. Śpisz?

– Tak. – Na moment w słuchawce zapadła cisza. – Śpię i jestem obrażona.

A ty, gdzie teraz jesteś, może z tą...

– Pod twoim domem – nie dał jej dokończyć.

– Długo?

– Kilka godzin.

Ponownie zapadła cisza. Tym jednak razem usłyszał jej szybki oddech.

– Ten facet, który chciał kupić moje mieszkanie... – wyrzucił zrezygnowany Andrzej. – Wycofał się. Ale nie oddałem mu zaliczki.

– Gdzie jesteś?

– Już pytałaś mnie o to.

– ... Wejdiesz na górę?

Kiedy otworzyła drzwi, rzucili się na siebie, jakby nie widzieli się wieki. Nim doszli do pokoju, byli już nadzy.

– Nie mogę bez ciebie żyć... Nie chcę. – Wyprężyła się pod nim potem gwałtownie, oplatając go ramionami i nogami. – Jesteś tylko mój i nigdy nikomu cię nie oddam.

– Kocham cię, najmilsza. Ja też nie chcę być bez ciebie. Nie mogę. Jesteś moim powietrzem.

Następnego dnia rano delikatnie wyśliznął się spod kołdry i przeszedł cicho do kuchni. Nastawił wodę na herbatę. Z lodówki wyjął ser i wędlinę. Ułożył je na talerzu w kształt serca. Potem zalał wrzątkiem herbatę i ustawił wszystko na stole. W przedpokoju pozbierał rzeczy. Z marynarki wyjął fiolkę z pastylkami. Jedną wrzucił do jej kubka i dokładnie wymieszał.

Wrócił do pokoju. Zaczął delikatnie całować jej stopy, łydki, kolana i uda. Cicho westchnęła, przyciągając go ku sobie.

– Chodź. – Wynurzył się spod kołdry tuż przy jej twarzy. – Zrobiłem śniadanie.

– Najpierw się pokochamy.

– Herbata wystygnie.

– Lubię zimną.

Obróciła go na plecy, całując go coraz niżej.

Siejka gwałtownie poderwał się na łóżku. Wydało mu się, że ktoś próbuje otworzyć drzwi wejściowe. Sięgnął pod poduszkę, gdzie schował pistolet, przynajmniej tak myślał. Nic tam jednak nie znalazł. Nerwowo odrzucił poduszkę. Nic. Zamarł w bezruchu, nasłuchując. W mieszkaniu panowała cisza. Po chwili gdzieś na parterze rozplakało się dziecko.

Poderwał się z łóżka. Dopiero teraz zobaczył leżący na podłodze pistolet. Chwycił go w dłonie i ostrożnie poszedł do przedpokoju. Przyłożył ucho do drzwi. Miał ochotę zerknąć przez wizjer, w porę jednak zrezygnował. Na jakimś filmie widział, jak zabójca przebił szpikulcem kruche szkło judasza i wbił go w oko ofiary. Znowu przyłożył ucho do drzwi. Taka sama cisza jak poprzednio.

Spojrzał na broń. Spróbował opanować drżenie dłoni. To od wody czy ze strachu? Poczul w ustach suchą teksturę. Musi skończyć z chlaniem. Dosyć! Od dzisiaj szlaban na gorzałę.

Począł w stronę kuchni, mając nadzieję, że w jakimś kubku znajdzie wczorajszą herbatę. Na stoliku panował niemiłosierny bałagan. Kilka butelek po piwie walało się po podłodze. Zobaczył niedopitą wódkę w karafce. Z chęcią golnąłby z gwinta.

Sięgnął po szkło. Odwrócił się do zlewu i wylał wszystko. Żeby nie kusiło.

Wrócił do pokoju i spojrzał na zegarek; dochodziła dziesiąta. Co powie w pracy? Moment później przypomniał sobie, że dziś jest niedziela.

Ze strachu zapomniał, że chce mu się pić. Wrócił do kuchni. Odkręcił kran i przez chwilę łapczywie łykał lodowatą wodę.

Znowu przeszedł do pokoju. Na stole odnalazł kartkę z adresem Czyściciela. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, jakby próbował nauczyć się adresu na pamięć. Przyszło mu do głowy, że powinien obmyślić jakiś misterny plan.

Misterny? Gówniane słowo! Właściwie to miał tylko pistolet z sześcioma nabojami i gacie pełne gówna.

„A może zrobić to z Andrzejem?”

„Nie!”.

„Musi... Chce to sam załatwić!!!”

Jego wzrok przykuła leżąca pod stołem pełna butelka piwa. Dlaczego wczoraj jej nie wypił? Chyba nic by się nie stało, gdyby łyknął nieco browaru?

Srać na piwo. Miał mało czasu, by wydostać się z opresji. Może tamten już odsłuchiwał wiadomość Sulimowicza i właśnie do niego jedzie.

Lękliwie obejrzał się na drzwi. Ponownie spojrzął na trzymaną w ręku kartkę z adresem.

No dobrze. Pojedzie do tego bydlaka. Zadzwoń... I co dalej?

Jego jedyną przewagą było to, że tamten nie wiedział, że on wie o nim. To był atut.

Andrzej kupił bilety w kasie Iluzjonu. Dlaczego uparła się, żeby poszli na ten właśnie film? *Bonnie i Clyde* widział już kilkakrotnie. Kolejny kaprys szalonej dziewczyny.

Weszli na salę i zajęli miejsca. Wewnątrz siedziało kilka osób, nieruchomo gapiąc się w pustą biel ekranu. Położyła mu głowę na ramieniu, wsuwając dłonie pod ramię.

– Przepraszam za tego chłopczyka. Poderwałam go, żeby ci zrobić na złość. Chciałam, żebyś się skręcił z zazdrości – zachichotała cicho. – No i mi się udało.

Spojrzał jej w oczy i powiedział z udawaną powagą:

– Nic ci się nie udało.

Puściła jego ramię i odsunęła się nieco, jakby chciała objąć spojrzeniem całą jego postać.

– Znowu kłamiesz! Byłeś zazdrosny jak pies – ostatnie słowa rzuciła głośno, jakby chciała, by wszyscy usłyszeli.

– Nie byłem – odpowiedział tak samo głośnym tonem.

Siedzący obok skierowali na nich zaskoczone spojrzenia, ale Anna nawet ich nie dostrzegła. Wyglądała jak mała dziewczynka. Usta zaciśnięte w podkówkę. Zmarszczone brwi. Jakby za moment zamierzała stoczyć walkę z

koleżanką z piaskownicy o zabawkę.

– Byłeś!

Siedząca za nimi kobieta syknęła głośno, dając do zrozumienia, że nie powinni się kłócić w obecności obcych ludzi.

Anna poderwała się z miejsca i wzięła pod boki.

– Byłeś zazdrosny i teraz się nie wykręcaj.

Wszystkie twarze skierowały się na Andrzeja. W każdej dostrzegł pytanie: „Byłeś?”.

– Odpowiesz mi, czy mam sobie iść?

– Tak, byłem zazdrosny – westchnął głośno i uśmiechnął się przepaszająco. Następnie odwrócił się do wpatrzonych weń widzów i powiedział: – Nawet bardzo.

Rozległy się oklaski. Rozbawiony całą sytuacją wstał z miejsca i zaczął się kłaniać siedzącym dokoła. Chwilę potem przyciągnął ku sobie Annę i zaczął ją namiętnie całować. Zgasło światło i rozpoczęła się kronika filmowa.

W trakcie filmu dostrzegł kątem oka, jak Anna dyskretnie sięga po chusteczkę. Przyłożyła ją do nosa i spojrzała na plamkę krwi. Potem pospiesznie schowała, żeby Andrzej niczego nie dostrzegł.

Kiedy wychodzili z kina, objęła go w pasie.

– Wiesz, kiedyś miałam ochotę zostać taką Bonnie – powiedziała.

– Miałaś ochotę?

– Ona żyła na pełen gaz.

– Może dlatego tak szybko się rozbiła?

– Ja również chciałam wszystko przeżyć na najwyższych obrotach.

– A teraz?

– Teraz mam ciebie i chcę delektować się każdą chwilą, którą spędzamy razem.

Andrzej poczuł delikatne szarpnięcie za poję marynarki. Przystanął. Za nimi stała staruszka. Uśmiechała się przepaszająco, mrużąc oczy krótkowidza.

– Chciałam panu podziękować – powiedziała.

– Mnie?

– Uhhmm.

– Można wiedzieć za co?

– Zejdźmy nieco na bok, żeby nie stać innym na drodze.

– ...?

– Widzicie państwo, kiedyś byłam ze swoim chłopcem w kinie. To była

chyba *Przygoda na Mariensztacie*. Taki film sprzed ponad czterdziestu lat. Pokłóciliśmy się jak i wy. Tylko że Ryszard nie chciał się przyznać, a ja byłam zbyt uparta. Wybiegłam z kina i więcej się już nie zobaczyliśmy. Myślę, że mogła być z nas dobrana para. Państwo też do siebie pasują. Życzę dużo szczęścia. – Ruszyła korytarzem w stronę wyjścia.

– Wiedziałam – Anna przytuliła się do niego mocno – że mam chłopaka bohatera.

Leżeli objęci na tapczanie. Słowa były niepotrzebne. Czasami przytulali się mocniej, jakby dla pewności, że nadal są razem.

– Wiesz co, najmilszy?

– ...?

– Mówiłam ci, że już nie chcę być Bonnie.

– Tak, mówiłaś.

– Mam dosyć szaleństwa. Chcę tylko spokoju. I żebyś zawsze był przy mnie.

– Będę.

– Wiem. I żeby wszystko, o czym marzyła mała dziewczynka, w końcu się spełniło... Pamiętasz?

W pierwszej chwili nie zrozumiał jej słów.

– Mała dziewczynka? – powtórzył bezwiednie. – A tak... Pamiętam.

– Kłamiesz.

Kiwnął potakująco głową i powiedział:

– Nie chciałem ci robić przykrości.

– Wiesz chociaż, jak mam na imię?

– Nie prowokuj mnie – z udaną groźbą zgrzytnął zębami.

– Bo co mi zrobisz? – udała wystraszoną.

– Zdejmę majtki i ugryzę w pupę.

– Nigdy byś tego nie zrobił. A poza tym – dodała pewniej – nic a nic się ciebie nie boję.

Wówczas chwycił ją wpół i próbował obrócić. Krzyknęła ze śmiechem i wysliznęła mu się z rąk. Nie dał jednak za wygraną, goniąc ją po całym mieszkaniu. Zaczęła krzyczeć jak opętana. Wreszcie dopadł ją w kuchni, zsunął spodnie i... pocałował. Strach podpowiedział jej jednak zupełnie coś innego.

– Ugryzłeś mnie... – krzyknęła boleśnie. – I na czym ja teraz będę siedziała? O matko, jak boli!!!

– Nie ugryzłem cię.

– Ugryzłeś...!

– Wcale nie ugryzłem.

– Jejku, jak piecze!

– Sprawdź sama.

– Ale mogłeś. Miałeś taki zamiar. Jesteś... – szukała bezradnie właściwego słowa. – Jesteś potworem. – Rzuciła się na niego, wpijając mu się w usta. – Najukochańszym potworem, jakiego znam – dodała ciszej. – Jeszcze nikt nigdy mnie tak nie nastraszył.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

– Tylko nie na pupę – krzyknęła ostrzegawczo. – Na wszelki wypadek – dodała przezornie – gdybyś kłamał. – Pociągnęła go do siebie, czule gładząc po policzku. – ... Wiem, że to nie ja powinnam... o tym mówić... ale... jeżeli to wszystko się uda...

– Tak?

– Wydostanę z banku te dokumenty... Obiecuję, że się zmienię... i jeżeli wszystko będzie dobrze... to, czy my...?

Chciał odpowiedzieć, ale nieoczekiwanie zakryła mu dłonią usta.

– Nie, nie chcę wiedzieć.

– Przed chwilą chciałaś.

– Na razie wystarczy mi twój pierścionek od serca.

– Myślałem, że już go nigdy nie założysz.

– Myślałam, że lepiej znasz się na kobietach.

– Chyba masz rację.

– Chcę tylko, byś mi coś obiecał.

– ...?

– Że zawsze będziesz mnie kochał jak teraz.

– Przyrzekam.

– Więc sprawa załatwiona – dodała, śmiejąc się radośnie.

Zadzwoił telefon. Oboje spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Nie odbieraj. – Przytrzymał ją za rękę. – To pewnie któraś z dziewczyn. Nie chcę, by zawracały nam głowę.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

– Halo, halo. – Andrzej usłyszał głos Siejki i rzucił się do telefonu.

– Słucham – powiedział.

- Andrzej?
 - Tak.
 - Jestem w jego mieszkaniu.
 - Czyim?
 - Czyściela.
- Chciał przekląć, ale w porę ugryzł się w język.
- Co ty tam, do cholery, robisz?
 - Zabiłem go. Przyjeżdżaj! Zapukaj trzy razy, potem odczekaj i znowu trzy razy. Wtedy będę wiedział, że to ty.

Siejka przypomniał Andrzejowi adres i odłożył słuchawkę na widelki. Ciężko usiadł na najbliższym krześle. Podniósł do oczu dłonie. Miał na nich krew. Spojrzał na telefon. Musi po sobie posprzątać. Z pewnością wszędzie zostawił odciski.

Pierwszy na przycisku dzwonka. Kiedy go wcisnął, rozległa się melodia Edith Piaf. Chwilę nasłuchiwał, lecz z mieszkania nie dobiegł żaden dźwięk. Zadzwoił po raz wtóry.

- Zaraz, nie pali się – usłyszał przytłumiony głos.

W tej sekundzie opanował go zimny spokój. Jeszcze minutę temu nie potrafił opanować drżenia rąk. To nie była woda, tylko nerwy. Wchodząc na klatkę, wcisnął dłonie głęboko w kieszenie.

Teraz czuł przenikający go chłód i obojętność, wobec tego, co za chwilę się stanie. Miał na sobie szary fartuch, jaki codziennie zakładał w pracy. Przez ramię przewiesił dużą torbę, w którą władował narzędzia.

- Co się stało? – W progu otwartych drzwi stał ubrany w szlafrok mężczyzna. Nogi miał mokre. Najwyraźniej wyszedł z wanny.

- Administracja. Mam sprawdzić licznik.

Siejka odsunął stojącego na drodze gospodarza i przekroczył próg mieszkania. Sięgnął do torby narzędziowej. Od razu trafił dłonią na długi śrubokręt, który starannie naostrzył dziś rano. Gdy Czyściel odwrócił się, by zamknąć drzwi, jednym uderzeniem wbił mu go w kark. Zaatakowany odwrócił się gwałtownie do Siejki. Cofnął się w kierunku pokoju. Wyciągnął przed siebie dłoń z rozcapierzonymi palcami, jakby chciał chwycić napastnika za gardło. Zrobił kilka niepewnych kroków i upadł martwy na podłogę.

Dopiero po chwili Siejka ostrożnie podszedł do leżącego. Trącił go końcem buta. Facet był martwy. Chwycił go za ręce i przeciągnął do pokoju.

Siejka ponownie rozejrzał się po wnętrzu. Dotykał dzwonka, słuchawki telefonicznej, oparcia krzesła. To wszystko. Spojrzał na zegarek. Andrzej powinien być za kilka minut.

Przeszedł do łazienki. Wanna była pełna wody. Odkręcił kran nad umywalką i zaczął powoli opłukiwać ręce.

Gdy zabijał Czyściciela, nie czuł nic. Nie, to nie tak! W sekundzie, gdy zadawał cios, przeniknął go lodowaty chłód. A potem coś w nim rozkosznie eksplodowało. Strzepnął dłonie nad umywalką i starannie wytarł ręcznikiem kurki. Podszedł do toalety i rozpiął spodnie. Sięgnął po papier toaletowy i wytarł slipy mokre od spermy. Spuścił dokładnie wodę. Chciał już wyjść, ale wrócił. Zerwał ręcznik i starannie wytarł klapę toalety. Podobnie uczynił z framugą drzwi łazienki i włącznikiem światła.

Sięgnął do torby narzędziowej po płócienne rękawiczki, których używał w archiwum.

Ponownie rozejrzał się po pokoju. Ładne stylowe meble, musiały sporo kosztować. Powinien teraz upozorować włamanie. Jego wzrok zatrzymał się na marynarce przewieszanej przez oparcie krzesła. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Znalazł portfel. W środku był plik pięćdziesięciodolarówek. Przeliczył je pospiesznie. 850.

– Kurwa. – Aż przysiadł na brzegu stołu. – Żeby zarobić taką kasę, musiałbym pracować ze cztery lata.

Poderwał się z miejsca. Postanowił przeszukać mieszkanie. Może gdzieś tutaj ma zadołowaną kasę? Otworzył szafę i zaczął przetrząsać wiszące garnitury. Potem szuflady, gdzie leżała równo ułożona bielizna.

– Pedancik – prychnął pogardliwie pod nosem.

W pokoju nic nie znalazł. Przeszedł do sypialni. Tu w jednej z szuflad trafił na kilka paszportów i stary dowód osobisty. Dokument był wystawiony w 1969 roku i już dawno stracił ważność.

– Jan Czyścielewicz – przeczytał na głos – syn Antoniego i Zuzanny z domu Chruściel.

Rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi. Potem znowu trzy stuknięcia. Rzucił dokumenty na podłogę. Przezornie zerknął przez wizjer. To był Andrzej. Wpuścił go do środka. Przybyły wszedł do pokoju i chwilę przyglądał się zwłokom z wbitym w kark śrubokrętem.

– Poznajesz tego faceta? – Siejka przekręcił noskiem buta głowę leżącego

tak, by Andrzej mógł lepiej widzieć twarz. Kiedy jednak odsunął nogę, głowa ponownie przechyliła się na bok.

– Myślisz, że powinienem? – spytał Andrzej.

– Przyjrzyj mu się dokładnie.

Andrzej nie bardzo rozumiał, czego major od niego chce.

– No, wysił czaszkę – powiedział Siejka.

– Chyba już wiem...

– No?

– To jest ten gość...

– Ciepło.

– Ten z filmu.

– Ciepłej.

– On śledził w Paryżu kurierkę Sulimowicza.

– Brawo. Wygrał pan dwadzieścia tysięcy – Siejka zaśmiał się głośno – mil podmorskiej żeglugi Juliusza Verne'a.

– Myślisz, że kropnąłby ją, gdyby próbowała postąpić niezgodnie z planem?

– To miało być pytanie czy stwierdzenie?

– Okej... Co chcesz z nim zrobić?

– Pamiętasz – zaśmiał się nerwowo Siejka – miał po mnie nie zostać nawet numer buta.

– No i...?

– Trzeba spełnić polecenie towarzysza generała. Dziś wyleciała do Francji ostatnia przesyłka mikrofisz. Miałem jechać na urlop, ale Sulimowicz zaplanował dla mnie o wiele dalszą podróż.

– Możesz przestać gadać zagadkami?

– Przebierzemy faceta w moje ciuchy... No, wszystko, co mam na sobie, założymy na umarlaka. Ja – obejrzał się w stronę otwartej szafy – będę miał się w co przyodziać.

– Chcesz go stąd zabrać? – spytał Andrzej.

– To chyba jasne. Wyniesiemy go w nocy. Wsadzimy do mojego auta, wywieziemy za miasto i spalimy samochód. Obok auta rzucimy mój nadpalony dowód osobisty, żeby mogli zidentyfikować ciało. – Siejka ponownie zaczął się śmiać, jakby opowiadał doskonały dowcip. Andrzej spojrzał na niego uważniej. Gdyby nie znał go tak długo... Chociaż... Wygląda, jakby pomieszało mu się w głowie.

Nie, to było coś innego. Poznał to po oczach stojącego na wprost

wspólnika. Nieruchomych, zimno-obojętnych. On już się nie zawaha.

Pomyślał o Annie. Major nie pozwoli jej odejść. Teraz był tego pewien.

– Myślisz, Andrzejku, że Sulimowicz będzie naciskał, żeby dokładnie zbadano zwłoki?

– Raczej nie.

– I tu go mamy. Będzie pewien, że pozbył się głupka Leona Siejki. – Spojrzał na zegarek. – Do drugiej w nocy jest ponad dwie godziny. Ja w tym czasie rozejrzę się jeszcze po mieszkaniu, a ty pooglądaj sobie telewizję.

Zatrzymali samochód nieopodal Lasku Bielańskiego. Mżył zimny deszcz. Siejka jechał przodem, Andrzej za nim, z trupem w bagażniku. Po drodze zatrzymał ich patrol milicji. Kiedy major pokazał legitymację służbową, kontrolujący machnęli ręką i kazali jechać dalej.

Andrzej zaparkował kilkadziesiąt metrów dalej od samochodu Siejki. Przez następne piętnaście minut borykali się z wyciągnięciem sztywnego ciała z bagażnika i usadzeniem go na przednim siedzeniu małego fiata Siejki. Andrzej przyniósł kanister z benzyną. Oblali dokładnie trupa i wnętrze auta. Potem tym, co zostało, ochlapali maskę.

– Kto podpala? – Andrzej wyciągnął z kieszeni zapalniczki.

– Pozwól, że sam wyprawię siebie na tamten świat.

– Pospiesz się. Może ten patrol, który spotkaliśmy po drodze, jest gdzieś niedaleko?

– Co nam zrobią? – Major wzruszył obojętnie ramionami.

– Mogą zapamiętać twoją twarz.

Siejka zmarszczył brwi.

– Masz rację. Tego wolałbym uniknąć.

– Więc podpalaj.

Kiedy zasiadał za kierownicą, buchnął za nim rdzawy płomień. Obrócił się. Siejka stał nieopodal palącego się auta, niczym zahipnotyzowany wpatrując się w płomień.

Rozdział trzynasty

Na ekranie telewizora podłączonym do kamery wideo ukazał się obraz paryskiej ulicy. Filmujący najwyraźniej nie przywiązywał wagi do stabilności obrazu, gdyż ten skakał od płyt chodnikowych po kostki idących przodem kobiet, by po chwili objąć całe ich sylwetki. Obie dyskutowały o czymś zawzięcie, żywo przy tym gestykułując. Z głośnika płynęła przytłumiona przez szum ulicy sprzeczka.

– Mówię ci, że to jest ten blondyn.

– Ależ daj spokój.

– Żadne daj spokój, jestem pewna.

– Przecież ten drań oblał winem Michele, gdy była w tej ślicznej kremowej sukience.

– Ślicznej? Co ty w tej kiecce zobaczyłaś ładnego?

Dalszą rozmowę zagłuszył odgłos odpalanego gdzieś obok motocykla. Obraz na sekundę zamigotał i gwałtownie przesunął się w bok. Filmujący najwyraźniej przystanął, „zdejmując” przeciwległą stronę ulicy. Kadr znieruchomiał.

Anna spojrzała na Andrzeja siedzącego obok niej na tapczanie.

– Kto robił te zdjęcia?

– Nie wiem. Z pewnością agent z ukrytej kamery.

– Widziałeś już to nagranie?

Kiwnął potakująco głową.

– Kilkakrotnie.

Moment później nastąpiło zbliżenie na sylwetkę siedzącej przy stoliku kobiety. Ubrana była w jasny kożuszek, a długie kasztanowe włosy miała związane kolorową wstążką w kitkę.

– Ma na imię Josephine.

– Francuzka?

– Nie wiem, najmilsza. Za chwilę wejdzie do Banku Koëniga.

– Obraz jest dosyć kiepski.

Ekran znowu zmętniał. Kolejne ujęcie filmowane było już wewnątrz banku.

– Za moment stanie przy okienku. Wypisze na blankiecie swoje dane. Porównają jej wygląd z posiadaną fotografią. Zobacz, podchodzi do niej strażnik. Zaraz zaprowadzi ją do działu skrytek.

– Rozumiem, że mam zrobić to samo co ona.

– Owszem. Tylko że ty wejdiesz do banku po południu. Wtedy przychodzi inna zmiana.

– Nikogo nie zainteresuje, że wychodzę z wypchaną torbą?

– Kochanie, tam nikogo to nie interesuje. W końcu wyjdiesz ze swoją własnością.

– Powiedzmy.

– Z torbą i jej zawartością wrócisz do hotelu... To wszystko.

– Wszystko?

– Następnego dnia zawiozę cię do szpitala Ludwika Pasteura.

– Co się stanie z zawartością tamtej torby?

– Nie wiem i przyznam, że wolę tego nie wiedzieć. O to niech martwią się inni. To już nie nasza sprawa.

Anna mocniej wtuliła się w Andrzeja.

– Trochę się boję.

– Nic ci nie grozi, zadbam o to. Nie zapomniałaś, że nadal powinnaś wcierać w twarz przepisane ci kremy?

– Nie zapomniałam... Będziesz w pobliżu? Tam na miejscu?

Uśmiechnął się, całując ją w czoło.

– Tak, żeby cię chronić.

Ostatnie słowa powiedział, widząc przed sobą twarz Siejki.

Matka wskazała Annie jedne z drzwi w przedpokoju.

– Powiedziała, że będzie bawiła się w jadalni.

Anna zapukała do drzwi. Chwilę nasłuchiwała, ale nie usłyszała głosu córki. Delikatnie nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi. Zajrzała do środka. Na pierwszy rzut oka nikogo tu nie było. Pośrodku pokoju był rozłożony kocyk. Na nim siedziały dwie lale w towarzystwie pluszowego misia. Przed zabawkami stały miniaturowe talerze i łyżeczki, jakby za chwilę miały rozpocząć posiłek.

Anna weszła do pokoju. Chwilę później zobaczyła kapcie córki, które wystawały spod jednej z kotar ściągniętych w róg pokoju.

– Czy gdzieś tu jest moja córeczka? – zapytała cicho. – Może wy mi powiedzicie, gdzie znajdę swojego skowronka.

Przysiadła na kocyku, plecami do schowanej za kotarą córki.

– Wyfrunęła? Przez okno? Ależ, panie misiu, to niemożliwe... Jak to dlaczego? Ja tylko nazywam ją skowronkiem. W rzeczywistości jest moją małą córeczką... Ma pan rację... Zamiast pytać o Monię, najpierw powinnam się z wami przywitać. Dzień dobry, mam na imię Ania. Jak byłem małą dziewczynką, to również miałam takiego misia jak ty. – Potrząsnęła łapką niedźwiadka. – Jak masz na imię? Oklapnięte uszko? Oj, chyba mnie oszukujesz... Poczekaj, niech no zgadnę... Uszatek... Nie? W takim razie może Uchaś?

Pytasz, dlaczego przyszedłam? Chciałam spotkać się z moją córeczką. Ostatnio trochę chorowałam, więc nie mogłam się z nią widywać. Dlaczego wcześniej jej nie odwiedzałam? Bardzo tego, Uchasiu, żałuję. Chyba zgubiłam się w życiu. Znasz taką zabawę w chowanego?

Znasz? Doskonale. Ja też kiedyś zbyt mocno się schowałam w takiej grze. Potem nie mogłam trafić do miejsca, skąd ją zaczęłam.

Mówisz, że długo trwało, nim się odnalazłam? Owszem, ale już jestem z powrotem i chciałam ci powiedzieć, że bardzo kocham moją małą córeczkę.

Wiem, powinnam jej to osobiście powiedzieć, gdyż ona może o tym nie wiedzieć. Obiecuję, że jak tylko ją spotkam, to zaraz jej powiem.

Lubisz mnie trochę? Ja ciebie też, Uchasiu, polubiłam. A teraz powiesz mi, gdzie jest mój mały skowronek? Rozumiem, tajemnica. Nie możesz powiedzieć. Wiesz co, mam świetny pomysł.

Anna nachyliła się do misia i zaczęła udawać, że szepcze mu coś na ucho.

– Jaki pomysł? – Monika nie wytrzymała i wyskoczyła zza zasłony. – Jaki? Jaki?

Anna odwróciła się, wyciągając do córki ramiona. Dziewczynka zatrzymała się jednak w pół kroku. Zaczęła dokładnie przyglądać się twarzy siedzącej na podłodze.

– Coś ci się stało? – spytała niepewnie. – Jesteś trochę inna.

– Już jest po wszystkim.

– Chorowałaś?

– Troszkę, ale już jestem zdrowa.

– Na pewno?

– Na pewno... Jeśli chcesz, pomogę ci posprzątać zabawki – powiedziała Anna i spojrzała pytająco na córkę.

Najwyraźniej ta propozycja zdziwiła Monikę.

– Chcesz mi pomóc?

– Jeśli pozwolisz.

– Ale ty przecież nie wiesz, gdzie misie i lalki mają swoje ulubione miejsca.

– Chciałabym się dowiedzieć. – Kucnęła obok małej. – Jak byłam małą dziewczynką, bardzo lubiałam układać zabawki do snu.

– Ty byłaś małą dziewczynką? – w głosie córki ponownie można było usłyszeć zdziwienie.

Anna się uśmiechnęła.

– Oczywiście. A jak myślałaś?

– Że dorośli są dorosłymi, a dzieci – zmarszczyła czoło, jakby nad czymś intensywnie myślała – a dzieci czasem dorastają, a czasem nie.

Kilka minut później, pilnie słuchając poleceń Moniki, ustawiła ostatniego misia na półce. Kiedy skończyły, mała pobiegła myć zęby.

Wychodząc z pokoju, Anna spojrzała w stronę kosza na śmieci, z którego wystawała głowa pacynki. Wyjęła ją. Lalka miała oderwaną rękę, którą odnalazła pod podartymi rysunkami córki.

„Czy wolno mi zabrać lalkę? – zadała sobie w duchu pytanie. – W końcu mała wyrzuciła ją do kosza, więc...”

Kiedy Monika wyszła z łazienki, Anna przyciągnęła córkę i objęła mocno ramionami.

– Chcesz mnie udusić? – spytała mała.

– Przepraszam. Chciałam ci powiedzieć coś ważnego.

Monika spojrzała Annie w oczy.

– Będę musiała na krótko wyjechać.

– Nie chcę! – Dziewczynka zacisnęła usta w podkówkę. – Nie zgadzam się. Przecież mówiłaś Uchasiowi, że mnie kochasz.

– Muszę.

– To sobie jedź.

Wyrwała się jej z ramion i wybiegła z pokoju.

– To sobie jedź! – dobiegło do Anny wołanie z korytarza.

Anna zatrzymała samochód przed domem. Spojrzała w okna mieszkania, w których paliło się światło. Wyjęła z torebki szmacianą lalkę. Może nie

powinna była zabierać jej z kosza? Ale z drugiej strony, nie zrobiła nic złego.

– Jak masz na imię? – próbowała naśladować głos Moniki. – Tak po prostu i najzwyczajniej w świecie...? – Powąchała lalę, mając nadzieję, że wyczuje zapach swojej córki. – To może ja nadam ci jakieś imię...? Dobrze, obie zastanowimy się nad tym później, jak już będziesz zdrowa.

Wzięła oderwaną rękę. Kilkanaście fastryg odpowiednią kolorową nitką powinno wystarczyć. W domu Anna wbiła igłę w materiał, popychając jej koniec nałożonym na palec napastrkiem. Chwilę wcześniej w oderwaną rękę pacynki wepchnęła nieco waty, aby wypełnić puste miejsca.

O szyby zastukały krople deszczu, który potem rozdzwonił się na parapecie. Spojrzała w okno. Niebo zaciągnęło się burzowymi chmurami.

Będąc małą dziewczynką, w nieco odmienny sposób próbowała uzdrowić swoją lalkę. Chyba wtedy po raz pierwszy zrodziła się w niej myśl, aby zostać lekarzem. Przygotowała wówczas stolik, który nakryła białą serwetką. Przyniosła nożyczki, nóż, igły i nitki. Na twarzy zawiązała sobie maskę z gazy. Nad stołem operacyjnym pochyliła lampkę nocną.

Próba przyszywania lalce oderwanej ręki skończyła się ukłuciem w... Anna syknęła cicho. Spojrzała na palec, na którego opuszku pokazała się kropla krwi. W takim samym momencie przed laty zrezygnowała z kariery medycznej.

Wytarła palec chusteczką i spojrzała na swoje dzieło. Pacynka patrzyła na nią nieruchomymi niebieskimi oczami. Dopiero w tym momencie Anna uświadomiła sobie, że Monika ma oczy identycznego koloru.

– Może jednak przytniemy włosy bardziej ukośnie? – Fryzjerka nakreśliła nożyczkami linię w powietrzu.

Anna pokręciła przecząco głową i wskazała palcem na opartą o lustro fotografię.

– Chcę dokładnie taką fryzurę.

– To chyba zdjęcie z Paryża – zaszczębiotała ponownie kręcąca się wokół Anny dziewczyna. Choć miała wielki biust, nosiła tak obcisły stanik, iż wydawało się, że przy kolejnym wygięciu ciała obie piersi wystrzelą z niewielkich miseczek i wybiją jej zęby. – Teraz namawiam klientki na nowojorski sznyt. Każdej się podoba. Nie mówiąc już o facetach – zachichotała. – Mojego też złapałam na fryzurę, no i na mój biust. Podobno

nie ma takiego drugiego w PRL-u. Może pani dotknąć. Mam tak twarde piersi, że mogę między nimi zgniatać orzechy.

– Próbowwała już pani? – drwina Anny była niemal niesłyszalna.

– Mój chłop chciał, tak dla zabawy, ale go pogoniłam. Nie będę robiła za dziadka do orzechów... Więc jednak woli pani po francusku? – ponownie się zaśmiała, odkrywając dwuznaczność tego, co powiedziała.

Godzinę później Anna wróciła do domu. Andrzej siedział w fotelu, czytając „Życie Warszawy”.

– Co nowego piszą?

– To samo co wczoraj i przedwczoraj.

– Więc po co wydawać pieniądze na gazetę?

– Podobno przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

Weszła do łazienki i zaczęła rozstawiać kosmetyki, umieszczając między nimi zdjęcie paryskiej dziewczyny. W lustrze dostrzegła twarz Andrzeja.

– Nie lubię, gdy ktoś patrzy, jak się maluję.

– Nie jestem ktoś. Malujesz się? Wieczorem?

– Wychodzę.

– Mieliśmy spędzić ten wieczór razem.

– Zadzwoiła Helena. Umówiłam się w Bristolu.

Nim wrócił do pokoju, dostrzegła w jego oczach błysk niezadowolenia. Spojrzała na zegarek. Do spotkania z dziewczynami miała jeszcze godzinę. Zdaży.

Trzydzieści minut później uśmiechnęła się do swojego odbicia. Wyglądała prześlicznie. Już wiedziała, jaką nałoży sukienkę. I koniecznie te czerwone pantofelki.

Kiedy nałożyła płaszcz, Andrzej przytrzymał ją za rękę.

– Nie chcę, żebyś wychodziła.

– Chyba nie myślisz, że... – ugryzła się w język, by nie dodać „..., że pójdę z innym do łóżka”. – Nie bądź zazdrosny.

– Nie zgadzam się. Nie, i koniec!

Nieoczekiwanie odezwała się w niej dawna Anna, uparta i zawsze stawiająca na swoim. Niepozwalająca, by ktokolwiek mówił jej, co ma robić. Patrząc w oczy stojącemu na wprost Andrzejowi, odsunęła jego rękę, obróciła się na pięcie i trzasnęła za sobą drzwiami.

Siejka spojrział na skórzane walizki. Wszystkie rzeczy Czyściela pasowały na niego jak ulał. Andrzej protestował, ale po usunięciu ciała wrócił do mieszkania i pomógł mu przenieść wcześniej przygotowane walizki z ubraniami.

Zerknął w lustro i przejechał dłonią po kłapie marynarki. Nigdy wcześniej nie widział tak delikatnego materiału. Z pewnością musiała być kupiona za granicą.

Jeszcze raz rozejrzał się po swoim mieszkaniu.

– To prawie wszystko – rzucił pod nosem. – Prawie...

Wziął plik zdjęć leżący na stoliku. Poszedł do kuchni, gdzie nad zlewem sięgnął po zapalki. Skręcane płomieniem fotografie nieco kopcily. Uśmiechnięte twarze wykrzywiał grymas żaru, który deformował je i skręcał w spopieliałe tuleje.

– Chryste, ale ty jesteś śliczna – w głosie Heleny można było wyczuć niekłamana zazdrość.

Kiedy Anna podeszła do stolika zajmowanego przez dziewczyny, pierwsza pisnęła z radości Olga.

– Ale żeś się ślicznie odpicowała. – Rozejrzała się po sali. – Teraz każdy może być twój. Nawet prezydent USA. – Przytuliła ją mocno, całując w oba policzki. Potem chwyciła za ramiona, odwracając do światła i powiedziała: – Przy tobie wyglądam niczym panienka z Pomiechówka.

– Daj spokój – odwzajemniła uścisk Anna. – Ty też jesteś niczego sobie.

Tylko Elwira spoglądała na nią zamglonym nieobecny wzrokiem.

– Co ci jest?

– Ty już tu nie wrócisz – powiedziała nieomal z żalem.

– Wszystko kiedyś się kończy – odparła Anna.

– Właśnie, wszystko.

Helena przysunęła się bliżej, spoglądając na jej profil.

– I on za wszystko płacił?

Kiwnęła potakująco głową. Nie chciała im mówić o swojej chorobie. Tego dnia pragnęła być piękna i żeby wszyscy patrzyli tylko na nią.

Z głośnika dobiegło:

Tacy sami, a ściana między nami...

Tacy sami...

Tacy sami, a ściana między nami...

– No, dziewczynki – Olga podniosła szklankę z drinkiem – chlup.

Wypiła jednym haustem i kiwnęła na kelnera, wskazując puste szkło. Potem zwróciła się do Anny:

– Dupę też można zmniejszyć?

– Po co ci zmniejszać? – Helena wzruszyła ramionami. – Masz całkiem, całkiem.

– Cycki chyba też można. – Olga poprawiła pierś wysuwającą się ze stanika. – Ja to bym sobie z każdego po pół kilo ujęła. Chociaż, cholera wie, może to nie do końca jest zdrowe.

Helena westchnęła głośno:

– A ja bym sobie dodała. Podobno wszczepiają ci jakiś silon czy silikon... No, coś takiego. Facet i tak nie zorientuje się, co miętosi w łapsku.

– Doszyj sobie trzeciego – parsknęła głośno Elwira.

Helena jednak zdawała się jej nie słuchać.

– ...Choćby kilka centymetrów w obwodzie – sapnęła. – Wtedy byłoby git.

– Słyszaliście – próbowała zmienić temat Elwira. – Pan Tadeusz wylądował w szpitalu.

– Nochal?

– Podobno jest poważnie chory. Coś z sercem.

Nieoczekiwanie przy stoliku zatrzymał się trzydziestoletni mężczyzna. Na kilometr pachniało od niego tanią wodą kolońską, a garnitur musiał nabyć przed laty w którymś z uspołecznionych domów handlowych. Skłonił się sztywno przed Anną.

– Zatańczy panienska ze mną? – spytał.

– Panienska? – parsknęły głośnym śmiechem.

– A to dobre – sapnęła głośno Olga. – My tu o powiększaniu cycków, a ten... Zaraz się zsikam.

– Panienska jest biutyful – nie dawał za wygraną.

– Jestem zajęta. – Anna wzruszyła ramionami. – A później będę jeszcze bardziej zajęta.

– Może jednak?

Elwira zmarszczyła brwi z wyraźną złością i warknęła:

– Dostałeś kosza, więc drzyj zelówki.

Helena zawtórowała tym samym tonem:

– No, paszoł won... do sieczkarni, buraku jeden.

Elwira dotknęła niepewnie nagiego ramienia Anny. W jej oczach zaszklily się łzy.

– Zakochałaś się. A przecież mówiłaś, że kurwy nigdy się nie zakochują.

Andrzej patrzył przez okna samochodu w stronę rozświetlonych szyb hotelowej restauracji. Po co tu przyjechał? Był zazdrosny?

– Gównu, pilnuję tylko własnego interesu – rzucił przez zaciśnięte zęby.

To skąd ten żal, kiedy odepchnęła jego rękę?

– Bo kurwa poszła się zabawić?

Nieprawda. Miał ochotę wyskoczyć z samochodu i pobiec po Annę.

– Mogę mieć takich na pęczki.

Na pewno takich? A ten pierścionek od serca?

– Chciała błyskotkę, to dostała.

Wtedy to była błyskotka. A teraz?

– Też jest.

Więc dlaczego, gdy po kłótni się spotkali, najpierw sprawdził, czy włożyła pierścionek na palec?

– Bo to jest element gry.

Co z Siejką? Kiedyś było mu obojętne, co się stanie z dziewczyną. A teraz?

– Kurwa, co też mi się w głowie pierdoli?

Przypomniał sobie pytania Anny, które zapisywała w brulionie, a następnie podsuwała do przeczytania.

„Jeśli mnie tak kochasz... To skoczyłbyś z mostu do Wisły, żeby mi to udowodnić?”... „Co jest śmiesznego w moim pytaniu?”

– Ależ nic, najmilsza. Wreszcie sobie coś uświadomiłem.

„?”

– Że jesteś najbardziej szaloną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem w życiu.

„Tylko tyle?”

Kiedy Anna wróciła do mieszkania, nie zapaliła w przedpokoju światła.

Nie chciała budzić Andrzeja. Weźmie szybki prysznic i cichutko wśliznie się do niego pod kołdrę. Gdy weszła do pokoju, zobaczyła jego postać niewyraźnie oświetloną blaskiem palącej się na ulicy lampy.

– Nie śpisz?

Podszedł do niej i delikatnie wziął ją w ramiona.

– Chciałem cię przeprosić. Zachowałem się jak smarkacz.

– Też przepraszam, najmilszy. Obiecuję, że będę najgrzeczniejszą na świecie kochanką.

Następnego dnia, jak zwykle, poszedł do kuchni zrobić jej herbatę. Kiedy wszystko było gotowe, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął fiolkę z pastylkami. Przez chwilę patrzył na nią pustym wzrokiem.

„Może wywalić ją do kosza?”

Nie, już za późno, żeby się cofnąć.

„Nigdy na nic nie jest za późno”.

Okłamywałeś ją od początku, więc po co te gierki?

„Okłamywałem, ale już...”

Jesteś smętnym zwisem, któremu nie zależy na forsie.

„Już nie”.

Możesz mieć ją i pieniądze...

– Zaraz podam pani śniadanie – zawołał głośno.

Szybko wyjął fiolkę i jedną pastylkę wrzucił do jej kubka z herbatą. Wymieszał dokładnie i podniósł tacę.

– Jesteś kochany. – Anna powoli uniosła się na poduszce. – Może jednak zostaniesz i pomożesz cierpiącej na migrenę kobiecie?

– Wariatka... Chciałaś powiedzieć: na kaca.

– Migrena ładniej brzmi.

– Muszę lecieć.

– Więc chociaż mnie pocałuj. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka okazja trafi ci się ponownie.

Kiedy Andrzej wyszedł, podniosła się ciężko z tapczanu. Jednak wczoraj za bardzo poszalały. Helena była na dziesiątej orbicie, chociaż zarzekała się, że może jeszcze obalić jedną połówkę.

Weszła do łazienki. Otworzyła apteczkę. Sięgnęła po proszki przeciwbólowe. Od razu wysypała na rękę trzy tabletki. Trzeba działać raz a skutecznie! Wróciła do pokoju i sięgnęła po kubek z herbatą. Szybko połknęła proszki i popiła je kilkoma łykami.

Ubrała się. Spojrzała na zegarek. Za godzinę umówiła się z matką. Szkoda,

miała ochotę jeszcze poleżeć. Sięgnęła po torebkę. Nim wybiegła z mieszkania, obejrzała się, czy przypadkiem czegoś nie zapomniała.

Dziwne, odniosła wrażenie, że pokój, jeszcze moment wcześniej wypełniony słonecznym blaskiem, nieoczekiwanie poszarzał. Może się zachmurzyło? Spojrzała w stronę wiszącej na wieszaku parasolki. Nie warto przejmować się kilkoma kroplami deszczu. W końcu jedzie samochodem. Zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Zaczęła zbiegać po schodach. Na półpiętrze zakręciło jej się w głowie. Przystanąła na chwilę. Zdecydowanie za bardzo pofolgowała sobie z alkoholem.

Kiedy wyszła przed dom, poraziło ją jasne światło dnia, które sekundę później zaczęło gwałtownie szarzeć.

– Dzień dobry, pani Anno – dobiegło gdzieś z boku.

Chciała się odwrócić i odpowiedzieć na powitanie. Poczowała jednak, jak ziemia usuwa jej się spod nóg. Ogarnęła ją atramentowa ciemność, w której słyszała tylko swój pospieszny oddech.

Andrzej zadzwonił do drzwi. Po chwili usłyszał kroki. Szczęknął otwierane zamek i w progu ukazał się Siejka. W pierwszej chwili go nie poznał. Zawsze w pogniecionych koszulach i wiecznie tej samej zielonej marynarce. Teraz stał przed nim mężczyzna w doskonałym garniturze i ze smakiem dobranej jedwabnej koszuli.

– Co mi się tak przyglądasz? – Major otworzył szerzej drzwi. – Byłem u fryzjera. Właż, bo jest przeciąg. – Przeszli do pokoju i usiedli przy stole. – Załatwiłeś wszystko? – spytał.

Andrzej sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Zamówiłem wam pokój w hotelu Madame Bovary.

– A ta co za jedna? Jakaś ichnia Joanna d’Arc?

– Bohaterka pewnej powieści. Tu masz zapisany adres.

Siejka sięgnął po kartkę.

– Marii Curie osiemnaście – przeczytał wolno. – Pokój dwieście dwadzieścia trzy i dwieście dwadzieścia cztery.

– Tak jak chciałeś. Dwa obok siebie. Jeden twój, drugi dla mnie i Anny.

– Czyli wszystko mamy ustalone. Kupiłeś bilety na samolot?

– Wylot jest o dziewiątej rano. Tu jest jeden dla ciebie i dwa dla nas. Klasa

turystyczna.

– Chyba z nami nie polecisz.

– Że jak? – spytał Andrzej.

Siejka usiadł na krześle, podciągając nogawkę spodni, aby się nie pogmiotła.

– Musisz przebukować bilety.

Andrzej spojrzał zaskoczony na Siejkę. Ten zaś sięgnął po magnetofon.

– Zaraz zrozumiesz. – Major wsunął kasetę. – Właściwie to Sulimowicz sam się podłożył.

– O czym ty mówisz?

Zamiast odpowiedzieć, Siejka wcisnął przycisk odtwarzania.

– To jeszcze raz ja – rozpoznał głos generała. – Mam dodatkowe zlecenie. Potrójnie płatne.

– Co jest grane? – Andrzej jeszcze nic nie rozumiał.

– Słuchaj i nie gadaj.

– Weźmiesz na celownik Tabora. Ten gość jest zastępcą dyrektora Departamentu Drugiego Wojskowych Służb Informacyjnych. Drugi to Jastrzębski. Ten znowu należy do ścisłego kierownictwa Wydziału Czwartego Komitetu Centralnego PZPR. Masz na to dwa tygodnie. Wiem, że sobie poradzisz. Po wszystkim czeka cię dodatkowa premia w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Andrzej musiał mieć gamoniowatą minę, gdyż Siejka zaczął się głośno śmiać.

– Jeszcze nie kumasz? Nasz generał zamierza pozbyć się współpracowników. W dniu, kiedy twoja kurewka wyczyści bankową skrytkę, wyślesz do Tabora i Jastrzębskiego kasetę z tym nagraniem. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym zobaczyć, gdy wszyscy trzej skoczą sobie do gardeł... Kiedy się zagryzą, my już będziemy daleko i nikt nigdy nie wpadnie na to, kto wyczyścił forszę i mikrofiszę. Dlatego musisz zostać. Dolecisz do nas następnego dnia. – Siejka patrzył przez dłuższą chwilę Andrzejowi w oczy. – Chyba nie myślisz, że zamierzam cię wydupczyć?

– Nie...

– Wiedziałem, że mi ufasz – major uśmiechnął się radośnie, lecz jego oczy pozostały zimne i czujne.

Andrzej poklepał Siejkę po ramieniu, jakby chciał go zapewnić, że w relacjach między nimi nadal nic nie uległo zmianie, i powiedział:

– Przed wylotem napiszę ci kartkę. Dasz ją kierowcy, który zawiezie

was...

– Po co mi kartka? Mówiłeś, że ta kurewka zna kilka języków i ten no... – mrugnął znacząco – francuski.

– Fakt.

– Więc ona powie co i jak.

– Nie pomyślałem.

– Ostatnio coś stale wylatuje ci z głowy.

– Mam małe problemy z żoną.

– Dlatego ja nigdy się nie ożeniłem.

– Przynajmniej jeden z nas ma fart w życiu.

– Będę tego pewny, gdy twoja przyniesie zawartość skrytki w ząbkach. Potem trzeba będzie pozbyć się dupodajki.

– Jak ustaliliśmy.

– Właśnie.

Prosto od Siejki Andrzej pojechał do biura Polskich Linii Lotniczych.

– Już wszystko dobrze – głos, który Anna usłyszała, był kojąco spokojny.

– Może pani otworzyć oczy?

A więc stąd ta ciemność. Powoli odchyliła powieki i zobaczyła lekarza. Skąd się wziął w jej mieszkaniu? Nie, przecież wychodziła z klatki schodowej. Ktoś ją przywitał, a potem...

– Co się stało?

– Zasłabła pani na ulicy. Czy wcześniej miała pani podobne utraty świadomości?

– Nie.

– Może pani już wstać. Tylko proszę jeszcze nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów.

Kiedy się podniosła, rozejrzała się niepewnie wokół. Stojąca przy szafce z lekarstwami pielęgniarka uśmiechnęła się. Spojrzała na swoją dłoń i wkłutą w żyłę igłę.

– Pobraliśmy krew do badania. Siostro, można już usunąć wenflon. – Lekarz usiadł za biurkiem i sięgnął po kartę chorobową, na której zaczął coś pośpiesznie pisać.

– Panie doktorze... – zaczęła. Mężczyzna podniósł pytające spojrzenie. – Czy to coś poważnego?

– Myśli pani o zasłabnięciu?

– Tak.

– Według mnie to nic groźnego. Trochę za wysokie ciśnienie, ale to się powinno unormować. Może dziś rano było za dużo kawy? W każdym razie... erytrocyty są w porządku... Cztery miliony na milimetr sześcienny, bardzo dobrze. Można nawet powiedzieć: wspaniale... Leukocyty natomiast...

– Tylko że ja...

– ...?

– Nie interesują mnie te wszystkie... leukocyty, erytrocyty czy... coś tam innego.

– Przecież powiedziałem, że jest pani zdrowa.

– Nie jestem chora?

– Na co? – Lekarz nie krył rozbawienia.

– Na białaczkę.

– Próbowałem powiedzieć o leukocytach, ale pani mi nie pozwoliła dokończyć. Ma ich pani... pięć i pół tysiąca na milimetr sześcienny... Żeby mieć białaczkę, czyli hiperleukocytozę, musiałaby pani mieć pięćdziesiąt tysięcy, czyli prawie... dziesięć razy więcej.

– Jest pan tego pewien? – spytała.

– Myśli pani, że w akademii medycznej dano mi dyplom za ładne oczy?

Nie słuchała, co mówił lekarz. Patrzyła obojętnie, jak siostra usuwa jej igłę z przedramienia. Potem zsunęła się z leżanki i wolnym krokiem ruszyła do drzwi.

– Nie powinna jeszcze pani... – Pielęgniarka podtrzymała ją za łokieć.

Spojrzała na nią oczami, w których było widać bezdenną pustkę.

Niezatrzymywana wyszła na korytarz. Nie zdając sobie z tego sprawy, błędziła po szpitalu, popychana i potrącana przez spieszących dokądś pacjentów, przejeżdżające wózki, ludzi wracających z odwiedzin u chorych.

Otwierała jakieś drzwi. Szła po jakichś schodach. Skręcała w jakieś korytarze. Weszła do jakiegoś pokoju.

Ktoś chwycił ją za dłoń. Gdzieś już widziała twarz tego mężczyzny. Gdzie? Kiedy? Coś do niej mówił. Co?

Jak długo siedziała przy łóżku chorego? Z pokoju wyprowadziła ją siostra oddziałowa.

Została sama na korytarzu. Ponownie rozpoczęła błędzenie po piętrach, schodach... Wreszcie znalazła się na dworze. Zimny wiatr owionął ją chłodem. Wsiadła do samochodu.

Jak zdołała wrócić do domu?

Weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi. Ruszyła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Wtuliła twarz w poduszkę i zaczęła krzyczeć. Była pewna, że postradała zmysły. Świat stał się jej obojętny. Pozostał tylko krzyk bezradnej małej dziewczynki, którą tak perfidnie oszukano.

Na nadzwyczajnym zebraniu połączonych organizacji partyjnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zebrało się ponad trzysta osób. Za stołem siedział generał Sulimowicz wraz z przedstawicielami prezydium PZPR w MSW.

Wszystko trwało już od dwóch godzin i zebrani najwyraźniej byli zmęczeni tym, że obrady się przeciągają.

Wybrani prelegenci omówili nowe kierunki partyjnej kontrofensywy przeciw solidarnościowym rozłamowcom. Z mównicy padały mocne słowa o zdradzie narodowej, zaprzepaszczonych szansach, kłódach rzuconych pod nogi socjalistycznej władzy. Wreszcie przedstawiciel prezydium organizacji zakładowej PZPR nakreślił nowe kierunki działania w walce ideologicznej.

Andrzej siedział w jednym z tylnych rzędów, notując w skoroszybie puste frazesy i zaklęcia, w które nikt, nawet spośród obecnych na tej sali, już nie wierzył.

– Drodzy towarzysze – pierwszy sekretarz KC PZPR podniósł się ciężko ze swojego miejsca – na koniec zebrania chciałbym udzielić głosu towarzyszowi generałowi.

Nim jeszcze skończył, rozpoczął bić brawo. Sala natychmiast poszła w jego ślady. Generał doszedł do mównicy i wsparł się o nią ciężko. Sprawiał wrażenie przytłoczonego ogromnym ciężarem, a na jego twarzy malował się grymas autentycznego bólu.

– Mam dla was, drodzy towarzysze, tragiczną wiadomość. – Przerwał na sekundę i powiódł po sali zboląłym wzrokiem. – Kilka dni temu, w godzinach rannych, odnaleziono spalone zwłoki majora Siejki. – Na sali zapadło wyczekujące milczenie. – Większość nigdy nie słyszała nazwiska tego wiernego syna partii. No cóż, jedni w życiu stają w pierwszym szeregu, innym zaś przychodzi kroczyć na końcu pochodu. Nie oznacza to, że jesteśmy ulepieni z innej gliny, gdyż wszystkich nas jednoczą nieśmiertelne idee leninowskie.

Sulimowicz ponownie ciężko westchnął i spojrzał na siedzących za stołami.

– To dla mnie również osobisty dramat. Z zamordowanym... Tak, towarzysze, z zamordowanym znaleźliśmy się od lat. Był uczciwym i praworządnym funkcjonariuszem oraz wiernym synem naszej partii.

Na twarzy generała pojawił się wyraz wściekłości, a zaciśnięta pięść uderzyła w rant mównicy.

– Podziemne bojówki uderzyły po raz wtóry, w bestialski sposób pastwiąc się nad ciałem naszego kolegi. Mogę was, towarzysze, zapewnić, że kierownictwo służbowe resortu zrobi wszystko, by winni nie uniknęli zasłużonej kary. A teraz – zawiesił na moment głos – prosiłbym wszystkich o powstanie i uczczenie majora Siejki minutą ciszy.

Na sali rozległ się rumor odsuwanych krzeseł i na moment zapadła absolutna cisza. Andrzej usłyszał dobiegający z boku szept:

– I my z tymi chujami siedliśmy do okrągłego stołu?

Kiedy po skończonych obradach wszyscy zaczęli wychodzić, do Sulimowicza podszedł Komendant Główny Milicji Obywatelskiej.

– Poświęcisz mi chwilkę? – spytał.

– Oczywiście...

– Wiesz, twoje wystąpienie wstrząsnęło mną do głębi. Kiedy mówiłeś o nieżyjącym, zadałem sobie w duchu pytanie, skąd ta nienawiść?

– ...

– Możesz być pewien, że zrobię wszystko, by znaleźć tych łajdaków.

– Nie rób tego.

– Nie rozumiem.

– W chwili obecnej rozmowy z Wałęsą są w dosyć delikatnym punkcie. Zdradzę ci coś, a wtedy zrozumiesz, że o sprawie Siejki musimy zapomnieć... Widzisz, Stasiu, teraz toczą się rozmowy, dzięki którym towarzysz Jaruzelski może zostać prezydentem.

– To pewne?

– Nic nie jest pewne, chociaż w tym wypadku solidaruchy pójdą na kompromis. Dlatego rozumiesz, że ruszanie tej sprawy natychmiast wywoła nerwową reakcję strony przeciwnej. Musimy się pogodzić, że w walce o lepsze jutro jeden z naszych towarzyszy oddał swoje życie. W końcu my wszyscy, wstępując do PZPR, musimy w służbie socjalizmowi być gotowi na każde poświęcenie.

Pielęgniarka kończyła dyżur. Pozostało jeszcze wyrzucenie koszy ze zużyтыми opatrunkami. Miała już dosyć dzisiejszego dnia, dosyć wystających na korytarzu pacjentów, narzekań i nieuzasadnionych pretensji, że nic nie robi. Usiadła na krześle. Zdjęła kłapek, by rozmasować stopę, gdy nieoczekiwanie otworzyły się drzwi.

– Lekarz już wyszedł. Nie czytała pani kartki, że przychodnia pracuje tylko do godziny osiemnastej? – powiedziała.

– Nie znalazłam w holu w spisie specjalistów nazwiska doktora Jelicza.

Dopiero teraz pielęgniarka spojrzała na stojącą w progu. W postawie kobiety była jakaś determinacja. Zaciśnięta na klamce dłoń miała zbielełe kostki od mocnego uścisku.

– O kogo pani pytała?

– Szukam doktora Jelicza. Kiedy mogę się z nim spotkać?

– To raczej niemożliwe.

– Dlaczego?

– Pani z rodziny?

– Byłam jego pacjentką.

– Zabiły go jakieś bandziory.

– Zabiły go jakieś... – Zimna dłoń zacisnęła się na jej gardle i zaczęła dusić. Ogarnął ją strach.

Siostra pochyliła się, by nałożyć kłapek. Kiedy podniosła wzrok, w drzwiach nie było już nikogo.

Elwira siedziała na barowym stołku, patrząc bezmyślnie na rząd butelek. Czekala na Helenę. Tego wieczoru namówiła ją na wyprawę do kina na film *Kto wrobił królika Rogera*. W pierwszej chwili, gdy usłyszała tytuł, zaczęła się śmiać.

– Zdziecinniałaś?

– To nie jest tylko dla dzieciaków. Na pewno ci się spodoba.

W końcu dała się przekonać.

Spojrzeła na zegarek. Do Relaxu miały spory kawałek drogi, a ta dupa jak zwykle się spóźnia. Nagle poczuła rękę na swoim ramieniu.

– Nareszcie. – Odwróciła się do tyłu. Ale to nie była Helena. Elwira

zobaczyła wystraszoną twarz Anny.

- Co się stało?
- Nie jestem pewna.
- Przecież widzę, że coś jest nie tak.
- Pomóż mi – usłyszała jej drżący głos.

Anna podeszła do drzwi, do których ktoś natarczywie dzwonił. Otworzyła zamek i nacisnęła klamkę. W pierwszym momencie nie poznała dziewczyny stojącej za progiem. Olga miała zaczesane na twarz włosy, a wielkie okulary zasłaniały jej pół twarzy.

– Mogę? – szepnęła niepewnie.

Moment później Olga obejrzała się gwałtownie za siebie, jakby obawiała się, że ktoś stojący na półpiętrze mógłby ją usłyszeć.

– W pierwszej chwili cię... Jasne, wejdz. – Wskazała jej drogę do saloniku.

Olga weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Chwilę potem odgarnęła włosy z twarzy i zdjęła okulary. Anna krzyknęła cicho, wystraszona jej widokiem – miała podsiniaczone oko, rozcięte i zapuchnięte usta, siny policzek...

– Matko Boska... Co ci się stało? Byłaś u lekarza? Może zadzwonić po...

– Nie trzeba. Ja tylko na chwilę. Zaraz sobie pójdę.

– W takim stanie? Nie ma mowy. – Anna niemal siłą wciągnęła ją w głąb mieszkania. – Poczekaj, przyniosę coś z apteczki.

– Później. – Chwyciła ją za ramię. – Teraz chcę ci coś powiedzieć.

– To takie ważne?

– Dla mnie bardzo...

Usadziła Olę na kanapie i usiadła obok. Dziewczyna chwilę milczała, spoglądając przed siebie nieruchomym wzrokiem.

– Powiedziałam mu dzisiaj, że już więcej nie będę. Elwira... Twoja choroba. Jak mogłam być tak podła?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym Olga mówi.

– Komu powiedziałaś?

Wydawało się, że Olga nie usłyszała jej pytania.

– Najlepiej będzie, jak ucieknę z Warszawy. Dziś widziałam, że w jego oczach było coś takiego... – Sekundę później wybuchnęła głośnym

szlocham, a w jej słowach słycać było nieklamane przerażenie. – Ja wiem, że on chce mnie zabić.

Anna położyła jej dłonie na ramionach i obróciła w swoją stronę.

– Nadal nie wiem, o czym mówisz. Najlepiej będzie, jak opowiesz wszystko od początku.

– Musisz mi wybaczyć. Bałam się.

– Co mam ci wybaczyć?

– On chciał wiedzieć o tobie wszystko.

– Kto?

– Ten esbek... Jakich masz klientów? Kim jest dla ciebie Andrzej? Co was ze sobą łączy...?

Anna poczuła zimny dreszcz na plecach.

– Tak strasznie się bałam.

Przytuliła Olgę, delikatnie głaszcząc ją po włosach.

– Już wszystko dobrze. Nie musisz się już bać.

– Powiedz, że... – Olga ponownie wybuchnęła głośnym płaczem.

Anna wreszcie zrozumiała.

– Powiedz, że mi wybaczasz – dokończyła Olga.

– Oczywiście, że ci wybaczam. Na twoim miejscu może zrobiłabym to samo.

Olga podniosła głowę i po raz pierwszy spojrzała Annie w oczy.

– Tak bardzo mi ciężko. Ale ja przecież nie chciałam.

Anna zaczęła ją uspokajać niczym dziecko, które obudziło się z koszmarne snu.

– Postąpiłam jak zwykła prostytutka.

– Nie wolno ci tak mówić. – Anna potrząsnęła Olgą. – Nie jesteś żadną prostytutką, ale jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

Na stoliku leżał otwarty paszport. Obok bilet lotniczy i koperty, które Andrzej wyjął z neseseru.

– Stało się coś, o czym nie wiem? – spojrzał na Annę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Źle wyglądasz – zawahał się. – Raczej jesteś jakaś rozkojarzona... nieobecna.

– Myślę o podróży. Trochę się boję.

– Nie masz czego. Wszystko już załatwione. Polecisz z jednym z naszych agentów.

– Nie ufają mi?

– W tej pracy nikomu się nie ufa.

– To prawda... nikomu.

Andrzej nie dosłyszał nuty ironii w jej głosie. Sięgnął po paszport.

– Jest na nazwisko Granier. Janet Granier. Jesteś mężatką. Z Pierrem wzięłaś ślub przed pięcioma laty w Polsce. Od dwóch lat jesteście w separacji. Każdy z dokumentów to setka.

Przyszło mu do głowy, że najchętniej zgarnąłby wszystkie papiery i wyrzucił je przez okno. Nie powinien był jej wciągać w to wszystko. Kogoś innego, tylko nie ją. Ale Anna miała pecha. Była podobna do paryskiej kobiety. To przesądziło o wszystkim. Zaczynało mu być obojętne, jak wielka góra forsy przypadnie mu po podziale.

Chociaż z drugiej strony...

Bez pieniędzy był nikim. Zwykłym łapsem, który pójdzie na dno razem z dziurawą balią o nazwie Polska Ludowa.

Czy bał się Siejki? Z miesiąca na miesiąc obserwował rosnącą w nim determinację. Potem przestraszył się, widząc ciało Czyściciela. Większość obrażeń powstała po śmierci, a ten, kto je zadał, bez wątpienia czerpał z tego satysfakcję.

Jeśli pozwoli, Siejka zabije Annę. Taki był plan od początku. Teraz coś się w nim zbuntowało. Właściwie dlaczego muszą to robić? Pytanie to zadał kilka dni temu Siejce.

– Bo ta dziwka może nas zdradzić – padła odpowiedź.

– Można ją zmusić do milczenia.

– Jak?

– ...

– Tylko martwa nigdy nikomu nic nie powie.

– Przekonam ją.

– Jak?

– Mam swoje sposoby.

– Gównno masz.

– Dotąd skutkowały. W końcu dzięki mnie zrobi to, co chcemy.

– Ale jak się dowie, w co ją wrobiłeś, to bez mrugnięcia poderżnie ci gardło.

– Mówiłeś, że nie znasz się na kobietach.

– Wystarczająco dużo mi o nich opowiedziałeś. Od rżnięcia tego kurwieszona zlasował ci się mózg? Skończ wreszcie tę głupią gadkę.

Anna trąciła go w ramię.

– Słuchasz mnie?

– Przepraszam, zamyśliłem się. O co pytałaś?

– Mówiłeś, że ten paszport to setka. Co to znaczy?

– Jest oryginałem.

– Aha.

– Zamieszkacie na ulicy Marii Curie osiemnaście, w hotelu Madame Bovary... Wynajęto wam pokoje numer dwieście dwadzieścia trzy i dwieście dwadzieścia cztery. W pierwszej kopercie masz franki na opłacenie hotelu. W drugiej na codzienne wydatki.

– Jak to wszystko ma wyglądać?

– Następnego dnia po przylocie, myślę, że będzie to gdzieś po południu, otrzymasz klucz i hasło do skrytki. Wcześniej przebierzesz się i zrobisz makijaż taki jak na zdjęciu tamtej kobiety. Agent podwiezie cię do banku. Potem wrócicie razem do hotelu. I tu kończy się twoja rola.

– A ty?

– Jak wrócisz, będę już na ciebie czekał. Następnego dnia mamy wizytę w szpitalu, gdzie zostaniesz przyjęta na oddział.

– Myślisz, że wyjdę z tego wszystkiego?

Andrzej otoczył ją ramieniem i pocałował we włosy.

– Wszystko będzie dobrze, najmilsza. Daję ci na to moje słowo.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz w rzeczywistości miała ochotę się rozpłakać. Jeszcze kilka dni temu była taka szczęśliwa.

– Jeszcze kilka dni temu...

– Co mówiłaś?

– Że bardzo cię kocham.

Zdziwiła się, jak gładko przeszły jej przez usta te słowa.

W końcu była dziwką.

Gwałtownie go objęła, pociągając za sobą na tapczan. Nie dostrzegł w jej oczach łez, bezbrzeżnego żalu i odbierającego oddech smutku. Było coś dziwnego w ich namiętności.

Choć wszystko, co się teraz działo, było oszustwem, to jednak czuła, że

nadal go kocha. Z jednej strony łyzy, z drugiej – miłość do mężczyzny, który jest mordercą... Jej pocałunki były zachłanne, jakby próbowała zapamiętać smak jego warg, pieszczotę dotyku, chłopięcy krzyk rozkoszy, jakby kochał się z kobietą po raz pierwszy w życiu.

Godzinę później, po kąpieli, zjedli kolację.

- Zostaniesz ze mną na noc?
- Muszę wracać do biura.
- O tej porze?
- O dwudziestej trzeciej zaczynam dyżur.
- Prawda, zapomniałam, że tam pracujesz.
- Dzięki temu masz szansę wyzdrowieć.
- Wiem, kochany. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś.
- Nigdy? – Ze śmiechem pocałował ją w koniec nosa.
- Nigdy! – odpowiedziała z mocą, patrząc mu głęboko w oczy.

Kiedy Andrzej schodził po schodach, wymknęła się z mieszkania i zbiegła za nim, starając się robić jak najmniej hałasu. Wyjrzała zza uchylonych drzwi klatki schodowej i zobaczyła, jak dochodzi do samochodu zaparkowanego na osiedlowym parkingu. Wiedziała, że zawsze parkował kilkaset metrów dalej.

Pobiegła do auta i po chwili zapalała już silnik. Samochód Andrzeja dogoniła w Alejach Ujazdowskich. Starła się zachować wystarczającą odległość, by jej nie dostrzegł.

Zaczął kropić wzmagający się deszcz. Minęli zjazd na Agrykolę, potem Belweder. Jeśli Andrzej jechał do MSW, powinien był skręcić wcześniej, w stronę ulicy Rakowieckiej. On jednak najwyraźniej kierował się na Ursynów.

Zamyślony o mało nie przejechał skrzyżowania na czerwonym świetle. Przetarł czoło, jakby próbował odgonić natrętne myśli.

Siejka miał rację, a on próbował się tylko łudzić, że po wszystkim Anna nadal będzie milczeć. Wpakował ją w niezłe szambo.

Kilkanaście minut później zatrzymał samochód przed domem. Przez niskie krzewy dostrzegł sylwetkę żony ustawiającej coś na stole w dużym pokoju.

W przedpokoju zostawił marynarkę, ściągnął buty i wszedł na bosaka do

salonu.

– Cieszę się, że już jesteś. – Wskazała na stół. – Zobacz, co przygotowałam.

– O tej porze chcesz jeść kolację?

Podeszła do niego i założyła sobie jego ręce na ramiona.

– Zapomniałeś o czymś?

Spojrzał pytająco, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli.

– Nie udawaj.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zamszowe etui.

– Okej.

– Wiedziałaś, że nie zapomnisz o naszej rocznicy ślubu.

Otworzyła etui. W środku błysnął złoty pierścionek. Nałożyła go na palec i podniosła dłoń pod światło, oceniając rozbłyśki rubinu. Potem rzuciła mu się na szyję i zaczęła namiętnie całować.

Anna stała przy siatce, zaciskając palce na metalowych oczkach. Deszcz szumiał wokół wzbierającą nawałnicą. Nie wiedziała, czy twarz ma mokrą od łez, czy spadających z nieba kropel. Nie mogła oderwać oczu od tamtej kobiety, jej uśmiechu, gdy oglądała ofiarowany pierścionek, od ich namiętnych pocałunków.

Wróciła do domu przemoczona od stóp do głów. Nie czuła chłodu. Rozbita tym, co zobaczyła, usiadła przy otwartym oknie, patrząc bezmyślnie w rozgwieżdżone niebo.

– Co dalej? – spytała sama siebie.

„Podjęłaś już decyzję”.

Odwróciła się w głąb pokoju, jakby ktoś tam siedział.

– Myślałam... Miałam nadzieję, że...

„Po co się oszukiwać?”

– Wiem, to nie ma sensu.

„Ale ty nadal się łudzisz”.

– Podjęłam już decyzję.

„Rzeczywiście?”

– Kurwy nie można bezkarnie oszukiwać.

„Nie jesteś kurwą”.

– Już nie.

Usłyszała narastający gwizd przeciągu. Okiennica niebezpiecznie zadrżała. Wiedziała, że jeśli w porę nie odsunie dłoni...

„A więc to wszystko było kłamstwem...”

Wszystko!

Gwałtowny podmuch wiatru owionął jej twarz. Anna, pełna bólu, zamknęła oczy. Nie miała nawet siły, żeby krzyknąć...

– Ktoś jest w mieszkaniu? – zza jej pleców dobiegło niepewne pytanie. W szybie zobaczyła twarz sąsiadki, która dostrzegła ją sekundę później. – Drzwi były niedomknięte – Teresa podeszła bliżej – więc pomyślałam, że... Chryste! – krzyknęła wystraszona. – Jesteś cała przemoczona. Masz rozciętą dłoń.

– Dłoń? – Anna sprawiała wrażenie, jakby obudziła się z głębokiego snu. – To nic.

Sąsiadka wybiegła, by po chwili wrócić z bandażem i buteleczką spirytusu salicylowego.

– Trzeba zdezynfekować i... – Po raz pierwszy przyjrzała się uważniej twarzy Anny. – Coś się stało?

– Wszystko się skończyło.

– Wszystko?

Kiedy sąsiadka oblała jej dłoń spirytusem, nawet nie syknęła.

– Chciałam się pożegnać. – Teresa wprawnie zawinęła bandażem dłoń.

– Wyjeżdżasz? – spytała.

– Mąż jest niemieckiego pochodzenia. W Hamburgu ma prawie całą rodzinę. Dostaliśmy zgodę na wyjazd... On mówi, że tam będzie nam lepiej. No i będzie nas stać na leczenie Krzysi. – Zawiązała na końcu bandaża zgrabny supełek. – Gotowe. Na szczęście rana nie jest zbyt głęboka.

– Tak, na szczęście.

– Powinnaś się przebrać, inaczej jutro będziesz miała temperaturę. – Teresa pomogła jej wstać i zaprowadziła do łazienki. – Poradzisz sobie?

Kiwnęła potakująco głową.

– Dziękuję za wszystko. – Nieoczekiwanie Teresa pochyliła się i pocałowała Annę w policzek. – Jesteś dobrą kobietą.

– Pasażerowie odlatujący do Paryża proszeni są o udanie się do odprawy paszportowej.

Anna poczuła na ramieniu delikatny uścisk dłoni Andrzeja.

– Tak, wiem – uśmiechnęła się smutno. – Już czas.

– Niedługo się spotkamy.

Spojrzała kątem oka na stojącego nieopodal agenta. Nienagannie skrojony garnitur, dobrze dobrana kolorystycznie koszula, modny krawat, buty. A mimo to było w nim coś odpychającego, jakby pod elegancją czaił się ktoś zupełnie inny.

Siejka również z uwagą ich obserwował. Jednocześnie przez cały czas, odkąd weszli na teren lotniska, rozglądał się z uwagą wokół. Każdy z przechodzących obok patroli milicyjnych budził w nim niepokój.

A jeśli któryś go zatrzyma? Jeśli Sulimowicz odkrył prawdę? Nie, lepiej o tym nie myśleć. Dotąd wszystko szło zgodnie z wyznaczonym planem. Musi się udać. Musi!!!

– Powinniście już iść. – Andrzej trącił Siejkę w ramię.

– Czekałem, aż się pożegnacie.

– Zrobiliśmy to już wcześniej.

Andrzej wziął obandażowaną dłoń Anny i pocałował ją w koniuszki palców.

– Pasażerowie odlatujący do Paryża proszeni są o udanie się do...

Anna przyciągnęła do siebie Andrzeja za poję marynarki. Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Zakochałam się – głos jej się załamał, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

Chciał coś odpowiedzieć, lecz odwróciła się gwałtownie i ruszyła w stronę przejścia kontroli paszportowej. Stał nieruchomo, patrząc za odchodzącą do czasu, aż znikła mu z oczu. Ogarnął go przemożny żal. Jakiś ciężar zwałił mu się na barki, spłynął wzdłuż piersi i przygwoździł nogi do posadzki. Już wiedział. Dlaczego dopiero teraz?

– Dlaczego?

– Pytał pan o coś? – Milicjant z przechodzącego obok patrolu spojrzał na niego pytająco.

– Dlaczego tak późno? – powtórzył oszołomiony własnym odkryciem.

– Pogoda nie najlepsza, więc wszystkie samoloty mają opóźniony start. Ale tylko kilkuminutowy... – powiedział jeden z funkcjonariuszy. Po chwili

milicjanci odeszli.

Jeszcze mogą być szczęśliwi. Przypomniał sobie, jak niedawno podsunęła mu kartkę z pytaniem.

„Jeśli mnie tak kochasz, to... skoczyłbyś z mostu do Wisły, żeby mi to udowodnić?”

Zaczął się wtedy śmiać. Początkowo cicho, potem coraz głośniej.

– „Co jest śmiesznego w moim pytaniu?”

– Ależ nic, najmilsza. Wreszcie sobie coś uświadomiłem.

– „?”

– Że jesteś najbardziej szaloną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem w życiu.

– „Tylko tyle?”

Samolot wzbijał się wolno do góry. W kabinie było niewielu pasażerów. Anna wybrała puste fotele i usiadła przy oknie. Nie zwróciła uwagi na agenta, który zajął za nią miejsce.

Napływające do oczu łzy rozmazały chmury oświetlone słońcem. Zsunęła z palca pierścionek. Kiedy to było, gdy go dla niej ukradł?

– Piękny, prawda? – usłyszała swój dawny szept.

– Ty jesteś ładniejsza.

– Od serca?

Pocałował ją wówczas mocno w usta.

Przez jakiś czas patrzyła na mieniące się oczko. Potem otworzyła w oparciu fotela popielniczkę i wrzuciła pierścionek do środka. Wyjęła z torebki pacynkę Moniki i zaczęła patrzeć w niebieskie koraliki jej oczu.

Andrzej zahamował gwałtownie na środku mostu Poniatowskiego. Z tyłu doleciał rozpaczliwy głos klaksonu i pisk zablokowanych kół, ślizgających się po jezdni.

Wysiadł z samochodu, rzucając płaszcz na maskę.

– Człowieku – wrzasnął ktoś z tyłu – życie ci niemiłe?

W tym momencie zobaczył przelatujący gdzieś w górze samolot. Bez wahania podszedł do barierki.

– Hej, człowieku! Co ty chcesz zrobić...?!
Już nie miał żadnych wątpliwości. Skoczył w dół.

Andrzej gapił się w telewizor, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi spikerka dziennika telewizyjnego.

– Słyszałeś? – Elżbieta wskazała na ekran. – Za godzinę Komisja Wyborcza ma podać ostateczny wynik wyborów do Sejmu.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– Może byś wreszcie coś z siebie wydusił? – Siedząca na wprost żona poderwała się ze swojego miejsca i zaczęła przemierzać pokój nerwowym krokiem. – Odkąd przywiozła cię milicja, nie powiedziałeś jednego słowa... To chyba nie z powodu wyborów...? Jesteś cały mokry. Może chociaż się przebierzesz?

Wyprostował ramiona, zrzucając z pleców mokry koc.

– Nareszcie coś do ciebie dotarło – westchnęła z ulgą.

Przeszedł do łazienki, gdzie zdjął mokre ubranie. Przebrał się w sypialni. Żona zmywała w kuchni. Położył na stole klucze do domu.

– Po co mi...? – Spojrzała zdziwiona.

– Odchodzę.

– Dokąd?

– Wyprowadzam się.

– Nadal nie rozumiem. – Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy przypadkiem nie żartuje.

– Zakochałem się.

– Tak po prostu, po ośmiu latach... Chcesz odejść...? Dokąd?... Dom zapisany jest na mnie. Twój samochód również. Mam rachunki za każdy garnitur, który w ciągu ostatnich pięciu lat...

Andrzej słuchał z obojętną twarzą.

– Nie masz nic! Wszystko zawdzięczasz mnie i mojemu tatusiowi.

– Jutro przyjadę spakować swoje rzeczy.

– Nie masz swoich rzeczy.

– Jeśli tak uważasz...

Elżbieta zorientowała się, że od pięciu minut wyciera ten sam talerzyk. Odstawiła go do szafki i sięgnęła do suszarki po filiżankę. Andrzej wstał i ruszył do wyjścia.

– Dlaczego mi to robisz? – próbowała przybrać płaczący ton.

Zatrzymał się po kilku krokach. W pewnym momencie obrócił się na pięcie. Wrócił. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął ku sobie, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– Zakochałem się.

Puścił ją i ruszył do przedpokoju. Nim trzasnęły za nim drzwi wejściowe, cisnęła z wściekłością o podłogę wycieraną filizankę.

– Nie możesz mi tego zrobić! – krzyknęła. – Masz natychmiast wrócić! Słyszysz?! Natychmiast!!!

Odpowiedziała jej cisza. Chwilę stała, nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić. Wreszcie sięgnęła po szufelkę i zaczęła zmiatać podłogę, starając się nie przeoczyć najdrobniejszego okruchu rozbitej porcelany.

Droga Pani Anno!

Nigdy nie sądziłem, że napiszę do Pani list...

Nochal odłożył kartkę papieru na kołdrę szpitalnego łóżka. Wszystko stało się tak nagle i nieoczekiwanie. Ból w klatce piersiowej. Jacyś ludzie krzyczący przed hotelem. Ktoś próbował go cucić. Jęk zawodzącej karetki.

Kiedy ponownie otworzył oczy, leżał w szpitalnym łóżku, podłączony do EKG. Kolejny zawał. Powoli stan jego zdrowia się polepszał. Najpierw zaczął siadać na łóżku. Potem pozwolono mu na krótkie spacerki.

Najczęściej stawał przy oknie, wyglądając na ulicę. Obserwował spieszących dokądś ludzi. Mógł na nich patrzeć godzinami, zastanawiając się, dokąd zmierzają, czym się zamartwiają lub z czego cieszą. Jednak po kilku minutach pielęgniarka zaganiała go do łóżka. Pewnego dnia leżący obok pacjent pożyczył mu książkę.

– Nie bardzo wiadomo – Nochal usłyszał od leżącego nieopodal – czy jest to poezja, czy powieść. A propos, lubi pan poezję?

– Prawdę mówiąc, nigdy nie miałem na to czasu.

– Teraz mamy go w nadmiarze – chory próbował się roześmiać.

– Dziękuję, z przyjemnością przeczytam.

To było kilka dni temu. Książeczka była niewielka, ale kiedy ją przeczytał, już wiedział, że długo czekał, by właśnie ją wziąć do ręki.

Ponownie sięgnął po list.

Nigdy nie sądziłem, że napiszę do Pani list. Muszę jednak coś wyznać. Może to dziwnie zabrzmie u człowieka, który skończył tyle lat, ale...

Ponownie odłożył kartkę. Wstydził się wyznania, że kocha się w Annie już od tylu lat. Kiedy był jeszcze w pełni sił...

Uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Co miesiąc z napiwków odkładał po dziesięć dolarów. Kiedy miał ich już pięćset, postanowił, że zaprosi Anusię na weekend. Tak pieszczotliwie nazywał ją w myślach. „Moja Anusia”.

Nie myślał o seksie. W jego wieku to już raczej nie wchodziło w rachubę. Chciał, żeby byli razem. Zjedli kolację. Poszli na spacer.

Jednak nigdy nie odważył się zrealizować marzenia. Kiedyś nawet podszedł do Anusi siedzącej samotnie przy hotelowym barku. Ścisnął w kieszeni pięć studolarówek, ale nie potrafił wydusić z siebie bodaj jednego słowa.

Nochal wiedział, czym się trudni dziewczyna.

Ona zawsze była dla niego kimś ulotnym, niczym motyl, któremu przypatruje się w zachwycie, gdy mieni się w słońcu cudownymi kolorami.

To był dla niego szok, kiedy przed tygodniem zobaczył Annę w drzwiach pokoju. Po jej oczach zorientował się, że dziewczyna nie bardzo wie, gdzie się znajduje.

– To pani, Aneczko?

Skierowała wzrok w jego stronę. Ale czy go poznała?

Podeszła i przysiadła na brzegu łóżka. Nieśmiało czubkami palców dotknął jej dłoni.

– Coś się stało? – zapytał, bo dostrzegł w jej oczach łzy.

Nie odpowiedziała. A może i nie dosłyszała pytania. Siedzieli dłuższą chwilę, bez słowa wpatrując się w siebie.

– Bardzo mi ciężko – usłyszał jej szept.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani.

– Nic już nie będzie dobrze.

Poczuł, jak zaciska dłoń na jego dłoni. Potem przyszła pielęgniarka i wyprosiła ją z sali. Próbował zaprotestować.

– Proszę pozwolić nam zostać ze sobą jeszcze krótką chwilę.

– Osoba odwiedzająca oddział intensywnej opieki powinna mieć na butach ochraniacze. Nie ja wymyśliłam te przepisy.

Siostra wzięła Annę pod ramię i wyprowadziła za drzwi.

Nochal wziął do ręki rozpoczęty list.

Nigdy nie sądziłem, że napiszę do Pani list. Muszę jednak coś wyznać. Może to dziwnie zabrzmie u człowieka, który skończył tyle lat... Kocham Panią. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo. Nigdy nie potrafiłem ładnie mówić. Od pacjenta leżącego na łóżku obok dostałem pewną książkę. To dziwne, ale jej autor wyraził wszystko, co sam chciałbym wyznać. Dlatego pozwalam sobie na przepisanie właściwego fragmentu...

Jak to możliwe, że właśnie zapada zmrok, kiedy mam zamiar Cię objąć i pocałować. Głębokie fioleto okrywają nas półprzejrystą peleryną.

Stateczek, którym płynie,

rytmicznie

dychawicznie

spazmatycznie

sapie i pufa

krztusząc się silnikową chrapką

Pokład wibruje pod naszymi stopami zmęczonym rytmem

Tur, tur, tu...

Jeszcze trochę

Tur, tur, tu...

Jeszcze chwila

Tur, tur, tu...

Ostatni rejs

Tur, tur, tu...

Tam czeka przystań

Stojący w sterówce kapitan jest niewidoczny. Kilku współpasażerów skupiło się na rufie.

Stoimy na dziobie wpatrzeni w fioletowo gładką toń Adriatyku.

Morze, niczym rozwinięty atlas, mieni się na ciemnych załamaniach licznymi poblaskami:

grą księżycowych świateł,

gwiazdnymi refleksami,

by wreszcie uderzyć delikatnym chlupotem o burtę.

Stoję za Twoimi plecami. Obejmuję Cię w pasie. Spoglądając nad ramieniem, gubię się w Twoich włosach, rozwiewanych delikatnym podmuchem wiatru, Twym zapachu, otarciu o policzek, Twoich dłoniach,

które przyciągają ku sobie moje ramiona.

– Powiedz, dlaczego spotkaliśmy się dopiero teraz?

– Nie wiem, najmilsza.

– Przecież ty wiesz wszystko – w Twoim głosie słyszę nutę przekory zmieszaną z odrobiną dziecięcego uporu.

Przyciągam Cię mocniej ku sobie, jakbym w tym wtuleniu chciał znaleźć odpowiedź.

– Dlaczego?

Musiałem, najmilsza, nauczyć się cenić błysk Twoich oczu. Nauczyć się zachwytu nad Twoim uśmiechem. Jak być niecierpliwym, gdy czekam na Twój pocałunek. Jak czerpać radosną siłę z Twojej bliskości.

– Mówisz o sobie. – Ocierasz się o mój policzek. – A ja?

– Ty, najmilsza, to wszystko znałaś.

– Zawsze wiedziałam, że my, kobiety, jesteśmy od was mądrzejsze.

Unosisz do góry nosek, jakbyś za chwilę miała ochotę strącić nim Księżyc.

– Że co proszę? – udaję oburzenie.

Odwracasz się do mnie. Przybliżasz swą twarz do mojej.

– Może nieprawda? – szepczesz, delikatnie przesuwając wargami po moich wargach.

Chcę Cię pocałować, ale umykasz.

– Więc?

– No dobrze – wzdycham pokonany. – Mówisz tylko prawdę!

Twój pocałunek jest jak zryw sztormu.

Uderza, szumiąc w skroniach przyspieszonym rytmem krwi. Zagarnia. Porywa. Swą gwałtownością. Nienasyceniem. Poza nim nic nie istnieje.

Otwieram oczy. Widzę blask gwiazd i czuję przepelniający mnie zachwyty.

– Masz rację, najmilsza – łapię powietrze niczym rozbitkę wyrzucony na grzbiet okręcającej się wokół niego fali. – Ale proszę zauważyć, że słowo „prawda” wypowiedziałem pod przymusem i niewątpliwą presją pani uroku.

Z oburzeniem próbujesz wyrwać się z moich ramion.

Coś powiedzieć!

Zaprotestować!!!

Choć udać, że...

Znowu tracimy oddech i niczym rozbitkowie opadamy w ciszę.

W błękity

Głód warg.

Chwytny się siebie nawzajem, jakby jedno w drugim szukało ratunku.

*Potwierdzenia
że to już nie ja
że tylko ty
że już my.*

*Stoimy wpatrzeni w ciemny fiolet morza. Po atramentowych szczytach fal
skrada się ku nam Księżyc.*

*– Nie pozwól, by mnie porwał – szepczesz, wtulając się we mnie. – Nie tej
nocy. Proszę.*

*Pani wiecznie kochający
Tadeusz (Nochal)*

Helena odłożyła list i otarła łzę spływającą po policzku.

Kilkanaście minut wcześniej z Olgą weszły do kawiarni na Marszałkowskiej. Przed południem było niewielu gości. Obie zamówiły kawę z ekspresu i usiadły przy oknie. Olga co jakiś czas zerkała ukradkiem w stronę drzwi.

Może esbek już jej odpuścił? Nie widziała go od tygodnia. Mimo to zawsze starała się, by ktoś był przy niej.

– Popłakałam się, kiedy przeczytałam list. – Helena wysmarkała głośno nos w chusteczkę higieniczną. – Dlaczego nie dałaś go Ance?

– Wydzwaniam do niej od trzech dni.

– Trzeba było nagrać się na automatycznej sekretarce.

– Zrobiłam to.

– Wiesz, że ona czasem... – Helena sięgnęła po cukiernicę.

– Jak miała dobrego klienta.

– Ty stale tylko myślisz o pieprzeniu.

– Stale to nie – uśmiechnęła się szeroko Olga. – Ale może wreszcie spotkam takiego, co zobaczy we mnie coś więcej niż tylko ładne cycki. A jeśli chodzi o Nochala...

– Wyduś to wreszcie...

– Zmarł kilka dni temu. Podobno Anka odwiedziła go w szpitalu.

– Skąd wiesz?

– Był ktoś z rodziny, żeby zabrać z pracy jego rzeczy. I zostawił ten list.

– Po co miałyby do niego chodzić?

Olga wzruszyła ramionami.

– Koperta jakoś tak sama się otworzyła... To zerknęłam do środka.

Helena jeszcze raz spojrzała na list.

– Pięknie do niej napisał.

– I jak romantycznie.

Helena westchnęła głośno.

– Myślałam, że pożegnam się z wami wszystkimi, ale chyba nic z tego nie wyjdzie.

– Jak to „pożegnam się”?

– Wracam do Lublina. Odłożyłam sporo forsy. Otworzę zakład fryzjerski.

Może znajdę jakiegoś przyzwoitego faceta, który się ze mną ożeni. A może...

– Co?

– Jedź ze mną?

– Muszę się napić.

– A potem?

– Pomyślę.

Rozdział czternasty

środa, godzina 18.20

Samolot wylądował na paryskim Orly z niewielkim opóźnieniem. Odprawa pasażerów była rutynowa. Celnik machał znudzony ręką, nakazując przybyłym przechodzenie przez granicę. Z wyrazu jego twarzy można było wnioskować, że pasażerowie są mu równie obojętni co podawane paszporty.

Siejka przeszedł pierwszy, tuż za nim Anna.

– No to jesteśmy w wolnym świecie. – Major wciągnął przez nos powietrze, jakby delektował się nieistniejącą gamą zapachów.

Anna spojrzała na niego obojętnie.

– Nie cieszysz się? – nie dawał za wygraną.

– Z czego mam się cieszyć?

– Już niedługo będzie po wszystkim. Pojutrze o tej porze pojedziesz do szpitala. A za kilka miesięcy... – Zrobił nieokreślony ruch ręką. – I tak dalej... – Wyszli na halę przylotów. – Poczekaj tu na mnie. – Wskazał plastikowe krzesło poczekalni.

Anna zajęła miejsce, patrząc za odchodzącym. Właściwie to nawet nie знаła imienia eskortującego ją esbeka. Spojrzała na swój palec, z którego ściągnęła pierścionek.

Nie czuła już żadnego żalu. Wspomnienia też zobojętniały. Pragnęła tylko jednego. Zemścić się. Na przygotowania miała niewiele czasu. Nie brała jednak pod uwagę możliwości, że coś się nie uda.

Siejka obejrzał się na Annę.

„Grzeczna dziewczynka” – pomyślał.

Podszedł do stoiska biletowego. Z torby wyjął rozmówki polsko-francuskie i otworzył książeczkę na założonej stronie.

– *Je voudrais un billet d'avion...* – wydukał. – *Pour demain soir*[\[17\]](#).

Kasjerka obdarzyła go szerokim uśmiechem, jakby właśnie czekała na chwilę, gdy do niej podejdzie.

„Nie to, co u nas” – przebiegło mu przez głowę.

– *Mais pour où*[18]? – w oczach dziewczyny pojawiło się pytanie.

– Nie bardzo rozumiem.

– *Où? Where*[19]? – powtórzyła sprzedająca. Widząc jego baranie oczy, dodała szybko: – *Wy Ruskij. Da?*

– *Nie ruskij. Ale to zawsze jakiś ludzki język.*

– *Kuda*[20]?

– *Kuda? Wsio rawno.* – Wzruszył ramionami. – *Daliego! Na Zapad*[21]!

– *Nie panimaju.*

– *Wsio rawno!*

– *Budapest? Prague?*

– *Niet. Niet...*

– *Moscou? Montevideo?*

– Moskwa w żadnym wypadku... Niech będzie Montevideo? *Charaszo. Montevideo. Adin biliet.*

środa, godzina 22.45

Z lotniska wyjechali wypożyczonym samochodem. Dwie godziny po przylocie zatrzymali się na hotelowym parkingu. Potem recepcja, klucze. Nim Siejka ruszył do swego pokoju, zatrzymał się przed Anną.

– Nigdzie nie wolno ci wychodzić samej. Rozumiesz? – Potulnie kiwnęła głową. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to masz telefon. Dogadasz się z recepcjonistką... Tylko wcześniej muszę o tym wiedzieć. Wyrażam się jasno?

– Bardzo.

– Daj mi swój klucz.

Anna sięgnęła do torebki. Siejka otworzył drzwi, a gdy przekroczyła próg, zamknął je za nią. Szczęknął zamek. Chwilę nasłuchiwała oddalających się kroków. Kiedy esbek odszedł, zasunęła ostrożnie łańcuch. Tak na wszelki wypadek. Nie była pewna, co takiemu typowi może w nocy odwalić pod czaszką.

Spojrzała na zegarek. Do umówionego telefonu pozostało jeszcze dwadzieścia dwie minuty. Gdyby nie zdążyła, zgodnie z wcześniej ustalonym planem miała dzwonić o każdej następnej pełnej godzinie.

Usiadła obok telefonu, wpatrując się w tarczę zegarka, którego wskazówki powoli zmierzały w stronę godziny osiemnastej.

Wreszcie sięgnęła po słuchawkę i poprosiła recepcjonistkę o połączenie z podanym numerem. Po drugiej stronie natychmiast rozległo się niespokojne pytanie.

– To ty?

– Tak, jestem już w hotelu.

– Mieszkasz sama?

– Mam pokój tylko dla siebie, więc możemy swobodnie rozmawiać.

– Jak się czujesz?

– Nieważne. Co z biletami? – Anna zerknęła w stronę drzwi, jakby chciała się upewnić, że nadal jest sama.

– Kupiłam. Do Montevideo. To strasznie daleko.

– Jak czuje się mała?

– Właśnie poszła spać. Jest zmęczona po podróży. To jej pierwszy lot samolotem. Nic się nie zmienia w naszych planach?

– Jeśli jutro nie zjawię się do czwartej po południu...

– Wiem. Zabieram Monikę i jadę na lotnisko.

– Powodzenia.

– Musi się udać. Do zobaczenia. – Elwira odłożyła słuchawkę i spojrzała na śpiącą Monikę.

Starając się robić jak najmniej hałasu, otworzyła drzwi prowadzące na balkon. Usiadła w wiklinowym fotelu. Sięgnęła po paczkę papierosów, potem po zapalniczkę. Zaciągnęła się głęboko. W dole z głośnym warkotem przejechał chłopak na skuterze. Zaczęła kaszleć. Zdusiła papierosa w popielniczce.

Kiedy tamtego wieczoru zobaczyła Annę w drzwiach swojego mieszkania, przeraziła się jej stanem. Niewidzące spojrzenie i ten przeogromny smutek wyzierający z oczu.

– Wpuścisz mnie? – spytała niemal niedosłyszalnym szeptem.

– Co się stało?

Anna bez słowa przeszła do pokoju i położyła się na kanapie. Przez następną godzinę patrzyła nieruchomo w sufit, nie reagując na żadne z zadawanych pytań.

Elwira wiedziała, że musiało stać się coś strasznego.

Może Monika miała wypadek?

A jeśli coś się stało z matką Anny?

Dziwna miłość. Obie za sobą tęskniły, lecz nie potrafiły być razem. Popieprzona rodzinka. Zresztą, czy jakakolwiek rodzina jest normalna?

Odkąd pamiętała, zawsze miała kochającego ojca. Aż przyszedł taki dzień, że więcej go nie zobaczyła. Kto był temu winien? Może nikt. Może czasami tak jest, że trzeba odejść, żeby się nie udusić, żeby znowu poczuć, że się żyje?

Te słowa usłyszała od ojca po latach. Widziała go tylko raz. Siedział przed nią wyłysiały gość z wielkim brzuchem i opowiadał, że kiedyś... Nie słuchała go... Był jej obojętny. Kochała tamtego sprzed lat i nic nie potrafiło tego zmienić. Więcej się nie spotkali.

– Chcę się zemścić – słowa Anny wróciły ją do rzeczywistości.

– Co?

Anna wstała z kanapy, ujęła jej dłonie i spojrzała w oczy.

– Pomożesz mi?

– Ale ja nawet nie wiem, o co chodzi.

– O miłość.

– Że jak?

– Chcę się zemścić!

– To już mówiłaś.

– Nikogo nie wolno oszukiwać! Nawet kurwy!!!

– Kto cię oszukał?

– Powiedział, że jestem śmiertelnie chora. Nawet nie wiesz, jak bardzo się bałam – mówiła powoli Anna, jakby delektowała się zadawanym sobie bólem. Jednocześnie po policzkach płynęły jej łzy. – Możesz mi pomóc? – Już nie płakała. W jej oczach była zimna nienawiść.

– Jestem z tobą.

– Dziękuję.

– Moja matka już wie. Zgodziła się, żeby Monika poleciała do Paryża. Musisz załatwić dwa paszporty w ciągu trzech dni. Dasz radę?

– Wykonalne. Posuwam naczelniczkę z wydziału paszportowego. Za mojego sztucznego penisa gotowa jest skoczyć w ogień.

- Więc sprawa załatwiona. – Anna zacisnęła dłoń w pięść.
 - Powiesz mi, jak chcesz to zrobić?
- Kiedy Anna skończyła, Elwira z trudem przełknęła ślinę.
- To czyste wariactwo.
 - Wchodzisz w to?
 - Już odpowiedziałam, że tak.
 - Dziękuję.
 - Nie przypuszczałam, że jesteś wariatką.
 - W takim razie mało o mnie wiedziałaś.
 - To im wyrwie jaja razem z migdałami.
 - Pies ich pierdolił.

czwartek, godzina 8.10

Andrzej zerknął na tarczę zegara wiszącego nad wyjściem z paryskiego lotniska.

– Jeszcze kilka godzin, Aneczko – zamruczał do siebie – i będziemy szczęśliwi.

To dziwne, ale nigdy czegoś takiego nie doświadczył.

„Byłeś wyrachowanym draniem”.

– Raczej biednym skurwysynem.

„Jeśli chodzi o to ostatnie słowo, to w pełni się z nim zgadzam”.

– Nie chcę o tym myśleć.

„Wiem. Siejka”.

– Inaczej nie będziemy szczęśliwi.

„To pluskwa”.

– Nie chcę tego.

„Ale musisz”.

– Zatem bierzmy się do roboty.

Podszedł do kasy biletowej.

– *Quels billets avez-vous encore pour ce soir*[\[22\]](#)?

Z miny kasjerki można było wnioskować, że dziwi ją, iż pasażerowi jest obojętny kierunek podróży. Zerknęła na ekran komputera.

– *Il y a encore des places libres pour Budapest, Prague*[\[23\]](#)...

Zaprzeczył ruchem głowy.

– *Moscou et Montevideo*[24]...?

– *Parfait. Deux pour Montevideo*[25].

– *Vous avez de la chance, ce sont les dernières*[26].

czwartek, godzina 10.38

Siejka zatrzymał samochód kilkadziesiąt metrów przed wejściem do Banku Koëniga. Wsiadł z auta i nie spiesząc się, wrzucił kilka franków do parkometru. Kiedy z automatu wyjmował bilet, zobaczył wysiadającą z samochodu agentkę.

Dziewczyna zatrzasnęła za sobą drzwi opla i ruszyła w stronę parkometru, przy którym nadal tkwił Siejka. Kiedy go mijała, poczuł intensywny zapach perfum.

„Ładnie pachnie” – przebiegło mu przez głowę.

On również wylał na siebie sporo dobrej wody kolońskiej, którą zabrał z mieszkania Czyściela. Czy agentka poczuła jego zapach? Z zachowania dziewczyny można było wnioskować, że świat wokół jest jej zupełnie obojętny. A jednak Siejka zauważył dyskretne spojrzenia, które rzucała na boki.

„Cwana suka – prychnął w myślach. – Węszy”.

Dziewczyna wzięła kwit z parkometru i wróciła do auta. Położyła wydrukowaną karteczkę nieopodal kierownicy. Potem wyjęła z bagażnika skórzaną torbę. Zamknęła samochód. Wolnym krokiem ruszyła w stronę banku, sprawiając wrażenie turystki, której nigdzie się nie spieszy. Minutę później wspięła się po kilku stopniach i znikła za drzwiami.

Siejka spojrzął na zegarek. Minęła 10.45. Wrócił do samochodu. Starając się zająć sobie czymś czas, zaczął przeglądać „Le Figaro”, które znalazł na stoliku hotelowym w trakcie śniadania. Anna została w pokoju zamknięta na klucz.

Przed wyjściem do miasta próbował do niej wejść. Przekręcił klucz w zamku, lecz kiedy uchylił drzwi, trafił na zasunięty łańcuch. Moment później zobaczył jej twarz w szparze drzwi.

– Boisz się mnie? – udał zdziwienie.

- Na razie wolę być sama.
 - Na chwilę wychodzę. Przyniosę ci coś do jedzenia.
- Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Dochodziła jedenasta szesnaście, a tamta nadal siedziała w banku.

„Może wyszła bocznym wyjściem – ogarnął go cień paniki. – Powinienem był sprawdzić, czy z Koënika są dodatkowe wyjścia. Co teraz?”

Nim znalazł odpowiedź, zobaczył agentkę. Odetchnął z ulgą, wycierając z czoła krople potu. Dziewczyna wróciła do samochodu i ruszyła w stronę śródmieścia. Siejka pojechał za nią. Dwadzieścia minut później zatrzymali się przed hotelem Trianon.

Josephine ruszyła długim bordowym korytarzem. Wsunęła klucz w zamek drzwi oznaczonych numerem 317. Siódemka zawsze była jej szczęśliwą cyfrą.

W pokoju rzuciła pustą skórzaną torbę na łóżko. Podeszła do telefonu. Wykręciła numer kierunkowy do Polski, a następnie wystukała sześć cyfr. Kiedy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, powiedziała wcześniej umówione zdanie: „Przesyłka dostarczona, monsieur”.

Postanowiła wziąć prysznic. Zdjęła sukienkę i bieliznę, rzucając wszystko na łóżko.

Weszła do łazienki i odkręciła kurki z wodą. Ciepłe krople uderzyły w jej nagie ramiona. Rozkręciła mocniej wodę.

Dlatego nie usłyszała szczęku otwieranego wytrychem zamka. Stojąc pod mocnym strumieniem, zacisnęła powieki, delektując się ukłuciami kropelek. Tego również nie powinna była robić.

Gdy odzyskała przytomność, leżała naga na mokrym dywanie. Próbowwała się poruszyć, ale okazało się, że jest związana sznurem do zasłon. W pierwszym odruchu chciała krzyknąć. W usta miała wepchnięte swoje figi, które dociskał przyklejony do policzków szeroki plaster.

Przekręciła głowę na bok i zobaczyła mężczyznę siedzącego na krześle obok. Gdzieś już go widziała. Tylko gdzie? Nie miała jednak czasu, by się nad tym zastanowić.

– Spytałem tylko raz. – Pochylił się nad nią. W ręku miał szpikulec do lodu, który znalazł się niebezpiecznie blisko jej oka. – Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Kiwnęła pospiesznie głową, że tak. – Uwolnię twoją prawą rękę.

Potem wskażesz mi miejsce, gdzie jest klucz do skrytki w Banku Koëniga i twoje paryskie prawo jazdy... Nie patrz tak na mnie. Jeśli tego nie zrobisz – wskazał na szpikulec do lodu – to żywcem cię wypatroszę.

czwartek, godzina 11.42

Anna zbliżyła twarz do lustra i pociągnęła powieki ciemną kredką. Odchyliła się do tyłu, patrząc krytycznie na makijaż. Nie znalazła żadnych uchybień.

Elwira powinna już kończyć pakowanie bagażu. Anna nie mogła doczekać się momentu, kiedy weźmie swoją córkę w ramiona.

Przypomniała sobie słowa listu, który przed wyjazdem wręczyła matce. Pisząc go, wreszcie zrozumiała, jaką była złą córką i jaką wspaniałą kobietą jest jej matka. Może dlatego o nic nie prosiła. Do niczego nie chciała jej przekonać ani tym bardziej zmuszać. Napisała prawdę o swym dotychczasowym życiu. O zaślepieniu, ucieczce donikąd...

Wiem, kochana mamo – zakończyła – że trudno jest Ci to wszystko zrozumieć. Ja sama jeszcze nie potrafię siebie odnaleźć. Jedno tylko wiem na pewno. Kocham bardzo moją córkę i równie mocno kocham Ciebie. Moja miłość nie ma żadnych warunków. Jest w niej tylko prośba, żebyś wybaczyła całe zło, którego doświadczyłaś za moją przyczyną. Chcę Cię też zapewnić, że zgodzę się z każdą Twoją decyzją, która będzie dotyczyć Monisi...

– Już niedługo – szepnęła Anna do lustrzanego odbicia.

Jeszcze raz powtórzyła w myślach plan, który zamierzała zrealizować tego popołudnia.

– Powinno się udać.

„Musi się udać”.

– Nigdy nic nie wiadomo.

„Plan jest prosty i dlatego nic nie stanie mi na przeszkodzie”.

Zaczęła szeptem powtarzać słowa modlitwy.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie. Święć się imię Twoje i bądź wola Twoja...

„Nie, to szło jakoś inaczej”.

Próbowała sobie przypomnieć fragmenty wersów, ale nie potrafiła skupić

na nich myśli.

„Nie musisz się modlić. Bóg i tak jest po twojej stronie”.

– Ojczy nasz... – Zacisnęła mocno powieki, próbując odnaleźć w sobie choć iskierkę żarliwości. – Wspomóż mnie grzeszną. I daruj nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowaj...

Przerwała, zaciskając mocno usta. Nie zamierzała nikomu niczego darować.

czwartek, godzina 12.15

Andrzej nakazał kierowcy taksówki, by zatrzymał się nieopodal kafejki. Dokładnie rozejrzał się po uliczce, przy której stał Bank Koëniga. Zapłacił i wysiadł z samochodu. W środku zajął stolik nieopodal wejścia. Z tego miejsca miał doskonały punkt obserwacyjny na całą ulicę.

Dotknął kieszeni płaszcza, czując przez materiał ostrze stalowego noża do rozcinania listów, który zabrał z pokoju hotelowego. Zabije Siejkę. Musi ochronić Annę przed tym draniem. Już wiedział, jak to robi... Czyba?

Major przywiezie Annę. Kiedy ta pójdzie do banku, on... Już zdecydował... Zabije go. Jeden cios nożem i Siejka nie powinien wydać z siebie nawet westchnienia. Przez najbliższą godzinę nikt nie zorientuje się, że w aucie jest trup, zwłaszcza jeśli rozłoży przed nim gazetę na kierownicy. Potem zabierze Annę wychodzącą z banku.

Nieoczekiwanie poczuł stuknięcie w plecy. Odwrócił się. Za nim stał Siejka.

– Można cię podejść jak harcerzyka. – Wskazał na boczne drzwi kawiarni, przez które wszedł z sąsiedniej uliczki.

– Już jesteście? – próbował nadać głosowi spokojny ton.

– Już. Ty też jesteś na miejscu. Wiedziałem, że nie będziesz spokojnie czekał w Warszawie.

– Załatwiłem wszystko zgodnie z planem. Nagrania wysłałem Specpocztą wczoraj wieczorem. Za kilka godzin powinny trafić na biurka Tabora i Jastrzębskiego.

– No i git.

– Gdzie ona jest? – Andrzej wychylił się, rozglądając po ulicy.

– Po drugiej stronie.

– Gdzie?

– W kawiarni. Drugi stolik na lewo. Ta w ciemnych okularach.

Andrzej musiał zmrużyć oczy przed rażącym słońcem, żeby rozpoznać Annę. Serce zaczęło mu walić w piersiach.

– Zdobyłeś klucz do skrytki i dokument? – zapytał. – Siejka kiwnął powoli głową, a jego usta rozciągnął lubieżny grymas. – Co z tamtą dziewczyną?

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparł major. Spojrzał na zegarek. – No, mała – rzucił szeptem. – Czas na ciebie.

Sekundę później od stolika wstała Anna i ruszyła w stronę banku.

– Zapłać za kawę. – Siejka wskazał na pełną filiżankę. – Chyba nie zdążysz jej wypić. Wracamy do samochodu.

Kiedy wyszli na ulicę, Andrzej dostrzegł plecy odchodzącej Anny. Chciałby jej tyle powiedzieć, przytulić, zasypać pocałunkami.

– Ten peugeot po drugiej stronie ulicy. – Siejka wskazał na auto. – Siadaj obok mnie... Co w kraju? – Poprawił poję płaszcz i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Interesuje cię to?

– Prawdę mówiąc... mam to w dupie, ale o czymś trzeba gadać.

– Nadal trzymamy się wcześniej ustalonego planu?

– To znaczy?

– Wracamy do hotelu i dzielimy się forszą.

– Jasne. – Siejka klepnął go w kolano. – Umowa jest umową, a ja zawsze dotrzymuję danego słowa.

czwartek, godzina 13.02

Anna ruszyła za strażnikiem długim korytarzem do działu skrytek. Wszystko było tak, jak przewidział Andrzej. Obsługująca ją w okienku urzędniczka bankowa nawet nie spojrzała w jej kierunku.

– *Voulez-vous écrire votre mot de passe* [27] – powiedziała i wystukała coś na komputerze. Chwilę wpatrywała się w ekran monitora. Poprosiła Annę o prawo jazdy. Przez chwilę patrzyła to na nią, to znów na zdjęcie dokumentu. Wreszcie nacisnęła jakiś przycisk i pojawił się strażnik.

Zatrzymali się przed opancerzonymi drzwiami. Mężczyzna wystukał na klawiaturze kod dostępu, a następnie przystawił do czytnika kciuk. Szczęknięty zwalniane zapadki automatycznego zamka.

Nie patrząc na idącą z tyłu Annę, strażnik podszedł do jednej ze stalowych szuflad. Włożył klucz i przekręcił. Anna podeszła i włożyła swój. Strażnik wyjął zamkniętą kasetę i przeniósł ją na stolik. Następnie wskazał przycisk dzwonka.

W chwili gdy Anna uznałaby przeglądanie skrytki za zakończoną, miała przywołać nim obsługę. Kasetą wróci na swoje miejsce. Potem oboje pójdą drogą, którą tu przyszli.

Strażnik wyszedł. Z pewnym wahaniem odchyliła stalowe wieko. Na wierzchu leżały obligacje American Oil Trust. Ile mogły być warte? Wzięła gruby plik papierów wartościowych i wrzuciła je do skórzanego plecaka. Pod spodem w równych rzędach leżały ułożone mikrofiszki. Andrzej twierdził, że znajdzie je w kasecie, więc z pewnością to było to. Co się na nich znajdowało?

Upchnęła wszystko do plecaka. Czy nikt się nie zainteresuje, jak wyjdzie z banku z takim bagażem? Jakiś czas temu zadała Andrzejowi identyczne pytanie.

– A dlaczego ktoś miałby się tobą interesować?

– Wejdę z pustą torbą, a wyjdę z pełną.

Zaczął się wtedy głośno śmiać.

– To nie jest, najmilsza, komuna. Każdy ma prawo do swojej własności.

Zamknęła kasetę i spojrzała na przycisk dzwonka.

– Sprawdźmy zatem, czy rzeczywiście tu nie ma komuny – wcisnęła przycisk.

Zjawił się strażnik. Umieścił pustą kasetę tam, skąd ją wyjął. Następnie uprzejmym gestem wskazał drzwi wyjściowe. Ruszyli w drogę powrotną. Tym razem ona szła pierwsza.

Kiedy znaleźli się w holu, zatrzymała się przy bankowej recepcji. Odłożyła plecak na stojący nieopodal stolik. Usiadła ciężko w fotelu i trzymając się za głowę, zaczęła ciężko oddychać.

Na ten widok podbiegł najbliższy stojący urzędnik.

– *Qu'est-ce qui vous arrive* [28]? – spytał.

– Słabo mi – wyszeptała mdlejącym głosem. – *Je me sens mal*.

czwartek, godzina 13.46

– Co ta dziwka tak długo tam siedzi? – Siejka ze złością uderzył dłonią o kierownicę.

– Skąd mogę wiedzieć? – Andrzej wzruszył ramionami. – Chyba, że... – Coś bolesnego ukłuło go w serce.

– Co?

– Może zorientowali się, że to nie ona?

– Kto?

– Francuzi.

– Sranie w banię. Siedzi tam już czterdzieści minut. Jej poprzednicze zajęło to niecałe pół godziny.

– Może Anka jest wolniejsza?

– Chyba że w robieniu laski. – Siejka splunął przez uchylone okno. – Zobacz! – Major niemal podskoczył na miejscu kierowcy, widząc karetkę pogotowia zatrzymującą się z jękiem syreny przed wejściem do banku.

– Skąd karetka? – Andrzej zmarszczył brwi.

– Coś mi tu śmierdzi.

Moment później obaj zobaczyli Annę leżącą na noszach. Sanitariusze wsunęli je do środka pojazdu i auto ruszyło z jękiem ponownie włączonych syren.

Siejka chwycił Andrzeja za klapy marynarki i potrząsając nim, zaczął krzyczeć:

– Ta kurwa coś kombinuje! Mówię ci, ta kurwa coś kombinuje!

– Może zasłabła...? – Andrzej był zupełnie zdezorientowany.

Siejka włączył silnik i ruszył z piskiem opon.

– Chce nas zrobić w chuja. Jeszcze to do ciebie nie dotarło?! Niedoczekanie twoje, szmato jedna! Słyszysz?!!!

– Chcesz nas zabić? – Andrzej skulił się w fotelu, gdy na czerwonym świetle runęli przez skrzyżowanie.

– Z drogi, żabojebcy!!! – Siejka wrzasnął na hamujące przed maską auta.

Silnik zawył na wysokich obrotach. Minęli śmieciarkę. Wymusili pierwszeństwo na nadjeżdżającym z przeciwka mercedesie. Przeskoczyli przez skrzyżowanie. Gaz do dechy! Hamowanie!!! Silnik znowu zawył na najwyższych obrotach.

„A jeśli ona planowała to już od dawna? – Andrzej zazgrzytał w myślach zębami. – Zwodziła, gadała o miłości, a po cichu... Byłaby aż tak podła? Przecież ja ją kocham”.

– Co tam mamrociesz pod nosem? – warknął wściekły Siejka.

– Modlę się, żebyśmy przeżyli. – Sekundę później Andrzej dostrzegł kątem oka kobietę z wózkiem zamierzającą wejść na pasy. – Hamuj!!! – krzyknął.

– Co jest, kurwa, nie widzi jadącego samochodu?

– Tutaj pierwszeństwo mają piesi.

– Wiedziałem, że to pojebany kraj. – Siejka wrzucił ze zgrzytem czwarty bieg, o mało nie rozwalając skrzyni biegów. Skręcili w najbliższą przecznicę. Tył pędzącej na sygnale karetki był już daleko przed nimi.

– Tak jej nie dogonimy. – Coś złego zapaliło się w oczach Andrzeja. – Hamuj!

Zapisały zablokowane koła.

– Tam są nasze pieniądze. Nasza przyszłość – stwierdził Siejka.

– Wracajmy do banku.

– Po kiego chuja?

– Powiedzą nam, do jakiego szpitala ją zabrali. Już prawie zgubiliśmy karetkę w ruchu ulicznym.

– Nareszcie – Siejka otarł dłonią pot z czoła – włączyłeś myślenie.

– Złapiemy tę dziwkę. – Andrzej zacisnął dłonie w pięści. – Obiecuję ci to.

czwartek, godzina 15.18

Andrzej wyskoczył z samochodu hamującego przed Bankiem Koëniga. Potknął się. Upadł. Ktoś chciał mu pomóc. Odepchnął wyciągniętą rękę. Wbiegł do banku. Sekundę później doskoczył do strażnika.

– *Mon ami a appris que sa femme était partie en ambulance. Elle a été conduite dans quel hôpital?*[\[29\]](#).

czwartek, godzina 15.20

Elwira po raz nie wiadomo który przemierzyła pokój nerwowym krokiem.

„Czy na pewno wszystko spakowałam?”

Który to już raz zadawała sobie to pytanie? Trzykrotnie sprawdzała, czy nie zostawiły jakichś rzeczy. Godzinę temu zeszła do recepcji i zapłaciła za pokój. Przy okazji spytała, czy może jeszcze zostać z córką do godziny 15.00.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. Pokój zarezerwowany był dopiero na jutrzejszy dzień, więc obsługa zdąży przygotować go na czas.

Jeszcze raz rozejrzała się dokoła. Bagaże spakowane. Paszporty miała w torebce. Na pewno? Podeszła do stolika. Są.

– Ciociu – Monika poprawiła się w fotelu – czy coś się stało?

– Dlaczego tak myślisz? – próbowała się uśmiechnąć.

– Babcia powiedziałaaby, że chodzisz jak lew po klatce. Babcia mówiła, że to bardzo niezdrowo.

– Ależ ja się nie denerwuję. Chcesz, poczytam ci bajkę.

– Którą?

– Kupiłyśmy ją wczoraj w księgarni. Oglądałaś obrazki przed snem.

– Ale ona jest po francusku.

– Znam ten język. Kiedyś nawet myślałam, że będę tłumaczką.

– Kim?

– Taką osobą, co przekłada na język polski książki napisane w innych językach.

– Chciałaś być pisarką?

– W pewnym sensie. Więc jak? Czytamy?

– Obrazki były ciekawe. Więc może i reszta też będzie.

Elwira wyjęła z podręcznego bagażu książkę. Otworzyła ją i usiadła obok Moniki. Zaczęła czytać:

Opowieść nasza zaczyna się dokładnie w czwartkowe południe. Ani sekundy wcześniej, ani też później. Właśnie książkę Muliniek wszedł do Komnaty Atlasowej, zwanej też Salą Przodków.

Jego Wysokość zatrzymał się przed jednym z luster i spróbował uśmiechnąć się do swego odbicia. Był wysokiego wzrostu, o wiecznie rozwianej ciemnej czuprynie. Choć starał się zachowywać roztropnie, w głębi ducha był niepoprawnym marzycielem, wiecznie chodzącym z głową w chmurach.

Każdego czwartego dnia tygodnia, dokładnie o dwunastej, przekraczał próg komnaty, stając przy zbroi noszonej niegdyś przez XIV Księcia de Pasmanterii, Kleptoryka de Mulin, Przebiegłego (zwanego też Bezgłowym).

Zgodnie z historycznym przekazem, rycerz brał udział w bitwie, W Której Nie Wiadomo Już O Co Chodziło. Początkowo zagubił się w zamęcie bojowym, nie wiedząc, kto swój, a kto nieprzyjaciel. Jak donosiły kroniki, chwalebnie i ostatecznie głowę stracił w chwili, gdy pomyłkowo bił się w szeregach wroga, atakując własne zastępy. Stamtąd dosięgnął go cios równie pomyłkowy, co definitywnie...

Elwira spojrzała na zegarek. Za dwie godziny i trzydzieści minut powinny spotkać Annę na lotnisku. Tylko czy jej się uda?

A czy ona zrobiła wszystko, co potrzeba? Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Bagaze spakowane. Paszporty miała w torebce. Na pewno?

- Czy mama niedługo przyjedzie? – Monika oparła głowę o jej ramię.
- Wkrótce ją zobaczysz.
- Za godzinkę?
- Za dwie.
- Więc czytaj dalej.

czwartek, godzina 15.32

Pochylony nad Anną lekarz ze zdziwieniem patrzył na pomiar ciśnienia. Z jego miny można było wyczytać, iż nie bardzo rozumie, dlaczego wezwano karetkę do zdrowej osoby. Strażnicy tak błyskawicznie umieścili omdlewającą kobietę na noszach, że ogłupieni sytuacją sanitariusze chwycili je i pobiegli z nimi do ambulansu.

Lekarz próbował odsunąć nogą torbę, którą za kobietą przyniesiono z banku. Była jednak zbyt ciężka.

Leżąca się uśmiechnęła. Poczul, jak jej ręka chwyta jego dłoń i czule ściska. Przezornie cofnął ramię. Uśmiech pacjentki był uroczy, lecz jego wspomnienia jeszcze gorsze.

Już kiedyś ktoś go tak wziął za rękę. Potem ślub. Huczne wesele i pani domu, która z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc zaczęła zatruwać mu życie. Po pięciu latach wyniósł się z własnego mieszkania, oddając na

odchodnym kluczyki do własnego samochodu.

Karetka z zawodzeniem gaszonej syreny wjechała przez bramę. Auto popędziło krętym podjazdem w stronę wejścia do izby przyjęć. Zatrzymali się z piskiem hamulców. W tej sekundzie Anna poderwała się na nogi i chwyciła stojącą obok torbę.

– *Je me sens mieux*^[30] – powiedziała. Nim nacisnęła klamkę, wsunęła lekarzowi w kieszonkę kitla sto dolarów. – *Excusez-moi, mais je suis pressée*^[31].

Ponownie obdarzyła doktora uroczym uśmiechem. Wyskoczyła na asfalt i ruszyła biegiem w stronę postoju taksówek, znajdującego się nieopodal bramy wjazdowej. Otworzyła drzwi pierwszej w kolejności. Wsiadła do środka.

– *Dans vingt minutes je dois être à l'hôtel de Bourgogne. Je paie double*^[32].

Moment później położyła obok kierowcy sto dolarów. Taksówkarz, nie przeliczając pieniędzy, schował je do kieszeni. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Nasunął na nos ciemne okulary i sprawnym ruchem włączył taksometr.

Ruszyli. Po chwili Anna krzyknęła rozdzierająco:

– O w mordę! Moja torba! *Mon sac!*

Taksówkarz wrzucił tylny bieg i cofnął auto. Anna sięgnęła po bagaż pozostawiony na skraju chodnika. Odetchnęła z ulgą i puściła oko do kierowcy przypatrującego się jej w lusterku wstecznym.

– *Merci beaucoup*^[33].

czwartek, godzina 15.47

Siejka skręcił gwałtownie w otwartą bramę szpitala.

– Może to jest ta karetka, którą ją przywieziono?

Wdepnął gwałtownie pedał hamulca. Andrzej rozpiął pasy i wyskoczył z samochodu.

Major spoglądał na rozmawiającego z sanitariuszami, nerwowo bębniąc palcami w koło kierownicy. Niech tylko dorwie tę dziwkę. Z satysfakcją poderżnie jej gardło i będzie patrzył, jak na jego oczach powoli się dusi.

To wszystko była wina Andrzeja. Miał trzymać kurwiszona na krótkiej

smyczy. Niespodziewanie jego palce zamarły na kierownicy.

„A jeśli tamtych dwoje zamierza go wykiwać i to wszystko jest tylko gra pozorów...?”

– Kurwa jego w dupę mać – zaklął głośno. – Co wtedy powinienem zro...

Nie dokończył. Mocne uderzenie pięścią w dach przywróciło go do rzeczywistości.

– Zawracaj i jedź na podjazd – powiedział Andrzej.

– Gdzie?

– Postój taksówek.

Kilka sekund później Andrzej dobiegł do jednego z samochodów. Pierwszy kierowca nie potrafił mu pomóc. Wreszcie trzeci przypomniał sobie dziewczynę wybiegającą ze szpitala z wyładowaną torbą. Kiedy Andrzej dał mu 50 dolarów, chwycił za radiostację, wywołując kierowcę, który wiozł Annę.

– *Tu m’entends...? Pierre, répond*[\[34\]](#)...

– *Qu’est-ce qu’il y a*[\[35\]](#)?

– *Où est-ce que tu as déposé cette nana aux cheveux noirs*[\[36\]](#)?

– *Cette folle? Elle est descendue devant l’hôtel Bourgogne*[\[37\]](#).

Andrzej pobiegł w stronę samochodu. Wskoczył do środka.

– Mamy ją! – krzyknął.

– Gdzie?

– Pojechała do hotelu Burgundia.

– A gdzie, kurwa, jest ten hotel?

– Zaraz znajdę go na mapie. Jedź, bo inaczej dziwka wydyma nas w try miga. Co się tak na mnie gapisz?

– Przez moment myślałem, że ty z nią. Że chcecie mnie...

– To nie myśl, tylko zapierdalaj.

– Się robi, panie szefie!!!

czwartek, godzina 16.09

Siejka zahamował przed wejściem do hotelu Burgundia. Obaj równocześnie wyskoczyli z samochodu. Stojący przed drzwiami Murzyn w uniformie szwajcara zaczął wołać do majora, pokazując gestem, że powinien

odjechać.

Zamiast odpowiedzieć, Siejka rozłożył bezradnie ręce i powiedział:

– *Nie panimaju, tawariszcz. Znajecie? Nie panimaju was.*

Czarny nie dawał za wygraną, stając mu na drodze z rozłożonymi ramionami. Znowu zaczął na migi pokazywać, że powinien odjechać.

– Kurwa! – krzyknął rozzłoszczony major. – Uparło się murzyńskie chamisko. Nigdzie nie jadę. Zejdź mi z drogi, Bambo, bo jeszcze trochę, to tak ci przypierdolę, że aż się zesrasz.

Już miał odepchnąć natręta, gdy z hotelu wypadł Andrzej.

– Pojechała na lotnisko! – krzyknął.

Rzucił się do samochodu...

– Chce nas wydymać! Zabiję kurwę! Zabiję!!!

Siejka wykręcił spod hotelu z piskiem opon.

– Wiesz, jak jechać? – wrzasnął major.

– Dawaj w prawo.

– Teraz?

– Teraz!

– A dalej?

– Na skrzyżowaniu znowu w prawo i grzejemy cały czas prosto.

– Nic nie zauważyłeś?

– O co ci chodzi?

– Że chce nas przekręcić?

Nieopodal przemknął radiowóz na sygnale.

– Zwolnij. – Andrzej obrócił się do Siejki.

– A jak nam ucieknie?

– Musi przejść odprawę paszportową.

– I co? Podejdiesz do niej i co?

– Coś wymyślę!

– To ruszaj głacą, bo nie ręczę za siebie.

czwartek, godzina 16.32

Anna niosła w ramionach córkę, która mocno się w nią wtuliła. Niepewna coraz to spoglądała za siebie, ale w tłumie nie dostrzegła zagrożenia.

Elwira szła z tyłu, ciągnąc bagaże.

– *Mesdames et messieurs. Les passagers du vol 295 de Air France pour Montevideo sont priés de se présenter pour le contrôle des passeports*[\[38\]](#)...

Anna stanęła przed oficerem, podając paszporty. Mundurowy podniósł na nie spojrzenie. Wziął dokumenty do ręki i zaczął powoli kartkować.

– *Pologne?*

– *Oui.*

Sięgnął po pieczętkę i wbił stempel na jednej ze stron.

– *Au suivant*[\[39\]](#)!

W głośnikach ponownie odezwał się głos:

– *Mesdames et messieurs. Les passagers du vol 295 de Air France pour Montevideo sont priés de se présenter pour le contrôle des passeports...*

czwartek, godzina 17.08

Andrzej wbiegł za Siejką do hali odlotów lotniska Orly. Obaj zatrzymali się, widząc przed sobą skłębiony tłum podróżnych. Jedni zmierzali w stronę wyjścia. Inni siedzieli na plastikowych ławkach, bezmyślnie patrząc na bawiące się dzieciaki. Wreszcie część szła w kierunku przejść odprawy paszportowej lub też gapiała się na migoczące cyfry na rozkładzie odlotów.

– Myślisz, że znajdziemy ją w tej ciżbie? – powiedział Andrzej zrezygnowanym głosem.

– Miałeś ruszyć łbem. Tak czy nie?

Andrzej usiadł na pobliskiej ławce i schował głowę w rękach. Siejka chwilę stał przy nim, szarpiąc za rękaw płaszcza.

Coś krzyczał. Wyzywał, nakazywał, groził. Wreszcie wrzasnął mu do ucha.

– Pies cię pierdolił. Znajdę ją, a potem ukręcę jej wredny łeb!!!

Major ruszył biegiem w stronę stoiska informacyjnego. Odepchnął japońskiego turystę.

– *Granier... Madame... L'avion...* – zaczął wskazywać palcem na tablicę odlotów.

Mężczyzna spojrział z uprzejmym uśmiechem, jednak po jego minie można było być pewnym, że nic nie rozumie. Kiedy Siejka powtórzył, tamten

rozłożył bezradnie ręce.

– Jak to nie rozumiesz!?!... *L'avion... Airplane...*

Pytany nadal jednak nie wiedział, o co mu chodzi.

– *Granier... Gdie ana...?*

– *Je ne comprends pas... Nie panimaju...*

Krew uderzyła Siejce do głowy.

– To ucz się, głąbie, języków! – wrzasnął. – Muszę wiedzieć...! *Gdie ana...? Gdie?* – Już zamierzał przesadzić kontuar, by chwycić pacana za gardło, gdy obezwładniła go ochrona. – Puszczajcie, skurwysyny! – Próbował się wyrwać. – Ona mnie oszukała. Okradła. Łapcie złodzieja. – Chwilę potem, wleczony na lotniskowy komisariat, zaczął rozdzierająco szlochać.

czwartek, godzina 17.14

Andrzej z zamkniętymi oczami siedział nieruchomo na ławce. Wsłuchiwał się w wypełniający go gwar podróżnych: czyjeś rozmowy. Nawoływania. Płacz dziecka. Szept. Kłótnię. Radosny śmiech...

Może miał nadzieję, że wyłowi z niego głos Anny. Może sądził...

Przypomniało mu się pożegnanie na Okęciu. Przyciągnęła go wówczas do siebie za poję marynarki. Spojrzała głęboko w oczy.

– Zakochałam się – głos jej się wówczas załamał, jakby miała wybuchnąć płaczem.

Dlaczego nie zwrócił na to uwagi?

Poczuł do siebie żal, że tak skrzywdził ukochaną. Anna była kimś wyjątkowym, niepowtarzalnym. Była miłością jego życia. A on...

Poderwał się z miejsca. Musi jej to wytłumaczyć. Musi odnaleźć. Prosić o przebaczenie.

Ruszył przez hol lotniska, aż zatrzymał się przed tablicą odlotów. Dostrzegł punkt informacyjny. Nikogo nie było w pobliżu.

– *Granier. Je sais que vous ne pouvez pas donner de tels renseignements... Mais c'est très important pour moi. Je l'aime... Veuillez me donner l'indication uniquement avec les yeux. Elle a acheté un billet pour...[40]* – Zaczął powoli wymieniać miasta widniejące na tablicy odlotów –

Amsterdam, Berlin, Nowy Jork, Sydney...

Hostessa nieubłaganie milczała.

– Barcelona, Toronto, Genewa... *Peut-être Moscou?*[\[41\]](#)

Zrozumiał, że dziewczyna w niczym mu nie pomoże. Uśmiechnął się smutno.

– *Mesdames et messieurs. Les passagés du vol 295 de Air France pour Montevideo sont priés de se présenter pour le contrôle des passeports...* – dziewczyna spojrzała znacząco na głośnik.

– *Merci beaucoup*[\[42\]](#) – westchnął cicho.

Ponownie spojrzał na tablicę odlotów. Zegar wskazuje godzinę 16.52. Czas odlotu do Montevideo przewidziany był na 17.55. Mógł jeszcze zdążyć.

Pobiegł w kierunku przejścia granicznego. Wyciągnął paszport i bilet do Montevideo.

Sekundę później zwolnił kroku. Zatrzymał się. Spojrzał na bilet lotniczy.

„Skoczyłeś do Wisły... Ale za późno...”

Zaczął drzeć kartonik na wąskie paski.

Rozdział piętnasty

Pół roku później

Premier Mazowiecki wstał z ław rządowych i w geście zwycięstwa uniósł prawą dłoń z palcami rozłożonymi w kształt litery V.

Na sali sejmowej rozległy się długo niemilknące brawa. Kamera, która przesuwała się po twarzach, ukazywała roześmiane oblicza. Jedni ściskali sobie dłonie. Inni rzucali się w ramiona, radośnie poklepując po plecach.

Jedynie twarze posłów zasiadających w ławach lewicy były obojętne. Oni również bili brawo. Robili to jednak bardziej z nawyku niż chęci podzielenia się z innymi radością.

– Który raz to już oglądasz? – Elwira stanęła w drzwiach sypialni. Na ramiona miała narzucony szlafrok.

– To był wielki dzień dla Polski.

– Jeden więcej, drugi mniej. Jakie to ma znaczenie?

– Jeszcze niedawno mówiłaś inaczej. – Anna wyłączyła magnetowid.

– Jaruzelski został prezydentem, a więc część z jego ludzi nadal wiele może. – Elwira przysiadła obok Anny na poręczu fotela.

– Nic o nas nie wiedzą.

– Chciałabym, żeby było, jak mówisz.

– Jeśli nic się nie zmieni za kilka miesięcy...

– Jeszcze za wcześnie wracać.

– Tak myślisz?

Elwira położyła jej dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Cholera wie, na którą stronę to się jeszcze może odkręcić.

– Tego już się nie da odkręcić.

– Może tak, a może nie.

Rozległ się gwizd czajnika.

– Napijesz się kawy? – Anna podniosła się z miejsca.

– Z przyjemnością.

Przeszły do kuchni. Elwira naląła dwie filiżanki. Wskazała wzrokiem na

tosty, lecz Anna pokręciła przecząco głową.

– Dopiero wstałam.

Wróciły do saloniku z tacą.

– Chodźmy na taras.

Elwira ruszyła jej śladem.

Choć dzielnica Montevideo, w której zamieszkały, była jedną z lepszych w mieście, starały się wynająć jak najskromniejszy dom, by nie rzucać się w oczy ciekawskim. Mieszkającym obok ludziom dwie kobiety z dzieckiem były zupełnie obojętne, a kontakty sąsiedzkie ograniczały się do zdawkowych powitań czy też sztywnych ukłonów.

Rekompensatą za wiekowość domu był wspaniały widok, który z Cerro de Montevideo rozciągał się na położone w dole miasto.

Anna postawiła na stoliku tacę z filizankami. Usiadły w wiklinowych fotelach.

O dziesiątej słońce już dawno dźwignęło się znad Atlantyku, bezskutecznie starając się rozświetlić mroczniejące mury hiszpańskiej twierdzy Fortaleza del Cerro.

– Kiedy chcesz zadzwonić do mamy?

– Dziś wieczorem.

– A jeśli telefon jest na podsłuchu?

– Umówiliśmy się, że nie powiem, gdzie jestem.

– Okej, zrobisz jak zechcesz.

W progu rozsuwanych drzwi saloniku stanęła Monika ubrana w koszulkę nocną.

– Już wstałaś? – Anna przyciągnęła córkę do siebie, tuląc czule. – Wieczorem odgrażałaś się, że będziesz spała do południa.

– Muszę zrobić śniadanie dla lalek, wyprowadzić misia na spacer i pouczyć się do jutrzejszej lekcji. Señor Alejandro nie lubi, jak uczniowie zaniedbują naukę nowych słówek.

– Rzeczywiście, masz dziś sporo pracy, ale wcześniej ubierz się i zjedz śniadanie.

– *Si, señorita.*

Monika pocałowała Annę, potem cmoknęła Elwirę w policzek i wbiegła do domu.

Koniec

*

Major Siejka pozostał w Paryżu. Kilka tygodni po wylocie Anny do Urugwaju wszelki ślad po nim zginął.

Andrzej Leszczyński wrócił do Polski. Na początku lat dziewięćdziesiątych nie przeszedł weryfikacji funkcjonariuszy MSW. Żyje samotnie, pracuje w firmie ochroniarskiej. Nigdy nie próbował odszukać Anny.

Anna Wermer do tej pory mieszka w Montevideo. Nie zamierza wykorzystać posiadanych materiałów. Nigdy też nie starała się odszukać Andrzeja...

Przypisy

- [1] Kochanie, pospiesz się!
- [2] Jedną chwilę, tato.
- [3] Co wydarzyło się dziś w szkole?
- [4] Och, tato. Proszę. Nie! Obiecuję już być lepszą uczennicą.
- [5] Nie płacz, mój skowroneczku. Jesteś niegrzeczną dziewczynką i musisz być ukarana.
- [6] Dla kochanego taty, od jego skowroneczka.
- [7] To chyba jasne jak słońce!
- [8] Służba Bezpieczeństwa. Spadaj!
- [9] Już jestem, kochanie.
- [10] O co im chodzi?
- [11] Chcą tego, co tu jest.
- [12] Więc niech tu przyjdą.
- [13] Wtedy zabraknie dla nas.
- [14] Kontrwywiad francuski (DST).
- [15] Ministerium für Staatssicherheit (MfS) powszechnie znane jako Stasi, które nadzorowało służby specjalne w Niemieckiej Republice Demokratycznej.
- [16] Dzisiejszy plac Bankowy.
- [17] Chciałbym kupić bilet na samolot... Na jutro wieczór.
- [18] Ale dokąd?
- [19] Dokąd? Dokąd?
- [20] Dokąd?
- [21] Gdzie? Wszystko jedno. Daleko! Na Zachód!
- [22] Jakie na dzisiaj wieczór ma pani bilety?
- [23] Są wolne miejsca do Budapesztu, Pragi...
- [24] Moskwa i Montevideo?...
- [25] Doskonale. Dwa do Montevideo.
- [26] Ma pan szczęście, to już ostatnie.
- [27] Proszę wpisać hasło.
- [28] Co pani jest?
- [29] Mój przyjaciel dowiedział się, że jego żona została zabrana stąd przez

karetkę. Do jakiego szpitala ją zawieziono?

[30] Już dobrze się czuję.

[31] Przepraszam, ale bardzo się spieszę.

[32] Za dwadzieścia minut muszę być w hotelu Burgundia. Płacę podwójnie.

[33] Dziękuję bardzo.

[34] Słyszysz mnie...? Pierre, odezwij się...

[35] Co jest?

[36] Gdzie zawiozłeś tę dupencję o czarnych włosach?

[37] Tę wariatkę? Wyskoczyła przed hotelem Burgundia.

[38] Panie i panowie. Pasażerowie odlatujący rejsem dwieście dziewięćdziesiąt pięć linii Air France do Montevideo proszeni są o udanie się do przejścia kontroli paszportowej...

[39] Następny, proszę!

[40] Granier. Wiem, że nie wolno pani udzielać takich informacji... Ale to dla mnie bardzo ważne... Kocham ją... Proszę dać tylko znak oczami, że tam kupiła bilet.

[41] *Może Moskwa?*

[42] Bardzo dziękuję.

MUZA SA
00-590 Warszawa
ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6297624, 22 6296524
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360, 22 6293201
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Skład i łamanie: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz